

JÓZEF IGNACY

KRASZEWSKI

POWIEŚCI HISTORYCZNE

HISTORJA O PETRKU WŁAŚCIE

CZASY WŁADYSŁAWA

WYDAWNICTWO M. ARCTA

HISTORYA PRAWDZIWA

O PETRKU WŁAŚCIE

HISTORYA PRAWDZIWA

O PETRKU WŁAŚCIE

PALATYNIE

KTÓREGO ZWANO DUNINEM

OPOWIADANIE HISTORYCZNE Z XII WIEKU

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego

TOM I

WYDAWNICTWO M. ARCTA w WARSZAWIE.
1912





DRUK PIOTRA LASKAUERA
Warszawa, Nowy-Świat № 41.

Stanisławowi Duninowi

z lat lepszych Towarzyszowi miłemu

przesyła

AUTOR.

Florencya
17 Marca 1878.

I.

Zmierzch był dnia jesiennego, aby takiej, jak ta jesieni ludzie najstarsi nie pamiętali. Przyszła ona jakby Boże błogosławieństwo, aby biedni ludziska z pola, co gdzie jeszcze na niem było, pochwycili do brogów i do stogów, a ozime pólka obsiać mogli wczas i do weselisk, zawsze porą jesienną obchodzonych, przy pełnych stodołach, przysposobili się bez troski.

Dziesiętnicy duchowni już byli powytykali wszędzie, co gdzie należało kościołom i zdali do przechowania na wierne ręce wybranym kmieciom, dopókiby się to nie sprzedało. Poczynały się po lasach łowy gorące, aż się puszcze rozlegały, bo o wojnie pod ten czas jakoś słychać nie było. I lud Boży oddychał.

To też jadący polem i lasem podróżny, choć na zaraniu i wieczorami ptactwa świergocącego i przyśpiewującego nie posłyszał, bo jedno było umilkło a drugie za morza poodlatywało, ludzkie śpiewy wesoło chwytał uchem i serce mu się od nich radowało.

Około chat w rucianych ogródkach śpiewały dziewki, około stawów, wyciągając z wody len i konopie, śpiewały niewiasty, koło stad na wyspach zawodzili pastuszkowie, a kędy stał kościół, wieczorem otwarty, i z niego słychać było nuconą chwałę Bożą.

U gościńca wiodącego do Wrocławia, w gęstym lesie na skraju stała gospoda, bo to szlak był, którym ciągnęło do miasta na targowice dużo ludzi, nie tylko ze

Szlązka i z Polski, ale i z obcych ziem z kupią, którą pod owe czasy mieniano na inną, albo ją za kruszec sprzedawano. Zbiegały się we Wrocławiu drogi ze wschodu i zachodu, jechali tędy kupcy od Rusi z greckiemi wyroby i ruskim towarem, przyjeżdżali Niemce od Sasów i od Franków, czasem Szwaby, ba i dalsi.

Ale onego dnia w gospodzie jakoś pusto było, i Mikuł, gospodarz, żona jego, Samicha, a czeladź ich nic do czynienia nie mieli.

Budowa była drewniana, duża jak szopa, z przedsieniami na słupach, dokoła ją oblegającemi, aby się gdzie lud miał czasu słońca gorejącego i niepogody schronić, nie dusząc w izbie, choć izba też była przestronna, w ławy dokoła przybrana, mająca w pośrodku ognisko z kamieni czysto wyłożone. Ponad niem dziura w wyżkach i dachu, klapą zamykana; przez komin z chróstu pleciony, gliną wylepiony, dym się na dach wydobywał.

Naokół ogniska, w którem się teraz tliły ostatki węgla, leżały kłody, kamienne, aby czasu zimy ludzie bliżej ciepła przysiąść się mogli. Z jednej strony był stół duży, a na nim stały jeszcze próżne kubki drewniane i gliniany dzban od piwa, w rogu obyczajem powszednim na ręczniku chleb, bułka i nóż przy niej.

Cicho było w gospodzie, jak to gdy się ludziom na sen i spoczynek zbiera, tylko w szopie, obok do izby przytykającej, ścianą z dylów od niej przedzielonej, beczały gospodarskie owce czarne i bure, prychały krowy i koni para rżeniem się do wieczornej paszy odzywała.

Co się najadło wprzód i napiło, przed spoczynkiem po swojemu mrucząc, Pana Boga chwaliło.

Mikuł, stary człek, przygarbiony, w grubej szarej bieliźnie jednej i chodakach skórzanych, sznurami do nóg poprzytwierdzanych, siedział na ławie u okna odsuniętego i czegoś postękiwał, powzdychiwał, zadumywał się, oburącz głowę podłysiałą podparłszy i brodę rozczochraną, krótką zadarłszy do góry.

Z rękami na piersiach założonemi, dalej nieco siedziała otyła, stara Samicha, żona jego, kądziel jeszcze trzymając przed sobą, a wrzeciono już w nią zatknąwszy;

bo w kącie zmierzchło i ręce jej od snucia nici drżały. Z czeladzi dwoje przed gospodą leżało brzuchami na ziemi, głowy na rękach oparłszy, trawę skubiąc z próżnowania i gryząc ją bez myśli, a pomrukując ladaco. To się tam który rozśmiał, który zdrzemał, to jeden drugiego ręką sięgnął, a po drużbie dał kułaka. Nie było bo co robić.

W izbie na ławie nizkiej jeden jedyny drzemał sobie stary dziad siwowłosy, z gęślą na plecach, spoczywając też, ale z nałogu; gdy się przebudzał, coś sobie podśpiewywał i sen mu z ust powoli pieśń zdejmował. I słychać było zamiast niej chrapanie, a potem przyśpiewkę i znowu sen.

Znać tu starowina znanym był, bo na niego nikt nie patrzał i nie było mu pilno ani do snu, ani do pieśni, ani w drogę. Są bo takie chwile na człowieka, że mu się nie chce niczego, nawet życia.

Ciemniało już i kury wszystkie z pod gospody poszły spać na poddasze, mieszcząc się na grzędach. Wśród tego milczenia, gdy i las nawet zdrzemnąwszy się, nie szumiał, hen, zdala—coś zatętniało. Mikuł podniósł zaraz głowę i ucha nastawił. Samicha się jakby przebudziła i kądziel postawiwszy, wstała, przeciągając się; dziad też, przetarłszy oczy, coś głośniej płaczliwym głosem zanucił.

Czeladź, co na darni leżała, podniosła się, nasłuchując, wstawać, czy nie, gdy z krzaków wyrwały się dwa duże piękne psy łowcze i nosami po ziemi tropiąc, poczęły biegać, ludzi postrzegłszy, naszczekiwać,—i stanęły. Za niemi z gąszczy, w której zaszeleściało i zachrząszczało, jakby się z niej dobywał zwierz duży, wysunął się jeździec i stanął.

Trudno go było poznać, co za jeden był, bo odzież na sobie miał niepoczesną, ale koń pod nim krępy, gruby, mocny, zażywny szedł, jakby pański. Na nim widziany był rząd prosty skórzany i siedzenie niewykwintne. Człek miał na plecach łuk i kołczan prosty, u nogi przytwierdzone toporek i oszczep.

Wydobywszy się na gościniec, począł się tu i owdzie rozpatrywać mocno, wprzód, w tył, niby się dziwując, że tu stał, niby nie wierząc oczom własnym.

— Sam tu!—zawołał ku czeladzi.—Co to za państwo? Jaka to droga? kogo wy tu słuchacie? Czyj las? hę?

Posłyszawszy pytanie, nim się parobcy zebrali odpowiedzieć na nie, sam Mikuł wyszedł z pokłonem, przypatrując się pytającemu. Człek był zasię młody, ogorzały, bujnego wzrostu, silny, pięknej twarzy, z pańska wyglądający, choć odzież pana nie wydawała.

Mikuł, który podchwycił pytanie, począł przybliżając się ku jeźdzcowi, odpowiadać powoli, choć więcej patrzał, niż mówił.

— Czyż to Wasza Miłość tak zdala, że nie wiecie o nas?

— A zdala i dużom puszczami pobłądził, dni już trzy się po nich rozbijając. Odbiłem się od swoich; oman jakiś, czy co po bezdrożach mnie wodził.

— Ziemia to pana Petrka Włodkowego—rzekł Mikuł,—coście pewnie o nim słyszeli, bo o nim na wsze strony szeroko i głośno. Pan jest mocny, a teraz gospoda i ziemia sucha należy do klasztoru, któremu jest nadana, do czarnych mnichów. Karczma ich jest i szynk ich, i ja też siedzę z ich ręki od księdza opata. Do Wrocławia stąd niewielki kawał drogi.

Splunął, jakby z gniewu podróżny, słuchając, a potem się zaraz przeżegnał.

— A to dyabeł chyba kędyś tak daleko mnie zaciągnął. Gdzie u licha? Pod Wrocław!

I ruszył ramionami a potrząsł sobą.

Wtem na gościńcu zdala turkotać zaczęło. Mikuł zamilkł, wyglądając ku lasowi i ku polom na przemiany. Od strony Wrocławia toczył się wóz i huczało, gdy szedł po twardem. Siedział na nim człek jeden, powożąc się, drugi wyrostek przyczepiony był u drążka. Dwa konie ciągnęły wozisko, a trzy za niem biegły, wszystkie jakby pomęczone bardzo, głowy zwieszały i wlokły się, ten podkuliwając, drugi ledwie ciągnąc nogi.

Gospodarz siedzący na wozie, na garści słomy w czapce dużej, z opończą narzuconą na ramiona, średniego wieku, twarzy zasępionej, miał za pasem siekierkę, a przez plecy torbę skórzaną.

— A wiu! a wiu! popędzał konie, aż pod gospodę podjechawszy, stanął. Odwrócił się do Mikuły.

— Witaj, ojcze Tymochu!—odezwał się gospodarz zwracając ku niemu.

— Bóg zapłać, jestem żyw, jak widzicie, a i to szczęście—odparł Tymoch. — „Z przewodem" mnie gnali, gnali, że i we mnie, i w koniach ledwie już tchu stało.

To mówiąc i nie spojrzawszy nawet na jeźdzca, który stał i słuchał, przybyły zlazł z wozu, konie jego poczęły skubać trawę, on im z wozu z pod słomy, gaść siana rzucił, aby miały czem zęby przetrzeć—a sam do izby pociągnął.

Stojący jeszcze na koniu podróżny, rozmyśliwszy się, podjechał też pod szopę i ze szkapy zsiadł, na czeladź hucząc, aby mu ją wzięto do żłobu. A tuż przybiegły doń i psy, z któremi razem wszedł do izby krokiem śmiałym, jak ten, co wszędzie panem się czuje.

— Gospodarzu miły—ozwał się głosem młodym i mocnym, który brzmiał pięknie—jam głodny i koń mój także, o obu radźcie, jako możecie. Psom-by się też coś zdało.

— Piwo i miód na rozkazanie—rzekł Mikuł,—jak lepsze nie mogą być, chleb też jest, sól, słonina i ser, a baba i polewkę ciepłą zwarzy kiedy każecie.

— Niech warzy, co chce! Głód nie patrzy, co dają—rzekł, na ławie za stołem zasiadając młody pan.

Tymoch popatrzał na mówiącego jakoś nieufnie, podejrzliwie, z trwogą prawie, jakby go dopiero teraz dojrzał; przy dziadzie nieopodal, na ławie, stęknąwszy usiadł i piwa zawołał.

— W gardle zaschło, Mikul! nim konie tchną, napiję się.

— A wy to skąd?—spytał go jezdny z za stoła.

Nie zaraz mu odpowiedział Tymoch.

— Mil parę stąd siedzę; wolny kmieć jestem z przewodu powracam.

Westchnął.

— A kogożeście to przewodzili?—zapytał jeździec.

— Hę? Czy to teraz na podwody nasze przewodów brak?—począł Tymoch, bo mu się już gęba rozwiązywała.—Miłościwy panie, i my, i konie ledwie dyszemy. Albo to u nas księdzów mało? A który z nich jedzie czy swoją ziemią, czy cudzą, juści mu wszędzie przewód dać trzeba, a nie, to po łbie i konie z szopy zabiorą bez człeka, a potem ich nie ujrzysz. Nie pytają oni, czy nam, kmieciom, chudoba wyzdycha. Pędzi starościński włodarz, czy dla Władysława, czy dla Bolka, czy choćby i dla wojewody jakiego, a podoba się jego miłości, księdzu biskupowi któremu jechać, to ich ludzie pędzą do przewodu, i starościńscy, i dla żupanów, i dla pańskich urzędników, a choćby i dla pisarzy książęcych.

Westchnął znowu i głowa mu zwisła. Młody popatrzał nań milcząco;—podawał mu właśnie Mikuł gospodarz miód, a Tymochowi piwo.

— Tak to ono z wieku bywało!—odezwał się młody z za stołu. Tymoch się na to strząsnął.

— Ojcowie inaczej pamiętali—szepnął, od ust kubek odrywając.—Dawniej się różnie trafiło, z laty gorsze nastało. Panów się namnożyła moc wielka i żupanów, i urzędników, i duchownych, i księdzów tych i owych. Kmieciowi coraz ciężej.

— Zawżdy ludzie narzekali—odparł młody, popijając i przegryzając.

— Dziadom bo lepiej było—wtrącił Tymoch—dopóki do nas nie przyszedł wszelki obyczaj niemiecki. A no!

Machnął ręką i usta mu się zwarły.

— Mówcie, jako chcecie, mówcie;—odezwał się młody—jam ci nie Niemiec, a swojak.

— Jak swojak, to wiedzieć musicie, jak nam kmieciom, teraz jest—mówił Tymoch.—Płacimy poradę, dajemy podworowe, dajemy przewód, idziemy do grobel, haci i mostów, do płotów, i do tynów, do zwózki; dajemy osyp, miód, i kury, woły, a gdy przyjdzie pogoń, pogońce... Kto tam zliczy!! Czyż może być gorzej?

Znów zamilkł; a tchnąwszy jak sam do siebie, ciągnął:

— Bierze ksiądz dziesięcinę dodatku. Jak zostanie

na przednówku dla nas chleb z ościami, a dla koni strzecha, Pana Boga chwal, bo na stacyi stogi nasze pańskie konie zjadły, a czeladź płoty popaliła.

Mikuł, który stojąc przysłuchiwał się, uśmiechnął z pod wąsa.

— Coś bo wam dziś przewód zalał sadła za skórę — rzekł, pomrukując.—Ono to wszystko prawda, a jabym się z wami jeszcze pomieniał na moją biedę i w targu zarobił. Ludzi macie dosyć, czeladzi, parobków, koni, stadniny, trzody i pól, i barci — głodu nie znacie...

— Jak ono tak pójdzie dalej—ciągnął Tymoch—kmiecie zejdą na zagrodników. Im więcej panów, tem cięższej. Bywał bo jeden pan, jeden król, jednegośmy słuchali; teraz już czterech czy pięciu,—panów biskupów, co jak królowie panują, drugie tyle. Niech się to rozrodzi, będzie po jednemu na kmiecia.

— Coraz koło nas ciaśniej—dodał—a do sądu i po sprawiedliwość, albo ja wiem, dokąd iść z datkiem i żałobą? Za jedno do żupana, za drugie do księcia, za trzecie do biskupa—każdemu sądowi trzeba płacić, a żaden sprawiedliwości dać nie mocen.

Gdy się tak gwarzyło Mikuł nalał nanowo wychylony przez kmiecia kubek piwa.

— Napijta się—rzekł, podając mu—lżej na sercu, a jaśniej w oczach będzie.

Więc gdy Tymoch pił a młody podróżny na dalsze żale ucha nastawiał, dziad, co dotąd niemy siedział w rogu ławy, począł coś pomrukiwać. Niby, śpiewał niby mówił, niby drugim, niby sobie. Zrazu go i zrozumieć było trudno, aż jakby zdala kędyś przychodząc, to mruczenie zbliżać się i w mowę coraz wyraźniejszą zmieniać zaczęło.

— Bywało inaczej!—Jak ono bywało, wiedzą tylko groby, mogiły śpiewają, gdy wiatr po nich dmucha. A któż wiatru słucha? Żywych, co patrzali, na świecie nie stało. Bywało! bywało! I ziemia rodziła, i paśli się ludzie i krew się nie lała, a pana nie znali i panami byli—bywało! A kiedy to było?—kiedy słonków dwoje na nie-

bie świeciło, a cztery miesiące około nich chodziły.— Hej! hej!

I począł się śmiać sam do siebie, sam z siebie.

— Ojcze Tymochu—mruczał dalej,—jako świat był światem, wilcy krowy dusili, a żupany kmieciów cisnęli. Na co Pan Bóg zęby dał?

— Hej, ty dudo dudarzu—przerwał Tymoch gniewnie, — ale onego czasu na dziesięć krów był wilk jeden, na stu kmieci żupan jeden, teraz na jedną krowę dziesięć wilków, na jednego kmiecia stu żupanów!

Jak posiał milczeniem.

— Z Wrocławia jedziecie?—zapytał młody.

— Bo do Wrocławia przewód mój był—rzekł kmieć— do dwora pana Petrkowego jakieś książątko jechało, ledwiem z niem u wrót pod Sobótką stanął, konie wyprzągł, nie czekałem Bóg zapłać i w nogi do domu. Nużby drugi nazad przewodu potrzebujący pochwycił.

— Nadaremna to trwoga —rzekł Mikuł,—boć pan nasz, Petrek, Boży sługa, dla kmiecia i wszelkiego człowieka litościw wielce. Prędzejby was pokarmić kazał, niż dalej gnać!

Dziad potwierdził.

— Toć pan!—rzekł.—Nie minie człeka bez jałmużny, a i pani Petrkowa dobra jest i syn Świętoch wdał się w rodzice; zmiłowanie mają nad ubogim narodem.

— Co bo wy ich tam chwalicie bez miary—wyrwał się kmieć,—jakby to go ludzie z dawien dawna nie znali...

— Ja tego chwalę na czyim wózku jadę—rzekł Mikuł, skóbiąc się po głowie;—toć to karczma jego była i jam jego był, mało co, jak zdał ją na Czarnych. Gdybym go i nie słuchał, powiem, jak się godzi, bo dobry pan.

— A no! dobry teraz, pewnie, gdy się spasł—rzekł uparty kmieć.—I wilk, gdy niegłodny, krowie się ogonem kłania. Miałbym ja to, co on, takżebym dobrym był. Złoto u niego korcami mierzyć.

— Czemu nie—odparł Mikuł—a ziemi ma, że jej w rok nie objedzie, lasów tyle, że ich nie przepoluje

w pięcioto lat, wszelkiego dobra u niego, jak u księcia, a pani krasna i dzieci piękne.

Tymoch głową potrząsał i śmiał się.

— Jam człek nie dzisiejszy—odparł—pamiętam ja króla i stare dzieje, a owo, co ten Petrek dokazywał, za co żonę i skarby pobrał, i łaski się pańskiej dokupił, że go król nieboszczyk potem za brata i swata miał.

Mikul brodę darl i marszczył się.

— Nie gadajcie, nie mielcie, a kto to tego nie wie?

— Owszem, mówcie; ja, choć wiem, to niespełna— odparł młody.—Choć się co słyszało, wywietrzało; radoby się przypomniano.

Tymoch z niechęcią, ukradkiem wskazał na dziada.

— Ten niechaj wam gada gadki—odezwał się,— dziadowska to rzecz zbierać po drodze do torby chleb, a do drugiej ludzkie plotki. Obieżyświat wszystko wie i każdą rzecz powiedzieć umie.

Wyjął młody z sakwy srebrniczka małego i dziadowi go rzucił.

— Praw, dziadzie—odezwał się,—nim gospodyni zwarzy jeść; gadaj, bym nie spał.

Mikuł, jakby mu się słuchanego słuchać nie chciało, poszedł do komory ciemnej, a ci, co zostali, umilkli, ku dziadowi się obracając. Dziad splunął i począł.

— Hej, stał raz dąb nade drogą, a szli ludzie podle niego. Piękny dąb, dobry dąb—rzekł jeden—gdy sobie pod nim zasnął, oparłszy się oń i cień nad głową od gałęzi miał.

A drugiemu, gdy się pod nim do snu położył, padł z dębu żołądź dojrzały, z wysoka na oko i zranił źrenicę. Ten przeklinał dąb, jako zbója, aby go pierwsza siekiera nie minęła, pierwsza burza wywaliła, pierwszy piorun spalił.

Ptactwo, co się w jego liściach gnieździło, błogosławiło, wiewiórka, co w dziupli siedziała, sławiła, a orlęta, których ojca ubito, gdy na gałęzi siedział, klęło i bluźniło nań.

Nasz pan jest, jak ten dąb wielki: jedni go chwalą,

drudzy klną, każdy sercu swojemu dogadza, a dąb sobie stoi, jako stał.

Dawne to dzieje, za króla Krzywousta się działo, choć mnie tam nie było może, możem ja tam i był, choć przez sen. Dziś ja żebrak i próchno; za młodum wojaczył i za pany tarcze woził, oczy miał, uszy miał.

Petrek u króla był i z królem na spół wojował. Gdzie trzeba było piorunem bić, ptakiem lecieć, wężem podłazić,—nikogo innego nie słano, ino Petrka. On wszystko umiał, a co król rzekł, rozstąp się ziemio — zrobił, jak przykazano.

Bratał się król wówczas z ruskim kniaziem, zbratał tak, aż się poswarzyli,—kto lepszy? Wołodar począł trąbić, a nas prowadzić i palić lasy i sioła, i jeńców brać a gnać.—Zdradził pana naszego; król rozsierdził się srodze. Złapać go wiatru w polu, nie było można.

— Dałbym — rzekł — coby ze mnie żywno kto chciał, bylem zdrajcę w rękach miał. Petrek słuchał i śmiał się.

— Co mi dasz królu, panie? — zapytał — związanego ci na twój dwór dostawię?

Nie wierzył król.

— Dam ci jego samego — rzekł, powstawszy — weźmiesz okup, jaki zechcesz; ja dla siebie nie chcę jednej grzywny, tylko, bym go w rękach miał.

A było tak, że Petrek niejeden już raz gościł na Rusi, gdy król się jeszcze z kniaziem Wołodarem bratał i za posła był uważany i Wołodarowi do chrztu dziecko niósł, a kumem się mu zwał.

Ale kto królowi panu krzyw i zdrajca, komu taki kumem być może?

Tymoch głową potrząsł, ramieniem ruszył, a dziad mówił dalej:

— Wołodarowych wojów tysiące było, a pan Petrek się nań wybrał w sześćdziesiąt koni. Król patrząc, rzekł:

— Żal mi cię, na zgubę jedziesz.

— No, to zginę dla Miłości Waszej — odparł Petrek i jechał. Jechał wprost na zamek kniazia, a nie

w kopę koni, bo ludzi w lesie zostawił, jak mu potrzeba było, tylko samotrzeć — i przybywszy na zamek, bił czołem Wołodarowi.

— Król mój i pan pozdrawia was, kniaziu Wołodarze — mówił; — chociażeście wy mu wrogiem, pragnie pokoju z wami, śle mnie do was, abyście mir po staremu uczynili.

Kniaź Wołodar słuchał i zdumiewał się, ale że kuma w nim znał, odparł:

— Szczęście masz, żeś mi dziecko do chrztu trzymał; nie godzi mi imać cię i karać, a kazałbym cię na wiek do ciemnicy wrzucić, abyś w niej gnił. Jam wojny nie poczynał, król twój najeżdżał ziemię moją, chcąc mnie zawojować. Nie dam mu się, jakom żyw; Ruś nań caluchną ściągnę i Połowców, i Jaćwę, i co gdzie jest z najdalszego krańca.

Na to mu, zsiadłszy z konia i do nóg się pokłoniwszy, rzekł Petrek:

— Ziemiami się podzielicie i w zgodzie żyć będziecie, jak na panów chrześcijańskich przystało. Proszę was o to tylko, abyście mi łaskawego nie skąpili ucha.

Więc udobruchał się nieco Wołodar i szli razem na zamek, a kazał mu tylko milczeć, aby o królu Krzywogębie mówić więcej nie śmiał, — to mu już dobrym będzie.

Siedli tedy za stół i pili razem i jedli, gadali o łowach i o ruskich sprawach i o niewiastach i o stratach, ale o królu, o Krzywogębie ni słowa. A gdy zapili się tak późno w noc, rzekł mu Wołodar.

— Idź i legnij spać, bo kury pieją, a miód w mózgu kręci.

Drugiego dnia kniaź Wołodar zwołał swoich posadników, bojarów, drużynę i znów posadził kuma za stół i poił go. Mówili o wszystkiem, a gdy Petrek króla wspomniał tylko, Wołodar pięścią w stół uderzył, aż stolnica pękła i rzekł:

— O nim mi nie mówcie. Znać go nie chcę, Krzywomordy tego.

Gdy już drugiego dnia szli spać, rzekł Petrek:

— Do domu powrócę ze sromem, bo z niczem!

Zatrzymał go kniaź jeszcze, tylko mruknął:

— Nie gadaj, że powrócisz z niczem, gdy głowę całą przywieziesz na karku, ona taki coś warta.

Dnia trzeciego pili znowu sam na sam do wieczora, wieczorem im niewiasty służyły i śpiewały. A była przy Wołodarowej żonie plemienna jej, Światopełkówna Marya, piękna dziewka, którą Petrek napatrzył, gdy im miód nalewała. I rzekł do kniazia Wołodara:

— Na świecie nad nią piękniejszej nie było i nie będzie!

Na co Wołodar mu odpowiedział, śmiejąc się a pocmokując:

— Bo niema nigdzie niewiast, jak na Rusi i w Kijowie, a to kniaźna jest i wiedźma kijowska. I nie weźmie jej, chyba król, a mocarz, albo taki pan, co carskiej krwi godzien będzie, bo w niej Cezarów krew płynie.

A Petrek głową potwierdzał — i pili do nocy późnej z sobą. Wołodar nie dał mu i tego dnia gadać o królu, bo się zaraz do noża brał. Żegnał go Petrek.

— Jadę jutro rano.

— Ja też jutro na łowy — odparł Wołodar — jedź ze mną razem; gdy się łowy skończą, wracaj sobie do domu, do tego, co cię posłał, i powiedz mu, że jego ziemię na kopytach rozniosę, spalę i zniszczę, bom mu wrogiem, a druhem nie chcę być i nie będę.

Nazajutrz dodnia jechali na łowy razem. Puścili się za łosiem. Petrek wiedział, gdzie konie swe i ludzi w lesie zostawił i pokierował tak, aby Wołodar z nim na zasadzkę wjechał. Zmówione to było, bo gdy razem pili, sam Petrek na łowy wyzywał, choć się kniaziowi zdało, iż on ich zażądał. Trąbką ludziom zasadzonym dał znać, aż gdy w gąszcze wjechali, obskoczyli go zewsząd Petrkowi. Chciał się Wołodar bronić, ale mu wnet rzucili pęta na ręce i na nogi, oręż zdjęli i przywiązanego do konia gnali z sobą, nie ustając, choć pienił się i krwią buchał.

A Petrek mówił mu:

— Wrogiem się czyniłeś pana mojego, bądźże jego niewolnikiem. Co on z tobą postanowi — to będzie.

Tak gnając z nim dzień i noc przez lasy, uwiózł go precz, a ludzie Wołodarowi po kniejach trąbili, szukając go napróżno; myśleli, że niedźwiedź go rozszarpał, albo dzikie bestye nocą pożarły.

Petrek wiózł więźnia wprost na zamek, do króla, a gdy król go zobaczył, oczom wierzyć nie chciał, wołając:

— Czarownik jesteś.

— Jam sługa twój — odparł Petrek. — Słowam dotrzymał, trzymajże ty swoje, królu a panie, bo mi się to należy, — szyjem stawił.

I stało się, że Petrek wziął okup ogromny i wszystkie skarby Wołodarowe za żywot jego! Król zaś z jeńca nie wziął więcej nic, jeno przysięgę na krzyż i księgę, że z nim wojować nie będzie. Petrek zaś dodał:

— Skarbów mi mało, skoro Maryi Światopełkówny mieć nie będę, — tę mi musisz dać, abo ci życie wezmę.

I zbogacił się pan Petrek skarbami i żonę dostał, jaką chciał, a król go swoim wojewodą wielkim uczynił i gdy umierał, dał mu nad synami opiekę.

Oto jak rósł i urósł pan nasz...

— A dobrzeż urósł — podchwycił Tymoch — że kuma, co mu zaufał, zdradził, tego, z którym chleb łamał, jadł i pił, w zasadzkę uwiódł i pochwycił a wydał?— Dobrzeż to?

— Hej! hej! — odparł dziad. — Co wojna, to nie mir, nie zna ona kumów, ani braci! Przecież Petrek grzech swój znał i zna, i za to kościoły buduje. Skarby wysypuje, pokutę odprawia. A co uczynił dla swojego pana, ocaliwszy ludzi tylu, którzy przez wojnę ginąć mieli — toć nie grzech, a zasługa. Służył temu, komu przysięgał. A widać, że mu Pan Bóg tego za grzech nie poczytał, bo jako rosnąć począł za Krzywoustego, tak rośnie i teraz, a co wysypie na kościoły, to mu się wnet powraca z Bożą mocą: kto mu kamieniem rzuca, na tego się on podbije! Hej! hej!

Gdy dziad prawił, noc była nadeszła. Tymoch milczący zabierał się już do wozu. Wtem z gościńca poczęło się wołanie powtarzane:

— Bywaj tu ! bywaj! Jest tam kto?

Wybiegł Mikuł, o kamienie przy ognisku obraziwszy nogę, kulejąc. Przed gospodą na koniu siedział mąż zbrojny, stary, chudy, kościsty; czeladzi koło niego kręciło się kilkoro, a on wołał o światło i gospodarza, i sierdził się.

Wyniesiono zapalone łuczywo, wysunął się z za stoła i młody podróżny popatrzeć — wyglądał, kto żył. Przybyły wzrostu olbrzymiego prawie, nieco wiekiem przygnębiony, ale krzepki, srebrnowłosy, bardzo rycersko patrzył. Zbroję miał przy sobie i na sobie, miecz i mieczyk, a hełm wisiał tuż na koniu, za rzemyki uczepiony. Pytał do Wrocławia a konie jego buchały parą i bokami robiły. Zsiadł wreszcie aby tchnęły nieco.

Tymoch, korzystając z tej chwili zamętu, do wozu swojego się przesunął i wnet konie pognawszy, na gościńcu zaturkotał. Dziad, zobaczywszy rycerza, przychował się do kąta.

Wtem na drodze znowu zatętniało i wóz długi stanął u drzwi. Mikuł ledwie miał czas gościom się pokłonić, — czeladź zwijała się żywo. Z długiego wozu dobył się duchowny w czarnej sukni. Tych naówczas więcej szanowano, niż rycerzy, więc Mikuł przybył ręce całować i kolana ściskać, choć rozmówić się z nim nie umiał, bo on czarny mnich, jak się okazało, Francuzem był i nad kilka połamanych słów polskich więcej nie znał.

Rycerz i mnich weszli do izby pospołu, stary wprzód pokłonił się ojcu i mało co doń zagadawszy, wnet na jego język trafił, tak, że się dobrze rozumieli i przylgnęli do siebie.

Młody podróżny pozostał sam na uboczu.

Mnich otyły, rumiany, wesołej twarzy, wcale nie wyglądał na surowego pokutnika, ani nawet na zakonnika. Suknię miał długą podkasaną, postawę a ruchy więcej żołnierskie, niż klasztorne.

Zaledwie wszedł już śmiejąc się do Mikuły, wołał o miód, rycerzowi się spowiadając, że bo z pragnienia marł, a po drodze woda była w studniach obrzydliwa. Dla nikogo też gospodarz tak się nie zwijał, jak dla opasłego mnicha, i nie dziw, — karczma bowiem do czarnych

należała i jak swym panom służyć im musiał. A z oczu mnichowi patrzało, że nie dałby sobie chybić, bo choć oręża żadnego nie nosił, w ręku trzymał kuty kij potężny, który stałby za oszczep w potrzebie, i miał silną rękę, co tym kijem mogła tęgo obracać i lice takie, którego się musiał ulęknąć, kto w nie spojrzał, bo choć niby wesołe i rumiane, groźne było zarazem i zuchwałe.

Od progu już stary rycerz i czarny mnich, języka do siebie wziąwszy, przystali jeden do drugiego. Stary był jakby dla takiego mnicha na towarzysza stworzony. Wojaka w nim poznać było łatwo i z ramion silnych, i z blizn mnogich, i z twarzy pomarszczonej i nasępionej, na której brwi nawisłe, kępiaste, najeżone, napół zakrywały oczy, połyskujące dziko. Gdy mu się usta blade ścięły a zapadły, bo zęby już był postradał — strach brał, co z nich wyjdzie, gdy się otworzą. Odziany był i zbrojny dostatnio, a nie pysznie; ręka, którą ukazywał, tak się zdawała ogromną, jakby dęby z korzeniem wyrywać była nawykła.

Mnich czarny, gdyby nie otyłość, siłą-by mu sprostał. Wnet też swój swojego poznał, poczęli coś głośno rozprawiać obcą mową, a hałasowali. Młody podróżny wciąż się od nich na stronie trzymał.

Gęślarz, z kąta ciekawie spoglądając, słuchał, z komory wyzierała Samicha i para przebudzonych pół nagich dzieci. Ci tak się zagwarzyli z sobą, że ani zważali, czy ich kto słucha, bo i nie obawiali się snać, aby ich prości ludzie rozumieć mogli.

Stary rycerz, gdy miód podano, mnicha z kubkiem do stoła wiódł, tu mu miejsce pierwsze zrobił, sam też na ławie przy nim zasiadł i dopiero teraz, wzrokiem powiódłszy dokoła, szukając znać gospodarza, trafił na młodego podróżnego, który stał, jako sobie pan, nie okazując ani trwogi, ni poszanowania.

Popatrzył nań stary i ostro zagadnął:

— A ty coś zacz?

— Podróżny — rzekł młody dumnie.

— Któżci to?

— Wolny człek, jako i wy, i tego samego pono rzemiosła — odezwał się zapytany.

— Cóż, rycerz? Czyj? — spytał stary.

— A swój, dzięki Bogu! — rzekł dumnie młody z półuśmiechem.

— Przecież komuś służycie — mówił stary, marszcząc się.

— Tak, jako i wy. A wy komu? — odparł młody.

— Ja książęciu Władysławowi, panu naszemu.

— No — i ja też innego pana nie znam.

— A toć mi pyszny pan! — śmiał się stary.

— Czemuby nie miał być! — mruknął ów.

W czasie, gdy się tak jakoś ostro zagajała rozmowa głosami poruszonemi, mnich na młodego poglądał zuchwale, mierząc go oczyma groźnemi, wzrokiem niby staremu wtórując, gdy nie mógł mową. Młody i tych oczów wcale się nie zdawał obawiać.

— Nie dogadać-bo się z wami! — zawołał stary, kubka się imając.

— Toć wam też gadać ze mną nikt nie każe— odrzekł, po izbie się przechadzając swobodnie, młodszy.

Gdy się tak poruszać zaczął, psy jego, które w kącie były legły, podniosły się, ku panu idąc. Ten je głaskał, a pochylał się do nich. Rycerz wlepił w nie ciekawe oczy; widać, że go zdziwiły i ze psów też o ich panu zaczął inaczej sądzić. Więc mruknął:

— Nie lada sobaki, bodaj kędyś z dalekiego kraju— nie nasze?

Młody pytania jakby nie słuchał. Wtedy mnich domyśliwszy się, że się oni z sobą nie porozumieją, odezwał się swą mową do starego rycerza:

— Zapytajcie-no gospodarza, ten wam powie, kto u niego gości; znać go musi.

Skinął rycerz na stojącego opodal Mikułę; ten się zbliżył.

— Kto jest ten ze psy? skąd?

— Obcy — odparł Mikuł — nie znam go.

—Nie było więc rady; obrzuciwszy go znowu oczyma ciekawemi, mnich z rycerzem rozmowę dalej ciągnęli.

— Niepocześnie odziany — mówił stary półgłosem — ale może być i nieprosty człek, bo mi się nawet nie pokłonił. Musi w okolicy mieszkać, choć go tu nie znają, boć ze psy pewnie z łowów jedzie.

— Szkoda, że języka waszego mało znam — rzekł mnich swoją mową — dobyłbym z niego zaraz, kto jest.

— Ojcze przewielebny odparł, śmiejąc się, zdala stojący młody — jeżeli o mowę chodzi, jać waszą rozumiem niczego, i tę, którą dalej na południu mówią i tę, co ją szwabi szwargoczą.

Posłyszawszy to oba, mnich i rycerz głośno się rozśmieli, a stary zaraz powstał, rękę wyciągając.

— Siadajcież, bracie, z nami — zawołał — po mowie znać, że do nas należycie. Suknia mnie zwiodła — staremu nie miejcie za złe.

Młody, wnet rozchmurzywszy twarz, powoli, z poszanowaniem do stołu przystąpił. Naprzód mnicha w rękę pocałował, potem staremu się pokłonił, aż z boku na ławie, jak młodemu przystało, zajął miejsce.

II.

Mnichowi tak jakoś raźno było, że znalazł dla gęby towarzyszów, z którymi się mógł rozmówić, że mu się już nazad do wozu, nań oczekującego, nie chciało. Miód popijał, coraz o stół kubkiem stukając; śmiała mu się twarz szeroka, zwracał się na przemiany to ku staremu, to do młodego, rozparł wygodnie, plecy do ściany przyłożywszy, i tak gwarzył, jakby już w refektarzu .spoczywał.

— Do klasztoru mi nie pilno — mówił; — jest ci komu na chwałę Bożą w chórze zaśpiewać, a i do wszelakiej roboty braci dosyć. Trochę się na swobodę wyrwawszy, człeku raźniej zapomni choć, że tę czarną suknię nosi i głowę ma wygoloną.

— A dawnoście tu u nas w tym kraju? — zapytał stary.

— Już bo lat kilka — mówił mnich; — wydały mi się wiekiem prawie. Choć z kraju Gallów jestem rodem, żyłem wprzódy na Monte Cassino w italskiej ziemi, gdzie dobre wino rośnie. Nie po dobrej woli się w te wasze puszcze zbłąkałem; posłali mnie ojcowie pod obediencyą. Jeszczeż lato jak lato, jesień pół biedy, ale zima pół roku i duszę ze człeka wymraża!

Westchnął ciężko.

— Co za kraj! co za powietrze! — dodał — niedźwiedziom tu żyć, którym Pan Bóg dał futra królewskie, nie nam gołym ludziskom.

— Jam też — przerwał stary — tułając się po świecie, odwykł był od swej ziemi i nieba, marznę też i ja—ano niczem mróz, gdyby ludzkie serca cieplejsze były. — Westchnął z kolei, oczy w ziemię wlepiwszy.

— Jakże tu ludzie ciepli być mają! — odezwał się jowialnie mnich — krew w nich zastygła od chłodu. Gdyby choć jak robaki, zimę przesypiać mogli!

Zwrócili się do młodego.

— Wyście też pewnie kędyś dalej bywali, gdy językiem cudzym dobrze mówicie? — zapytał stary.

— Trochę, trochę — począł młody; — więcejbym świata jeszcze zobaczyć pragnął, ale to z pomocą Bożą kiedyś się uczyni.

Mnich tymczasem coś sobie półgłosem podśpiewywał po łacinie, nogą bujając w powietrzu. Kubek w dłoni trzymał, miód pocmoktywał i patrzał na Samichę, która ogień pośrodku izby rozniecіwszy, warzyć coś poczynała.

— Wyście się tu porodzili — począł — wam tu znośnie, ba i dobrze być może; dla nas ziemia ta gorsza więzienia. Niema czem pocieszyć ni oka, ni duszy. Morza nie ujrzeć, szumu jego nie posłyszeć, gór niebotycznych nigdzie, równiny, jak na dłoni, lasy a lasy i lasy na nich szumią, rzeki ospale płyną, jakby się pomęczyły, błoto i piasek! piasek a błoto! Na drzewach rosną nędzne szyszki, wino, choć je sadź i chuchaj, nie dojrzeje — kraj wasz nie dla ludzi!

— Wybyście się nań skarżyć nie powinni — przerwał stary — wam tu mało nie jak w raju. Ziemi, pól, wody, lasu, służby do nich macie dostatkiem i dowoli. Królowie, książęta, my też dajemy wam wszyscy — biskupi na rękach noszą — toż królujecie u nas!!

— A cóżbyście wy też bez nas poczęli? — zawołał mnich, oczyma mrugając.—Gdyby nie Włosi, nie Francuzi, potrosze i Niemcy, Pana Boga - byście nie znali; któżby u was wiarę Chrystusową krzewił? Waszych duchownych tyle tylko prawie macie, co po wsiach, po plebaniach siedzą i niezgorzej katechizm umieją — niewiele co więcej. Jak książkę na wagę złota, tak i nauczycieli do niej na wagę złota kupować musicie, inaczejbyście po wiek wieków w ciemnościach zostali.

— Jużci też do tego powoli przychodzimy — odezwał się młody — że swoich księży i biskupów mieć będziemy przecie.

— A coby biskupi wasi i księża bez nas zrobili? — odparł Francuz. — Wasi polscy biskupi niewiele znają, księża jeszcze mniej, po chałupach z dziećmi i żonami siedzą, do stodół zboże ściągają, pociechy z nich niewiele.

Zaśmiał się. Obaj przy nim siedzący posępnie jakoś zamilkli.

— Nie mówię zła na nikogo — dorzucił mnich gadatliwy — a uchowaj Boże przeciw księdzu Janikowi z Brzeźnicy, pasterzowi waszemu. Toć zacny pan! zacny pan! Wszelako coby on poczynał bez Roberta archidyakona?? hę? Więc choćbyście wy nam, idącym do was na szrony i lody, suknem i szkarłatem drogi wyścielali,— nie skarżcie się. Jest za co... światło niesiemy!

Zanucił coś znowu po łacinie, nie z tego tonu, co w chórze, ale wesoło i raźno, jakby do gospody na gościńcu. Trudno go było zrozumieć.

— Miły panie — odwrócił się, popiwszy do starego— ja mam imię Maura, wiecie, kto jestem i z jakiego opactwa, bom od św. Wincentego; dajcież wy się mnie znać.

— Ho! ho! — zaśmiał się stary — gdybym ja wam opowiadać chciał, com za jeden, słuchaćby się wam odechciało. Wielem przeżył osobliwych przygód i dziejów. Ale wy chyba jeden, ojcze Maurze, żywota mojego nie

znacie; drudzy o nim po całej ziemi naszej wiedzą i rozpowiadają. Głośny on się stał za Krzywoustego, któremu Bóg daj niebo, że mi sprawiedliwość wymierzył. Jam Żegota Zaprzaniec.

To mówiąc, spojrzał ku młodemu, a ten dopiero kołpaka nachyliwszy, nizko mu się pokłonił.

Wesoły mnich popatrzył nań i dotykając ręki, poufale się odezwał:

— Srodzem ciekaw życia waszego. Kiedym do klasztoru nie powrócił, dopóki furty nie zamknęli, co mi tam— posiedzę z wami! Swobody zażyję, miodu się napiję... Mówcie, proszę!

— Po setny chyba raz dla was swoją historyę powtórzę — odezwał się stary, popijając trochę, jakby sobie usta chciał zwilżyć. — Wielem już ludzi tą gadką karmił, aż mi się samemu obrzydliwą stała. Nic to, mogę ją jeszcze raz gwoli ojca powtórzyć.

Pomilczawszy trochę, stary pogłaskał brodę i tak począł:

— Jeszcze ojciec nieboszczyka króla, Bolko, dogorywał w Płocku, gdym ja naówczas młodym będąc, nasłuchawszy się dużo od obcych księży o krajach różnych, zawziął wielką ochotę je zobaczyć. Żył naówczas ojciec stary i dwu braci moich, Nawój i Sędziwój. Siedliliśmy się naszym rodem z prastarych czasów wedle Krakowa; tam było gniazdo i ojcowizna Starżów. Ziemie naokół mieliśmy szerokie i staliśmy między ziemiany na czele. Zapalono wici na wojnę, a wołano Starża!— tysiące ludu naszego szło z toporami po staremu.

Gdym się u nieboszczyka ojca prosił, aby mnie trochę puścił w świat, ofuknął się, ani słuchać o tem nie chcąc. Było co robić koło domu. Mnie piekło skosztować zła i dobra, a popatrzeć, jak się to tam gdzieindziej dziewało. Więc ojcu się już nawet nie opowiedziawszy, pod pozorem łowów, na młodym koniu siwym, któregom sobie sam ujeździł, zbroiczki nabrawszy trochę, puściłem się naprzód na dwór królewski, niby służby wojennej szukając, że mi się w pokoju mierziło. Stąd, gdy Niemcy, którzy byli z Magdeburga za jakąś sprawą posłani, do

siebie precz jechali, z nimim się jako jeden z nich wykradł, naprzód do onego Magdeburga. Ale tu między żołnierstwem biskupiem, panami i różnym ludem żołdaczym, niedługom wyżył, niewielem też zobaczył. Zaciągnąłem się do cesarskich, Henrykowych, wówczas, kiedy już ów cesarz sam chwiał się na swoim tronie, o czemem ja młody nie wiedział. Majestat zdał się wielki i rycerstwa koło niego pięknego dużo się jeszcze zwijało — a ci mnie między siebie przyjęli. Henryka Bóg pokarał snać za to, że na ojca chrześcijaństwa całego się porwał, na rzymskiego biskupa i papieża, a teraz nań też właśni synowie godzili, chcąc mu berło wydrzeć z dłoni.

Mnie tam naówczas młodemu nie było w głowie, kto panował, inom patrzał, ktoby mnie zawiódł daleko, abym coraz nowe ziemie oglądał. Z cesarskimim się więc po niemieckich ziemiach tłukł naprzód, różnego losu zażywając. Jeden syn, co się był na cesarza Henryka porwał, zmarł jakoś z pomsty Bożej; wnet i drugi po nim, Henryk, także się podniósł przeciw ojcu, a miał z sobą i papieża rzymskiego, i Bawarów i innych wielu.

Jam z ojcem cesarzem i Niemcami jego szedł, gdy nad Regenem pod miastem Rasisboną, spotkaliśmy się z wojskiem synowskiem. W sierpniowy skwar zeszły się zastępy, a już syn między naszymi wielu miał swoich i cesarscy bić się nie chcieli, swoją krew przelewając.

A toć wszyscy pono wiecie, jak potem cesarza syn więził i zamorzył, bo ze strapienia i zgryzoty zmarł Henryk stary. Nawet ciało jego potem papież kazał z grobu wyrzucić.

— Ze służby ojca poszedłem do syna, choć mi temu ojcobójcy służyć niebardzo się chciało. Tegom jednak dopiął z tym synem, czego z ojcem nie mogłem, bośmy z nim pociągnęli na Włochy.

Byłem onych dni krwawych w Rzymie, gdyśmy się ledwie motłochowi zburzonemu obroniwszy, papieża pojmali i zmusili go, aby czynił po woli cesarskiej. Stałem przy tem, gdy go Paskal biskup rad nie rad, ze łzy na oczach koronować musiał, a łzy te jak groch, na koronę cesarską z przekleństwem padały.

— Ho! ho! — zaśmiał się, przerywając ojciec Maur — wyście to i Rzym nasz widzieli? A znacież, jaka u nas o tym Rzymie ewangelia chodzi? — mówił wesoły klecha. — Pewno nie? Ja ją na pamięć umiem. Chcecie, to posłuchajcie...

Stary Zaprzaniec przerwał swe opowiadanie, z ukosa patrząc na mnicha. Ten powstawszy z ławy, minę uczynił niby pobożną, w rzeczy szyderską i jakby w kościele do czytania ewangelii się zabierał, głosem grubym rozpoczął:

„In illo tempore dixit Papa Romanis...” [1]). Onego czasu rzekł Papież do Rzymian: Gdy przyjdzie Syn człowieczy do tronu majestatu naszego, rzeczcie mu naprzód: Przyjacielu, czego przychodzisz? A jeżeli trwać będzie pukając, a nic nie dając wam, wyrzućcie go precz w ciemności zewnętrzne. I stało się, że przybył jeden klecha...

Mnich z pobożnością niby wielką, zabierał się ciągnąć dalej, gdy młody rycerz, na uboczu stojący, poruszył się i odezwał cicho:

— Ojcze przewielebny, nie godzi się nam słuchać rzeczy tych, które na pośmiewisko sprawy biskupa rzymskiego podają. Popadliśmy w grzech znaczny. Duchowni sobie żarty stroić mogą, bo to tam ich sprawy; nam świeckim ludziom spowiednik-by nie przebaczył.

Mnich się zwrócił ku niemu z nieco szyderskiem wejrzeniem.

— Chwali ci się to—odparł, siadając — że boicie się grzechu! A no, ewangelia moja była piękna, i nie posłyszycie jej już, bo więcej nie powiem.

Spojrzał ku staremu, od którego się może czego innego spodziewał, ale i ten brwi nachmurzył, głowę zwiesił i widoczne szyderstwo z rzeczy świętych nie w smak mu było.

— A wy co na to? — zapytał go Maur.

— I jam nierad słuchać nic, co mi sumienie obciążyć może — rzekł Zaprzaniec. — Dobrze powiedział młody; sprawy to wasze, nam nic do nich.

[1]) Ewangelia to satyryczna u Du Méril'a Poesies latines avant le XII siécle. p. 407.

Ojciec Maur śmiać się począł.

— I wam się to chwali — rzekł. — Na próbę brałem, a wyszliście z niej dobrze. Wam tego słuchać nie przystało, boście świeccy, dzieci i sługi nasze, mnie wolno, bom ja u siebie doma, a tak dobry, jako i ci, których na biskupów święcą.

Potarł szeroką dłonią głowę — milczeli wszyscy. Ojciec Maur, widząc, że mu się z jego żartem nie powiodło, wnet zagaił:

— A no, mówcie dalej, mówcie, coście tam w tym Rzymie i gdzie dalej widzieli. Ja, choć sobie z Rzymu drwię, ziemię tę italską kocham mocno. Niema życia, jeno tam; alem się nad Tybr próżno prosił, posłali mnie na lody i śniegi.

Zaprzaniec, spocząwszy mówił dalej:

— Byliby nam Normandowie z Kapui, bieżąc na obronę papieża, uszu i grzbietu natarli, gdyby się prędzej pośpieszyli. Przyszli za późno, gdy Henryk już cesarską koronę wdział i co chciał, to na papieżu utargował. Powracaliśmy do Niemiec, gdy papież za nami pognał odwołaniem tego, co mu siłą było wydarto i nasi biskupowie cesarzowi z rozkazu jego opierać się zaczęli.

Byłem ci ja i na weselu cesarskiem, a potem znowu we Włoszech, gdyśmy szli wojować, a papież musiał uchodzić z Rzymu przed nami. I takem drugi raz w życiu ów gród osobliwy oglądał. Długoby to opowiadać było, bośmy się z cesarzem tym nawłóczyli po świecie i natłukli, dopóki pokój z papieżem nie stanął. Cesarz też zmarł właśnie, gdym się z nim na Franków wybierał.

— Bo się ich zląkł — wtrącił Maur — u nas tego czasu ruszyło cię, co żyło, a byliby go i was w miazgę starli pod chorągwią św. Dyonizego.

Stary głową potrząsnął.

Kto wie, coby tam było — rzekł. — Mnie się też już było naprzykrzyło owo szukanie guzów po świecie, i gdy Lotaryusza Sasa obrali, jam się do jego rycerstwa przyłączył, przeciwko frankońskiemu Konradowi. Na

niedługo. Do domu się bardzo tęskniło; gdy się Niemcy z sobą za łby brać gotowali, jam samotrzeć z pachołkami dwoma i trochą tego, co się po świecie uciułało, do domu zawrócił.

— Sławnyż to powrót był — westchnął stary — niechaj od takiego poczciwych ręka Boska broni! Źlem uczynił, żem zamiast wprost na dwór króla Krzywousta, pociągnął do swoich, do braci, bo ojciec nie żył — ale tęsknica do swoich w sercu odzywała się i bodła.

Rodzica mi żal było, żem go przy życiu nie znalazł, do braci tem śpieszniej było — wierzyłem w serca braterskie.

Było to jak oto teraz, jesienią, gdym na tym samym koniu, któregom z domu wywiódł, co mi się w niejednej i srogiej bitwie wysłużył i życie ocalił, który, jako i ja, rany miał i blizny — przywlókł się pod Tęczyn.

Myślałem sobie, dać się im zawczasu poznać, czy nie? Postanowiłem próbować, czy też poznają. Zatrąbiłem u wrót. Wyszedł odźwierny z zapytaniem — kto? Rzekłem mu: rycerz obcy, podróżny, o gościnę prosi.— Puścili mnie.

Braci obu zastałem jakoś doma, z łowów powracających, z mnogą drużyną, a gdym się oznajmił, że tej ziemi ojczycem jestem i u cesarzam sługiwał, wzięto mnie do stołu poczestnie i ugoszczono.

Jam w nich braci poznawał łatwo, choć postarzeli wiele, oni mnie jako żywo. U wieczerzy tedy gdyśmy siedzieli, rzeknę im, żem z cesarskimi po Włoszech się włócząc, widział i znał człeka, który się mienił z krakowskiej ziemi od Tęczyna, a zwał się Żegota.

Spojrzeli po sobie, zdumieni trochę, i Nawój się pierwszy odezwał:

— Był-ci to bodaj brat nasz, ale słyszeliśmy, że tam kędyś na obczyźnie głową nałożył, bo warchoł był zawsze z młodych lat i ojcu śmierci nieposłuchem swym przyśpieszył.

— I dobrze uczynił — dodał Nawój — że zginął, bo tu nie miał po co powracać.

Na tom rzekł:

— Azali zginął — nie wiem, bom-ci go żywym oglądał, a o śmierci wcale nie słyszał.

Poczęli tedy od tej chwili jakoś koso na mnie spoglądać, a żem się tem i owem pytaniem wydał, iż ziemię i okolicę znam dobrze, dziwowali się, skądem wiedział o tych ludziach i o sprawach ich. — Na tom rzekł:

— Niema się czemu dziwować, bom tutejszy.

Na to nic już nie odpowiedzieli, tylkom widział, że mnie na oku trzymali mocno, chwili nie spuszczając ze mnie wzroku. Gdy pora do snu przyszła, komornikowi zawieść kazali spać do izby pod wieżą za którą podziękowawszy im, rzekłem, żem zdawna miał obyczaj tam sypiać, kędy stał mój koń, bo mój siwy do mnie a ja do niego jak do brata i druha nawykłem, na co, choć się pomieszali, nie odpowiedzieli nic. To rzekłszy, do szopy szedłem na sienne posłanie.

Gdym się już do snu, konia opatrzywszy, miał układać, a była noc księżycowa jasna, posłyszałem szelest i — patrzę, stoi we drzwiach szopy postać jakaś jakby widmo niewieście.

Domyśliłem się kto był, bo przy wieczerzy, gdy niewiasty posługiwały, poznałem nadzorującą nad niemi starą Nanię, która mi niegdyś mamką była. I widziałem że oczów nie spuszczała ze mnie, i głosowi się memu przysłuchiwała z kąta, dziwnie ręce łamiąc. Nie sądziłem jednak, aby poznać mnie miała. Obaczywszy postać w bieli, tknęło mnie zaraz, że nie kto inny, tylko ona była.

Ta obejrzawszy się dokoła, ostrożnie, po cichu przystąpiła do posłania mojego, po imieniu wołać począwszy. Nie zapierając się więc, wstałem witać ją, która się od łez i jęku, całując nogi i ręce moje, wstrzymać nie mogła, a nierychło się ukoiła z płaczu srogiego, radości i trwogi jakiejś.

Gdy się nieco uspokoiła, mówić dopiero zaczęła, że po wyjściu mojem bracia moi podejrzenie powziąwszy, azalim nie był Żegota, długo się naradzali, co począć mieli. Mówili między sobą.

— Co poczniemy, jeżeli on Żegotą jest? Mamyż

mu oddać część jego ojcowizny, którąśmy zawładali i między siebie rozdzielili? — Sędziwój rzekł naprzód:

Dopókim żyw, tego, co trzymam, wydzierać sobie nie dam. — Choćby Żegota był, jak on się wywiedzie, że bratem jest naszym? Lat minęło mało nie trzydzieści, gdy opuścił ten kraj, ojciec go znać nie chciał, i my nie będziemy.

Poczem naradzali się jeszcze i postanowili, dla bezpieczeństwa, rzucić mnie do ciemnicy i trzymać w niej, ażbym się albo siebie wyrzekł, lub marnie w niej zczeznął.

Mamka mnie zaklinała, abym natychmiast nocą uchodził i szedł z żałobą do króla; mąż jej stary wrotnym był i ten mi miał otworzyć bramę. Rzekłem na to niewieście, iż nie może to być, aby rodzeni bracia mieli na własną krew nastawać. I choć u nóg mych leżąc, błagała z płaczem, ległem na siano spać, nie powziąwszy strachu.

Jakoż nazajutrz szedłem do komnat ich, jedliśmy i pili znowu, tylkom widział, że mnie oczyma śledzili, coraz pilniej o brata swojego badając. A gdy się już uczta miała ko końcowi, powstałem z kubkiem podanym w dłoni, i odezwałem się:

— Pytaliście mnie o brata waszego, a oto on, Żegota, brat wasz, który staje przed wami. Jam jest.

Struchleli zrazu — popatrzyli na się. Sędziwój pierwszy ochłonął i odparł z uśmiechem:

— Dobryś nasz brat, doznasz takiego przyjęcia, na jakieś zasłużył. Od nieboszczyka Żegoty nasłuchałeś się o nas i nauczył, — przychodzisz nam kłamem i samozwaństwem ojcowiznę wydzierać.

Oba wnet na czeladź huknęli.

— Wiązać i do ciemnicy rzucić zdrajcę.

Zaklinałem ich, aby tego nie czynili, a nie obciążali sumienia krwią braterską, ale się oba z drużyną swą rzucili na mnie nawałem. Jam też miecza dobył i obraniać się musiał. Na mnie jednego ludzi było dwudziestu, obalili więc, z tyłu pochwyciwszy, na ziemię, związanego, skrępowanego rzucili, jako

chcieli do lochu, drzwi zabiwszy, gdzie mnie czekała głodna śmierć, powróz lub miecz.

Łaską Bożą stara mamka, jak skoro krzyk i wrzawę dosłyszała, domyśliwszy się, co się stało, ze dworu natychmiast wybiegła, wprost do króla do Krakowa, gdzie właśnie bawił podówczas pan, spoczywając po wojnie. — Padła mu do nóg z jękiem wielkim, wszystko wyznając i ratunku dla mnie, jakby dla własnego błagając dziecięcia.

Jam o niczem nie wiedząc, na barłogu leżał, nie mając nawet chleba ani kropli wody, gdy nad wieczór posłyszałem łomot, tętent i wrzawę wielką w podwórcach. Anim wiedział, co było, śmierci się spodziewając i do niej gotując, rozmyślając w sobie, iż mnie ona od obcych ominęła, aby mi ją swoi zadali.

Tymczasem król, poruszony płaczem niewiasty, natychmiast konia podać kazawszy, przybył sam na zamek, aby sprawiedliwość wymierzyć.

Gdy im o panu znać dano, Nawój i Sędziwój pośpieszyli naprzeciw, nic się nie dorozumiewając, z pokłonami, nogi całując, a do zamku zapraszając, na spoczynek. Przyjąwszy to, król nic im zrazu po sobie poznać nie dając, szedł do izby, gdzie już stół mu zastawiono i gotowano ucztę wielką.

Wtem, gdy do mis zasiedli, ozwie się pan nagle, iż mu do cesarskiego dworu znać dano, jakoby trzeci ich brat był żywy, a miał do domu powracać.

— Nie może to być, miłościwy panie — rzekł Sędziwój śmiało, — bo wiemy napewno, iż zmarł ubity, gdy z cesarzem Henrykiem do Rzymu wchodził i w ulicach zamieszka była z papieskim ludem, Włoch albo Normand dzidą go przebił.

— Musiał się on z onej dzidy uleczyć — odezwał się król, — bo napewno donoszą, iż żyw jest. Jeśliby zaś kłamca jaki na siebie zbroję jego wdział i imię przywłaszczył, słusznaby go ująć, i karę, na jaką zasłużył, domierzyć.

Na to bracia strwożeni bardzo, zamilkli, nie chcąc

przyznać się do tego, że mnie już mieli i do ciemnicy wrzucili.

Król tedy, poczekawszy mało i widząc, że milczą, wstał, misę od siebie odsunąwszy, kołpak na głowę nałożywszy i miecz pokładając przed sobą, zawołał:

— Jużem ja tu nie gość, ale sędzia najwyższy... Niechaj tu stanie ten, którego do ciemnicy wrzucić kazaliście.

Ulękli się oba straszliwie i zmartwieli; choć chcieli wykłamać się, nie mogli już. Sędziwój na kolana padł przed królem, miłosierdzia błagając. Król wołał:

— Tu mi go stawić na sąd z wami: jeśli żyw, niech stanie, jeśli trup, wy głowy dacie pod miecz katowski.

Gdym posłyszał chrzęst wielki i wołania a bicia we drzwi ciemnicy, które mamka ukazała, Bogu duszę polecałem już, myśląc, że mi tu zaraz głowę dać przyjdzie, a na ścięcie mnie wywloką.

Odbito drzwi, ujrzałem królewskich ludzi, którzy mnie poczestnie pod ręce ująwszy, przed króla zaprowadzili.

Ten, gdy mu pokłon oddałem, rzekł mi:

— Mów, jakoś wyszedł, gdzieś i z kim był, i jak powrócił, a wywiedz się i okaż, żeś nie jest samozwańcem i oszustem.

Duch wtedy wstąpił we mnie i począłem opowiadać całe dzieje moje, jakom jechał, com i gdzie poczynał, i jak w końcu od Łotarza saskiego uszedłem do swoich.

Wtem, przecisnąwszy się przez tłok ludzi, przystąpiła mamka stara i poprzysięgła, jako poznała mnie za dziecko swe, które jej pierś ssało. Ukazałem też znak rodzimy na ciele, o którym wszyscy wiedzieli, żem z nim na świat przyszedł. Król tedy uznał, żem praw był.

Co widząc, bracia kajali się, mówiąc, że przyznają mnie, a jam odparł, iż jako żyw, znać ich nie chcę.

— Ojcowizny część, jaka mi się należy, odbiorę, ale rodu i zawołania z nimi trzymać nie będę i wolę zwać się od s t a r e g o k o n i a, który mi służył, niż od ojca, co mnie przeklął i braci, co się zaparli.

Zaczem się nazwałem Zaprzańcem; i dzieci moje nosić będą to imię, aby się pamięć przygody mojej zachowała na wieki.

Dokończywszy opowiadania, stary westchnął potarł czoło, które zmarszczki okryły, a mnich dziwować się począł i użalać, sławiąc Bożą opiekę nad nieszczęśliwym Zaprzańcem.

Młody podróżny odezwał się też, że o historyi tej dużo słyszał, a szczęśliwym był, iż na swe oczy oglądał tego, który tyle przecierpiał i doświadczył.

— Ażebyście wiedzieli — rzekł w końcu — ktom jest i że się z rodem moim taić nie chcę, powiem wam o sobie, bo mnie tu nie zna nikt. — Zwę się Markiem Jaksą z Miechowa, a krwi jestem jednej z księdzem Janikiem, który biskupem jest na wrocławskiej stolicy.

Mnich mu się pokłonił nizko, snać przypomniawszy, że o duchowieństwie polskiem lekko mówił i mało je ważył.

— Ksiądz Janik — ciągnął dalej młody — ledwie o mnie słyszał, drudzy też nie więcej, bo przez ojca oddany byłem na naukę do klasztorów i na dwory niemieckie, a dopiero co do domu wróciłem i mało kogo na oczy widziałem, przy matce siedząc. Dzisiaj zaś tu prawie cudem się znalazłem, bom trzy dni temu na łowy ze psy, niebardzo świadom okolicy, wyjechał, po lasach błądząc, ledwom z głodu nie zdechł; żeby nie ubite koźlę, i ja, i psy możebyśmy w puszczach byli zostali.

To mówiąc, Jaksa śmiał się sam z siebie.

— No to — rzekł mnich — teraz się wam najlepsza nadarza zręczność, gdyście już tak Wrocławia blizko, abyście ks. Janika, powinowatego waszego, odwiedzili i pana Petrka, który też wam jak biskupowi krewnym być musi, poznali, jeżeli i jego nie znacie.

— Wcale go nie znam — odparł Jaksa — a no prawdę rzec i poznawać się go nie śpieszę, takie o nim dziwy ludzie prawią.

— Ludzkie języki kłamliwe i niepoczciwe są — podchwycił ksiądz żywo. — Toć pan świętobliwy, rozumny, potężny, który z książęty na równi stać może,—ale psy na księżyc nawet szczekają.

Stary Żegota dodał:

— Od niego jadę, znam go dobrze, coś też powiedzieć potrafię o nim. Młodemu, gdy do niego przystęp mieć może, zdala się trzymać byłoby złem i szkodliwem, bo przy nim urosnąć można łatwo, a bez niego w tych krajach ciężko co zrobić. Szanuje go i kocha książę Władysław i drudzy panowie książęta, którym przez nieboszczyka Krzywousta wyznaczony został za opiekuna. Możny jest, silny jest, rozumny jest!

— Potężny jest — dodał mnich — a złota ma tyle, ile go żaden z książąt naszych nie ukaże.

— I nieprzyjacioły też ma — dokończył Zaprzaniec, — bo kto mocen, bogaty, silny, wielki — ten ich mieć musi.

Po chwilce, głos zniżywszy, mruknął:

— Z nieprzyjaciół jego najstraszniejszą... jest — niewiasta.

Na samo wspomnienie imienia niewieściego mnich rękę podniósł do góry i głowę przychyliwszy, minę uczynił taką, jakoby sam nie wiedział, czy miał bronić, czy potępiać.

Wzdrygnął się w końcu.

— Wspomnieliście — rzekł — owo stworzenie, które Bóg na świat wyprowadził z kości pierwszego człowieka, na zgubę ludzi, na pokusę, na narzędzie dla szatana. Prawda, bez niewiasty nie byłoby świata i nas, ale też przez nią świat i my przepadamy. Nie wiedząc, czy ją sławić, czy przeklinać—zmilczę!

Tymczasem, przemilczawszy przez poszanowanie dla duchownego, Zaprzaniec kończył:

— Tak jest; ma jednego a najstraszniejszego nieprzyjaciela w niewieście, i nie w innej, jako w mo-

żnej i przebiegłej pani, żonie księcia Władysławowej, Agnieszce, Niemce. Z tych Niemek u nas wszystko złe szło i idzie.

— Przecz że go nienawidzi?—zapytał Jaksa.

— Łacno to dojść—odparł stary.—Gdy król nieboszczyk Krzywousty umierał, radzili mu biskupi, i wymogli na nim, aby państwo swe na równi między synów podzielił.

Został tylko jeden Kazimierz, któremu nie dano nic, Bogu go polecając. Nie sądzę ja pany nasze biskupy, ale bodaj podział ten dla nich bezpieczniejszym był, przeto go chcieli. Z jednym a potężnym panem twardo im szło, a tak każdy książę ma przy sobie biskupa, z którym władzę dzieli i każdy biskup jednego pana pilnuje. Tem łacniej rządy swe duchowne sprawować mogą.

Jaka była wola królów i biskupów, tak się i stało. Kraje się podzieliły. Na Krakowie zwierzchnim siadł ks. Władysław i wziął Szląsk w dodatku. Bracia poszli na dzielnice z posłuszeństwem w głowie. Cesarskiej krwi pani Agnieszce nie chciało się i nie chce być księżną, a żąda być królową. Więc dobrego pana a małżonka swego pędzi i zmusza, aby braci powyganiał, zwojował i sam jeden nad wszystkiemi dzielnicami panował. Tego i biskupi nie chcą, i pan Petrek pilnuje, aby się to nie stało ale żeby się spełniała wola nieboszczyka króla. Więc stąd do Petrka nienawiść wielkiej pani i niemieckiego jej dworu.

— Ale nic mu nie uczynią—wtrącił gorąco mnich—bo ma nas wszystkich po sobie, ile jest, biskupi z nim Pan Bóg z nim! Widzieliście przecie, albo słyszeli, gdy niedawno dla opactwa naszego do kościoła św. Wincentego relikwii z Magdeburga zażądał, których i książętom odmawiają, bo ich żadnemi skarby opłacić nie można. Jemu arcybiskup świętych kości nie odmówił i widzieliśmy, jak je do kościoła w tryumfie prowadzono, gdyby zdobycz największą. A ktoby tego dokazał, żeby się z nim świętością, co opiekę niebios zapewnia, dzielono? Kto? chyba jeden pan Petrek. Na co patrząc

i znając go, niech pani Agnieszka w Krakowie pamięta, że jeśli się porwie na człowieka, który Świętych Pańskich i duchownych ma za sobą, rychlej ona sama padnie, niż on się zachwieje.

Mówił ojciec Maur z gorącością wielką, a drudzy milczeli.

— Prawdą jest — potwierdził Zaprzaniec, — że panu Petrkowi nikt tu nie straszny, bo i powagę ma wielką, i rozum, i bogactwa. A co nań prawią nieprzyjaciele, że zdradą do mocy tej przyszedł, złością jest, boć, co mu w sumieniu ciężyło, dawno odpokutował.

— Duchowni nasi wszyscy z nim: — opaci i starszyzna—dodał Maur — nietylko w opactwie św. Wincentego, lecz wszędzie, gdziekolwiek są. A są po świecie całym i jak ona drabina Jakubowa nieba, my tronu biskupa rzymskiego dotykamy! Wszyscy modlimy się za dobroczyńcę, mszę zań odprawiamy, a grzech, gdyby go miał, dawno zmyty ofiarami ołtarza, zarzucony temi kamieniami, których tyle na kościoły ponawoził, starty złotem, którem je przyozdobił... Rzeczono bowiem, że co my rozwiążemy — rozwiązane jest, a co zwiążemy—na wieki związane.

Napił się o. Maur miodu, bo się, mówiąc, zmęczył, otarł pot kroplisty z szerokiego czoła i ciągnął dalej, błyszczącemi oczyma wpatrując się w Jaksę.

— Już i dlatego warto poznać dom pana Petrka, że nigdzie nie zobaczycie ani macierzy takiej powagi, jak księżna, żona Petrkowa, ani córki takiej piękności, jak ona Beatryks, którą tu zwą Błogosławą, rajski kwiat!

— Ani anioły Boże piękniejsze nie są, ani czyściejsze—dodał mnich, ręce składając. — Gdy do kościoła wnijdzie, modlić się do niej chce, nie do ołtarza!

— Gorąco to mówicie—przerwał Zaprzaniec. — Jam stary i już dla mnie niewiasty uroku takiego nie mają. Napatrzyłem się ich też po ziemiach różnych, szczególniej w Italii i Rzymie, gdzie, póki młode, najpiękniejsze są, a po krótkim czasie straszne się stają

— Tak, że i szatan nad nie ohydniejszym być nie może! — dokończył mnich ze śmiechem.

— Muszę to przyznać— rzekł Zaprzaniec, — żem nad córkę Petrkowę, Błogosławę, nigdzie ani piękniejszej, ani podobnej nawet nie widział. Piękna jest inną pięknością, której południowe kraje nie znają; tamtych niewiasty z płomienia zdają się ulepione, te z powietrza i mgły czystej.

— Jedź-że młodzieńcze, — zawołał mnich rubasznie — jedź, abyś choć raz w życiu to oblicze mógł oglądać. Szczęście to jest popatrzeć na nią.

— Jedź — potwierdził Zaprzaniec — dwór tam gościnny, a powinowatego przyjmą serdecznie. Cóż, gdy cię biskup wprowadzi? Wszak żony nie masz?

Roześmiał się Jaksa swobodnie.

— Ani myślę tak rychło gniazda słać — odpowiedział — wojuję; lubię wędrówki, a niewiasta do domu zawczasu przykuwa.

— Jechać zaś teraz — dodał — na dwór p. Petrka, nie przystało mi bom oto sam, jak palec, z dwojgiem psów tylko, bez odzieży, bez łańcucha, bez dworu, a tak mi się stawić, dla pamięci ojca się nie godzi.

Gdy zamilkł na chwilę, o. Maur przeciągnął się i ziewnął szeroko.

— Hę! hę! Noc bo już jest, a nocą się włóczyć niedobra rzecz, legnę tu chyba spać. Gorzej jak w mojej celi nie będzie, bo tam nasz opat na gołych deskach spać każe i nocą mu się na dzwonek co godzinę do chóru zrywać potrzeba.

— Ha! Na toście się święcili! — odparł Zaprzaniec.

— Ja? ja?—zawołał o. Maur, ruszając ramionami. — Ani mi to było w głowie! Rodzice mnie w leciech dwunastu oddali Benedyktynom; musiałem iść bo oni tak ślubowali, nimem się urodził, że mnie Panu Bogu na ręce synów ojca Benedykta oddadzą! Ochoty do kaptura anim miał, anim brał. Na koniu-bym wolał hasać i wesołą żonkę mieć, niż to życie nędzu prowadzić.

— Nędzy przecie i biedy na was nie widać! — rzekł Zaprzaniec.

— Boć sobie radę dać umiemy — rozśmiał się o. Maur. — O ho! Rozległe mamy włości, zajrzeć tu i owdzie potrzeba, to się jeździ, a w drodze zapomina się i klauzury i różnych srogich reguł zakonu. Pan Bóg łaskaw przebaczy!

I ogromną pięścią w piersi się buchnął.

Nie musiał się tak bardzo mowie mnicha zdziwić Zaprzaniec, bo widział i wiedział, co się po całym świecie w klasztorach benedyktyńskich działo, że je papieże i biskupi oczyszczać wciąż i naprawiać musieli a do dawnej ich reguły doprowadzić nie mogli; więcej tam u nich pono o łowach, napoju, jadle i wesołych godzinach, niż o chórze i godzinkach myślano. O. Maur do tych właśnie należał, co jarzmo potrząsając i lekceważąc śluby, pracowali na to, aby ich z wrocławskiego opactwa wygnano, co też się wkrótce dokonało.

Po tej rozmowie szli wszyscy spać na siano do szopy.

Noc była chłodna, gwiaździsta i cicha. Jaksa sam dłużej pozostał na podwórku z psami swemi, myśląc bodaj o dworze pana Petrka i o pięknej Błogosławie, którą mu tak zachwalano, że się w nim młodzieńcza rozbudziła ciekawość. Sam był i bez wszelkiego do odwiedzin przygotowania, ale czemuby też, myślał sobie, nie miał zdala najrzeć na to cudo, nie dając się poznać, nikomu nie opowiadając, kto był?

Nęciła go blizkość miasta, odstręczało to, że do zmyślania cudzej postaci nie miał ochoty, ni zdolności. Tak podumawszy, sam nie wiedząc, co jutro pocznie, po niejakim czasie rzucił się też na posłanie nieopodal od konia swego a psy wierne do nóg jego przyległy. I cisza nastała w gospodzie, lesie, na świecie, tylko puhacz gdzieś zdala wróżył, odzywając się posępnie.

III.

Ranek jesienny, trochę mglisty, obiecywał piękną pogodę, biała rosa perlista okrywała trawy i drzewa, z za mgły wychylało się słońce, jakby snem nocnem rozmarzone jeszcze, jakby nawpół przebudzone. Niekiedy okiem jaśniejszem spojrzało na świat i osłaniało się wpół przejrzystemi obłoczkami, zdając wstawać leniwo. Na gościńcu, do Wrocławia prowadzącym, już się poruszało od świtu życiem dwojakiem miasta i wsi, kupieckiem i gospodarskiem, wędrownem i domowem.

Już też i w izbie u Mikuła ludno było, w ognisku ogień płonął, a że dym z niego nieraźno odchodził dymnikiem, po izbie się powłóczył i oczy wygryzał. Jedni pili u stołu, drudzy zziębłe ręce u ognia zagrzewali, spoglądając na siebie, bo byli ludzie wszelacy tutejsi i obcy. Większa ich część noc spędziła na łąkach i chłód jesienny objął ich na legowisku. Znać to było z zarumienionych twarzy, z żywych ruchów, któremi rozgrzewać się chcieli.

Z noclegujących pod szopą pierwszy, co się ze snu po cichu zerwał i wozowi kazał gotować do drogi, był tłusty mnich, który po wczorajszej zbytniej wesołości swej, ponuro teraz i kwaśno wyglądał. Lękał się może opata dla spóźnionego powrotu. Nie żegnając więc nawet swych towarzyszów, starego Zaprzańca i młodego Jaksy, na wóz się wdrapał i ku miastu poganiać kazał, w drodze głośno odmawiając pacierze zaległe, bo choć się zdał nie bardzo pobożnym i język mu czasem świerzbiał — bezbożnikiem nie był, po swojemu Pana Boga chwaląc i przed Nim się korząc.

Zaprzaniec za nim ruszył się drugi, a wprędce potem zerwał się Jaksa, który sen miał niespokojny, sam nie wiedząc jeszcze, co z sobą uczyni. I Wrocławia mu się chciało i od domu, a matki się odbiwszy, radby był do niej co rychlej powrócić.

Stary, przywitawszy go, głośno modlitwy rozpoczął, a tuż i pachołek jego przybył, co mu do lepszego odziewania się pomagał.

Tymczasem Jaksa przed gospodę wyszedłszy, poglądał na gościniec, tam i sam, ważąc jeszcze co lepiej: nawracać do domu, czy zajeżdżać do miasta?

Jeszcze tak dumał, gdy stary Żegota już sobie napojonego konia podawać kazał, a mając go dosiadać, zawrócił się ku młodemu.

— Zdrowi bywajcie! — rzekł — a trafi się wam podle Krakowa droga, to mnie też pustelnika na skale mej nawiedźcie; rad ludzi widzę u siebie.

Dziękował Jaksa.

— A wam kędy droga?—zapytał Zaprzaniec.

— Sam ci jej nie wiem jeszcze—rzekł Jaksa — ważę się, na łowym się tylko wybrał, a podróż musiałem zrobić.

Stary, zważywszy może, iż się nie chciał z tem wydać, co pocznie, nie pytał już więcej, na konia siadł, ręką pozdrowił i ruszył; a choć miał na sobie siedem dziesiątków lat, mnogie boje i blizny, jechał jeszcze tak krzepko, raźno, jakby zawsze młodym był. Patrzył za nim Jaksa długo, aż mu, zawróciwszy na leśnej drodze, z oczu zniknął.

Słońce wybijało się z za obłoków; czas i jemu było ruszać, konia też chłopcu kazał podawać, na psy, które pokarmiono, świsnął i dał koniowi rozstrzygać o tem (przeżegnawszy się), gdzie ma jechać dalej.

Zdało mu się to bezpieczniejszem, niż rozum własny, który uczył dobrze, czego nie trzeba było robić, ale co robić, nie wiedział.

Koń prychnąwszy, dlatego może, iż w tę stronę więcej ludzi i wozów ciągnęło — zawrócił ku Wrocławowi. Jaksa prawie rad był, ale w duchu sobie powiedział, że w mieście ino popasie, rozpatrzy się maluczko i do domu nawróci.

— Gdyby jakiem szczęściem dało się zobaczyć ową Błogosławę — mówił, jadąc,—dobrzećby to było, ale gdzież i jak się to trafić może?

Tego się trochę spodziewał, bo młodemu o dziewczęciu marzyć,—ludzka rzecz.

Miał też powód szukać sobie i napatrywać żony, choć jej niby nie chciał i wypierał się wczoraj. Miał Marek Jaksa jedną tylko panią macierz starą, która jedynaka swego miłowała, jak oko w głowie, a ciągle modliła i prosiła go, ażeby się, jeśli nie dla siebie, to dla niej, ożenił.

— Dla mnie starej — mówiła mu, — pociecha-by była z synowej i wnucząt; choć do kego zagadać, choć się z kim popieścić. Ty zawsze kędyś w drodze, ja sama, a uchowaj Boże nieszczęścia na ciebie, mnie też nie żyć,—bo nie mam dla kogo.

Dla tej miłej macierzy radby się był ożenił Jaksa, pewnie więcej, niż dla siebie, bo trudny jakoś był i największa piękność mu nie smakowała, gdy obyczaj miała prosty. Czegoś pragnął więcej, niż umiał powiedzieć, — wysoko patrzał. Więc owa Petrkowa córka, zachwalana tak, w głowie mu utkwiła.

Choć tam może starali się możniejsi, dumny Petrek za zięcia książątko-by chciał mieć, a panu Jaksie nie było co zarzucić ani z rodu, ni z mienia. Ich też pono dawniej kneziami zwano, a z owych czasów włości a ziemi zostało im poddostatkiem.

Tak myśląc, jechał Jaksa powoli, a psy, po zaroślach się zwijając, wietrzyły, bo rosa im pomagała. Szlak ludny był, wozy na targ nim sunęły, ludzie szli, bydło gnano. Już też zdala i gród poczynało było widać, i wieżę nad nim okrągłą, gdy od strony miasta ukazał się orszak pański. Zdala trudno go było dobrze rozeznać, pył się za nim i przed nim niósł i tumanami go zakrywał. Dopiero, nieco się przybliżywszy, dojrzał Jaksa przodem jadącego męża poważnego, w sukniach długich, ciemnych, z brodą siwiejącą, postrzyżoną, bez broni żadnej u pasa, ni u kolana, za którym dwu czeladzi przystojnie odzianych, wiozło łuki, kołczany i oszczepy. Siedział na koniu dzielnym, kapą okrytym, a nikt się z nim nie ważył na równi stać i reszta kroczyła z tyłu, hamując konie nie-

cierpliwie. Oczyma mąż ten rzucał dokoła, jakby się czuł panem w kraju, na który patrzał.

Przyglądając mu się lepiej, Jaksa dostrzegł na sukni u piersi krzyż złocisty na łańcuchu, i po nim więcej się domyślił, niż poznał powinowatego, którego od dziecka nie widział — biskupa Janika Gryfa z Brzeźnicy, który, choć duchowny, łowy, konie i zabawy rycerskie nad miarę lubił. Pomawiano go nawet o to, że więcej był rycerzem, niż pasterzem, o co on mało dbał, bo swój obowiązek pełnił pilnie. Duchownych dyecezyi swej po żołniersku trzymał, a gdy wizyty kościelne odbywał, zwykł był nie inaczej się w drogę wybierać, jak z końmi, psy i ptaki, aby czasu nie tracić; kapelan za nim jadący, modlitwy głośno czytywał. Biskup je po cichu powtarzał, ze psów nie spuszczając oczu. Taką już słabość miał, za którą Pana Boga przepraszał, zwyciężyć jej nie mogąc.

Psy biskupie gromadą wielką po polach się właśnie rozbiegły, a że Jaksowe też tam były, padły na się sobaki, warcząc i do gryzienia się zabierając. Zwróciło to uwagę ks. Janika, a gdy postrzegł, że obce psy duże i piękne były, nie domowego porodu, i ich pana szukać zaczął oczyma po gościńcu. Tymczasem psiarze z batami rozganiali warczących.

Jaksa, który się bokiem gościńca brał, mimo to natknął się na orszak biskupi. Spojrzał nań ks. Janik, wcale nie poznając.

— Wasze to psy? — zagadnął jadącego, który go nizkim uczcił pokłonem.

— Moje!

— Cóż to tak z niemi po cudzych polach hasacie?—zapytał biskup.

— Nie zajechałem tu po dobrej woli — odezwał się Jaksa,—i nie na łowy, alem się srodze obłąkał.

Stanął biskup i na psy, które przybiegły, chciwie patrzał.

— Skąd te psy macie? — zagadnął. — U kogo służycie?...

— Nie służę nikomu — rzekł Jaksa, którego su-

knie powszednie za pospolitego człowieka podawały. — Psy z sobą z Niemiec aż z nad Renu przywiozłem.

Biskup więcej na psy patrzał, niż na człowieka.

— Dobre są?—zapytał.

Chciał go już wymijać, Jaksa, gdy się ku niemu zawrócił i krzyknął:

— Sam tu! do mnie! — kto wy jesteście?... Psybym wasze do mojej psiarni rad mieć.

Ciężko się już było Jaksie panu stryjecznemu wykłamywać, zdjął więc zapkę i zbliżył się.

— Daruj mi miłość wasza, że w tej sukni przed nim staję, alem się zbłąkał, a nie śmiałem przed nim się tak stawić, wypadkiem się tu znalazłszy. Jestem Marek Jaksa z Miechowa.

Biskup cugle puściwszy, ręce podniósł.

— A niepoczciwy! — zawołał. — I mijałeś mnie tak, nie dawszy się znać?...

Pogroził mu.

— A toż godziwo — ciągnął dalej; — że do domu powróciwszy, dotąd do mnie po błogosławieństwo nie szedłeś? A któż ci dziś bliższy nade mnie?

Jaksa z konia zlazłszy, stał przed nim, jak winowajca.

— Nie wińcie mnie — rzekł, biskupa w rękę całując. — Macierz tęskliwa trzymała mnie z dnia na dzień, nie odpuszczając od siebie. Dni temu cztery, nieszczęście chciało, nieopatrznie się wybrałem na łowy i takem brzydko się w puszczach obłąkał, żem w nich o mało z głodu nie zmarł. Wczoraj pod noc dopiero znużony dobiłem się do tego gościńca.

Biskup Janik głową potrząsał, jakby nie dowierzał, wciąż pono więcej na psy patrząc, niż na bratanka. A te się też przy swym panu ochoczo i wesoło zwijały.

— Hej, psy, prawdziwe molossy! — szeptał cicho i podniósłszy głowę, zawołał:

— Dokądże teraz?

— Będąc już pod miastem, zachciałem je choć

zobaczyć, albo co dla drogi kupić, aby znów głodem się nie morzyć. Do Waszej miłości w tej odzieży jechać nie śmiałem.

Biskup uśmiechając się patrzał nań i głową kręcił.

— Jedź-że dalej—rzekł, — jedź z Bogiem, ale mi ty tak nie ujdziesz.

Zawrócił się ku swoim i skinął na starego człeka, który podbiegł na koniu.

— Słuchaj, Drygas! Oto ci wziętego jeńca na ręce daję; żebyś mi go strzegł i zbiedz mu nie dał. Krok w krok za nim; ugość go u mnie we dworze, bo to bratanek mój, krew moja. Słyszysz? Ja też niebawem powrócę, ino się ze psy przejadę trochę... Żebyś tam na mnie czekał!

I pogroził łagodnie Jaksie, który biskupa w rękę pocałowawszy, z drogi mu z koniem ustąpił i przypatrzywszy się nieco przeciągającemu orszakowi, zabierał się ruszyć do miasta.

Stał przy nim ów naznaczony mu do dozoru Drygas, człek stary z postrzyżoną głową, dobrodusznego wyrazu twarzy, znać myśliwy, jak niemal wszyscy domownicy biskupa, bo się tęskno za psami oglądał.

Uśmiechnął mu się Jaksa.

— Nie w smak ci stary — rzekł — ze mną nawracać do domu, ale ja nie winien temu, tylko pan wasz. Jedźmyż.

Jechali tedy: w trop za Jaksą Drygas, coraz się oglądając, aż i miasto się wyraźniej z za wałów sypanych, ostrokołów i tynów ukazywać już zaczynało. Gdzieniegdzie ponad te wały wyglądała wieżyca gruba, niekształtna z oknami ciasnemi i małemi. Za wałami gromadą stały domostwa drewniane, z dachy słomianemi i dranicowemi. Ponad chaty i dwory gród się nieco podnosił, a w drugiej stronie u góry Sobótki, domyślał się już sam Jaksa w znacznych zabudowaniach dworca pana Petrka i przy nim opactwa, bo po nad nim krzyż na dzwonniczce widać było i kawał muru tam szarzał, czerwienił się i bielił.

We wrotach miejskich ścisk był wielki dla dnia

targowego, gdzie właśnie brano myto, ludziom z wozów chwytając to drzewo, to inną kupią zamiast pieniędzy. Z tego rósł tu swar i wrzawa. Miejscy stróże z oszczepami u bram dokazywali, opierających się obuchami tłukąc. Ci sługę biskupiego poznawszy, obu podróżnych przepuścili z pokłonem.

Właśnie gdy mimo Sobótki przeciągać mieli, dzwonek się nad kościołkiem odzywać począł. Zwrócił się Jaksa do sługi.

— Radbym mszy posłuchał — rzekł. — Weźcie na sznur psy moje, bo gotowe za mną i tam, a co po psie w kościele? Nie zabawię długo, a na biskupi dwór i sam trafię...

Drygas głową jakoś pokręcił.

— Pozwoli mi miłość wasza, abym rozkaz mojego pana spełnił, jak należy. Postoję ze psy u proga.

Właśnie podjeżdżali do parkanu, opasującego cmentarz i kościół; tu Drygas psy za sznur wziął, a Jaksa przez wrotka do bocznych drzwi kościelnych iść zaczął.

Naprzeciw wrót cmentarza, któremi wszedł, była w kawałku muru furta strojna, wiodąca w stronę dworca pana Petrka, pokryta kamieniem i zakończona daszkiem. W chwili, gdy Jaksa jednemi wrotami wchodził, otworzyły się i drugie, a przez nie weszły dwie niewiasty a za niemi służebna, niosąca poduszki. Strzymał się tedy Jaksa i chciał się ukryć, dopókiby nie przeszły, bo do tychże drzwi kościelnych zmierzały, ale skryć się nie było gdzie, tylko że do muru przyległ, patrząc ciekawie.

Z dwu niewiast pierwsza poważna, niezbyt już młoda, szła tak, jakby po swej ziemi, pańsko, dumnie, wolno, ledwie że na świat spoglądając, myślami pewnie będąc gdzieindziej, bo i tam, gdzie patrzała, nic się widzieć nie zdawała. Piękna jej twarz, choć na niej lata kilka już marszczek zarysowały, jaśniała jeszcze ową niezgasłą pięknością córek północy, które się tak zdają przychodzić na świat z marmuru kute, aby ich czas nie spożył. Wypełniło się tylko jej oblicze

i stało z pięknego majestatycznem, a resztka młodości jeszcze w niem przeglądała. Na głowie, na włosach jasnych, które mało co były widoczne, miała złotogłowy czepiec, na nim zasłonę białą. Na sukni ciemnej, obcisłej, długiej, bramowanej, płaszcz lekki, podbity szkarłatem, narzucony był na ramiona. Obie ręce białe, złożone na piersiach, osłaniały wywinięte rękawki... Na szyi okręcał się łańcuch, u pasa wisiała torebka pozłocista. Suknie się tak jakoś na niej składały, posłuszne do jej postaci i ruchu, że wszystko poważnem było, jak twarz, czoło i wejrzenie zadumane.

Idące za nią dziewczę młodziuchne, z rysów oblicza poznać łatwo było jako jej dziecię. Też same jasne włosy okalały twarzyczkę, w plecionych kosach długo spadając na ramiona, ze wstęgami i łańcuszkami, które się w nie wplatały. I twarz do matki miała podobną, białą, jak śnieg, z modremi oczyma, tylko od niej piękniejszą daleko, nie samą młodością ledwie rozkwitającą, ale czystością rysów, życiem, smutkiem i łzami niepokolanych. Było to szczęśliwe dziecię macierzyńskich pieszczot, nie oderwane jeszcze od matczynego łona, nie żyjące w sobie, ale w matce i dla niej. Ubiór miała jaśniejszy i lżejszy, a kolce, łańcuch, pierścienie i ozdoby zdały się jakby umyślnie dla niej zrobione z pajęczyn złotych, ze srebrnych nici.

Coś dziecinnie wesołego patrzało z jej oczu spokojnych, a gdy matka zdawała się nie widzieć nic, bo już wszystko przepatrzyła na świecie, ona się ciekawie przyglądała najmniejszej rzeczy. Nie minęła jednego ptaszka, muszki, listka drżącego na gałęzi, nie uśmiechnąwszy mu się, jak dobremu znajomemu i przyjacielowi. Zwracała ku nim główkę powoli, zdając się chcieć zgadywać te sztuczne kształty, w które koło niej przyodziewało się życie. Tak samo jak na przelatujące wróble, poczęła patrzeć na stojącego u wrót Jaksę, po dziecinnemu, ciekawie, śmiało. Lecz gdy się z jego oczyma spotkała, twarzyczka się jej zarumieniła, zmarszczyła brew i — odwróciła wejrzenie. Jaksa niepozornie wyglądał, a patrzał nadto śmiało; rozgniewało ją to może. Prosty był człek, a tak zuchwały! Spojrzała raz drugi ukradkiem, patrzał jeszcze, odwróciła się znowu. Wtem matka weszła w ciemne drzwi kościelne i znikły w nich obie.

Jaksa stał jeszcze chwilę, jakby nie śmiał się ruszyć, nie chciał spotkać, dał wnijść im i służebnej, która go też mierzyła oczami szczerze pogardliwemi; potem i on zwolna posunął się ku kościołowi.

Właśnie do bocznej kaplicy, przed Chrystusów krzyż wychodziła msza święta. Z zakrystyi poważnym krokiem sunął mężczyzna urodziwy, postawy wspaniałej, w sukniach uroczystych od złota i jedwabiu lśniących. U ołtarza klęczały już matka z córką, na podrzuconych im poduszkach. Jaksa stanął z boku i pobożnie począł się modlić.

Niewielki, ale wspaniały był ów benedyktyński kościołek, znać w nim było rękę pobożnego fundatora, a gdzie sztuce ówczesnej brakło mistrzostwa, zastępowało je złoto. Lśniło się ono wszędzie. Na złotych tłach stały malowane obrazy, w złoto przyodziewane były ołtarze, złotem dzierzgane suknie, a na stropie gwiazdami jaśniało i pręgami się świeciło, ledwie że go na podłogę nie rzucono.

Z kamienia też ciosane posągi, na owe czasy osobliwa rzecz, obficie kościół zaludniały, a choć chude i sztywne, coś już w sobie z życia i coś myśli zawierały. Modliły się wszystkie, lub bolały, a boleść jest też modlitwą.

Język sztuki zaprawdę cudownym jest i pełnym sił jakichś nadziemskich. Dla młodych ludów starczy ledwie skazówka jego, aby z niej żywa ich wyobraźnia wysnuła obraz żywota. To też to, co dziś u nas wstrętby i politowanie obudzało — unosiło duszę i myśl w inny świat dźwigało. Rośnie kunszt z ludźmi razem, jak ich mowa, z potrzebami i duchem, rozpościerającym się coraz szerzej. To, co do zepsutych ludzi się wdzięczy i pięknością ich zdumiewa, dla wpółdzikich, surowych mdłem by było i niezrozumiałem. Stąd ta krasa barw w pierwszych wiekach, stąd wrzawa kolorów i po-

sągów, lub jakaś martwota sztuczna, swą siłą niepożyta, albo dzikie a dobitne ruchy.

Jaksa patrzał na świętych z kamienia, ale więcej jeszcze na posąg ten żywy, na to dziewczę, którego z pod długiej zasłony mógł dojrzeć zlekka kibić tylko zręczną, giętką, jak trzcina, którą wiatr ugina. Nią tak uginała modlitwa.

Ani czuł, ani wiedział Jaksa, gdy się skończyło nabożeństwo i ksiądz, dawszy do pocałowania pacyfikał niewiastom, tym samym krokiem poważnym, z twarzą rozpromienioną, z jaką szedł do ołtarza, powrócił do zakrystyi.

Młodzieniec stał zadumany u drzwi, gdy poczuł, że go ktoś zlekka za suknię pociąga i odwróciwszy się, ujrzał ojca Maura, który z chóru go zobaczywszy, przybył powitać. Właśnie niewiasty wstały były i mimo nich przechodziły, więc Jaksa, wpatrzony w nie ciekawie, ledwie wesołego mnicha mógł pozdrowić. Prześliznęły się przed nimi, jak cienie. Starsza skinęła głową o. Maurowi, który, ręce na piersiach złożywszy, pokorny pokłon jej oddał.

— A cóż? — odezwał się cicho, gdy wyszły, — Nie mówiłem-że wam, iż do tej cudnej Beatryksy modlićby się można?...

— Któż ona jest?—zapytał roztargniony Jaksa.

— A któżby to mógł być, jeśli nie pani Petrkowa z córką?... Z tą gwiazdą, jakiej równa nie świeci żadnej ziemi, z tą perłą, godną cesarskiej korony?

Jaksa zmilczał. O. Maur ciągle się uśmiechał.

— Widzę, żeście od widoku jej osłupieli — dodał. — Ani dziw, gdy we mnie starym klocu, dusza się na widok jej śmieje, cóż dopiero w młodym, w którym soki żywe płyną? Nie jestli to niewiasta najpiękniejsza w świecie? Najprzewielebniejszy opat nasz, ojciec Anzelmus, którego mszy słuchaliście, jest tej pani duchownym doradcą, a córki nauczycielem. Szczęśliwy człek, gości tam we dworze codzień, bo i panu Petrkowi za to jest miły, że mu niewiasty zabawia. Wonią tej lilii, zaledwie rozkwitającej, i tej róży w pełnym kwiecie napawa się nasz najprzewielebniejszy do syta! Najmilszeć to jego owieczki, które i na chwałę Bożą strzydz się dają, bo jejmość hojną jest na domy nasze.

O. Maur rozgadywał się tak żywo, gdy Jaksa wcale do rozmowy nie zdawał się okazywać ochoty. Pożegnać już miał księdza, gdy ten przeprowadził go po za drzwi kościelne.

— Widzę, że was do miasta wzięła pokusa? — rzekł,—jam to przewidywał.

— Nie po dobrej woli tu przybyłem — odparł z uśmiechem młody. — W polu spotkałem ks. biskupa Janika i nie mogłem go wyminąć bez pokłonu. Poznał mnie i przykazał jechać na swój dwór, bo sam wyruszył nieco na łowy. Ot, jakem się tu znalazł.

— A! a! — rzekł o. Maur z przekąsem i głową trzęcąc — pewnie, gdybym ja był biskupem, wolałbym też konno w pole ruszyć, niż siedzieć w celi zamkniętym! Ma rozum ks. pasterz; wybiera, co lepsze! Nasze życie utrapione! — westchnął — a opat, coście go przy mszy widzieli, zda się zdala człek, miły i gładki, tymczasem zblizka żelazny, kamienny dla nas! Przypóźniłem mu się wczoraj do klauzury, dziś mi drewka do kuchni nosić kazano.

Skrzywił się, i strząsnął gadatliwy mnich.

— Szczęściem o. Anzelm pójdzie zaraz sam do pani Pertkowej, bo to jego codzienna peregrynacya, a za mnie drwa przyniesie braciszek.

Rozśmiał się; Jaksa śpieszył go pożegnać, bo już stali u wrót cmentarza, za które o. Maur spojrzał z tęsknicą i wolnym krokiem do opactwa pociągnął.

Jaksa z towarzystwem ruszył do dworu biskupiego.

Ludzie naówczas mieli mniej potrzeb i wymagań, lecz zwierzchnicy, stojący u góry, musieli dla wrażania posłuszeństwa, dla powagi otaczać się blaskiem i przepychem. A że biskup stał na równi z książęty, jeśli nie wyżej nad nich często, musiał im nie ustępować zewnętrzną okazałością. Dwór też biskupi, jak panu-

jącego, liczny był, wielki i wspaniale się przedstawiał. Znaczne dochody z dóbr nadanych, sądów i kościołów, dozwalały prałatom prowadzić życie wystawne. Trzymał każdy z nich żołnierzy swych, pachołków, dowódcę straży, miał marszałka, kanclerza, kapelana, świeckie, rycerskie i duchowne sługi, a urzędniki.

W początkach zwłaszcza, gdy władza metropolitarna ustaloną nie była, a każdy biskup u siebie gospodarzył, wprost się znosząc i zależąc tylko od Rzymu, pasterze niezawiśli każdy po swej myśli wedle swych usposobień po dyecezyach się rządzili. Całe duchowieństwo swe mieli na rozkazy, sąd własny, więzienia, kary na nieposłusznych, a kogo obrzucili interdyktem, lub klątwą, ten i po śmierci w grobie, jak cesarz Henryk IV, nie miał spoczynku.

Ówczesny dworzec biskupi we Wrocławiu nie ustępował książęcym, tak był rozległy i ludny. Roiło się tu ludem różnym, a że duchowieństwo składało się przeważnie z cudzoziemców, nawet u ks. Janika było ich pełno.

Polak naówczas na stolicę biskupią nie łacno się mógł dostać, a jeśli na nią wszedł, musiał, jak ks. Janik, dzielić na wpół władzę z dodanym mu archidyakonem, który był obcym. Włosi, Francuzi i Niemcy zapełniali klasztory, do których Polakom także przystęp był trudny. W wielu miejscach jednego tylko trzymano jako tłumacza z konieczności, resztę mnichów z zagranicznych ściągając klasztorów. Niektóre przy zakładaniu miały wpisany warunek, że samych Niemców mieścić w sobie były powinny.

Około ks. Janika dwór był dwoisty: polski i obcy; ostatni, jak wszędzie, władzy sobie i znaczenia przywłaszczył więcej, niż mu należało. Zaledwie wjechali w podwórze, pełne księży ze wsi przybyłych, żołnierzy i ludu, gdy już ks. Robert archidyakon, który tu biskupa zastępował, a właśnie strojny w komżę i biret, przechodził, po drodze ręce do pocałowania nastawiając i odbierając pokłony, zobaczywszy Jaksę, który mu czci

tak pokornej nie oddał, ku niemu się rzeźko zwrócił pytając, ktoby był i czego tu żądał?

Nim on się zebrał na odpowiedź, przyskoczył Drygas z tłumaczeniem i ks. archidyakon, pozdrowiwszy uśmiechem przybyłego, pociągnął dalej.

Stary sługa biskupi postarał się zaraz o to, aby Markowi wyznaczono izbę i aby głodnym nie był. A że naówczas nie znano zwyczaju noszenia jadła po domu, musiał Jaksa znijść do wielkiej izby na dole, która była rodzajem gospody i refektarza dla gości. Wszystkich tam ks. Janik przyjmował poprostu, ale nikt stąd, jak ze dworu książęcego, głodnym nie odszedł.

W godzinie tej właśnie ogromna izba, na słupach oparta, którą przedzielały trzy stoły, otoczone ławami, pełna była ludu najrozmaitszego. Czeladź roznosiła misy, a stoły obsiadali pielgrzymi, rozprawiając z sobą. Była ich dnia tego liczba znaczna. U stołu jednego karmili się żebracy i lud ubogi, u drugiego proboszcze i wikaryusze, z dyecezyi, u trzeciego rycerstwo i ziemianie. Każdy z jakąś sprawą przybywał.

Księża prawie wszyscy zaskarżeni, albo skarżący wyglądali ubogo; nosili różne suknie, tak że ledwie w nich można było poznać duchownych. Znaczniejsza ich część konno przybywszy, miała ostrogi u butów a pod suknią zwierzchnią ukryte noże, które w przypadku napaści i do obrony służyć mogły.

Duchowieństwo ówczesne w całej Europie, jak u nas, nie było jeszcze tak ściśłemi związane ślubami, wielu z nich przybywało w sprawie rodzin swych, bo dotąd żonatych było wielu, a niektórzy, zaskarżeni o bigamię, musieli się oczyszczać, albo za synami swymi prosić, aby ich od ołtarzy nie usuwano. Biskupi ściślej coraz zaczynali wglądać w życie prywatne świeckich duchownych.

Niemało też z rycerstwa pozwanych było przed sądy duchowne o różne przestępstwa główne. Każdy swoje opowiadał, narzekał i starał się uniewinniać. Nie wesoło tu było, a nad miarę gwarno, bo się sobie obżałowani wzajem zwierzali.

Jaksa wszedł na tę wrzawę, szukając sobie miejsca, a znajomej twarzy nie znajdując, w rogu stołu skromnie zasiadł na uboczu. Ziemianie go, jako niepozornie ubranego, poczęli mierzyć oczyma, że się ku nim zbliżył, i zdawali wejrzeniami chcieć odegnać, gdy niemłody człeczyna, pomiędzy nimi siedzący, ciekawie jął mu się przypatrywać.

Była to postać, nawet w tym tłumie pełnym osobliwszych ludzi, uderzająca dziwotą. Niewiadomo było na pierwszy rzut oka, czy więcej go na szerokość, czy na wysokość urosło, tak mały był a otyły. Twarz też miał ogromną, z oczyma maleńkiemi, wargi wielkie, usta szerokie, brodę rzadką, a głowę niemal łysą. Opięto odziany, zdawał się ledwo w sukni mieścić.

Spojrzał nań Jaksa i jakby się go domyślił, czy poznał, patrząc nań, uśmiechu na ustach powstrzymać nie mógł. Gdy się tak mierzyli oczyma, ów rozrosły wszerz człek ręce rozstawił, za stół chwycił, podniósł się. Niewiele go przez to przybyło. Drgnęła deska, na której oparł ręce, zadźwięczały stojące na niej dzbany i kubki. Wnet dobywając się z miejsca swojego, pośpieszył zdyszany do Jaksy, który na powitanie powstał.

— Albo ty być musisz Jaksa z Miechowa, lub jam ślepy i głupi!—zawołał okrągły człek.

— Jamci jest — ściskając go, odezwał się wesoło młody—a stryj co tu poczynasz?

— Nic nie wiesz— rzekł, odciągając na bok ku ławie stary. — Prawda, żeś wędrował. Com miał czynić? Na konia już nie siędę dla brzucha; ledwie to grzeszne dźwigam ciało. Synom oddałem mienie, aby oni z niego księciu służyli, a sam bratu przybyłem marszałkować, jeść, pić i modlić się. — Z wielkiego żupana ot na com zszedł na starość: siedzę na łasce. Brzuch mnie zgubił. Rósł, rósł niepomiernie, naprożno go ściągałem, próżnom smarował, czem radzono, i ot — co się ze mną zrobiło!

Spuścił smutne wejrzenie na swój pas, który na ostatnią dziurkę spięty, zdawał się chcieć pęknąć...

Jaksa mu do ucha powiedział swą przygodę i przybycie. Stary Żuła głową potrząsał, słuchając.

— Dobrze, że się mu pokłonisz — szepnął; — pan jest mocny, ale swoim on nic nie pomoże, bo go obcy objadają.

— Ja też nic od niego nie pożądam — rzekł Jaksa.

— Tu ks. Robert archidyakon tyle waży, albo i więcej, co nasz Janik — mówił Żuła. — Daje mu się bawić ze psy i po polach jeździć, a sam wszystko w ręce zagarnia. My tu u siebie w domu, gdyby goście, biskupi, mnichy, — Niemcy i Włochy. Książęta i ich żony, jakby nie swoi, wkrótce może wojewodowie i starostowie cudzy będą... A no — sza! chodź jeść, potem o tem. Misa paruje, a wnet rozerwą z niej i nam kości zostaną.

To mówiąc i ciągnąc za rękę bratanka, Żuła posunął się do stołu i zajął przy nim miejsce, starając się ugościć krewniaka, na którego wszystkie oczy były zwrócone. Kleryk w sukni czarnej około gościnnych stołów gospodarzył, utrzymując przy nich porządek.

IV.

Jaksa, który na krótki czas z domu dla łowów był wyruszył, pochwycony przez ks. Janika, który puszczać go od siebie nie chciał, siedział już dni kilka na biskupim dworze.

Pierwszego dnia zaraz biskup wysłał konnego sługę do pani matki z oznajmieniem, iż się synowi nic nie stało, że go stryj u siebie ugaszcza, bo mu z serca jest rad. Przez posła tego Jaksa nakazał do domu, aby ludzie jego, dwór i odzież przybyła, nie chcąc tu jak jakiś przybłęda wyglądać. Nim mu przywieziono, co było potrzeba, prawie zamknięty w izbie siedział, bo sam biskup w odzieży, która jego stanowi nie przystała, ludziom go nie chciał okazywać.

Zabawiali się tak przy zamkniętych drzwiach sami z Żułą i biskupem, o łowach, psach i ptakach rozprawiając. Jaksa, który w obcych krajach wiele słyszał, widział i nauczył się rycerskich a łowieckich spraw miał o czem obu stryjom rozpowiadać.

Biskup tak samo, jak psy łowieckie, sokoły lubił i hodował, a najmilszem mu było, gdy je oglądał i pieścił. Cała jedna izba ogromna pełna była białozorów, jastrzębi, orłów, i różnego ptactwa noszonego, aż do małych, a żwawych kobuzów. Nad niemi miał opiekę szczególną Żuła, bo dopóki nie był się tak roztył ogromnie, i on rad z ptaki jeździł.

Owo zamiłowanie biskupa dziwnem się naówczas nikomu nie wydawało, bo nie było między mieszczany i możniejszymi człowieka, któryby z dzieciństwa się z łowiectwem nie zżył, tak, że mu ono w nałóg i obyczaj poszło.

Tęsknił każdy pod dachem, a częściej bodaj nocowano w lesie, niż doma. Cały boży rok było na co polować, to na drapieżne stworzenia, to dla skóry, to dla mięsa. Dobry łowiec żywił swój dom dziczyzną; wędzona i solona w fasach, stała wszędzie na powszedni chleb, a bieda tam była, gdzie wołu zarzezać musiano na stół, bo pan łosia dostać nie umiał. Lasami okryty kraj cały, karmił zwierza poddostatkiem. Kto się z dziecka nauczył biegać po kniejach, choć go potem w suknię duchowną odziano, tęsknił do lasu. Tak i ks. Janik z Brzeźnicy, którego uczyniono biskupem, dawny młodzieńczy obyczaj zachował.

Człek miłosierny i dobry, chociaż na oko surową miał postać, zdaniem ks. Roberta, utrzymującego, że w tym kraju i z tym ludem bez żelaznej rózgi obejść się nie było podobna — za łagodnym był do rządzenia dyecezyą. Surowością zastępował go ks. archidyakon.

Biskup milczał; czuł może nieudolność swoją, nie umiał ani zgromić, ani zastraszyć, ani ukarać ostro, żal mu zawsze było biednych ludzi, nakłaniał do poprawy, a przestępcom rad był zawsze przebaczyć, mówiąc, że wszyscy są ułomni. Twarz tylko miał groźną a surową. Ks. Robert, ostrzejszy daleko, rozumny, że kraju nie lubił, bo rodem był Włoch, choć tu od młodości przebywał, pogan, jak ich zwał, rad nękał i mścił się na nich za to, iż z nimi żyć musiał. Człek był zresztą uczony i prawy.

Ks. Janikowi swobodę dawano w domu i życiu, dyecezyą więcej, niż on, rządził ten przybysz, a że biskup powolny był i sam się odsądzał od spraw wielu, godzili się z sobą, wzajem sobie folgując. Samotności pasterz nie lubił. Pomodliwszy się i obowiązki swoje spełniwszy, szukał ludzi, — gdy ich nie miał, tęsknił za nimi. Dlatego i otyłego Żułę chętnie do siebie wziął, aby go w chwilach samotności rozrywał, dlatego i młodego Jaksę powagą stryjowską rad był przytrzymać u siebie, aby mieć z kim chwilę przepędzić, gdy pół dnia proboszczom z urzędu grozić i karcić ich musiał.

Kilka tak dni zabawiali się zamknięci, gdy wieczorem jednym, właśnie we trzech zasiadłszy, a o psach rozmawiając, posłyszeli hałas i ruch wielki w pierwszych izbach. Ktoś się natarczywie domagał wstępu, jakby do niego prawo miał, a głos coraz podnosił. Biskup nakazawszy milczenie, posłuchał nieco, głową rzucił i żywo wstał z siedzenia.

— Nie kto mi się tam tak dobija, ino pan Petrek — rzekł, śmiejąc się; — tego już potrzeba kazać wpuścić, bo drzwi potłucze i ludzi porozpędza, nienawykłym będąc, aby go od progu odprawiano.

Skinął na Żułę, który zaraz wybiegł, a Jaksie, który się chciał wycofać, kazał pozostać przy sobie.

— Pokłońże się i ty możnemu palatynowi naszemu — rzekł, bijąc go po ramieniu.—Niemały człek jest, przydać ci się może. Aniby się go minąć godziło, gdy jesteś u mnie; żalby miał. Człek to równy z książęty, a od wielu z nich lepszy.

Ledwie słów tych domawiał, gdy żwawo miotając się, wkroczył do izby człek niemłody, silnej budowy, odziany tak, żeby go z wejrzenia nikt, nietylko palatynem, ale starostą na małym gródku nie poznał, buta tylko była rycerska. Twarz czarna, ogorzała, rysy nie-

zbyt wdzięczne; orli nos dużą część twarzy zajmował, resztę broda ciemna a rudawa pod światło. Na głowie włos mu się jeżył i wzbierał nieposłuszny, porozrzucany a bujny. Czoło miał już zorane marszczkami a chmurne.

Żelaznego w nim męża łatwo było poznać, nieulękłego, śmiałego, niedającego się niczem złamać. Jakiś niepokój mieszkał w oczach, na obliczu duma, lecz gdy się uśmiechnął, z duszy dobroć ukryta na twarz wychodziła. Śmiał się też rzadko.

Czarna odzież, dobrze wyszarzana, okrywała go mieczyk niepoczesny miał u boku, czapkę prostą w ręku. Szedł ku biskupowi, jak zdobywca na mury.

— Do miłości waszej, pasterzu nasz, już bo się dostać nie można! — zawołał od progu, oczyma zaraz rzucając po izbie dokoła. Dostrzegłszy w kącie Jaksę, którego ciekawem zmierzył wejrzeniem, dodał:

— Jużciż niewiast u siebie nie macie w gościnie!

Biskupa przystąpił w rękę pocałować, a ten dotknął usty głowy jego.

— Zawsze w was ten sam szalony Petrek! — począł, śmiejąc się biskup. — Nie kazałem puszczać obcych, bom sam chciał być z bratankiem, któregom na drodze przypadkiem pochwycił.

I wskazał na Jaksę, który się skłonił milczący.

— A mnież to wasz bratanek obcym być ma? Albo mi to go widzieć nie wolno—począł Petrek. — Cóż to jest! ażalim w niełaskę popadł?

Biskup poruszył ramionami.

— Chowałem go w izbie — odparł, — aż mu suknie z domu przywiozą.

— Cóżto go zbóje po drodze odarli? — pytał palatyn.

— Nie, boby się im obronił — mówił ks. Janik,— alem ja go zbłąkanego na drodze chwycił. Nie znając kraju, w którym mało bywał, chowając się u obcych, w puszczach się obłąkał. Dopiero, gdy szatny z Miechowa przybędzie, stawić się mieliśmy wam, i należny oddać pokłon.

Petrek spoglądał jakoś niedowierzająco.

— Prawda-li to?—zapytał.

— Jakeś mi miły, Petrku mój—potwierdził biskup.

Usiadł gość, z oczów nie spuszczając Jaksy. Zwrócił się wnet cały ku niemu, i jął badać o życie, opodróże, o naukę, o to, co lubił i co mu było miłe. Uwziął się nań, aby pytać, ale z Jaksą niełatwa była sprawa, bo choć zrazu nieśmiały, gdy się raz przemógł, każdemu dotrzymał kroku. Petrek go swą szorstką napastliwą mową nie zmieszał wcale.

Wśród tego badania Żuła postarał się o wino i kubki, rozsiadł się palatyn, poczęto prawić o różnych rzeczach szeroko i długo. W ostatku, gdy po cichu coś Petrek biskupowi szeptać zaczął, Żuła z Jaksą z izby się wysunęli.

Palatyn powstał z siedzenia i przybliżył się do ks. Janika.

— Nie darmom się ja — rzekł — do drzwi miłości waszej tak dobijał; mówić chciałem z nim i potrzebowałem radzić się. Z Krakowa coraz gorsze wieści dochodzą.

— Co zaś! — odezwał się biskup.

— Władysław, pan nasz, nie winię go; — do zbytku pono dobry i miękki człek jest, a Agnieszka niewiasta chytra i dumna. Na złe go ona prowadzi; grożą nam niepokoje.

— Władysław nie będzie ważył się ich wszczynać— odparł biskup.

— Niewiasta go zmoże — mówił Petrek. — Swą krwią cesarską dumna jest nad miarę; mało jej księżną na jednym grodzie być, królową pragnie. Ile razy nasi Piastowie Niemki brali, zawsze nam z niemi wojny przychodziły i klęski. Bodaj i teraz tak będzie! Niemcy, ulubieńcy księżnej biją jej w uszy, że siedząc na Krakowie, panować powinna nad wszystkiemi ziemiami, że Władysław braci powinien precz wygnać, posiąść wszystko, tak, jak Mieszek i Chrobry.

Władysław dobry jest, ale najlepszego niewiasta zła uczyni chciwym i dumą napoi, gdy dzień w dzień

jedno mu śpiewać będzie.—Poleje się krew, nie czyja, tylko nasza!

Biskup westchnął.

— Bodajbyście nie byli prorokiem!

— Nie daj Boże krew przepowiadać — ciągnął Petrek — za łaską Bożą, ja i drudzy nie dopuścimy może do jej rozlewu. Nieboszczyk król zwierzył mi wolę swoją — w imieniu ojca odzywać się będę. — Słowa nie poskąpię, męstwa mi nie zbraknie.

— A pani Agnieszka? — wtrącił biskup.

— Będzie musiała milczeć — mówił palatyn. — Jeśli jej tu ziemi mało, kraju mało, niech jedzie nad Niemcami królować. My jej tu z jej zausznikami wichrzyć nie damy.

— Odezwał się dziad Herman w tym wnuku — mówił dalej; — tęż samą dobroć ma, pobożność i uległość dla niewiasty — ale miłośnik królowej, Dobek, Niemiec, nie dorósł Sieciecha! Niech sobie króla przy jejmości wyręcza — nie nasza to rzecz; ale wara palce wtykać w rządy nasze! wara!

Mówiąc to, palatyn powstał i chodził żywo, a coraz większa jawnie opanowywała go gorączka.

— Z Płocka, z Gniezna, z Sandomierza ślą do mnie, donosząc o coraz gorszych poszlakach, — że już do Krakowa ściągają lud, że spiski się na młodszych książąt kryjomo czynią. Radzić trzeba, pilno radzić trzeba!

— Wy sami chyba po temu siłę mieć będziecie— rzekł ks. Janik — wy, albo brat mój, biskup krakowski, jeżeli was posłuchają. — Jam do tego niezdolny i mnie ks. Władysław nie usłucha.

— Nas wszystkich razem usłuchać musi! — zawołał Petrek. — Posłuszny mu jestem jako panu, alem wprzódy ojcu jego, miłościwemu panu memu przysięgał, że czuwać będę, aby się wola jego spełniła. Gdy przeciwko niej najmniejszą rzecz uczynią, stanę chociażby sam na wszystkich.

Nachmurzył czoło palatyn.

— Ukaże się najmniejszy znak jeszcze — mówił

dalej żywiej coraz — a poznam, że się chce porwać na braci — do Krakowa pojadę, prawdę mu rzucę w oczy.

— Petrku mój miły — westchnął biskup, głos zniżając i ton przybierając łagodny wielce — w paszczę smoka i niewiasty dobrowolnie się rzucać bezbronnemu nierozumnem by było. Jeżeli Agnieszka tak złą jest, jeżeli już księcia, dwór i wszystkich tam zdołała sobie pozyskać — wszakci was łatwo zgubić mogą!

Na całe gardło rozśmiał się Petrek i stanął hardo patrząc biskupowi w oczy.

— Mnie zgubić? oni? Na mnieby się mieli porwać? Nie! Władysław nadto jeszcze pamięć rodzica szanuje a wie, że ja nie moją wolę, a nieboszczyka rozkaz pełnię. Nie będą śmieli tknąć mnie, ani on, ani ta niemiecka wiedźma, której się nie boję, ani jej słudzy, którymi gardzę, jak plugawstwem.

— Patrz, abyś nadto śmiałym i ufnym w sobie nie był — wtrącił biskup.

— Dla strachu ja się nie cofnę — zawołał Petrek— rychlejby mnie groza znęciła ku sobie.

— Radźcie się ludzi!

— Sumienia się naprzód radzę! — odparł palatyn.— Ono starczy, a i ludzie mi nie naganią tego, co uczynię.

Biskup popatrzał nań, a jako sam srogim nie był, tak i drugich rad hamując, począł zwolna rozjątrzonego uśmierzać.

— Co ci ludzie do uszów przynoszą — rzekł—plotki być mogą. Ile wiem, poszlaków dotąd znacznych niema. Władysław w swej dzielnicy siedzi spokojnie, do braterskich spraw się nie miesza. Czekaj przynajmniej, aż jawnie wystąpi i będzie za co go strofować.

— Może być po niewczasie — odparł Petrek. — Gdy wojska ściągną, gdy żupanów po grodach sobie zjednają, a Agnieszka żagiew rzuci i książę za nią pójdzie, późno będzie wołać, że gore!

— Miły mój! — przerwał biskup — tyś gorący, strzeż się, być na pożar nie wołał, gdy go niema.

— Gorący! a tak! — potwierdził Petrek. — Byłem nim i będę, pókim żyw. Tylko gorącością się coś czy-

ni — chłodem i małodusznością chyba nic. Wy, ojcze, dobrzy jesteście, miłujecie pokój; jam zły i miłuję wojnę.

Uderzył się w piersi.

— Boże bądź miłościw grzesznej duszy mojej!

Napił się z kubka palatyn i po izbie obejrzał.

— A bratanek wasz — zagadnął — co myśli? Czy nie na dwór pański? Młody jest, rycersko wygląda, woli za piecem gnuśnieć! Czy go matka chce trzymać przy spódnicy!

— Nic nie wiem — odpowiedział biskup zwolna. Ja go jeszcze tak, jak nie znam. Od dziecka go po raz pierwszy widzę, ale cieszę się nim. Młodzian raźny, roztropny, gnuśnieć by mu szkoda. Nie może służyć inaczej, tylko rycersko albo duchownym, a do tego nie zdaje się powołanym.

— Służyć? — żywo pochwycił Petrek. — Komu? gdzie? My już rycerstwo nasze pogrzebaliśmy z Krzywoustym. Żaden z synów nie ma jego ducha. Gdyby go miał Władysław, toć Ruś stoi przed nami, toć Pomorze nie zwojowane, toćby na Sasach i Niemcach swoje ziemie odbijać potrzeba — a księciu nie to w głowie, tylko braciom ojcowiznę wydzierać. Komuż będzie służyć i z kim iść? — wołał, ramionami ruszając. — Młodzież się u nas pomarnuje. Za Krzywousta Sulisławy, Wojsławy, Skarbimierze z ziemi rosły, a dziś, dudki, co się babom wdzięczą i przez baby zwady sieją, aby się im co z tego upiekło! Ot na co zeszliśmy, ot na co!

— Ale bratankowi ja nie dam zmarnieć — odparł biskup. — W rodzie naszym, krom Żuły, co się biedaczysko roztył, choć dawniej dobry wojak był — trutniów nie słychać.

Umilkł palatyn i po chwili pokłoniwszy się biskupowi, do wyjścia zabierał. Ks. Janik go uściskał.

— Petrku najmilszy, bracie mój — odezwał się — nie gorącuj się. Źle jest, kto nic nie czyni, ale też nie dobrze, kto za wiele chce czynić i bez rozmysłu.

— Najgorzej ojcze, kto nic nie czyni — dodał Petrek; — ja tym być nie chcę, nie chcę, nie mogę!

Pocałował go w rękę. Usłyszawszy odchodzącego

Żuła z Jaksą weszli pożegnać i przeprowadzić palatyna.

— Słuchajże, miły plemienniku mój — odezwał się Petrek do młodego — abyś mi się ty stąd nie ruszył, nie bywszy u mnie. Któż wie — i ja ci się tu na co zdać mogę! Stary jestem, nie zgrzeszysz, poszanowawszy... Dobrze wam życzę — ty mnie, ja tobie mogę być pomocnym...

Spojrzał nań. Jaksie może cudna twarzyczka Błogosławy na myśl przyszła; uradował się wielce, pokłonił wdzięcznie.

— Juścibym wam czołem nie biwszy, nie poszedł stąd — odparł z uszanowaniem. — Znam, co komu należy, — tego mi przypominać nie trzeba, miłościwy panie...

I oba z Żułą powiedli go do drzwi, a Jaksa aż do koni.

Przybył nareszcie i szatny z Komorowa, a Jaksa mógł się przyodziać tak, aby na dworze pana Petrka stanął bez zasromania.

Brał wówczas na się każdy do ludzi to, co miał najlepszego, aby okazać swą możność. Jaksowie zdawna majętni byli, a skarbiec ich stary obfitował we wszystko, co w te czasy najwyżej ceniono.

Zbytkiem naówczas była nawet koszula, bo ją nie wszyscy nosili; cienka, lniana szata spodnia, której nić kobiece ręce przędły, a niewieście oko na blechu jej strzegło. Szyto też wzorzysto owe lniane gzło około rękawów i kołnierzy i na codzień go nie kładziono. Szła po niem suknia krótka do kolan, z rękawy spuścistemi, rozprutemi, długiemi do ziemi, z pod których wyglądało albo gzło, lub drugi rękaw obcisły, klapą na przodzie część ręki do palców okrywający. Suknia ta z przywożonej z nad Renu tkaniny wełnianej szyta i bramowana złotem lub purpurą, przepasana bywała pasem, ze skóry lub kruszcu sztucznie uplecionego. U pasa wisiał nożyk mały, gdy większy miecz za panem zwykle strojne nosiło pacholę. Na szyję szedł łańcuch złoty, im cięższy, tem bardziej pański, często z klejnotem, wyrażającym fantastyczne zwierzę jakie, albo pieniądzem złotym. Na

nogi kładziono już śpiczasto zakończone buty, których długie nosy blaszkami złoconemi były przyozdobione...

Na wierzch zarzuciwszy płaszcz, a na długie, na ramiona spuszczone włosy, włożywszy czapeczkę z pióropuszem, mogło młode panię, zręcznej postawy, cale okazale wystąpić.

Takim właśnie strojnym chłopakiem, do niepoznania zmienionym, ukazał się stryjowi Jaksa, gdy go szatny przyodział. Biskup uradował się wielce, tak mu było do twarzy. Nie miał się go powstydzić prowadząc z sobą.

Przypatrywał mu się, oglądając go ze wszech stron, z pociechą wielką i w głowę pocałował.

Sam też wybierając się do pana Petrka, wdział suknię biskupią dostatnią, łańcuch z krzyżem na szyję, ogromny pierścień biskupi na palec i na głowę czapeczkę futerkiem okładaną, ale mu w tem wszystkiem tak było, jakby tylko co z siebie zbroję i kaftan rycerski zrzucił: — krwi tej wojaczej suknia duchowna nie mogła do spokoju ukołysać, a gdy potem na koń siadł, wyglądał więcej na wodza, prowadzącego do boju, niż na pasterza, niosącego błogosławieństwa pokoju.

Dosyć liczny, strojny dwór za biskupem i Jaksą podążał, Markowi bowiem matka ludzi jego przysłała, aby samopas nie szedł, bo samemu wstyd było się ukazać na dworze.

Gdy do dworca pod Sobótką przybyli, Jaksa, który wiele słyszał o bogactwach i mocy Petrka, zdziwił się trochę, mieszkanie jego zobaczywszy. Z powierzchowności domostwo wcale wspaniałem nie było. Na dosyć obszernej, parkanami dokoła obwiedzionej przestrzeni, stały porozrzucane szopy, składy, schronienia dla czeladzi i służby, skarbce, stajnie, bo się Petrek w koniach kochał, psiarnie, bo gromady psów trzymał, sokolarnie bo ptactwa miał siła. Dla siebie i rodziny dworu jeszcze, takiego był nie wzniósł, jak na wielkiego pana przystało. Gdy się temu dziwiono i pytano o przyczynę, powiadał, że naprzód Bogu domy stawić musi, a potem dopiero pomyśli o sobie. Powiadano iż ślub był uczynił taki że w każdej majętności swej kościół z kamienia zbuduje, a że ich miał po wszystkich ziemiach bardzo wiele, nie dziw, że ich siedemdziesiąt i siedem liczono, choć ich pewnie tyle nie było.

Dwór pana Petrka cały prawie był drewniany, okrom małej części, w której się skarby droższe zachowywały. Widać było, że go budowano i dobudowywano. Więc jedna część wyżej się podnosiła nad drugą, na jednej dach był śpiczasty, u drugiej płaski, kryty dranicami, słomą i cegłami. Ganków i przejść pod słupami widać było wszędzie dokoła siła, to z surowego drzewa, to na czerwono i pstro pomalowanych, wedle prastarego obyczaju słowiańskiego. Wszędzie ponad ścianami ciągnęły się niższe i wyższe podsienia, gdzieniegdzie tak szerokie, iż czasu lata przed niemi wygodnie stoły można było umieścić. Nigdzie na zewnątrz nie wydawała się owa sławiona wielka zamożność p. Petrka, chyba tem, że po podwórcach wodzono konie pod nakryciami bogatemi i wozy stały obciągane suknem szlarłatnem, kute mosiądzem jasnym i snuły się kupy ludzi lepiej postrojonych od samego pana.

Gdy biskup z Jaksą ukazali się we wrotach, a odźwierny dał znak ku dworowi, wnet we drzwiach ujrzeli wychodzącą panią Petrkową i syna jej, młodziana pięknego wzrostu, do matki i siostry podobnego. Córka Bogosława, której oczyma szukał Jaksa, na spotkanie nie wyszła. Oprócz nich i samego palatyna, tuż za nim ukazał się czarno zarosły mąż, silny, z twarzą dumną i ufność w siebie wyrażającą, trzymający się w boki, strojny, obwieszony złotemi łańcuchy, przy sporym mieczu u boku.

Wziąłby go nieznający obu za palatyna samego, tak Petrek niepocześnie przy nim wyglądał. Był to, jak biskup Jaksie oznajmił, Roger, sędzia wrocławski, druh wielki i najlepszy sługa Petrka, prawa ręka jego, mąż wielkiego męstwa i ducha.

Sam palatyn, jak naówczas, gdy na dwór biskupi przybywał, odziany był niewykwintnie. Suknię miał na sobie wynoszoną, ladajaką, ani nawet łańcucha na szyi, a na nogach proste skórznie od łowów.

Wiedziano, że stroju i wystawności dla siebie nie lubił, a najmilej mu było chadzać w wygodnej codziennej odzieży, w której się mógł swobodnie poruszać, jako chciał. Włos też miał rozczochrany, jak pierwszą razą.

Biskup, zobaczywszy wychodzących przeciwko sobie, zdala począł błogosławić, palce złożywszy wedle zwyczaju. Wszyscy skłonili głowy.

W tej chwili wyszedł też ze drzwi nieodstępny tu prawie opat Anzelmus, którego Jaksa widział już odprawującego w kościołku mszę świętą. Ten mąż wspaniałej postawy, pięknej i szlachetnej twarzy spokojnej, przyzostał zdala i ostatni biskupa przyklęknięciem powitał. Ks. Janik, na ramiona mu ręce położywszy, ucałował go, jak brata.

Gdy opat z biskupem obok siebie stanęli, można było dostrzedz wielką różnicę charakteru obu duchownych; O. Anzelm był poważnym kapłanem, ks. Janik wojującym zapaśnikiem Kościoła.

Przodem kroczył ks. Janik do wnętrza domu do tej części, która dla przyjmowania gości była przeznaczona. Różniła się ona wielce od drugiej, w której sam Petrek zamieszkiwał. O ile pierwsza była wspaniałą, o tyle druga do zbytku prostą i niemal opuszczoną. W sypialni, w izbach przytykających, które sobie Petrek zbudował, nie było nic krom ław i stołów, od siekiery wyciosanych. A że psy myśliwskie wstęp tu miały, zdarzała się często i słoma pod stołami i barłóg przez nie wyleżany. Wśród tych ścian drewnianych nieobleczonych niczem, na podłodze z prostych dylów, na dębowych ławach Petrek się lubował, a mawiał, że mu tu najlepiej i najmilej było.

Dla gości wszakże, w tym domu niepozornym, komnaty były prawie królewskie, bo i pani Petrkowa w zbytku i okazałości wielce się lubowała, pochodzenia swego kniaziowskiego nie mogąc zapomnieć. Znać to było z każdego ruchu niewiasty, niewiele mówiącej, lecz nakazującej poszanowanie obejściem się swem i dumą.

Izby te gościnne, choć nizkie, przestronne były

i wspaniałe, drogi w nich suknem słane, na ścianach zbroje, obrazy, przy drzwiach naczynia do wody złociste, tarcze malowane na ćwiekach, po stołach opony ze złotogłowia i jedwabiu, puhary, cebrzyki, nalewki, kubki złociste i mnogość wielka wszelkiego naczynia na półkach. Na ławach i siedzeniach, jakby trony królewskie poduduszkami wysłanych, wszędy leżał szkarłat, a powietrze, wonnościami wschodniemi przejęte, zapach miało, jaki po kościołach z kadzielnic tylko się dobywa.

Izb takich okazałych ciągnęło się kilka za sobą, że było w nich gdzie i dużo ludzi pomieścić i, gdy pierwszej zdumiało się oko, jakby je na to obrachowano, idąc w głąb, rosnął coraz podziw, bo coraz większa rosła wspaniałość. Gdy wchodzili do trzeciej komnaty, w której siedzenie wysłane wskazał gospodarz dla biskupa, Jaksa, idący za nim, ujrzał w progu dalszych mieszkań stojącą Błogosławę, która w białej sukience z rozpuszczonym włosem i zielonym wianuszkiem na nim, przyszła poklęknąć przed ks. Janikiem, prosząc go o błogosławieństwo.

A była wśród tych izb nieco przyciemnionych, jakby jasnością otoczona; wszyscy, co na nią patrzyli, stanęli w niemem osłupieniu nad promienistą jej pięknością i po licu matki szczęśliwej przebiegł uśmiech dumny...

Z tych drzwi czarnych wychodząc, zdała się zjawiać jakby cudem, a w izbie stało się od niej jaśniej i weselej. Lica się wszystkim uśmiechały.

Ucałowawszy rękę biskupią, piękna dzieweczka wstała, zarumieniona, a nim Jaksa olśniony przypatrzeć się jej lepiej zdołał, znikła znowu za ciemną oponą.

Słudzy zatem poczęli nieść dzbany, kubki, biały chleb słodki krajany w koszach srebrnych, napoje i zamorskie łakocie.

Siadła zdala pani Petrkowa, opat na niższem krześle podle biskupa, Jaksa skrył się nieco w kąt, a za nim poszedł młody Światosław, bo go miał za swojego gościa i z twarzy wraz polubił, a czuł się pociągniony ku niemu.

Widział Jaksa, gdy się Błogosława przesuwała, iż wzrok jej padł na niego i że poznać go musiała, tak jak

pani Petrkowa, bo obie pamiętały go z kościoła, ale żadna z nich tego po sobie znać nie dała.

Gospodarz, nie siadając sam, biskupowi służył, przez uszanowanie dla dostojeństwa i dlatego też może, iż starcowi ruchawemu ciężko było wytrwać na miejscu.

Wśród tego złota, dostatków i przepychu ów jeden, odziany z prosta, wyglądał prawie na sługę, tak niepozornym był, acz skinienia jego wszystko słuchało.

Gdy starszyzna po cichu wiodła rozmowę z sobą, Światosław, z Jaksą jednolatek, do niego się przywiązał. Dobra znajomość pomiędzy rówieśnikami wnet została zawartą, wyszli razem do drugiej izby, swobodnie na ławie siadłszy, rozgadać się o młodzieńczych sprawach. O czemże, jeśli nie o psach, koniach, sokołach i zbrojach.

Światosław, choć rycersko chowany, więcej miał w sobie natury matki, niż ojca, więcej w charakterze spokoju i pańskości. — Jaksie niewymownie się podobał, może z tego, iż oczyma niebieskiemi, rysami twarzy i łagodnym jej wyrazem piękną swą siostrę przypominał. Z obu stron chłopcy powzięli ku sobie przyjaźń wielką.

Z pytań w pytanie Jaksa prawił o swoich wędrówkach, Światosław skarżył się, że tęsknił za oglądaniem świata Bożego. Przyznał się, że oprócz służby, rówieśników innych i druha nie miał, ani zabawy z młodzieżą.

— Jaka to szkoda — mówił — że wy tu przy stryju swym, biskupie, nie zamieszkacie, miałbym z was pociechę jak z brata!

Jaksa też ofiarował się mu bratem być, zapraszając w gościnę do siebie, utyskując nad tem, że jak Światosławowi, matka mu się mało od siebie oddalać dozwalała.

Tak różne opowiadając przygody, dwaj młodzi dużo czasu razem w izbie sam na sam strawili, a Światosław poznosił do niej miecze i łuki nowe, jakiemi go ojciec obdarzał, aby Jaksa, próbując, dał o nich zdanie swoje.

Wtem z drugiej komnaty biskup o bratanka wołać zaczął. Pani Petrkowej już tam nie było, siedzieli

tylko wokół biskup, gospodarz i opat, cicho coś gwarząc, gdy Jaksa pośpieszył na wezwanie.

— Słuchaj-no, miły mój — rzekł ks. Janik, zwracając się do niego — oto ci się z porady pana Petrka przygodzi, iż darmo doma gnuśnieć nie będziesz, bo to młodemu nie przystało. Jakby ci się to zdało, gdybyś listami opatrzony, na dwór ks. Władysława jechał i tam się rycersko zabawiał? Kraków miasto niczego, tyś do Niemców nawykł, znajdziesz ich tam dosyć.

— Wdzięczen muszę być za łaskę pana Petrka— odparł, kłaniając mu się, Jaksa; — jechaćbym jechał, gdzie starsi poradzą, byle nie zależeć pola; aliści dwór ks. Władysława z wielkiego rycerstwa nie słynie. I to jednak nie waży, tylko, gdy mi Pan Bóg ojca nie dał, pani matce mojej opowiedzieć się muszę.

— Słuszna! poczciwa! — dodał biskup — albowiem powiedziano: szanuj ojca i macierz twoją, chceszli długo żyć na świecie; pani matce zaś powiedzieć możesz, iż ja sobie tego życzę, abyś na dwór jechał, i widzę tego potrzebę.

Spojrzał znacząco na bratanka, na którego Petrek patrzał też oczyma bystremi, jakby go nawskroś chciał przeniknąć.

— Potrzeba, ażebyście tam jechali — dodał poufnie, zniżając głos nieco — i dla was się to zda i dla drugich. Tylko nie dworować około Niemki, która jest zdradliwa i zła, a starać się o zachowanie u księcia ks. Od Agnieszki mieć się na pieczy. Około pana obracając się, napatrzycie się i nasłuchacie, a nauczycie rzeczy wiele, co młodemu zda się nie dziś, to jutro. Na grodzie wśród lasów siąść zawczasu, a dziczeć — na to was szkoda.

Jaksa zdziwiony był trochę tem staraniem nagłem o los swój, ale więcej się już nie odzywał. Podziękował panu Petrkowi za dobrą wolę.

— Doświadczycie tego — odparł rubasznie gospodarz, po ramieniu go uderzając — żem ja wam szczerze życzliwy. A jakżebym nie miał nim być, gdyśmy powinowaci? Swoi się kupą zawsze trzymać i o sobie zapominać nie powinni.

Rozmowa przeciągnęła się trochę jeszcze aż do zmroku, poczem biskup ruszył się, do odjazdu zabierając. Jakby wiedziała o tem pani Petrkowa, wyszła z za opony dla pożegnania, a za nią zjawiła się znowu jasna postać Błogosławy z włosy rozpuszczonemi i wianuszkiem u skroni, przemknęła, jak cień uśmiechnięta. Znowu Jaksa pochwycił jej wejrzenie, a tak go ono swą siłą do miejsca przykuło, iż zapomniał, kędy był i co się dokoła niego działo. Patrzał na nią i za nią, i zdało mu się jakby we drzwiach znikając, zwróciła się ku niemu, na jedno oka mgnienie, niby go szukając wzrokiem. Było to może złudzenie.

Wychodzącego Marka młody Światosław przeprowadził, pod rękę go ująwszy, zmawiając się z nim, aby nazajutrz razem ze psy i sokoły na łowy ciągnęli i obiecując zajechać po niego.

Weselszy daleko, niż jechał na ten dwór, powracał Jaksa z biskupem. Ks. Janik poszedł zaraz do pacierzy swych i oczekujących nań księży, a Marek został sam z Żułą, który chciwie o dwór pana Petrka i o przyjęcie na nim dopytywać się zaczął. Stary ciekawy był bardzo, a dla otyłości mało się mógł ruszać. W ciągu opowiadania, gdy o Błogosławie napomknął, młody mimowolnie się zarumienił, wymawiając jej imię, Żuła chwycił go, śmiejąc się, za ręce.

— A no! — krzyknął—więceście widzieli to cudo, tę biała gołąbkę, która się w gnieździe Petrkowem nie wiedzieć skąd wzięła? Nie ujmując Petrkowi, do jastrzębia albo kobuza podobniejszy jest, niż do ojca takiej ptaszyny złotej. Dziki i prosty człek, choć doszedł wielkich skarbów i mocy wielkiej. Jeszcze starzy ludzi pamiętają, gdy od czeskiej granicy w kilka pono koni tu przybył, ofiarując się na służbę królowi: zwano go naówczas rycerzem z Donina. Urósł potem prędko i księżniczkę za żonę dostał i takiej córki ślicznej i syna dorosłego — i włości niepoliczonych i skarbów, o których cuda prawią. A muszą być wielkie, gdy niemi na kościoły sypie i sypie i nie ubywa mu nic...

— Córka godną króla zaślubić! — dodał, unosząc się, i ręce składając Żuła.

— Piękniejszej nad nią widzieć trudno, tam nawet, gdzie na pięknościach nie zbywa! — zawtórował Jaksa.

— A wiano po niej — rzekł Żuła — mało powiedzieć, dziesięć kubłów złota i dziesięć wozów srebra!

Wziął się aż za głowę stary.

— Ale też tam — dodał — prostemu rycerzowi, ziemianinowi na jednym — dwu gródkach ani się posunąć. Chowają ten rajski kwiatek dla mocnej dłoni dla pańskich rąk! Oboje wysoko patrzą — szczególniej sama Petrkowa, która się kniahinią nazywać każe. A mówi, słyszę, głośno: — niech mąż z synem robi, co chce, córkę ja wydam sama, i nie dokąd, tylko tam, skąd jej matka, aby na stolicy siedziała.

Jaksa posępnie spuścił głowę.

— Szkoda będzie tego kwiatu, gdy go nam zabiorą — rzekł Żuła — ale bab mamy siła, zostanie tego zawsze dosyć. Każda z nich hoża, póki wianuszek nosi, a wszystkie potem więdnieją prędko, że ich nie poznać! I tę pewnie nie inny los spotka, bo piękność, jak kwiat— kiedy rozkwita — przekwita.

Śmiał się, prawiąc tak, Żuła, a Jaksa milczał. Drugiego dnia jechali ze Światosławem na łowy, cały dzień biegając ze psy i sokoły, tak, że późno już na noc wrócili do miasta. A że podle dworu i góry Sobótki jechać im było trzeba, Światosław zabrał przyjaciela z sobą na wieczorny chleb.

Ledwie doń zasiedli, gdy, pewnie o obcym niewiedząca siostra nadbiegła do brata. Jaksa się porwał, ujrzawszy ją i o mało nie spłoszył strwożoną, gdy go ujrzała. Brat ledwie na chwilkę mógł ją powstrzymać zapytaniami o rodziców.

Gość miał czas, stojąc z wlepionemi w nią oczyma, przypatrzeć się jak chciał, ślicznemu dziewczęciu. Serce mu w piersi kołatało, gdy ona, jak dziecko zuchwałe mierzyła go ciekawem wejrzeniem.

Widział ją uśmiechającą się do brata. Słyszał mó-

wiącą takim głosem, jakim rajskie śpiewają ptaki i wydała mu się zblizka stokroć piękniejszą, niż zdaleka, a gdy odchodząc, na pożegnanie oczyma rzuciła ku niemu płonąc cała, ledwie na kolana nie padł przed nią.

Gdy potem do dworu biskupiego wracał, po tej wielkiej radości, która tak krótko trwała, zrobiło mu się w sercu smutno i tęskno, i sam nie wiedział, dlaczego począł strasznie boleć nad sobą. Na świecie mu było pusto i czarno — nieznośnie...

Żuła, który wyszedł go witać, słowa zeń dobyć nie mogąc, domyślał się trafnie, że sokoły ks. Janika musiały się źle popisać.

V.

Stary gródek, w którym podówczas mieszkali Jaksowie, co się z Miechowa pisali, był w Komorowie. Lasami ogromnemi otoczony, na pagórku tkwił niewielkim, ale wałami mocnemi obwarowany, choć nieobszerny, ani pokaźny, sławił się jako najstarsze w tej ziemi gniazdo rodu Jaksowego.

Jak wszystkie takie przedwieczne grodziska, zdala na to, czem był, nie wyglądał. Ludzie wszakże wiedzeli, że w Komorowie Jaksowie mieli skarbiec książęcy i wszelakiego dostatku moc ogromną. Ci, co się dworu dotykali, służyli i stróżowali około niego, opowiadali, że jako jeden gród był na górze, tak drugi większy daleko, niedostępny dla nikogo, w górze samej, pod ziemią się mieścił, a chodnikami z niego kędyś wyjść było można w świat niepostrzeżonemu. Opowiadano też, że w wykutych w ziemi izbach i komnatach stały kadzie złota, leżały stosy srebra, jak w lesie drzewo, gdy je robią i składają.

Prawiono cuda, tego jednak nikt obcy nie widziła nigdy, gdyż zawsze tylko jeden z rodziny znał tajemnicę wchodu i wychodu, a nie powierzał jej nikomu aż na łożu śmiertelnem. Mówiono też, iż były zaklęcia jakieś straszne, co przystęp do podziemiów śmiertelnym dla obcych czyniły.

Powiadano, że gdy raz, sto lat temu, Połowce na zamek wtargnęli i dobyli się do wnętrza, znikli z niego ludzie wszyscy, jakby cudem, że oprócz koni w stajniach i psów, żywego nie znaleźli ducha a łupu też, bo go miano czas gdzieś unieść i poukrywać — Przypisywano to czarom i sile jakiejś nieznanej, której lud pospolity lękał się wielce.

Do zamku wiodły jedne wrota z wieżycą drewnianą, ale te pominąwszy, szło się szyją między wałami dwoma i dopiero drugiemi wroty wchodziło w dziedziniec. Tu w pośrodku stał dwór stary z ogromnych modrzewiowych kloców, jakby na wieki zbudowany. Takich drzew, z jakich go zestawiano, już potem lasy nie widziały. Były to pono pierwsze, co tu urosły, po narodzeniu się ziemi i po opadnięciu wód, a każdy pień był tak przepotężny, że ludzie w kilku jednego objąć nie mogli, a tak twarde, że ich topór nie imał, i szczerbił się, jak na kamieniu. Więc choć ten dwór setki lat stał, zdrów był i cały, tylko posiwiał i zczerniał miejscami. A drasnąć było tę skórę, którą nań włożyły wieki, świeciła z pod niej miąższ zdrowa, żółta jak wosk.

W ścianach grubych siedziały małe, starodawne okienka bez błon, z okienniczkami szczelnemi, które mało co światła do środka puszczały i drzwi były nizkie i wszystek pozór nie teraźniejszy.

Ten, co to budował, nietylko o moc dbał, ale i o ozdobę, bo w tych kłodach po rogach, po belkach, nad drzwiami powyrzezywał dziwolągi, jakich chyba nigdy na świecie nie bywało i żadne oko ludzkie ich nie widziało. Siedziały tam, jakby na postrach, poczwary z głowy ptasiemi, z nogami lwów, z łapami niedźwiedzi, ze skrzydły rozpostartemi, to niby orły z paszczękami wilczemi, to smoki jakieś z pozakręcanemi ogony wężowemi. Niegdyś potwory te malowane były, ale barwy z nich dawno zmyły deszcze i wypaliło słońce do szczętu.

W osobliwszym tym starym dworze latem gwarno było około tych poczwar, bo w ich gardłach gnieździło się ptactwo, kręciło po nich i szczebiotało, tak, że one drewniane rzeźby żyć się i gadać zdawały.

W Komorowie mieszkała matka Jaksowa, pani wielkiego rodu, kędyś z za Łużyc, czy od Pomorza wzięta. Poganką ją pono zaswatał był stary Jaksa, przywiózł na dwór swój ochrzcił i tu się dopiero nowej wiary uczyć musiała. Miał po niej wziąć skarby bardzo wielkie, ale i w niej samej skarb wziął, bo niewiasta była osobliwa, którejby nie jeden mąż nie sprostał.

Powiedziano o niej, że gdy straciła pana swego, a sama jedna w domu z synaczkiem pozostała, i Jaksowie stryjeczni chcieli jej dać opiekuna, którym pono wybrać miano owego otyłego Żułę, albo brata jego, później zmarłego, tak się im postawiła, że tykać jej nie śmieli i nie wtrącali się więcej, dając z synem czynić, co sobie upodoba.

Wyszła naówczas owa mężna niewiasta, nawpół z męska odziana, włosy sobie ustrzygłszy, mężowską zbroję skórzaną z łuskami na się włożywszy, z mieczem, i toporkiem, na ręku synaczka niosąc — i stawiła się im pytając, czegoby chcieli? A gdy rzekli, że opiekę jej dać mają, rozśmiała się smutnie, odpowiadając, że nie potrzebuje żadnej, oprócz Bożej, że ludzi i mienie utrzymać potrafi a — dali Bóg nieprzyjaciół i na wojnę sama ze swem zawołaniem po wsiach i opolach pojedzie — a choćby i na czele ich stanie.

Stryjowie, rozmówiwszy się z nią, już się tam nie zgłaszali, a Hanna trzymała majętności, jak żaden mąż— żelazną ręką. Gdy było potrzeba, dosiadała konia, jechała, skarżyła, na dwór królewski szła, do biskupów, do sądów, krzywdy sobie żadnej czynić nie dając.

Tak się wszyscy dziwowali niewieście mężnej, że potem nikt jej nie śmiał zaczepić.

Gdy jeden z Doliwów zajechał jej ziemię na granicy, dopóty nań czyhała, aż związanego, porwawszy na łowach, nie wsadziła do więzienia na zamku, a nie puściła go, aż jej z sześciu poręczycielami poprzysięgać musiał, że więcej krzywdy czynić nie będzie i zemsty wszelkiej zaniecha.

Mimo to, co od niej ucierpiał, tak się potem w niej ów Doliwa rozmiłował, iż ją za żonę chciał mieć, na co mu odpowiedziała, iż tam, skąd ona była, niewiasty z mężami szły na stos, a kiedy dla dziecka żyć musiały, nie ślubowały powtórnie nikomu, bo się za umarłe światu liczyły...

Teraz już lat mając pod sześćdziesiąt, Jaksowa silną jeszcze była, jakby skamieniałą, nie w czas, niewygodę, trud znosząc jakąś siłą młodą, która w niej pozostała.

Tak samo, jak na koniu gotowa była we skwar i mróz przesiedzieć dzień i noc, tak pod dachem, w domu umiała rządzić dziewkami, dworem, od kądzieli i krosien nie stroniąc. Tylko gdy do spokojnej siadała roboty, na usta jej przychodziły pieśni jakieś stare, dziwne, niezrozumiałe nikomu, że ludzie, podsłuchując ich czasem pode drzwiami, słupieli. — Głos miała mocny, na wpół męzki, smutny i poważny, a w trąbkę tak zadąć potrafiła, że w jej ustach innego nabierała głosu i brzmiała niby piorun, grzmot, albo jakiś wrzask nadludzki.

Pomimo starości, nie była jeszcze brzydka, trzymała się prosto, a że jej dawno piersi wyschły, wyglądała na mężczyznę i była gibką, a zwrotną i silną, że nieraz z łowów przyniesionego kozła za rogi ująwszy, do góry podniosła.

W twarzy ogorzałej, nieco już pomarszczonej, widać, było smutek wieczny i zadumę, ale razem spokój i siłę. Trwogi po sobie nie okazała nigdy.

Duchowni nie byli z niej bardzo radzi, zwali ją nawet poganką dlatego, że ich niebardzo słuchać chciała, ale szczedrą dłonią sypała im zawsze. Do kościoła chodziła, znajdując się w nim przystojnie, pilnując, aby i czeladź tam uczęszczała, a no potem pilniej jej było do swojego śpiewu, do roboty jakiej, niż do długich modlitw i pacierzy.

Surowa dla wszystkich pani, dla jednego dziecka swego była jakby inną. Nie było dla niej na świecie, tylko ono jedno, dla niego życie-by dała i wszystko. Chowała go tak tą miłością wielką, że nigdy karcić nie potrzebowała.

Długie lata młody Jaksa był przy niej nieodstępnie, pilnowała go, nie spuszczając z oka. Na pierwsze łowy,

w pierwsze pole sama z nim wyjechała. Potem do Krakowa sama ruszyła szukać dlań klechy, coby go uczył innych rzeczy, których ona nie umiała. Tam siedziała, dopóki nie znalazła takiego, co się jej dał powodować i tej był myśli dla dziecka, co ona.

Stał mu tedy ów klecha za pierwszą szkołę, potem ten sam jechał z nim w świat do szkół innych, aby się chłopię przecierało, naostatek owemu ks. Marcinowi, gdy święcenia wziął, dała plebanię i wieś do niej za wierne usługi.

Był teraz ks. Marcin proboszczem w Miechowie i nic mu naganić nie mógł nikt, bo, choć wówczas mało który pleban żony nie miał, on żył jako mnich, około chwały Bożej pracował wielce, tylko więcej pono po siołach ludzi nauczał, niż śpiewał w kościele, co mu drudzy za złe mieli.

Długo będąc nauczycielem chłopca, nabrał tego nałogu bakalarstwa i po wsiach dzikich apostołować chodził, nauczał, chrzcił, a tęsknił do ludzi opuszczonych, do ślepych, aby im nieść światło.

Dwór Jaksowej w Komorowie prawie z samych starych sług był złożony, z dawnych męża jej ludzi, lub ich dzieci. Było dosyć wolnego i niewolnego ludu, a nikt tam ani biedy, ani głodu nie zaznał; dostatek był zawsze, zbytku nigdy. Sama pani to jadała i tem żyła, co jej sługi. Nosiła się ciągle napół po męsku, w butach chadzając, w sukni krótkiej, z nożem u pasa, przyczem, gdy w domu białą namitkę włożyła na głowę, nie wiedzieć było, czy niewiastę człek miał przed sobą, czy męża.

Od kilku dni spodziewała się pani Jaksowa syna. Zrazu, gdy Marek zbłądził i nie wracał, a ludzie, co z nim na łowach byli, do domu poprzybiegali, rozpaczając, że go znaleźć nie umieli, zatrwożyła się mocno o jedynaka. Wyjechała sama z gromadami, plądrując lasy i szukając syna. Nigdzie śladu jego nie znalazłszy, uspokoiła się potem, będąc tej myśli, że się tylko zapędzić i obłąkać musiał. Ufała w to, że dziecko po niej i po mężu wzięło siłę i męstwo, łacno się nie da ani ująć, ani pokonać, ani zastraszyć, ani uśmiercić. Czekała więc dosyć spokojna, gdy nadbiegł sługa od ks. Janika, przez którego nakazała, aby nie bawił z powrotem. Czekała go więc co godzina.

Nad wieczór wreszcie dnia jednego zjawił się młody, matce do nóg się kłaniając, która go słowa nie rzekłszy, do piersi przycisnęła. Dopiero, jakby odetchnąwszy, odezwała się do niego:

— Srogiegoś mi niepokoju o siebie napędził. Minęło to, siadaj, spocznij i praw, coś czynił.

Począł Marek od początku, jak mu się na łowach nie wiodło, jak się zapędził, obłąkał, po puszczach przedzierał, jak potem biskupa spotkał, jak u niego czas spędzał, a poznał Petrka i rodzinę jego, o której stara dużo wprzódy już słyszała.

Nawykły był syn nic nie taić przed matką, więc mówiąc, jak Błogosławę zobaczył, a potem ją widział raz wtóry i trzeci, nie ukrył tego, że mu się dziwnie piękną wydała i że uroda jej stała mu na myśli ciągle. Tak się też, mówiąc o niej, rozciągał szeroko z pochwałami i opisy, iż matka poznała łatwo, że mu dziewczę mocno się upodobać musiało.

— Dziewka piękna być może—odezwała się, — ale ona nie dla ciebie, a ty nie dla niej. Nie dlatego, abyś jej nie był wart, bo Jaksowie od innych kniaziów nie gorsi, ani żeby bogatsi byli, albo mocniejsi od was— ale nie takiej żony, a mnie synowej trzeba. Niech będzie piękna jako chce, co mi po niej? Królować zechce i przewodzić u nas, a jam się na niczyją sługę nie rodziła, ani ty masz być nim kiedy! Wolę prostą dziewkę, z której, jak z ciasta korowaj, ulepię, co zechcę dla ciebie i dla siebie, niż taką królewnę, przed którą my padać będziemy musieli.

I pomilczawszy, dodała:

Pamiętaj i o tem, że pieniądz i skarby zdradą kupione, nie szczęszczą się. Czem Petrek tak wielkim się stał? Na wojnie zdobycz, choć krwią zbroczona, swoją też jest obmyta—a ta...

Potrzęsła stara głową.

— Nie—nie. Nie myśl o tej dziewce!

Jaksa się smutno uśmiechnął.

— Myśleć o niej po dobrej woli nie będę, a mimowoli muszę, bo mi się upodobała.

— Zapomniećby lepiej—dodała matka.—Tyś mąż i pan, uczynisz sobie co zechcesz, ja, choć matka, rozkazywać ci nie będę,—ale twoja dola nie tam! nie tam!

Przyznał się dopiero Jaksa, że go na dwór ks. Władysława wysyłać chciano, przypisując to biskupom i powiadając, że sam nie był od tego, aby pożyć w Krakowie. Stara i na to głową potrząsała.

— To już inna sprawa—odezwała się,—w tem będzie stanowić wola twoja; ja ni za tem, ni przeciw temu. Nie radabym cię wypuszczać z domu; inaczejem sobie układała, ale doli się opierać trudno. Jaksowie zawsze przy książętach bywali i u nich rośli;—rób co chcesz, jakoś winien. Rozmów się jeno wprzód z ks. Marcinem; — stary kocha cię, jak ja, i wychował, a Kraków i ludzi zna. Posłyszysz, co on powie.

Dla starej Hanny słowo i sprawa były jednem. Ledwie napomknęła o ks. Marcinie, nie upłynęło dwa pacierze, gdy biegł posłaniec do Miechowa po niego.

Nazajutrz rano ks. Marcin się stawił. Stary był silny jeszcze, ale już wielce skołatany, głowa mu ciężyła ku ziemi, gięły się barki, a gdy dłuższy czas siedział, trząsł się. Okryty prostą suknią czarną, w wysokim birecie, z kijem w ręku, z nogami nabrzękłemi, na których onuczki tylko i chodaki nosić musiał wszedł staruszek wesoło do dworca, znanego sobie od lat tylu, w którym był jak w domu, błogosławiąc, uśmiechając się, szukając oczyma wychowańca.

— Gdzież mój chłopiec?—pytał po drodze.

Gdy go zobaczył, kij mu z rąk wypadł, usta się roześmiały, wziął go za głowę i całować zaczął. Jaksa też, jak ojca po rękach go i ramionach całował. Matka, stojąc a patrząc, śmiała się razem i płakała.

— Siadaj, ojcze—ozwała się,—byłeś nam potrzebny. Mnie baby on nie posłucha, ani ja mogę rozumu mu mojego narzucać; tobie ufa, tyś stary—rozmówcie się o tem, co mu radzą i gdzie go wiodą.

Ks. Marcin wciąż jeszcze patrzał, uśmiechał się, oczów nie mogąc oderwać od pięknego chłopaka, którego niemal od dziecka na rękach nosił. Znowu Marek musiał rozpocząć opowiadanie całe o łowach, obłędzie, o tem, co widział i słyszał, co mu naostatek radzono. Tylko w opisie dworu Petrkowego pominął Błogosławę, nie wspominając o niej wcale. Było to może niemniejszym znakiem, że go obchodziła, od wyznania, matce uczynionego.

Ks. Marcin, posłyszawszy o tem, że ks. Janik na dwór ks. Władysława chciał Jaksę słać, zadumał się głęboko i długo nic nie mówiąc, ważył i rozważał. Dopiero, gdy Jaksa dokończył i zamilkł, odezwał się nierychło.

— Co ja ci mam mówić? co radzić? Jam prosty człek, a toć pasterz, osoba wysoko siedząca, widząca daleko. Ja nizko stojąc, tylko to, co blizkie dostrzedz mogę. Czemże mój mały rozum biedny przeciw jego mądrości? Ks. Janik sam stryjem jest, więc jakby ojcem, bo własnych dzieci nie ma. Życzy ci pewnie dobrze, widzi bystro; mogęć ja stawać przeciw niemu i moje proboszczowskie obawy kłaść na szalę? Ani mi się to godzi czynić, anibym śmiał...

Pomyślał chwilę.

— Na dwór jechać? czemuż nie? Tamtędy droga do żupaństwa, na województwo do wszystkiego przy łasce pańskiej i do srogiego też boju z ludźmi zazdrosnymi. Dwór, dziecko moje, toć zwierzyniec, do którego i dzikiego i swojskiego napędzają stworzenia, gwoli uciesze pańskiej. Znajdzie się tam jak w zwierzyńcu, wszelaki zwierz dobry i zły, dziki i swojski, i łanie gładkie, i wilcy okrutni, i lisy chytre; ale lew pan i lwu tam służy, co żyje! Kto w łaskach u lwa, ten w niełasce u ludzi, choć mu czołem bić będą, a padnie na kogo niełaska—łatwo traci głowę i życie. I dobrze tam jest i źle. — A ciągnież cię co do dworu?

Jaksa poruszył ramionami.

— Cóż mam poczynać w domu?

— Pewnie—potwierdził ks. Marcin,—młody się poruszać musi, aby w nim krew nie zaskrzepła.

A spuściwszy głowę na piersi, tak ciągnął dalej głos zniżając:

— Jeżeli na dwór, dlaczegóż na pana Władysławowy, chyba że najpierwszy i najznaczniejszy?—Wierzę, iż pan dobry jest, miłościwy i cnoty ma ojcowskie, ale mu jednej brak—mężem nie jest! Miękki pono do zbytku, słaby, w pychę go wbijają Niemce, rządzi nim niewiasta; ludzie szepcą, że tylko co nie widać, jak się rzuci na braci. Takci bywało i u nas, i gdzieindziej. Cesarze i ich bracia a dzieci dla dzierżenia potęgi się pożerali. Ale na jednego Władysława a kupkę Niemców jest trzy dzielnice i trzy młode prawice, a za niemi stoją pasterze, stróże sprawiedliwości. Łacno go spotkać może, co spotkało syna Ryksy. Po niego potem szli ludzie, bo ziemia była bezpańska; po tego nie pójdzie bodaj nikt, bo jest komu wodze wziąć... Krucho siedzi Władysław na Krakowie, jeśli prawda, że przeciw braciom spiskuje—a pocóż ci siadać do dziurawej łodzi?

Dokończywszy, ks. Marcin smutnie się zadumał.

— Wy to, mój ojcze, widzicie proroczemi oczyma—odpowiedział Jaksa,—ale to wszystko we mgłach jeszcze... Wszyscy młodzi książęta siedzą jeszcze na dzielnicach swoich i rządzą w nich, Władysław doma się trzyma i nie odzywa się.

Ks. Marcin się począł uśmiechać.

— Ludzie, co z Krakowa jadą, inaczej mówią—odezwał się.—Wróżą, że tam lada dzień coś wybuchnie. Sposobią się wojska, choć niema nieprzyjaciela, ludzi ściągają i płacą. Księżna Agnieszka pokoju mężowi nie daje, aby sam jeden królował koniecznie.

— Toć jam człek wojenny—zawołał młody—do wojny się powinienem sposobić: czemubym nie miał tam iść, gdzie się ona gotuje?

— Dziecko moj—odparł ksiądz—albo to wojna z Niemcami, z pogany, z Pomorzanami, z Lutyki z Połowcami i Rusią? To wojna, w której Jaksa będzie musiał iść na Jaksę... Doliwa na Doliwę, Bogorya z Sandomierza na Bogoryę z Krakowa. Brat na brata, jak książę sam na swych rodzonych. Takiej wojnie Pan Bóg nie błogosławi.

— Prawda, mój ojcze—rzekł Jaksa;—nie myślałem o tem; ale nim do niej przyjdzie i czy ona będzie?

— Na dwór ci się chce—przerwał ksiądz,—to darmo—ciągnie cię tam! Na Komorowie ciebie strzymać, gdy jedna stara matka, a drugi stary sługa przytrzymać chcą—trudno.... Nie wiąże cię nic!

S ara matka słuchała rozmowy, to zbliżając się, to oddalając; po tych słowach podeszła ku nim.

— Ojcze mój—odezwała się,—jemu jut trzeci lat dziesiątek dochodzi. Wygląda młodo, ale mu na gniazdo czas, tembardziej, że w gnieździe jest jeden. Zrywa się stąd, jak ptak, co pary szuka. Sam nie wie, czemu i za czem mu tęskno, toć wola Boża.

Ks. spojrzał, Jaksa się zapłonił cały.

— E!—rzekł—nie tak mi pilno, jak się matusi zdaje!

— Ty sam nie wiesz o tem, a oko matki patrzy w ciebie i widzi w głąb, aż do wątroby.—Cóż w tem złego. Mnichem nie chciałbyś być! Jeden jesteś u mnie, mnie wnuki kołysać czas. Mnie też pilno. Żenić się trzeba—żenić.

Zwróciła się ku księdzu.

— Prawda—ojcze?

— Tak, tak mówi apostoł—szepnął ks. Marcin,—potrzeba by się żenił, kto w grzechu żyć nie chce.

Przerwał stary. Jaksowa nagliła.

— Mów, ojcze, za mną; p awda, niech się żeni? Ja powiedzieć tego, jak ty nie umiem.

— Ani ja, ani ja—mruknął ks. Marcin.—Nie nasza rzecz małżeństwa i niewiasty zalecać, bo wiele między niemi złych jest i złego wiele przez nie przychodzi, a mało takich, jak wy, pani matko, coś dziecku za ojca i macierz stała.

— Jak ja?—smutno się śmiejąc, podchwyciła wdowa.—Ja niewiastą byłam na chwilę tylko i to krótką; los mój uczynił mnie, ot czemś, ni babą, ni mężem. Ani się już zdam do niewiast, ani mi się godzi mężem zwać. Matkąm ledwie umiała być, żoną począwszy, aby osierocić rychło. Poszedł mój do grobu i co niewiasty we mnie było, zabrał z sobą. Mnie za przykład nie stawcie.

Ja innej dla niego chcę; takiej, jakiej chyba nigdzie niema, coby umiała być żoną i matką a niewiastą, — bo mu lice kraśne potrzebne, i usta śmiejące się i ręce białe.

Ksiądz się ofuknął, strzepując rękami.

— Dajcież pokój! dajcież pokój, pani Hanno! Co synowi głowę mącisz! Niechaj sam sobie żony szuka, to najlepiej; znajdzie ją, to pobłogosławimy.

Wdowa bystro spojrzała na syna.

— Niechaj szuka i sam—dodała,—a niech na gniazdo pamięta. Wiana mu nie potrzeba, złota nie łakniemy, mocy też mamy w sobie dość, ino by poczciwa krew, a serce dobre.

Ksiądz się niecierpliwie poruszył.

— Toście mnie tu widzę ściągnęli, — rzekł; abym ja jemu kazanie o małżeństwie prawił — nie moja to rzecz!

— Do małżeństwa nie wiem, jak przyszło—odparła stara,—chciałam pytać o radę, czy na dwór jechać, czy nie?

Ksiądz podniósł do góry ręce, a potem głowę i oczy.

— Jam stary i ślepy, nie widzę nic—rzekł broniąc się,—boję się wszystkiego. Powtórzę, com mówił. Pasterz tak chce, stryj radzi... nie wiódłby na zgubę.

— Ja też tak sądzę—odezwał się Jaksa.

— A ja znam ks. Janika—przerwała matka,—szanuję go, poczciwy jest, lecz bystrego wzroku niema. Gdyby o psa lub sokoła szło nie spierałabym się.

Potrzęsła głową, syn się rozśmiał, stary ksiądz usta otworzył, zdumiony śmiałą mową, bo nawykł był zwierzchników duchownych szanować.

— Niedarmo mnie poganką zwą—ciągnęła dalej stara Hanna;—gdy stoi u ołtarza, pasterz on dla mnie i ojciec, a gdy w izbie, siedząc u kubka, ze psy się zabawia, taki człowiek, jak drudzy.

— A toć istne pogaństwo! — wykrzyknął gwałtownie ks. Marcin.—Mowa grzeszna! Nie taki on człowiek, jak drudzy, bo namaszczony jest na żywot cały, nie na godzinę jedną, którą stoi u ołtarza. Kapłanem on i pasterzem zawsze! zawsze!

Stara poganka, usłyszawszy mowę gorącą, zamilkła chmurno.

Co miała rzec, dwóch przeciwko sobie znajdując. Czoło się jej namarszczyło, podparła twarz na dłoni i nie odezwała się już więcej.

— Matusiu—rzekł Jaksa, widząc matkę smutną, — nie bójcież się wy o mnie. Kraków nie za górami. Pojadę, popatrzę... służba nie wiekuista, ani niewola. Źle będzie, nie po myśli, precz się usunę... Niech ks. Janik nie mówi, żem łaską jego pogardził, żem radę odrzucił; niech się pan Petrek na mnie nie gniewa.

— Od Petrka zdala, zdala—mruknęła matka.

— Bogobojny to pan jest—odezwał się, głowę skłaniając ksiądz.—Daj nam Boże takich jak najwięcej!

— Wam, ale nie nam!—prawiła Hanna sierdzisto. — Wam on za grzech swój płaci, to go miłujecie, a ja go za grzech ten nie cierpię!

— Bóg grzechy sądzi i cnoty waży! A kto bez grzechu?—odparł ks. Marcin. — Nie rzucajcie kamieniem!

— Ja go nie chcę ani sądzić, ni widzieć, ni słyszeć on nim!—zakończyła Hanna, zwracając się ku synowi, który z rumieńcem na twarzy pozostał milczący.

Ks. Marcin nie odezwał się też, nie mogąc dobrze zrozumieć, co starą tak oburzało i w niepokój wprawiało.

Dla Jaksów nawet, choć ci się do najmożniejszych rodów liczyli, Petrkowa córka była małżeństwem wielkiem, niosła z sobą nietylko bogactwa ojca, ale związki jego i znaczenie po wszech ziemiach. — Poganka jednak nie chciała jej dla syna, obawiała się.

Bogaty a tak nagle i dziwnie wywyższony ulubieniec Krzywoustego, dla starych rodów miał zawsze na sobie znamię obcego przybysza, co się gwałtownie dobił znaczenia i przywłaszczył stanowisko. Obawiano się go dla gwałtowności wielkiej, zuchwalstwa, z jakiem się wszędzie stawił, na równi chcąc być bodaj z panującymi, i szanować się każąc, choć sam nie chciał uszanować nikogo. Obawiała się też przezorna matka wciągnięcia syna przez Petrka w niebezpieczne zabiegi, w niespokojne

jego i ruchawe życie. Wolała go widzieć panującym w swoim domu, niż posłusznym towarzyszem palatyna. Miała przeczucie, że Petrek, co się zawsze rzucając, szedł coraz dalej, nie pozostanie przy tem, co miał, nie ograniczy się samem budowaniem kościołów, które teraz po wszech ziemiach stawił, o czem szeroko głoszono. Wielkie te ofiary samej pobożności przypisać było trudno, tłumaczono je więc pokutą za grzechy dawne, które ludzie, wymyślali przez zazdrość, bo mąż silny był współzawodnikom solą w oku. Nasłuchała się o tem stara Hanna i brzydziła tajemniczym tym władyką, który urósł z niczego.

Jaksa postrzegł, że z matką już o pięknej córce Petrkowej mówić nie było sposobu, pomyślał sobie jednak w duchu, że gdyby ją raz przywiózł do Komorowa, Hanna-by ją, podąsawszy się, za córkę przyjąć musiała, a urokowi jej oprzećby się nie mogła.

VI.

Niemal wiek cały upływał od czasu, jak Szczodry na zamku krakowskim z Boleszczycami uczty wyprawiał. Opuszczony po nim gród doczekał się dopiero za Krzywoustego nowego życia, a z niem i miasto u stóp zamku rozsiadające się i przedmieścia poczynały coraz bardziej zaludniać się i ożywiać.

Kilka kościołów wznosiło się już wpośród wałami otoczonej stolicy, kilka domostw kamiennych widać było tu i owdzie. Reszta z drzewa budowana, wśród ogrodów i zieleni skryta, nie miała pozoru miast dzisiejszych. Nawet dokoła wielkiej targowicy wpośrodku otoczonej szopami, na słupach wspartemi, gdzie były gospody dla kupców obcych którzy ciągnąc przez ziemię tę, stawać w nich musieli—niewiele wspanialej wyglądały budowy.

Nigdy u nas miasta samą ludnością miejscową na

prawdziwe ule mieszczańskie urosnąć nie mogły; nie znano u nas miast, ino wsie i targowe rynki. A wieś u nas, jak dwór, była obozem rozbitym wśród wygodnego miejsca namiotem, w którym się koczowało, nie zasiadając na wiekuistość.

Starodawny nałóg czysto wojowniczego i rolniczego narodu nie dopuszczał zamykać się po grodach ciasnych, chyba z musu. Ludzie potrzebowali roli dużo, powietrza wiele, swobody, ruchu i wolności dla siebie. Nie lubiono miasta, jak więzienia, w mieście też panowała gromada, człek się stawał jej niewolnikiem: na wsi każdy w domu był u siebie panem.

Obyczaj miejski przynosili z sobą cudzoziemcy, Niemcy najwięcej. Jeszcze dla nich nie nadszedł był czas zawojowywania koloniami swemi krajów całych, jak to później rozpoczęli, ale już w dwunastym wieku wciskali się gdzie mogli, bezkarnie, z bronią w ręku, ziemi zagarniając jak najwięcej. Znienawidzony Niemiec płynął od pierwszych Piastów do Polski potajemnemi drogami, wioząc towary, przynosząc religijną naukę, rozpościerając się po dworach pańskich, w których wszystko poczynało być niemieckie: żony, sługi, dwory, księża, zbroje i sprzęty.

Cesarze, książęta dawali chętnie siostry swe i córki do Polski, wiedząc, że tym sposobem drogi sobie do niej ścielą. Nie mogąc orężem, pokonywano Mieczysławów i Bolesławów wpływem ich żon, które choćby nawet z klasztoru brać im dopuszczano—byle królowały. Za księżną szedł kapelan, marszałek, służebne, rycerze, język, obyczaj.—A że niemieccy książęta nabrali ogłady od Włochów, tu się ona podobała i przyjmowała.

Po ojcu Krzywoustym wziął Władysław Kraków, mało jeszcze mając czasu coś w nim odmienić. Ale ojciec jego panował stąd w całej ziemi, jemu przypadała część jej tylko i prawo braterskiego starszeństwa, głowy rodu i domu. Ze skarbców, ze zbrojowni, ze wszelkiego mienia trzeba było oddać młodszej braci część na nich przypadającą, a tych strat nie wynagrodził

posag księżnej Agnieszki, która więcej z sobą przyniosła dumy, niż zasobów i skarbów.

Dla tej pani i zamek się musiał przystrajać na nowo, bo nie zapominała, że była siostrą przyrodnią cesarz^. . Chciała tu nie na dzielnicy jednej skromnie siedzieć, ale nad całym krajem panować.

Krzywousty wistocie najstarszego uczynił głową i dał mu władzę zwierzchnią nad braćmi, ale oni byli równymi mu książętami, z których każdy panował u siebie. Wspólne tylko niebezpieczeństwo i sprawy wspólne miały ich gromadzić pod chorągiew starszego. Ziemie były w związku z sobą, ale nie w podległości, krakowska dzielnica siostrą starszą i szła przodem.

Tu zaś w Krakowie nie pomału się około tego krzątano, jakby rozbite ziemie w jedno zlać, władzę w jedną rękę dać, a młodszą bracię wydziedziczyć. Mówiono o tem głośno, wzdychano, nie tając się.

Zamek roił się Niemcami, a i ci z domowej służby, którzy nimi nie byli, na sposób niemiecki przystrojeni i uzbrojeni chodzili.

Gdy Jaksa przybył do Krakowa z listami biskupiemi i zaleceniem od Petrka, dosyć dworno w kilkanaście koni, nie jechał wprost na zamek, ale obyczajem ówczesnym, gdy gospód dla rycerstwa w mieście nie było, wprosił się do bogatego mieszczanina, Lorka, który Jaksów zdawna znał i chętnie ich u siebie podejmował. Stąd dopiero, przyodziawszy się, miał się udać do biskupa i do księcia Władysława.

Stojąc jeszcze w ulicy a rozglądając się, postrzegł od zamku idącego strojnego i zbrojnego mężczyznę, który, jakby tylko co z konia zsiadł, przy ostrogach w płaszczu sunął kędyś szybko między ogrody. Młody chłop ów, wyglądający na dworaka, wiekiem równy Jaksie, pogwizdywał, idąc, a oczyma rzucając na wszystkie strony; twarz mu się śmiała, był dobrej myśli. Mijał już dworek Lorka, niespostrzegłszy Jaksy, gdy ten, wpatrzywszy się w niego, poskoczył doganiając uchodzącego.

Gdy z ks. Marcinem w Niemczech na naukach

był, trafiło mu się, że syn niemieckiego pana Helmut z Pfordten razem z nim czas jakiś w Trewirze bawił, gdzie się z sobą pobratali i poprzyjaźnili.

Twarz, ruch, głos wszystko w przechodzącym tak mu Helmuta przypominało, iż choć nie rozumiał, coby on tu mógł robić, postanowił zblizka się przekonać, ażali nie sam on był.

Gdy Jaksa poskoczył, a idący się ku niemu odwrócił, wlepił weń oczy zdziwione naprzód z wyrazem groźnym, potem począł się doń uśmiechać.

— Helmut?

— Jaksa! — zawołali prawie razem.

— Żem ja się tu znalazł, dziwu niema — roześmiał się Jaksa, — bom ja na swojej ziemi i niedaleko od swojego gniazda—ale wy!

— Ja? — odparł Helmut. — Trzeba, żebyście wiedzieli, mój miły, że prawdziwemu rycerzowi gniazdem jest ten ziemi kawałek, gdzie on zatknie włócznię swą z proporcem. Potrzebna mu włóczęga i szukanie przygód. Dopiero na starość, gdy nogi się połamią grzbiet zgarbi, siada gdzieś w starej, jak sam, dziurze, aby tam kości położył!

— Ale cóż cię tu do nas mogło przyprowadzić?

— Ochota przypatrzenia się, jak się tu u was żyje, co na północy za rycerstwo? Jak wyglądają dziewczęta wasze! — rozśmiał się Helmut. — Ja bowiem żyję dwojgiem tylko—wojną i miłością.

— Toś się do nas źle wybrał, przyjacielu — rzekł Jaksa; — wojny podczas nie mamy, Bogu dzięki, a niewiasty nasze po waszych trudno, aby się wam podobały!

— Jestem przy dworze ks. Agnieszki — odezwał się Niemiec; — nie jest tu tak bardzo źle. Naprzód, że ma przy sobie dosyć naszych dziewcząt niemieckich, a potem, boć to nikomu nie tajno — dwór to dziś jeszcze książęcy, ale wprędce urośnie, królewskim się stanie, więc jeszcze przybędzie mu rycerstwa i niewiastek.

Jaksa niedowierzająco potrząsał głową.

— Hm — a ty? — spytał go Helmut.

— Ja także na ten dwór myślę się dostać ale je-

szcze nie wiem sam, czy będę przyjęty i czy się pomieszczę.

Niemiec słuchał już roztargniony, śpieszył się i wyrywał, poglądał w ulicę, szepnął coś żywo na ucho Jaksie, podał mu rękę i pobiegł. Łatwo się było domyśleć, że gdzieś miał upatrzoną piękną mieszczankę, za którą gonił. Polowanie to jednak nie musiało się poszczęścić, bo w pół godziny powrócił do Jaksy kwaśny, zły, po niemiecku klnąc polskie dziewczęta, że się do nich zbliżyć nie było podobna.

Siedli razem w izbie, którą Lorkowa dla gościa opróżniła i teraz dopiero szerzej rozmówić się mogli. — Helmut pochwalał bardzo Jaksie, iż na dwór księcia, a raczej księżnej przybywał, gdyż zdawał się znać tylko ks. Agnieszkę. Zapewniał, że pani młode twarze i młodych ludzi lubi, a rada świetnym się otaczać orszakiem.

— Ja bo księżnie służyć nie myślę — przerwał Jaksa.

— A komuż?—spytał Helmut.

— Księciu—rzekł Marek.

Rozśmiał się Niemiec i dziwną zrobił minę, jakby go sobie bardzo lekko ważył.

— Nie ujmuję waszemu księciu — rzekł — zacny pan jest, ale masz to wiedzieć, żeć przecie przy siostrze cesarskiej on wiele znaczyć nie może. Kiedy ją brał ks. Władysław, łacno mógł obrachować, że ona tu panować musi.

— To u nas nie jest w obyczaju—rzekł Jaksa.

— Nie wiem, co jest w obyczaju—odparł Helmut — lecz kiedy was to szczęście spotkało, że wam dano przyrodnią cesarską — musicie ją poszanować. Ona też sama wie, co jej należy i nie da o tem drugim zapomnieć. — Udasz się do księcia, on sam nie uczyni nic, odeśle cię do Dobka. Dobek zapyta ks. Agnieszki, a że ona zwykła się zdawać na niego, wyszłoby na jedno, gdybyś odrazu wprost Dobkowi się pokłonił.

Jaksa, chociaż słyszał o ulubieńcu księżnej, udał, jakby go nie znał, nie wiedział o nim, pytając:

— A Dobek ten, cóż to zacz?

Na to pytanie Helmut ręce załamał.

— Skądże przybywasz?—zawołał.

— Z mojego gródka—rzekł spokojnie Jaksa.

— I o Dobku tam nie wiecie?

— Wiem o naszym księciu, o wojewodach, żupanach, urzędnikach, o ojcach duchownych — ale o Dobku? Cóż mi tam jeden jakiś dworak! Któż on? Polak? Niemiec?—począł Jaksa zwolna.

Helmut dziwować się począł.

— Patrzcież go! — zawołał — na dwór jedzie, nie wiedząc, co się na nim dzieje, kto tu rządzi i co kto znaczy!

— Nauczże mnie—rzekł obojętnie Jaksa.

— Trafiłeś na takiego, co więcej zgaduje, niż wie— począł Helmut — zawsze jednak pono lepiej od ciebie będę uwiadomiony. Co do pana Dobka, mnie się on napewno wydaje Niemcem, choć on i za waszego brata uchodzić i sprzedawać się umie. Za młodu pono dostał się do was, i żył tu, powracał do Niemiec, chleba wszelkiego kosztował, jest tym, kim mu być potrzeba. U księżnej Agnieszki on wszechmocny, marszałkuje u niej, u króla nadwornemu rycerstwu hetmani, trzyma klucze do skarbca, jest pierwszym doradcą, — a reszty możesz się sam domyśleć, bo mi się mówić nie godzi.

Helmut począł się śmiać.

— Chcesz rady i przestrogi —dodał—masz wiedzieć, że tu niema w Krakowie jeno księżna pani, a Dobek; — książę się z dziećmi bawi, na łowy jeździ, gonitwy sprawia i wczasu używa. Do niego ci darmo iść i prosić o cokolwiekbądź—nie może nic!

— Mam silne polecenia i listy od stryja mojego, biskupa—wtrącił Jaksa.

— Zostaw je w kieszeni — przerwał Helmut,— więcej ci to zaszkodzić, niż pomódz może. Choć obcy, nasłuchałem się przypadkowo mów różnych.—Z bi-

skupami my tu nie konieczniešmy w przyjaźni. Od Wrocławia zaś zawiewa owym Petrkiem, którego tu nienawidzą. Dobek zazdrości mu i odgraża się nań. Wnet cię w podejrzenie podadzą listy i niechęć ściągną.

Roztropny Niemiec wistocie dał życzliwą radę i Jaksa musiał uznać, że miał słuszność.—Potrzebował się dobrze rozmyśleć, co miał począć teraz, a gdy Helmut po długiem siedzeniu go pożegnał, Jaksa, który gotów był na dwór jechać, wstrzymał się ważąc z sobą, jak postąpić.

Ciągnęła go młodzieńcza ciekawość, — wstyd się było cofać, a lękał się fałszywego postawić kroku. Zrażało go od dworu to szczególniej, iż ten miał być pełen nieprzyjaciół Petrka, a on właśnie dla niego i rodziny najgorętszą powziął życzliwość. — Z drugiej strony, jeśli co knowano, czy nie należało mu się rozsłuchać, dojść, aby w porę ostrzedz zagrożonego?

Tak jeszcze wahając się, poszedł dnia tego na dwór biskupi, niosąc pokłon od ks. Janika.

Po wrocławskim biskupim dworze tutejszy wcale odmienną miał postać; podwórca stały ciche, ludzi było niewielu, spokój wielki, duchownych więcej, niż rycerzy, niż sług i świeckiej drużyny. A świeccy nawet tutaj mieli wpół klesze postawy i obejście.

Przystęp do pasterza nie był trudny; wpuszczono go natychmiast. Staruszek przygarbiony z twarzą łagodną, włosy siwemi, wyszedł powolnym krokiem ku niemu, na kiju się opierając.

Był to Rupert Korabita, niegdyś także wrocławski pasterz, potem krakowski, mąż miłujący spokój, dla ubogich dobroczynny, wszystkim przystępny, ale już podeszłym wiekiem oderwany od świata i więcej o przyszłych myślący rzeczach. Pierwszy był to pono pasterz w Polsce, co po kilkudziesięciu leciech pasterstwa w jednej owczarni, przeszedł z niej na drugą.

Gdy mu Jaksa od ks. Janika poselstwo sprawiał, na wspomnienie Wrocławia uśmiechnął się staruszek i westchnął głęboko.

— Z Wrocławia więc jedziecie?—odezwał się — o! jak miło mi was widzieć! Tęsknię dotąd za moją pierwszą owczarnią i trzodkąw iernych, z którymi tak dobrze mi było; wprawdzie niech Imię Boże będzie błogosławione, dobrze jest i tu! ale się dawne lata chętnie na starość wspomina.

Potrząsł głową siwą.

— Tutaj stolica, pański dwór, ludzi wiele, tłumno, gwarno, pokoju mniej, a ja więcej go dziś pragnę.

I począł rozpytywać o Wrocław, o Petrka, o opata, o wiele osób i rzeczy, o których Jaksa mało mu powiedzieć umiał.

W ostatku rozjaśniło się, o co szło, iż ks. Janik prosił, aby ks. Rupert młodzieńca do dworu pańskiego polecił i wstęp mu doń mógł ułatwić.

Starzec pilno i długo popatrzył na mówiącego.

— Do zalecania jam się mało zdał, pono, dziecko moje — odezwał się biskup; — u dworu niewiele mam zachowania, szczęścia do niego jeszcze mniej. Księżna pani ma kapelana Niemca, księcia ja widuję mało, chyba czasu uroczystości. Na nas duchowną starszyznę źle tam patrzą, zwłaszcza na ojczyców, cośmy tutejsi.

A po chwili szepnął biskup półgłosem:

— Marszałek Dobek nie jest mi życzliwym.

Znowu ze wspomnieniem o Dobku spotkawszy się, Jaksa mógł się przekonać, że niedarmo o jego wpływie i mocy mówiono powszechnie. Ks. Rupert, zaraz zmieniając rozmowę, powrócił do wrocławskich rzeczy, do ks. Janika i Petrka, o którym sobie rozpowiadać kazał wiele, bo go szanował i kochał. Naostatek, nie obiecując nic i nie ofiarując pośrednictwa swego, któreby się przydać nie mogło, staruszek opuścił Jaksę z błogosławieństwem.

Nie pozostawało więc nic, jak nazajutrz samemu na dwór iść i drogę sobie torować. Nie myślał jednak za radą Helmuta ani Dobka szukać, ani się do księżnej wciskać, ale wprost księciu się stawić.

Gdy wypocząwszy po drodze, rano się na zamek wybrał, słońce już było wysoko na niebie. Koni i ludzi

nie brał, nie widząc potrzeby, bo do zamku było niedaleko, a tam się dworno stawić na nic nie zdało.

W bramie znalazł straż niemiecką z halabardami, która go przepuściła, nic pytając, zobaczywszy rycersko odzianego młodzieńca. W dali pode dworem widać było liczną zwijającą się czeladź, odzianą barwy jasnemi, w sukniach przepołowionych, pół czerwonych, pół żółtych, strojną i żwawą.

U drzwi jednych gromada ich stała znaczna. Jaksie zdało się, iż tu być musiały komnaty książęce. Dwornia, zmierzywszy go oczyma z uśmiechem i lekceważeniem, gdy o księcia zapytał, odprawiła, wskazując drugą wystawkę, przed którą dwóch starszych ludzi siedziało na ławach.

Trafił Jaksa omyłką do ks. Agnieszki dworu, a że się tu chwilę dla zapytania zatrzymał, marszałek z okna, zobaczywszy nieznajomego odzianego przystojnie, sam wyszedł przez ciekawość ku niemu.

Łatwo się było Jaksie domyślać w nadchodzącym owego Dobka, którego też dość ciekaw był. A miał się komu przypatrzeć, bo marszałek był pięknym mężczyzną, wzrostu okazałego, statury męskiej, włosów ciemnych, piersi wypukłej, w sile wieku i zdrowia. Przedstawiał się pańsko i rycersko, strojny aż do zbytku, jakby na dzień świąteczny, choć był powszedni, jakby się chciał sobą chwalić i popisywać.

Oblicze miał wesołe, rumiane, oczy jasne, ale jakby szklane, nie mówiące nic. Mężczyzn i kobiety czasem natura takiemi na świat wydaje, jakby ich na szyderstwo tworzyła; da im wszystko, co potrzeba, aby pięknemi byli, tylko w nich duszy nie włoży. I chodzą te istoty, jakby złe latarnie, w których światła nie zażegnięto. Takim właśnie był ów piękny Dobek, który, choć nań patrzeć miło było, ani rozumu, ani szlachetniejszego nic w sobie nie miał. Piękność ta znikała, gdy się w nią pilniej wpatrzeć było.

Już Jaksa, zdala go zobaczywszy, miał odchodzić, gdy marszałek skinął nań i zapytywał, czegoby potrzebował?

Choć ze wstrętem zapytany odpowiedział, że się księciu panu chce pokłonić.

Więcej z niego nie mogąc dobyć, Dobek, który się spodziewał pokłonu dla siebie, dumnie usta wykrzywiwszy, dał mu ku drugim się drzwiom obrócić. Tu owi starzy słudzy, na zapytanie o pana, trochę okazawszy zdziwienia, iż ktoś zapragnął widzieć ks. Władysława, do którego mało się kto wprost udawał, powiedzieli mu, że książę nocą z łowów powrócił i jeszcze zasypia—ale wkrótce się pewnie obudzi.

Dodał jeden, wskazując izbę, że jeśli chce poczekać, tam może. Po cichu wszedł do niej Jaksa.

Stała prawie pusta, kilka psów się w niej wylegiwało; te posłyszawszy nadchodzącego, głowy popodnosiły, ziewnęły i znowu się spać pokładły. Kilku dworskich w ciemnych kątach drzemało na ławach; pacholąt dwoje szeptało coś, przekomarzając się z sobą.

Siadł Jaksa na ławie, cierpliwości zażywając, co chwila się spodziewając jakiegoś końca oczekiwania i nie wiedząc, czy siedzieć dłużej, czy odejść precz.

Przed jednym ze starszych, co tu na przebudzenie pańskie oczekiwali, stał zegar piaskowy, z którego zwolna piasek ciekł, a gdy się do ostatka wysypał, stary poruszał się, przewracał naczyńko, siadał wygodnie i patrzał osłupiałemi oczyma, jak ziarenka z jednego naczyńka w drugie zwolna się przesypywały. On i ta klepsydra stanowili niby jedną istotę stworzoną do mierzenia czasu bez czucia jego biegu.

Kiedy niekiedy wśród ciszy jeden ze psów mruknął wyciągając się; drugi przez sen zaskowyczał, pacholę w kącie śmiech tłumiąc, prychnęło i znowu wracało milczenie grobowe.

Od niedalekich drzwi księżnej pani aż tu dochodziły głosy wesołe i dźwięczne: tam się wszelkie życie zamkowe skupiało.

Jaksa nie wiedział jak długo to już trwało, bo przewracania klepsydry nie liczył, gdy wreszcie na odgłos klaśnięcia w ręce, weszli dworzanie do komnaty pana, posunęli się za nimi z naczyniami, wodą i ręcznikami

pachołkowie, trochę ruchu się wzięło. Zaniesiono księciu polewkę ranną, wprowadzono doń dwa psy ulubione. Za zasłoną drzwi słychać było rozmowę prowadzoną zwolna, głosem donośnym i jasnym.

Zbyt długo się tu napróżno wyczekawszy, Jaksa miał odchodzić z niczem, gdy jeden z podkomorzych dał mu znak, że książę wynijdzie wkrótce. Na tego przybysza niezwykłego wszyscy też patrzyli mocno zaciekawieni i zdumieni, jak gdyby się nigdy nie trafiało, by kto ze sprawą, z prośbą, z pokłonami do księcia się udawał.

Naostatek podniosła się zasłona, przodem wystąpiły dwa psy ogromne, za niemi szedł stary otyły mężczyzna z laską, po nim dopiero sunął książę, którego Jaksa domyślił się z tego, że miał głowę nakrytą. Inaczejby może trudno go rozeznać wpośród dworu, gdyż postawy pańskiej nie miał.

Blizko pół wieku już przeżywszy, Władysław na twarzy wyryte miał jakby zobojętnienie do życia; spokój i łagodność jej graniczyły z odrętwieniem. Oczyma rzucał i poglądał tak, jakby go to, co widział, niewiele zajmowało, ani radowało, ni smuciło. Rysy już nieco rozlane, nie piękne były, ani brzydkie, strój nie objawiał dbałości o powierzchowność i okazałość. Suknie na nim leżały tak, jak mu je dano i włożono, nie troszczył się o nie wiele. Jedna poła płaszcza wlokła się po zi mi, druga zadzierała do góry, rękaw założonym był na prawej, spuszczony na lewej ręce.

Zobaczywszy nieznanego Jaksę, książę mocno się wpatrzył w niego. Stanął i oczyma zdawał pytać, coby on tu robił?

— Miłościwy panie — odezwał się młody, schylając mu się do kolan — jestem Marek Jaksa z Miechowa.

— Jaksa? — powtórzył książę. — Jaksów wiem. Cóż chce Jaksa z Miechowa?

— Przychodzę służby moje ofiarować miłości waszej.

Książę wysłuchawszy, popatrzał, nic nie odpowiadając, mierzył go oczyma wpółsennemi, od stóp do głowy, jakby nie wiedział, co ma odpowiedzieć — wreszcie zawahawszy się, odezwał:

— Gdzieżeście przedtem byli?

Niedobrze zrozumiał to zapytany.

— Miłościwy panie — odparł — nie służyłem nikomu.

— Nie byliście u nikogo na dworze? — powtórzył, uśmiechając się, książę.

— Nie, wprost z domu na dwór wasz idę — rzekł Jaksa.

Ks. Władysław zdawał się coraz bardziej zdumionym.

— Rycersko pewnie służyćbyście radzi — rycersko, bo to wam przystało.

— Co miłość wasza rozkażecie, spełnię — odparł Jaksa.

Podniósł rękę książę, dumał niepewny jakiś i rzekł wkońcu:

— Dobrze, do Dobka z tem. To jego rzecz — tak, do marszałka, do Dobka!

Powiódł oczyma dokoła, ziewnął, kładąc krzyż na ustach prędko, uśmiechnął się, dobrotliwie młodzieńca po ramieniu poklepał — mruknął — piękny chłop! i począł iść dalej. Jaksa stał, nie wiedząc, co ma czynić.

Rozkazanie pańskie spełnić było potrzeba, zawrócił się nazad w podwórze i rad nierad, u dworzan pytać począł o marszałka Dobka, bez którego nic się tu nie działo.

Marszałek był już u swej pani, czekać mu nań kazano. Miał czas przypatrywać się dworowi wesołemu, strojnemu, ruchawemu, a znać w dobrym bycie, bo sobie wszyscy cugli puszczali.

W ubiorach wielka panowała rozmaitość i przepych, tu i owdzie słychać było nawoływanie tytułami różnemi, oznajmującemi o nieznanych jakichś urzędach i urzędnikach dworu księżnej, jakby na cesarskim, mnogich a obco brzmiących.

Wyszedł nakoniec Dobek od księżnej, któremu, gdy Jaksa drogę zastąpił, opowiadając się z rozkazania książęcego, marszałek spojrzawszy nań, za sobą do izby swej iść kazał.

Jakby dla okazania zamożności swej, wiódł go przez kilka komnat, pełnych przeróżnej zbroi, rynsztunków i naczyń. W ostatniej sam na krzesło zasłane siadłszy, zwrócił się marszałek do Jaksy, dopytując, czegoby chciał, tymczasem oglądając go, jakby konia na targowicy, co młodemu wielce się nie podobało.

Oba tak, jak to często się trafia, od pierwszego wejrzenia powzięli jakąś niechęć ku sobie. Dobek za złe mu miał, iż się naprzód do niego nie stawił, Jaksie wstydliwem się zdało ladajakiemu ulubieńcowi zmuszonym być się zalecać. Stawił się dumnie dosyć, jak na możnego rycerza przystało.

Marszałek poczuwszy w nim jakąś siłę, wkrótce się udobruchał i na ławie miejsce mu ukazawszy, począł dość uprzejmą rozmowę. Jaksa o młodości swej mu rozpowiedziawszy, śmiałością swą widocznie go zjednał. Począł tedy Dobek prawić niejasno coś, że wkrótce ludzi rycerskich bardzo potrzebować może, zatem i Jaksie miejsce w wojsku poczesne łatwo się znajdzie.

Na zapytanie, jakaby wojna była na widoku, Dobek się uśmiechnął, bródkę gładząc i zagadkowo tylko mruknął, że to się niebawem okaże.

Potem zalecał wierność księciu i sypał obietnicami nagród wielkich, jakich się od niego spodziewać było można; nareszcie pytać począł, co słychać było od Sandomierza, Gniezna i Płocka, a innych ziem. Odparł Jaksa, że mało o tem wiedzieć może, bo długo doma nie był, a ludzi wielu nie widział. Badał go tak marszałek czas niemały, chcąc zeń coś dobyć, aż o Wrocław i ks. Janika zaczepiwszy, ożywił się jeszcze mocniej, gdy usłyszał, że biskup Jaksy był stryjem.

— Jeżeliście u pana stryja waszego bywali — rzekł—to i pana Petrka widzieliście?

Rumieniec mu na twarz wystąpił, a choć się ha-

mował, widać było, że samo wspomnienie Petrka gniew w nim wielki obudziło.

— Małom co tam widział, bom i niedługo był — rzekł Jaksa.

— To szkoda! — zawołał szydersko Dobek — jest się tam przecie czemu przypatrzeć! Petrek nie lada panek, z książęty się mierzy i na równi stać gotów. Napasł się dobrze za nieboszczyka króla, ledwie dysze. Sam w zszarzanej sukni chodzi, a sługi złotogłowem okrywa i dwór trzyma, jak książę udzielny... Warto było przypatrzeć się mu, póki jeszcze tem jest, czem go Krzywousty zrobił, a co długo nie pożyje!

Na te zjadliwe i pełne nienawiści wyrazy Jaksa nie odpowiedział wcale; słuchać mu ich było przykro. Marszałek, raz wpadłszy na to, pohamować się nie mógł i sierdził coraz mocniej, wybuchał, szydził niemiłosiernie. Rozgadał się tak nad miarę.

— Dużo u nas panów i panków— mówił — na tych ziemiach, które księciu naszemu, jako starszemu wszystkie należą, dużo narodziło się wszelakich... Godziłoby się trochę uczynić ładu, aby znali, kto tu panem.

Jaksa patrzał tylko i słuchał, a milczenie biorąc za potakiwanie, marszałek brnął coraz śmielej.

— Strach, co panów mamy — ciągnął dalej. — Oprócz świeckich, toć i biskupi stoją narówni z świeckimi książęty! Ks. Jakób ze Znina na Gnieznie właśnie tam nad nimi głową, jak książę krakowski nad braćmi! Niewiedzieć, kogo słuchać i kłaniać się komu!

Ruszył ramionami.

— Naszego pana w tym tłumie, choć najwyższym powinien być, ledwie widać, a dotąd i mało o nim słychać było!!

— Wszyscy mu jednak należnej czci nie odmawiają—szepnął Jaksa.

Bystro nań spojrzał Dobek.

— Nie bójcie się — zawołał, — nie da on sobie jej odjąć! Dobry jest i powolny do zbytku, ale z tego snu, gdy się przebudzi, potrafi nakazać posłuszeństwo!...

I czas też, aby okazał, że dba o władzę swoją, czas! czas!

Nie dobywszy nic więcej z Jaksy, Dobek popatrzał mu w twarz, jakby w niej chciał myśl wyczytać i zakończył.

— Wy służby potrzebujecie u księcia, a nam ludzi brak, więc łatwa zgoda. Zbierzcie ludzi swych, gromadźcie, uzbrójcie, aby na zawołanie stawali — to będzie służba wasza. Starajcie się być w pogotowiu, nagroda nie minie...

Jaksa, wysłuchawszy go, pokłonił się i wyszedł znużony.

U wyjścia spotkali się z Helmutem, który, pod rękę go wziąwszy, do izby gdzie się starszyzna gromadziła, zaprowadził. Tu już jeno niemiecki szwargot słychać było, a gdy zobaczono obcego idącego z Niemcem, jak swojego, otoczyli go wszyscy.

Na stole stały dzbany i gąsiory, wszyscy byli dobrej myśli, śmiano się i podśmiewywano. Niemiecki dwór księżnej hałaśliwie się zabawiał, rozwalając po ławach, rozsiadując się na nich, jak na koniach, pasując się, sił próbując i prześmiewając służbę domową, która mowy jego nie rozumiała.

— A no! — zawołał Helmut — jużeś się wpisał do naszych? Zostajesz więc z nami? Siedziałeś długo u Dobka, zaciągnął cię?

— Książę mię posłał do niego!

Uśmiechali się niektórzy, oczy przymrużając.

— A Dobek co? — mówił Helmut. — Powinien był cię do księżnej pani okazać, bo bez niej, jej rozkazania i woli przyjętym być nie może nikt!

— Ale ja w służbę do księżnej iść nie myślę! — odparł Jaksa ostro.

— Do księcia, czy do księżnej, obojętna to rzecz — mówił Niemiec, — ona tu panią i nad panem. To się wie i tak być powinno. Książę dobry myśliwy, a kłopoty z głowy zrzucił i z tem lepiej.

Śmieli się niektórzy, przerywali i zagadywali różnie; Jaksa musiał się od nich z Helmutem usunąć na stronę, nie chcąc ani słuchać szyderstw i przekąsów, ani się o nie kłócić.

— Nie mam tu co robić — rzekł do towarzysza,— pójdę spocząć do miasta.

— Zabawiałbyś się!—wtrącił Helmut.

— Ba, i nauczyć się mógł dużo! — zawołał zdala opasły Niemiec szydersko, chcąc widocznie przybysza podrażnić.

— Czego?—zapytał Jaksa.

— Rycerskiego wiele, czego tu u was nie umieją zgoła i czego wy też pewno nie znacie! — rzekł opasły.

Jaksa się zżymnął.

— Miły panie, was na nauczyciela nie wezmę.

— A zdałbym się takiemu młokosowi, jak wy — krzyknął drab, kręcąc wąsa i pobrzękując na mieczu.

— Arnulf, daj pokój — zawołał Helmut, widząc, że się zabiera na zwadę.

— Dlaczego mam dać pokój? — podniósł głos Niemiec, — dlaczego? Butnemu chłopcu nosa trzeba utrzeć, aby go nie zadzierał.

— Patrzcie tylko, abym ja wam też czego nie utarł! — zawołał, burząc się, Jaksa.

Helmut, ręce rozstawiwszy, hamował obu, widząc, że się im oczy iskrzyły i pięści ściskały.

— Chodź się spróbuj!—krzyknął Arnulf.—Chodź!

— Ja na to nie pozwolę — przerwał Helmut — to jest mój stary towarzysz i druh — biorę się za niego.

— I obu się was nie zlęknę! — zaryczał Arnulf, zrywając się z ławy.

Świadkowie tej zwady, śmiejąc się, radzi uciesze, poczęli wołać:

— Na podwórze! na podwórze!

Helmut pochwycił Jaksę pod rękę i wszyscy tłumnie, popychając się, tłocząc do drzwi, wytoczyli gromadą na dziedziniec zamkowy. Przede drzwiami księżnej miejsce było nie do zapasów, oparli się dalej, gdzie za dworcem piaskiem wysypany widać było

plac. Jaska szedł tak zburzony, że mu ręka na mieczu trzęsła się, krwią miotana.

Niewiadomo do czegoby przyszło z tych wyzywań, gdyby Helmut, który towarzysza nie opuszczał, nie począł wołać:

— Na rękę się wyzywać na zamku niewolno! Chyba kto chce gardło dać! Z Dobkiem nie żarty!

— Swoim nie wolno dworowi, tak! — krzyknął Arnulf, — a przybłędę jakiegoś obciąć, kto mi zabroni?

— Naprzód patrz ty, abyś sam nie oberwał,— za przyjaciela się zastawiając, odparł Helmut. — Ja go znam i wiem, co może.

Jaksa stał spokojnie.

— Próbujcie się — dodał pierwszy — zgoda, ale nie przeciw obie, tylko co kto może, co kto umie!

Na wałach stała wywieszona tarcza biała z drzewa miękkiego. W pośrodku niej niewprawna czyjaś ręka czarnym węglem nakreśliła człowieka niby strasznego, z głową ogromną, na dwóch pałkach stojącą. Poznać go było można po dziurach czarnych, które oczy, nos i gębę oznaczać miały.

— Dawaj kusze i strzelajcie! —zawołał Helmut— będzie próba, kto lepszy.

— Nie zdragam się — odparł Arnulf, chwytając podaną kuszę.

Jaksa stał, w boki się wziąwszy, i patrzał.

— W łeb Petrka!—krzyknął Helmut.

Drgnął Jaksa, słysząc, jak tego poczwarnego człeczka zwano, zaśmieli się inni.

— Nie w łeb, ale w jedno, a potem w drugie oko z kolei; gdy oślepnie, dopiero go zwalić! — rzekł inny.

— Cóż to za Petrek? — spytał Jaksa towarzysza, uderzony tem przezwiskiem.

— A jakiżby miał być, jeżeli nie ów wrocławski, którego Dobek cierpieć nie może—rzekł Helmut. — Ale o tem potem... Patrzno w tarczę!

— W oko!—wołał ktoś z boku.

Arnulf począł mierzyć, kuszę oparłszy, i puścił

bełt, który poszedł utkwić w prawo po nad głową i czapką narysowanego pana Petrka.

Tymczasem Jaksa chwycił inną kuszę na ziemi leżącą, obejrzał ją a gdy Arnulf swoją ze złością cisnął, podjął tę porzuconą i począł naciągać w milczeniu. Wszyscy się z wielką uwagą przypatrywali.

— Do Petrka żadnego ja strzelać nie myślę i nie będę, bo mi ani żyw, ani namalowany nie zawinił nic, do czegóż więc? hę? Wszak ci tam nad tarczą pręt stoi?

Arnulf się rozśmiał szydersko, inni głowami potrząsali, Jaksa położył kuszę na widłach i mierzył długo a uważnie.

Brzękła struna; spojrzeli wszyscy chciwie, bełt tkwił w kołku i drgał, jakby się z nim pasował.

Arnulf, słowa nie rzekłszy, zawrócił się i poszedł ku dworcowi sam, a Jaksa, kuszę położywszy, pożegnał dworaków zdumionych i do gospody pociągnął.

VII.

Nie było co robić w Krakowie, pozostał jednak Jaksa we dworku u mieszczanina, bo i z ust Helmuta, i z różnych stron dochodziły go coraz gorętsze wieści o przygotowaniach wojennych; zdało mu się obowiązkiem wywiedzieć się o zamiarach księcia i donieść o nich stryjowi i panu Petrkowi.

Wcale się już tu nie tajono z tem, że księżna słabego męża gwałtownie nakłonić się starała do wywłaszczenia braci, zgniecenia wszystkiego, co stało na drodze do połączenia ziem rozdzielonych w jedno ciało. Petrek, który dobrze był z młodszymi braćmi Władysława i sprawę ich głośno popierał, zdawał się największą zawadą... Odgrażano się przeciwko niemu i na biskupów nawet, jeśliby, jak się zdawało, w obronie testamentu króla stawać chcieli.

Drugiego dnia pobytu w Krakowie, Helmut przyszedł nawiedzić towarzysza. Przyniósł z sobą wiadomość, że wróciły posły z Rusi od krewnych księcia, od których żądał posiłków na braci. Radość była na zamku wielka, gdyż obiecywano wojska z Rusi, a z niemi iść miały ogromne hordy Połowców, którym wszystkie wojska królewiczów oprzećby się nie mogły.

Helmut nie krył nic przed Jaksą, którego za sługę księcia już liczył , a gdy o tem mówiąc, napomknął, iż Dobek naprzód Petrka sprzątnąć się będzie starał, bo go za najniebezpieczniejszego uważa, dodał, uśmiechając się:

— Nie wierzę ja w to, żeby jeden taki palatyn mógł coś ważyć i znaczyć, ale Dobek nań ząb ma i zemstą płonie, a skarby jego nęcą.

— Za cóżby się mścić miał?—zapytał Jaksa.

— Mało kto wie, oprócz poufnych marszałka—rzekł Helmut, — ale tak jest, iż Dobek wprzódy pokornym był i wielce się Petrkowi wysługiwał. Rzucił okiem na córeczkę jego; tej mu się w małżeństwo z wianem chciało. Mówią, że gdy się z tem odezwał do Petrka, począł się palatyn śmiać i rzekł mu, że córki jego dostanie chyba, gdy na sosnach rosnąć będą żołędzie... Szyderstwem odprawiony, Dobek zemstę poprzysiągł i czyha na Petrka, aby mu wziął i córkę, i skarby, i życie!

Nasłuchawszy się, co tu knowano, Jaksa miał już wprost na Szląsk do biskupa z tem powracać, gdy Helmut oznajmił mu, że właśnie przybył do Krakowa wezwany z Sandomierza palatyn Wszebór, który na zamek do księżnej dwa razy już był ciągany; trzymano go tam i ująć się starano.

Stary Wszebór, niegdyś Krzywoustego towarzysz i wojewoda, który się niemal jako opiekun dostał sandomierskiej dzielnicy, był też druhem wiernym ojca Jaksy, mężem powagi znacznej w narodzie. Nie chciał Marek odjechać stąd, pókiby mu się nie pokłonił i coś z ust jego nie posłyszał.

Mieszkał Wszebór w biskupim dworze, a dwór jego podle pod namiotami, bo służbę miał liczną i okazałą, jaka się jego dostojeństwu należała, i kochał się w rycerskich pocztach, które rad sprawiał, urządzał i sposobił.

Zrana, gdy w kaplicy biskupiej wychodził siwy mąż z pocztem sług swoich, zastąpił mu Jaksa drogę. Wszebór młodzież dorodną, pięknej postawy miłował bardzo; zaraz mu młodzian w oko wpadł i nim się pokłonił, palatyn już mu się uśmiechał.

— Miłościwy panie! Dość, gdy powiem ci, że jestem Jaksa z Miechowa. Przychodzę się jakby rodzonemu ojcu pokłonić...

Wszebór go uścisnął.

— A tyś tu skąd?—zapytał.

— Dużoby mówić, jakie mnie tu wiatry przyniosły — odparł Jaksa.

— Do izby ze mną chodź na ranny posiłek, tam się rozgadamy—rzekł Wszebór. — Niewymownie rad, że mi się stary druh w tobie tak pięknie odrodził.

Szedł Jaksa zaraz za palatynem, który go do komory bocznej z sobą prowadził, aby poufale sam na sam mówić mogli.

Nie tracąc czasu, Jaksa mu się ze wszystkiego wyspowiadał, co widział, słyszał i z obawy, jaką miał, aby się nie zamąciło wkrótce dokoła. Palatyn słuchał, siedząc, a wąsa szarpiąc, to ręce wyłamując, bo miał zwyczaj taki, że gdy go co drażniło, palce sobie ze stawów wyciągał ustawicznie.

— Nie inaczej, tylko cię tu Opatrzność Boża zesłała w porę — odezwał się, gdy Jaksa pośpiesznie opowiadania dokończył. — Oko masz dobre, węch łowiecki, wzrok, co zwierza pod kępiną wypatrzy. Takci ono jest, jak mówisz; ale połowę tylko wiesz, którą odgadłeś tam, gdy ja całą biedę na ramionach dźwigam. Miałem ja słać z oznajmieniem do Petrka: jedź ty, mów mu, że tu gore. Postanowiła już księżna, dał się namówić nasz pan, że na braci ruszy, królem być chce. My na to pozwolić nie możemy.

Petrek miał sobie zleconą ostatnią wolę króla

i opiekę nad książęty: szanować go muszą, niech on tu zjedzie, niech prawdę rzecze i zagrozi, my go poprzemy: ja, arcybiskup gnieźnieński i biskupi wszyscy. Krwi własnej rozlewać nie chcemy, dobrze nam tak, jak jest, i jak nieboszczyk chciał mieć. Hamować trzeba księcia. Petrek znaczenie ma i siłę, niech przemówi za nas, my mu zawtórujemy wszyscy. Niechaj zjedzie co rychlej, a choćby pogrozi — ulękną się może, póki czas.

— Jedźcie — powtórzył Wszebór — ode mnie w poselstwie, zaklinajcie go i proście, niechaj wystąpi. Myślę, że go o to zbytnio nękać nie będzie potrzeba. Nie uda się, to wojna bracka za pasem. Księżna zła baba jest, Dobek mściwy i chciwy nią włada. Jeśli ich Petrek nie nastraszy, to nikt!

— A wy, miłościwy panie?—zapytał Jaksa.

— Jam swoje zrobił — odparł palatyn; — pójdzie i moje na wagę, ale co jeden, to nie dwu... Ja prawdy nie zataję, niech on też ją powie głośno.

I naglił, powtarzając:

— Jedźcie! jedźcie!

Tak odprawiony Jaksa, ledwie do owej gospody powróciwszy, konie siodłać kazał; paliła go pilna droga. Nie miał już czasu ani Helmuta żegnać, ani na zamek iść, puścił się wraz z ludźmi gościńcem wielkim.

Już był odjechał za Kraków mil parę, gdy w lesie trąbki myśliwskie usłyszał i psów takie naszczekiwanie, jak gdy zwierza na oko wziąwszy, gonią. Zagrała w nim myśliwska krew, zwolnił kroku i za oszczep już sięgał, bo mu się zdało, że ot, ot psy zwierza na gościniec wypędzą.

W krzakach zaszeleściało, mknął właśnie jelonek drogą, gdy oszczep świsnął i utkwił mu w szyi. A tuż i psy naskoczyły, a za niemi jeździec, który postrzegłszy ubitego jelenia, gniewem się rozżarł wielkim. Starzec to był już, ale gorącej krwi, bo wprost na nieproszonego łowca wpadł z łajaniem, gdy popatrzywszy nań, złagodniał nagle i gniew w śmiech obrócił.

Jaksa poznał w nim starego Zaprzańca.

— Nie winujcie mnie, ojcze! — zawołał Jaksa.— Sama mi bestya pod oszczep wpadła, a ja z niej i wątroby nawet dla siebie nie chcę.

— Szczęście, że to wy! — odparł stary. — Innemubym nie darował, że mi go z przed nosa sprzątnął. Ale wina winą i bez kary nie zostanie. Musisz ze mną do mnie jechać.

— Ojcze mój! — zawołał Jaksa — radbym z duszy, ale dziś to nie może być. Z pilnem poselstwem jadę i do rodzonegobym z drogi nie nawrócił.

Stary się począł sierdzić.

— Jesteście druhem palatynowi Petrkowi? — rzekł Jaksa.

— Nie pytaj o to, bo wiesz!—zawołał Zaprzaniec.

Marek począł opowiadać, jak rzeczy stały w Krakowie; zasępił się Żegota.

— Bóg z tobą, jedź sobie — rzekł, — ale koniom musisz dać gdzieś wytchnąć, niech ludzie sporządzą n a r o k i, my siądziemy.

Poszli pod drzewa; wzdychał Zaprzaniec.

— Znowu krew się poleje—rzekł. — Jak ze mną bracia, tak Władysław chce z bracią poczynać... Ustąpcie mi, oddajcie, sam panować będę! Rycerstwo nie zabieży, a na jego karkach się to skrupi. Jedź do Petrka; gdybyś ty nie jechał, ja starybym pośpieszył. Niech radzą, niech się opierają, niech nie dopuszczą... — Władysław nie ma ojcowskiej siły, aby wszystko utrzymał w jednej garści i nie pora po temu. Księża biskupi nieradzi jednemu panu, a co oni chcą, to będzie. Dziś oni znaczą tyle, albo więcej, co książęta, i co pożądają — ziści się, a czego zabronią, nie ostoi się. Bieżcie dniem i nocą do Petrka, niech przybywa z radą, z groźbą, aby daremnej wojnie zapobiegł.

— Jeżeli jeszcze pora! — dodał Jaksa. — Gdym na zamku w Krakowie był, już o posłach z Kijowa gadano, o przymierzach z Rusią i o pułkach a gromadach, które na pomoc ciągnąć mają.

Posiliwszy się jeleniemi naroki, przegadawszy chwi-

lę, wstali rychło, Zaprzaniec ludzi zwołując, Jaksa do dalszej drogi. Żegnali się, jak ojciec z synem.

— A będziesz-li tu u nas w Krakowskiem — rzekł znowu, ściskając go stary, — zajeżdżaj do mnie. Na ustroni żyję, ludzi mało widzę, rad cię u siebie ugoszczę...

Rozstali się tak, a z rozmowy z nim Jaksa wziął pochop do pośpiechu jeszcze większego, tak, że dniem i nocą do Wrocławia biegł, koni nie luzując.

Była północ, gdy Jaksa podjechał pod dwór pana Petrka. Choć o tak późnej godzinie, u wrót była tam straż, która nigdy nie zasypiała i pilnowała parkanów dniem i nocą. Gdy do zapartej bramy zakołatano, znaleźli się ludzie w pogotowiu, starszy oznajmił, że Petrka budzić nie będzie potrzeba, bo się jeszcze u niego świeciło.

Wnet kazał się do niego prowadzić poseł, nie chcąc tracić ani chwili.

Petrek w swoich izbach własnych, jak prosta chata urządzonych, napół rozdziany, podobny do starego chłopa, który tylko co robotę porzucił, w koszuli grubej i ladajakim przyodziewku, siedział na ławie.

— A was tu co o takiej porze przyniosło? — zawołał, poznając Jaksę.

— Pilna sprawa, bez którejbym się wam spoczynku kłócić nie ważył — odparł przybyły. — Takiem polecenie miał od palatyna Wszebora, od biskupa Ruperta, i od rozumu własnego, aby was co rychlej zawiadomić, co się gotuje w Krakowie.

Petrek wskazał mu miejsce na ławie.

— Siadaj—rzekł—boś zmęczony: wydobądź, co masz za nadrą, słucham.

— Miłościwy panie — począł Jaksa—jawna już, że księżna Agnieszka do wojny Władysława podżegła. Z Rusią przymierze uczynił, posiłki mu ciągną. Nie tajna rzecz, że braci z dzielnic chce wyrzucić precz, nie własną mocą, ale z Rusią i Połowcami. Sprawa to dumnej siostry cesarskiej, która koniecznie chce królować. Wszebór nagli i żąda, abyście jechali wnet dla upamiętania księcia, dla zagrożenia mu, że się przeciw niego i rycerstwo, i duchowieństwo obróci. Palatynowie, biskupi wszyscy pójdą przeciw niemu. Jeśli was nie usłucha, to nikogo; jeśli wy prawdy mu nie powiecie, to nikt.

— Wiele chcą ode mnie!—zawołał Petrek.

— Wiele możecie!—rzekł Jaksa.

— Na nic się nie zda wszystko — odparł Petrek.— Z Władysławem mówić dobrzeby było, gdyby on sam był, ale za nim stoi Agnieszka; co ja naprawię — ona popsuje. Księżna słuchać mnie nie chce. Jak nigdy Sieciech u żony Hermanowej, u niej Dobek gospodarzy, a z tym — ja gadać nawet nie chcę. Nikczemne stworzenie jest.

— Nieboszczyk król, mówią, zwierzył wam nad młodszymi dziećmi opiekę — rzekł Jaksa. — Macie prawo słowo rzec.

— Mam i rzeknę je, ale na wiatr ono pójdzie i przepadnie marnie—odezwał się Petrek.

Wstał z ławy, ręce na piersi krzyżując.

— Pojadę — dodał, — powiem, com powinien, jak powinienem, w oczy wszystkim, księciu, babie, zausznikom.

Zadumany przeszedł się po izbie.

— Choćby głowę przyszło dać! — dodał cicho.

— Palatyn i biskup, i wszyscy proszą was, miłościwy panie, o pośpiech. Czas nagli; nie, to ino patrzeć, jak buchnie.

— Ja się też ociągać nie myślę — rzekł Petrek spokojnie, — ruszę jutro.

— A ty, co robisz z sobą? — dodał, zwracając się do Jaksy.

— Do czynienia nie mam nic pilnego — rzekł Marek—chętnie zrobię, co każecie.

— Nie strachasz się jechać ze mną napowrót? — spytał Petrek. — Syna nie chcę brać, za młody jest, albo i za pieszczony. Jedyny on u mnie i z niebezpieczeństwy nie oswojony, wy macie doświadczenie i męstwo — kto wie, co nas tam czeka! Zdalibyście się mi!

Jaksa się pokłonił.

— Jadę z wami — dodał — bardzom rad, że posłużyć mogę.

Klapnął go poufale po ramieniu Petrek.

— Światosława znasz— dodał poufale, — chłopię to moje serdeczne, jedyne, dobre, gotowe za mną choć w piekło, ale dziecię to jeszcze, umysłu nie ma trzeźwego, na łzy mu się rychło zbiera, miękki jest, bo go długo niewiasty trzymały; tyś krzepki, zastąpisz mi go.

I popatrzywszy nań długo, Petrek objął go i uścisnął.

— Bodaj mój tak wyrósł, jak ty!

Jaksa poczuł się dumny i na sercu było mu błogo...

— Pójdę z tobą, miły panie, na kraj świata — zawołał — lepszego przewodnika i opiekuna mieć nie mogę. Za cześć i miłość dziękuję wam...

— No, a teraz — dodał weselej Petrek — idź na nocleg do Światosława, jutro w drogę...

Odprawiony tak Jaksa, szczęśliwy i wesół, kazał się wieść do Światosława, który zajmował w podwórcu osobny dworek, do głównego przytykający. Tu już spało wszystko.

Ukochane dziecko ojca i matki, miał też gniazdo puchem wysłane, izby najświatlejsze, kobiercami powybijane, powyściełane, skórami pozawieszane oponami i z niewieścią pieszczotą wychuchane. Para psów ulubionych spoczywała na straży u nóg jego i do izby nocą wchodzić nie było bezpieczno. Musiał sługa kołatać, budzić i opowiadać się Światosławowi, nim ich tu wpuszczono.

Dopiero gdy pan kazał psom iść do kąta, mógł Jaksa bezpiecznie próg przestąpić. Przebudzony zdziwił się tak spóźnionemu gościowi, którego mu ojciec przysłał, ale powitał go serdecznie. A że skóry wysłane były szeroko, znalazło się gdzie położyć i przespać, opowiedziawszy wprzód, z czem i skąd przybywał.

Zasępił się Światosław, o ojca zatrwożywszy. Nie był on bojaźliwym do zbytku, lecz chowany miękko przez matkę, lubił pokój i wszelkie niebezpieczeństwo wstręt-

liwe mu było. Łowy, śpiewy, tany, przejażdżki konne, gonitwy w polach najbardziej mu były do smaku.

Ojciec się wychowywał w polu, na wojnie, i oboje lubił, syn przy matce siedział z księżmi i inaczej był nawykły. Zachmurzył się wielce, usłyszawszy o podróży ojca do Krakowa, przeczuwając coś, bo mu całej prawdy Jaksa nie mówił. Pośpiech, niespodziana droga, niewiadomy cel podróży dawały do myślenia. Rwał się i on z ojcem jechać i zamierzał napierać, aby go wzięto.

Prawie do dnia gwarzyli młodzi z sobą i pospali, gdy już trzecie kury piały, a we dworze pomału ranny ruch się obudził.

Gdy dobry dzień się zrobił, w dziedzińcach żwawo gotowano się do drogi, rozkazy były wydane; sto kilkadziesiąt co najprzedniejszych koni towarzyszyć miało Petrkowi.

Ten, co w domu jak prosty kmieć chadzać lubił w zgrzebnej koszuli, co pił najmilej z kubków glinianych i z drzewa, choć miał złote, co na dębowej ławie niezasłanej rad siedział i legiwał, którego w domu za pana i palatyna niktby był nie poznał, gdy mu się trzeba było okazać, cale innym się stawał, choć ze wstrętem brał się za pański strój, wiódł dwór pański za sobą i przeistaczał się w możnego władykę.

Na dwór książęcy jechać musiał tak, aby widziano, kim był, więc co najlepszego było w koniach, siedzeniach, zrędach, szatach, gotowano na tę drogę. Od rana dobywano ze skarbców przybory, opatrywano wozy, uprzęże i ludzi. Ci iść mieli pod znakiem pańskim z chorągwią i dowódcą swoim.

Marszałek prowadził dwór zbrojny, jak jeden człowiek. Na każdym pancerz w łuki szyty, kolczugi, tarcze, miecze, łuki, barwa jedna.

Jak dzień, widać już było w podwórcach konie pokrywane, dziesiętników, nawołujących lud do liczby, opatrujących odzież i zbroję. Sam Petrek wychodził oglądać naostatku.

Zawczasu też samej pani Petrkowej niewiasty znać dały, że pan się gotuje do drogi jakiejś i strwożona pani słała do męża z pytaniami. Straszyć jej mąż nie miał

zwyczaju, poszedł, śmiejąc się, a nie wyznał jej nic, tylko, że go palatyn Wszebór wzywa na radę, nie przyznając dokąd jedzie. Oka i przeczucia niewiasty mało co ujdzie; niedowierzająco słuchała żona powieści, bo z takim występem i okazałością do Wszebora-by się Petrek nie wybierał.

Gdy dzień się stał, zażądała pani, aby wszyscy szli na modlitwę i błogosławieństwo do blizkiego kościoła, gdzie opat miał ranną mszę odprawiać. Stało się wedle jej woli i gdy w dzwonek uderzono, wszyscy ze dworu pociągnęli ku blizkiemu kościołowi. Szła przodem Petrkowa z mężem, za nimi Błogosława z ochmistrzynią swą, potem Światosław z Jaksą.

Za wszystkie trudy zapłaciło mu to, że widział znowu złotowłose dziewczę, które wśród porannego dnia brzasku, ciemno odziane, smutne, wydało mu się innem teraz, a piękniejszem jeszcze.

Darmo sobie powiadał Jaksa, że się oczyma zdradzać nie powinien, że mu w nią patrzeć, jak w tęczę, nie godziło się; mimo to ścigał ją oczyma, sam nie wiedząc o tem. W krótkiem tem przejściu ze dworu do kościoła nie stracił żadnego jej ruchu, skinienia żadnego; ile razy zwróciła się ku bratu, chwytał część jej twarzyczki, szept, nawet szelest sukienki, który go dreszczem jakimś przejmował.

Dwa czy trzy razy oczy jego spotkały się z jej niebieską źrenicą i natychmiast trwożliwe powieki opadały na nie, przysłaniając mu ich blaski.

Raz, gdy w furtce ku kościołowi zawracać się musiała, Jaksa zobaczył ją z boku, potem, gdy do drzwi kościelnych wchodziła, a gdy się odwróciła od niego, patrzał na ramiona, na fałdy sukni, na zasłonę, co ją okrywała i nie mógł oderwać oczu. Zdało mu się, że takiej istoty i takiej sukni, i takich ruchów drugich na świecie nie było.

Nie zważał nawet, że Światosław, który mu się w ciągu tego pochodu pilno przypatrywał, kilka razy przemówił do niego, a nie otrzymawszy odpowiedzi, szydersko się uśmiechnął. W kościele opat odprawiał

mszę. Po niej nastąpiło całowanie pacyfikału i błogosławieństwo na drogę, do którego za panem Petrkiem, kląkł i Jaksa.

Wnet potem tym samym porządkiem wracali nazad z kościoła. Błogosława teraz śmielszą była i weselszą, częściej się zwracała do brata, śmiejąc się doń i mówiąc głośniej, tak, że Jaksa mógł ją słyszeć. Napawał się temi dźwiękami, ale do rozmowy z pięknem dziewczęciem nie miał ani prawa, ni odwagi.

Nie były też miejscem po temu cmentarz i podwórze, a gdy do dworu się zbliżyli, Petrkowa z córką znikła, wchodząc do tej części domu, która dla niewiast była przeznaczoną.

Wchodząc we drzwi za matką, pewnie ku bratu Błogosława zwróciła główkę, a że zasłona opadła jej na oczy, odchyliła ją ręką, spojrzała, spotkała wzrok tuż stojącego Jaksy, i — zdało mu się może, jakby go bardzo nieznacznie skinieniem głowy pozdrowiła.

Nie upłynęła chwila potem, gdy Światosław szepnął Jaksie, iż pani matka chce z nim mówić na osobności. Niepomału zdziwiwszy się temu, Jaksa z wielkim pośpiechem poszedł ze Światosławem, który bocznemi drzwiami wprowadził go do świetlicy samej pani.

Izba była tak bogato strojna, jak te, w których ona gości przyjmowała; ona tu z córką i służebnemi robotami się zajmowała. Stały więc wśród hodowanego kwiecia różnego krosna ogromne, z oponami na nie naciągnionemi, po których motki i kłębki leżały porozrzucane. W jednym rogu stał warsztacik do tkania, w drugim ławy dla prządek, co krasną wełnę purpurową snuły.

W izbie nie było nikogo, oprócz pani Petrkowej, która teraz, gdy zrzuciła płaszcz, a okazała się w sukni obciślejszej, z głową odkrytą, na której małe tylko czółko miała, jeszcze jako wielce urodziwa niewiasta z niejedną młodszą mierzyć się mogła. Wdzięk jej podnosiło i to, że o nim wiedząc, nie zaniedbywała się, chodziła strojna zawsze, nikt jej nigdy opuszczoną nie widział. Przy córce nawet, która zdała się nierozkwitłem dziecięciem, poważna pani w pełni wdzięków stawała, nie lękając się przyćmienia.

Ręce znać umyślnie, jak to zwykły były już onego czasu księżne i panie czynić, hodowała wybielone, miękkie i okryte pierścieniami okazywała na jaw, aby widzieli wszyscy, że niemi pracować nie potrzebowała, jak inne niewiasty.

Nigdy Jaksa nie widział pani tak poważnej a razem tak wypieszczonej, tak zda się stworzonej do tego tylko, ażeby w miękko wysłanym teremie dumała i śpiewała za kratą. Smutek pański, dumny jakiś, oblewał lice jej białe, przejrzyste, trochę znużone, pociągające wyrazem cichego bólu jakiegoś, odstręczające wnet chłodem.

Gdy Jaksa wchodził, w drugim rogu świetlicy stała jeszcze, poprawując złotych włosów Błogosława — ale natychmiast zniknęła. Spojrzała nań tylko, nie sromając się, jak na domownika i włosy zgarniając białemi rękami— uszła. Zjawisko to tak było uroczo piękne, że pokłon matce oddając, Marek w tamtą stronę oczy wlepił i patrzał w drżącą zasłonę, jakby się jego powrotu spodziewał.

Błogosława już się nie ukazała więcej, tylko zasłona poruszała się, marszczyła, składała, jakby za nią stał ktoś żywy.

Petrkowa z powagą zbliżyła się do Jaksy.

— Jedziecie z moim panem — rzekła do niego, — słyszę, że do Wszebora. Bogu wiadomo dokąd, ja muszę wierzyć, że tam, gdzie on powiada!! Jedziecie z nim, miły panie — powtórzyła głosem powolnym, przedłużając każde słowo, jakby się z nim pieściła — pozwalam sobie was prosić, abyście mi nad nim czuwali. Ufać wam musi, gdy bierze z sobą do boku; strzeżcież go, proszę. On sam nieostrożnym jest, śmiałym i gwałtownym... Zdrowia swojego nie lutuje, ludzi nie szczędzi ni w słowie, ni w obejściu. Patrzcie, proszę, aby mu się co złego przez prędkość jego nie stało. Ile razy odjeżdża, w trwodze mnie rzuca; nie mam tu nikogo, krom niego, ni brata, ni ojca! Pilnujcież go dobrze, proszę, a strzeżcie.

To mówiąc, popatrzała na stojącego młodzieńca

oczyma niebieskiemi, w których było coś z wejrzenia córki i wdzięku jej.

Zdjęła piękna pani pierścień z palca z okiem dużem i poczęła okręcać go w ręku trochę zakłopotana.

— Wiem, że to wam niepotrzebne — odezwała się, wyciągając ku niemu, — bo wy swoich klejnotów macie doma dość, ale, byście o mej prośbie pamiętali, proszę, weźcie go ode mnie.

— Miłościwa pani — odpowiedział Jaksa—i bez pierścienia przykazania waszego nie zabyłbym pewnie.

Białą ręką, którą ucałował, wcisnęła mu pierścień, uśmiechnęła się smutnie, westchnęła i dodała:

— Pan mój gorący jest, w gniewie hamować go trzeba, w szyderstwie wstrzymywać, ale dobrym w sercu jest i lada wejrzenie pamięć mu przywraca. Strzeżcie mi go, a powracajcie z nim zdrowi, abym wam dziękowała.

Sama potem Petrkowa rękę mu dała do pocałowania, a gdy oczy ku zasłonie zwrócił, ujrzał ją uchyloną i w niej piękną twarzyczkę, która skinąwszy mu na pożegnanie, znikła.

Nie mówili do siebie słowa, nie znali się prawie, a może już się kochali. Tak się za owych czasów niema miłość rozpoczynała, często długo podsycała tylko oczyma, wejrzeniami tłumaczyła, i w ciszy tej dorastała do takiej siły, że gdy potem ludzi dwoje, co do siebie nie przemówili słowa, zbliżyć się mogli, nie potrzebowali już wyrazu—padali sobie w objęcia, pewni, że oczy ich nie kłamały.

Niewieście wstyd było z obcym mężczyzną mieniać słowa, ale oczom otwarte były drogi, im wolno wszystko. Przez długie lata mogły żywić ogień, który za pierwszem wybuchał spotkaniem, tak gwałtownie, że go nawet niewieści wstyd powstrzymać już nie zdołał.

Dziś na słowa roztapia się miłość, rozwiewa, stygnie, oziębia i niemi na cztery wiatry leci. Ongi inaczej bywało!...

VIII.

W komnacie zamku krakowskiego, na złoconem krześle siedziała lat średnich pani, wzrostu, jak na niewiastę, wyniosłego dość, twarzy przeciągłej, oczu czarnych, cery zżółkłej, ni piękna, ni brzydka, ni młoda, ni stara, z wyrazem gniewnej dumy na czole i w wejrzeniu. Strojna była w powłóczyste szaty jedwabne, bogate, tak, jak się ubierają niewiasty, które o wdzięku swym nie myślą, albo oń nie dbają, lub go nie rozumieją, bo wiedzą, że mają go czem zastąpić.

Szata zsuwała się jej z jednego ramienia, włos rozplątywał na jednej skroni, pas schodził z bioder, płaszcz opadał — nic się ją to nie zdało obchodzić. Chude, kościste ręce, z pod długich wystające rękawów, prawie męskie miały kształty; noga, co się z pod rąbka sukni wysuwała, była duża, płaska i silna. Coś męskiego miała w rysach, ale brzydką nie była. Gdy twarz jej zapałała ogniem, oczy się zaiskrzyły, usta ścisnęły, gdy nakazując, wyprostowała się dumnie, chcąc okazać swą siłę, jeśli nie wdzięku, nabierała mocy jakiejś, której się oprzeć było trudno.

W wejrzeniu jej oczu przebłyskiwała naprzemian to gorącość jakaś niecierpliwa, to wzgarda, to straszna duma. Ruchy miała majestatyczne, jakby wyuczone, a jednak żywe i gwałtowne. Była to księżna Agnieszka.

Naprzeciw niej, na ławie okrytej, z rękami założonemi siedział mąż jej, ks. Władysław. Osobliwy miał w tej chwili wyraz twarzy, która się często zmieniała, — znękany, zrezygnowany, zastygły. Oczy zwracał to na małżonkę, to na ziemię, to niby szukał niemi po ścianach, znaleźć nie mogąc. Zapatrywał się pilnie w gwóźdź, błyszczący u krzesła księżnej, w ścianę, w okno, unikając spojrzenia na żonę. Widząc ich tak razem, nie potrzeba było wielkiego wróżbity, by odgadnąć, kto z nich rządził, a kto słuchał, kto był czynną siłą,

a kto biernem narzędziem. Zahukany książę miał czasem błyski własnej woli, ale ta rychło odparta, chowała się do głębi. I w tej chwili wytrzymał napaść gwałtowną.

— Wahasz się jeszcze, wahasz zawsze? — wołała księżna Agnieszka, rzucając się na swem siedzeniu,— a czas upływa najdroższy! Trzeba poczynać, a śmiało! Król, ojciec twój, zdał ci nad państwem zwierzchnią władzę, kędyż ona?... Ty nie masz żadnej! Tyś sam jeden, ich czterech, — niech popodrastają, wzmogą się, obalą cię i wygnają.

— To nie może się stać! — rzekł Władysław — nie może nigdy!

— To się stanie, jeśli się ich nie pozbędziesz zawczasu — wołała księżna. — Nie chcę cię znać, nie chcę się zwać twoją żoną, jeśli nie masz panem być, a na łasce panów braci siedzieć udziałowem książątkiem. Poszłam tu, sądząc, że królować będę, nie słuchać. Wstyd mi! srom mi!

Książę milczał trochę.

— Stanie się po twej woli — rzekł, — gotuję się. Nie mogę sam wystąpić, czekać muszę.

Spojrzał ku niej, jakby błagając litości. Agnieszka powstała z krzesła, stanęła na podnóżku wyciągnęła rękę do męża i poczęła głosem gniewnym:

— Gnuśnik jesteś! do niczego! kądziel ci prząść nie berło trzymać. Gdyby nie ja, siedziałbyś bezczynny w kożuchu, lub krył się po lasach, nie myśląc o sobie, ażby cię bracia wygnali.

— Bracia! bracia! — powtórzył książę obojętnie.

— Tak, ty ich masz za braci — rozśmiała się Agnieszka — a oni ciebie nie mają za brata. Po ojcu bracia nie po matce! Co za braterstwo?... Takich samych braci dziadowie twoi sadzali do ciemnic i wyganiali precz. Co znaczy państwo, pokrajane na kawały?... Żywe nie jest; trup to, jak i ty!

— Chcąc to uczynić, do czego mnie naglisz — odezwal się Władysław spokojnie, — mimo woli ojca mego, potrzeba czasu.

— Mimo woli ojca? — pochwyciła Agnieszka. — Ojciec chciał, ażebyś panował; nie mógł ci powiedzieć: idź i wyżeń ich!... ale ci dał stolicę i prawo pierworodztwa, któregoś sam użyć powinien, jeżeli mężem jesteś!

— Użyjemy tego prawa, użyjemy, zaprawdę — odparł Władysław, głowę spuszczając, — trzeba czasu tylko, czasu. Nie w porę poczęta sprawa, w niwecz pójdzie.

— Nie w porę? Pora dawno minęła! — zakrzyknęła księżna. — Dnia, godziny niema do stracenia!

Książę nieznacznie drgnął ramionami, rozstawił szeroko dłonie, i milcząc, potrzymawszy je tak chwilę, zacisnął rozpaczliwie.

Agnieszka, widząc tę obojętność, już się na krześle utrzymać nie mogła; skoczyła z podnóżka, zaczęła chodzić, suknię powłócząc za sobą, miotając rękami rzucając rękawy.

— A! — zawołała z goryczą — zaprawdę mi wstyd, żem ja, siostra cesarska, szła za ciebie, coś się na parobka rodził, nie na króla!

Książe głową tylko poruszył, z piersi wyrwało mu się coś, jak jęk.

— Ja tego upokorzenia nie strzymam — ciągnęła dalej — ja cię porzucę! ja tak żyć nie mogę! Azali ty oczów nie masz, że oni ze swą matką, z palatynami, z biskupami spikali się i spikują na ciebie? Czekać-li masz aż cię, upatrzywszy chwilę, zrzucą i wygnają precz? A to nastąpi, to przyjdzie, gdy my ich nie uprzedzimy! Silniejsi są, niż ty, i rozumniejsi, niż ty, przezorniejsi, niż ty.

Pod gradem tych wyrzutów książę siedział ze spuszczoną głową milczący, jak człowiek, co się nie ma gdzie schronić przed ulewą; spoglądał czasem w okno, jakby wzywał kogoś na pomoc, stękał, rozpościerał ręce i składał, ruszał się, jak do wyjścia i siedział. W ostatku dopiekło mu znać, za głowę się pochwycił.

— Dość-że już!—zawołał — dość! Czynię, co mogę, czynię, co chcesz, a jeśli to na złe wyjdzie tobie i dzieciom naszym, nie ja winien będę, nie ja. Bóg mi świadek.

Agnieszka przyskoczyła doń ze śmiechem szyderskim.

— Źle nie wyjdzie, gdy mnie posłuchasz! Śmiało, z góry, nie zwłócząc, uderzyć na nich potrzeba.

— Niechże nadciągnie Ruś! Każdej godziny się jej spodziewam—rzekł książę.

— Nim ona przyjdzie, ślij do nich — przerwała Agnieszka, — aby się poddawali. Gdy Ruś przyjdzie, z Połowcami, uderzymy na krnąbrnych; dziś ze swymi już poczynać można i trzeba.

— I nim tamci w pomoc pośpieszą, oni się zwalą na mnie!—rzekł Władysław, głową potrząsając.

— Zwalą się, jeśli cię poczują wahającym i bez siły; zlękną się, gdy okażesz męstwo. Ja niewiastą jestem, a nie zlękłabym się ich... ja! a ty!?

Plunęła na ziemię. Wtem u drzwi kroki słyszeć się dały; księżna obróciła głowę, poznała już, kto szedł i lice się jej rozjaśniło.

Na próg wchodził bez oznajmienia i pokłonu, Dobek, jako domowy, poufały sługa. Wejrzeniem zmierzył księcia i księżnę, poznając z rozognionych twarzy, co się tu odprawiało. Agnieszka wzrokiem dała mu znak jakiś niecierpliwy.

— Poselstwo przybywa — mruknął szydersko — ho! poselstwo nielada—rozśmiał się cicho. — Palatyn Petrek z półtorasta ludzi, jak udzielny książę, raczył nawiedzić pana naszego. Zajechał sobie do miasta na biskupstwo, i oto przysyła pytanie, azali może czołem uderzyć?

Na wspomnienie Petrka rzuciła się księżna, książę drgnął i z siedzenia wstał, ale czekając na to, co powie małżonka, ust nie śmiał otworzyć.

— Ciekawam, z czemże tu przybywa? — odezwała się Agnieszka, — bo że z pustym pokłonem i podarkami nie zjechał, to pewna! Wszak to przecie opiekun książąt młodych, ich prawa ręka, nieboszczyka króla powiernik, on, co z biskupy ten głupi testament układał... Bo to jego sprawa! Przyszedł podpatrywać, co się tu dzieje!

Dobek przypatrywał się znów z głową spuszczoną siedzącemu panu, który milczał. Agnieszka się też zwróciła do niego.

— Gościa takiego od wrót odegnać się nie godzi!—zawołała. — Ale ja panu memu z nim sam na sam rozmawiać nie dam! Petrek mądry zrobi z nim, co zechce! Niech przybywa, będziemy go przyjmowali oboje. Zobaczymy, co zaśpiewa!

Nogę na nogę założywszy, Dobek stał, czekając w progu, o ścianę się oparłszy wygodnie, jakby tu nie sługą był, ale panem. Z pod oka spoglądał na księcia, wyzywając go do odpowiedzi.

Książę, na chwilę poruszony, znów popadł był w obojętne milczenie i zadumę.

— Na odpowiedź czekają—odezwał się Dobek.

— Niech przybywa! — zawołała księżna. — Dlaczegóż odkładać, a z poddanym się nosić, jakby on tu jakimś panem był? Toć sługa, niech się stawi!

— Niech się stawi — zamruczał książę chłodno.

Dobek popatrzał jeszcze na pana, potem wejrzenie znaczące zamienił z Agnieszką, która pogardliwie ramionami ruszyła i wyszedł zwolna.

Zaledwie się za nim drzwi zamknęły, gdy i książę wstał, chcąc odejść. Wyciągnął się, w okno spojrzał i wolnym krokiem, kołując, niby od niechcenia zmierzał do drzwi.

— Zostaniesz ze mną tu, sama nie chcę przyjmować Petrka, a wam go też samemu widzieć nie dam!

Książę zawrócił się i usiadł, pomrukując. Małżonka zamilkła. Milczenie to dolegało widać księciu, gdyż po raz drugi wstał i ku drzwiom zmierzał, a choć Agnieszka zawołała nań, nie odwrócił się. Doszedłszy do nich, otworzył podwoje, wychylił się nawpół i do stojących komorników zawołał:

— Janko! a psy moje jadły?

— Karmione.

— Dawano już ptakom?

— Tylko co żer miały.

— Rabczuk nosi Kobuza? Żeby mu spać nie dał.

— Poszedł z nim, gdzie największa wrzawa — odparł zapytany.

Książę ziewnął.

— Idź mi zobacz chorego konia, co mu dzik nogę przeciął.

To powiedziawszy, zamknął drzwi i na ławę padł, wyciągając się i ziewając; księżna chodziła niecierpliwa, rozgorączkowana. Okna izby wychodziły na podwórze zamkowe, aż ku głównej bramie. Właśnie się z niej wychylał orszak Petrka, na którego czele jechał pułkowódca, w zbroi świecącej, z buławą żelazną w ręku, której głowa ostrzami kolczastemi nasadzoną była. Na hełmie u góry śpiczastym miał pęk piór, a koń pod nim szkarłatem okryty, stąpał dzielnie. Za nim po trzech jechała drużyna, wszystka we zbrojach i kolczugach, a z mieczami u kolan; chorąży ze znakiem, dworzanie, za nimi sam Petrek, którego poznać było trudno, kto go tylko doma widywał.

Ten, co powszednich dni chadzał w ladajakiej siermiędze, strojny był i po książęcemu odziany. Szyszak miał na głowie złocony, płaszcz obramowany purpurą i złotem, ostrogi długie, złociste, szaty spodnie przetykane nićmi złotemi; świecił cały od tego złota. Koń pod nim szedł siwy, gruby, silny, stąpając, jak w tańcu, przerzucając nogami i żelazo w pysku przeżuwając niecierpliwie.

Około wnijścia dworca w jednej chwili zrobiło się tłumno, bo kto żyw, biegł patrzeć na orszak Petrka, a księżna się odezwała:

— Patrzno, patrz. Ty tak nie możesz wystąpić, jak ten włóczęga, co się krwią i zdradą zbogacił, pochlebstwem ojcu waszemu w łaski wkupił! Hultaj! umyślnie się tu tak pysznie stawi, aby nas wstydził i upokarzał! Za to jednoby głowę dać powinien!

Książę spoglądał ciekawie, ale wcale po nim znać nie było, ażeby tak bardzo brał do serca wspaniałość orszaku palatyna; widok ten bawić się go zdawał.

— Konie, psy, sokoły ma doskonałe, to prawda!— zamruczał cicho.

Agnieszka się uśmiechnęła, poszła krokiem powolnym do krzesła swojego, usiadła na niem, układając twarz i szaty, marszczyła brwi, gniewną była.

Księciu, siedzącemu na ławie, wskazała obok siebie siedzenie. Dobek, jako marszałek, z laską pozłocistą w ręku, gościa do drzwi prowadził.

Petrek wszedł poważnie, zwolna, naprzód się panu nizko do ziemi pokłonił potem Agnieszce już nie tak pokornie.

Wybąknął kilka słów powitania, a gdy Władysław nader uprzejmie począł go pozdrawiać, uśmiechając mu się, szepnął, że dla ważnej sprawy radby mieć posłuchanie.

Księżna usłyszawszy to, wskazała Dobkowi i komornikom, aby ustąpili precz, dwór też Petrka, pokłoniwszy się, odszedł do pierwszej izby. Zostali sami.

Petrek jeszcze się wahał, czy miał mówić.

— Miłościwy panie — odezwał się do Władysława—sprawy główne ziemi naszej przystałoby na osobności odprawiać.

Zaledwie dokończył, gdy księżna z twarzą zaczerwienioną, podnosząc się z siedzenia, zakrzyknęła:

— A jam ci to co jest? Przecie dzielę z księciem stolicę i panowanie!

— Tak, miłościwa pani — rzekł Petrek — ano w sprawach męskich niema u nas zwyczaju, aby niewiasty uczestniczyły, dopóki nam Bóg pana zdrowego i żywego chowa. Z nimby nam mówić sam na sam przystało. Gdyby, co niech niebo odwróci, odjął nam go Bóg, tak samobym do miłości waszej, jako do pani szedł i jej słuchał.

Władysław w czasie tej mowy twarz miał jakoś tak dziwnie ułożoną, iż poznać po nim trudno było, czy to pochwalał, czy ganił. Agnieszka piorunujący wzrok rzuciła na zuchwalca, i zerwawszy się z siedzenia, milcząc, wybiegła z komnaty.

Łatwo się było domyśleć, że pozostała niedaleko na straży. Petrek dumał chwilę.

— Miłościwy panie — rzekł — nie od siebie ja tu

przychodzę, ale od wszystkich ziem twoich, strwożonych bardzo. Mówią i głoszą, a roznoszą wszędzie, że chcecie złamać wolę nieboszczyka ojca, której ja byłem żywym świadkiem. Nie tajno, że wojnę zapowiadacie braciom. Panie miłościwy, przychodzę was błagać, abyście tego nie czynili, przez miłość dla pamięci ojca, przez miłość dla was i dla dzieci waszych...

Książę słuchał, jak osłupiały; widać było, że się kogoś poza sobą lękał. Wodził oczyma, nie pewien, co powie.

— Jeżeli się ziści, czem nam grożą — dodał Petrek — będziecie mieli nietylko braci przeciwko sobie, ale ojców pasterzy duchownych i ziemian wszystkich.

Władysław coś niezrozumiale pomrukiwać zaczynał.

— Hm! A któż to te wieści roznosi? — rzekł — kto to wam mówi o tem?

— Naokół wszyscy wiedzą, żeście słali na Ruś o posiłki — odezwał się Petrek.

Władysław dał głową znak potwierdzający. Namyślał się jeszcze. Poza nim stała żona, która go słuchała pewnie. Począł zwolna i oziębłe:

— Ale bo tak, jak jest, nie może trwać! nie — nie może! Ja tu sam powinienem być panem — a nie jestem niczem. Panowie bracia się zjeżdżają, radzą, spiskują, chcą mnie wygnać a dzielnicę krakowską zagarnąć.

— Miłościwy panie! — zakrzyknął gorąco Petrek, — zaprawdę fałsze wam donoszą. Głowę moją stawię na to. Bronić się chcą książęta młodzi, a nie napastować, nie wam grozi zagłada, ale im.

Władysław głową wstrząsnął.

— Król ojciec — odezwał się — nie na co innego dał pierworodnemu Kraków, tylko na to, ażeby panował. Ja chcę panować — i będę.

Mówił to, co go wyuczono, ale tak oziębłe, jakby go niewiele panowanie obchodziło, i pilno mu było tylko co rychlej nudną dokończyć rozmowę.

— Petrku mój — dodał — dość już tego, dość

ty ze mną, nie z nimi trzymać powinieneś! Rozumiesz, tyś mój!

— Jam wasz! wasz! miłościwy panie! — podchwycił palatyn — alem wprzódy poprzysiągł ojcu waszemu, że spełnienia jego woli ostatniej będę pilnował i strzegł. Wolą jego było, ażeby każdy z braci na swej dzielnicy spokojnie siedział. — Nie narażajcie się, miły panie, na nieszczęście. Biskupi szemrzą i grożą — duchowieństwo mieć będziecie przeciw sobie!

Władysław poruszył się niespokojnie, Petrkowi dał znak ręką, aby zamilkł, a ruch ten był jakoś tak dwuznaczny, iż palatyn zdziwiony, umilkł na chwilę. Nagle zasłona się podniosła, odrzucona gwałtownie i wbiegła gniewna Agnieszka. Nie spojrzała na Petrka, ale na męża.

— Dość tej rozmowy — zawołała — dość! Z poddanym się mówi jedno—tak chcę! tak ma być! Nie spiera się pan ze sługą! Słuchać powinien podwładny! Kto panuje, ten się nie tłumaczy z tego, co czyni! Dość rozpraw! Uczynicie, co się wam zda — kto nie rad, niech głowy strzeże.

Mówiąc to, chwyciła męża za suknie i pociągnęła go za sobą; książę się zwrócił do Petrka, jakby chciał rzec: — Widzisz, żem niemocen? Cóż pocznę?

Palatyn, jak stał, skłonił się milcząc i wyszedł powolnym krokiem. Zaraz w progu drugiej izby spotkał czyhającego już nań Dobka, który oburącz się w boki wziąwszy, z góry nań spoglądał i śmiał się, usta przekrzywiając. I on, i służba, widać wyuczona, szydziła i przedrwiwała półgłosem — tak że Petrek słyszeć mógł, iż z niego żarty czyniono. A choć człek porywczy, hamować się musiał, gdy trzeba było pogardą zbyć niższych od siebie.

Przez całą drogę do wyjścia, jakby z rozkazu stojąca szeregiem gawiedź dworska przepuszczała idących przez rózgi złośliwych i obelżywych wykrzyków. Petrek zdawał się nie słyszeć nic; chciano go, znając, wyzwać i zmusić, aby się porwał; Dobkowi ludzie, nasadzeni w znacznej liczbie, byliby go zgnietli i w rozruchu zabili może.

Ale palatyn ani patrzał na nich, ani chciał wiedzieć; Jaksę sobie do boku zawołał i głośno z nim mówiąc, głuszył wołania gawiedzi. Dobkowi, jakby go nie postrzegł, ani ruszył głową, minął jak służalca. Wolnym tak krokiem dobił się do ganku, kędy konie stały, a choć hukaniem i śmiechami za nim goniono, ani drgnął, ani okazał, że wie o tem.

I znowu tak samo, jak przybył z orszakiem w po rządku, z pułkowódcą na przodzie, ze znakiem, z wspaniałością i powagą pociągnął ku wrotom zamkowym, głowę pysznie podnosząc do góry.

Zjeżdżali z Wawelu, a jeszcze na wałach śmiechy słychać było i wołanie.

— Rabów syn! Parobek! Zbój! i t. p.

Jaksa bladł, to czerwieniał, słuchając. Trudno się było utrzymać, nie dobywszy miecza, ano sam Petrek hamował.

— Babska to sprawa! Ja z babami nie wojuję! Książę tak utrapiony, jako ja, nie wie nic. Cierpliwości! Przyjdzie godzina, że się tego pomścimy. Dziś nie pora.

Mówił spokojnie, a drżał cały na siodle, pot mu się lał z czoła; rozum brał górę, choć w piersiach gniew wrzał straszny.

— Nasz książę nie winien — powtarzał; — ja go znam! Ale i niewinni pokutują! Gdy wicher w lesie łby zuchwałym dębom zrywa, padają i pokorne!

Tak miarkując się, dojechali na biskupstwo, a Petrek, z konia zsiadłszy, na ławie spocząć musiał w podwórzu, nim podszedł dalej, tak mu nogi podcięło.

— Niema już ratunku! — szepnął — niema!

Poselstwo spełzło na niczem i dłużej tu trwać nie było po co. Petrek z rady biskupa Ruperta postanowił jeszcze, duchownych i ziemian zwoławszy, wyprawić ich do księcia, choć sam wątpił, aby i to mogło skutkować.

Nazajutrz szaro jeszcze było, palatyn spał, gdy Jaksa, który czuwał nad nim, zbudził go. Chłopię jakieś niepozorne przybiegło z zamku, opowiadając się,

że posłane było od księcia. Zadziwił się palatyn tajemnemu poselstwu.

— Miłościwy pan przysłał mnie — szeptało drżące pacholę — ażeby wam oznajmić, że wyjedzie wkrótce na łowy wielkie, a może z tych łowów i do was do Wrocławia nawróci, abyście się go spodziewali.

Potajemne to oznajmienie pocieszyło nieco Petrka; rozmyśliwszy się jednak, po odejściu chłopca, który dostał dar książęcy, rzekł sobie w duchu:

— Biada już tam, gdzie się potajemnie przejednywać trzeba, jawnie powaśniwszy, z obawy jednej niewiasty! Na niewiele się łowy przydadzą!...

Tegoż dnia Petrek, już na zamek nie zaglądając, z całym swym orszakiem, o białym dniu, pod znakiem po pod wałami zamku przeciągał, nazad wracając do domu.

Nie było już żadnego niebezpieczeństwa. Gdy tedy za Kraków odjechali, Jaksa, przypomniawszy sobie starego Zaprzańca, zapragnął go na zamku jego odwiedzić.

— Miłościwy panie — odezwał się do Petrka, obok ktorego jechał, — jeżeli ja wam niepotrzebny w drodze, radbym stąd skoczył do Pieskowej Skały, bom się tam obiecał staremu, którego i wy znacie. Pokłon mu należy od młodszych, bo dużo cierpiał i od losu, i od swoich.

— Zaprawdę! —zawołał Petrek — dobra myśl! i jam rad nawiedzić Żegotę. Weźcież i mnie z sobą! Najedziemy go w jego gnieździe na wyżkach. O owej górze i grodzie nasłuchałem się wiele, a w oczym ich nie widział jeszcze.

— Królewskie grodzisko, tylko je sobie Zaprzaniec u nieboszczyka Krzywousta wyprosił, że mu je puścił, aby sobie na odludziu, jak pustelnik siedzieć mógł, a w majętności własnej o braci się nie ocierać!

— Jedźmy do Zaprzańca!

Ochoczo bardzo myśli tej chwycił się Petrek, ale wedle obyczaju swojego, rad był zaraz i zbytniego się zbyć orszaku, i owych sukni paradnych, i wszystkiego, co go otaczało i co mu ciężyło. Kazawszy więc ciągnąć pułkowódcy swemu z końmi wprost do Wrocławia, sam z małym pocztem, w kilka koni, z Jaksą nawrócił w dziką ową dolinę, wśród której im Pieskowej Skały szukać było potrzeba.

W owych czasach kraj to był daleko jeszcze pustynniejszy, niż dzisiaj, choć niemniej piękny. Ludzi owego wieku raził on dzikością swoją.

Dokoła stały lasy nieprzebyte, nietknięte siekierą, gąszczami zbitemi podszyte, ciche, milczące, straszne, zaludnione zwierzem i widmami. Osady w okolicy były rzadkie, a ci, co się w nich kryli, niegościnni dla podróżnych, zuchwali i niebezpieczni. — Po pieczarach mieszkali zbóje, którzy wybiegali na gościńce. Dróg najczęściej potrzeba było szukać brzegami górskich potoków, głębiami mrocznych parowów. Na stokach gór były ledwie dostępne ścieżyny, przez trzody powydeptywane. Zwierza prawie na każdym kroku spotkać było można, bo mu się tu skryć i zbiedz od pogoni łatwo było.

Podróżni rzadko inaczej jak gęsiego jechać mogli, przodem puszczając tego co drogę znał, i za nim ciągną po wązkiej, wodami powyrywanej ścieżynie.

W miarę jak się ku Sułoszowej zbierali, góry coraz wyższe, z odrapanemi gdzieniegdzie stromemi boki otaczać ich zaczynały. Naostatek wjechali w dolinę, wśród której na stromej górze, a u samego jej wierzchołka wznosił się gródek. Ale stąd ani go było widać wpośród zarastających drzew, ani rozróżnić od samej góry, jakby z kamienia litej.

Naprzód ukazała im się Skała Sokola, na straży zamku stojąca, niby słup, ręką duchów uciosany, oderwany od innych skał, osamotniony i nagi. Stąd widać było drożynę, wijącą się ku górze i gródkowi, ale tak stromą, tak ślizgą, że konie na dole zostawiwszy, Jaksa z Petrkiem i dwojgiem czeladzi, pieszo się na nią wdzierać poczęli.

Popsuta przez wody i strumienie deszczowe ścieżka, pełna złomów kamieni, dziur i wybojów, znużyła ich pochodem, który trwał dłużej daleko, niż rachowali.

Nierychło dostali się do wierzchołka. Tu niewidoczna z dołu brama oznajmiła im, że u celu stanęli.

Z głazów ogromnych, nieforemnie zrzuconych, zbudowana, gdyby nie wrota w niej osadzone, nie wydawałaby się dziełem ludzkiej ręki, ale jakiemś dziwactwem natury.

W bramie siedział stróż jeden, oszczep koło siebie złożywszy, z trąbą na sznurku, a że mało kto kiedy na zamczysko zaglądał, bawił się, strugając sobie coś z drzewa. Niepomału się zadziwił, zobaczywszy dwu podróżnych, wstał szybko i za oszczep jakby do obrony ująwszy, cofnął się żywo ku furcie.

Ani się z nim rozmówić było można, tak jakimś połamanym językiem niezrozumiale bełkotał. Przecież na hałas u wrót wyszedł drugi z czeladzi i przybyłych gości do środka wprowadził.

Miejsce to, na którem później stanął ów sławny zamek Zaprzańców, pustką jeszcze było, jak cała okolica. Otaczał je lichy wał, którego starczyło do obrony tak skalistej i stromej wyżyny. Nie było warowni żadnych, tylko pod wałami wewnątrz stały szopy długie, a wpośrodku rodzaj dworu na kamiennym podmurku, z drzewa grubego sklecony.

Zaprzaniec wzniósł wśród tych zarośli i łomu kamieni ogromny krzyż drewniany, który stąd okolicy panować się zdawał. Tu on, świata się wyrzekłszy, żył osamotniony. Gdy bracia się go i rodzina zaparła, mamkę tylko, która go ocaliła,wziął do siebie, a na pogardę rodowi ożenił się potem z prostą, ubogiego bardzo ziemianina córką. Tu się z nią zawlókł na pustynię, żyjąc, nie jako jego stanowi przystało, ale jako prosty człek, dla siebie samego.

Chociaż odzyskał majętności wielkie i dzierżawę od króla nieboszczyka nadaną znaczną, wsi i osad kilkadziesiąt, choć dochody miał bogate, w okolicy, w której wszyscy niemal z braćmi jego powiązani byli, żyć nie chciał, stronił od sąsiadów, zamykając się na swej skale. Wymykał się stąd tylko na łowy, które lubił wielce, albo do dalej mieszkających ziemian, jak Petrek, w Krakowskiem nigdy przestawać nie chcąc.

Gospodarstwo się wiodło u Zaprzańca osobliwe, bo on sam wiele świata i ziem widział, wiele się rzeczy napatrzył, siła miał doświadczenia i rozumu, a z prostymi ludźmi najwięcej przestawał, prawiąc, że z niemi czuł się bezpieczniejszym. Lud też wszelki naokół bardzo go miłował; jak do wodza i obrońcy swego szedł we wszystkich potrzebach i dolegliwościach. Nie było człeka, któryby na zawołanie jego nie biegł wnet, rzuciwszy wszystko; i możni bracia a ich druhowie musieli się go obawiać.

Gdy na zamek weszli, zastali Zaprzańca z żoną, siedzącego na ławie u drzwi tej szopy, która dworzec ich stanowiła. Żona przy nim wyglądała gdyby córka, bo była młodą i hożą; dwoje dzieci boso, w jednych koszulinach, bawiło się przy nich, między kamieniami i krzakami biegając.

Ogromne psy, wśród których dzieci bezkarnie się zwijały, zobaczywszy obcych, rzuciły się na nich całą czeredą, i gdyby ich nie odwołano i nie osmagano, jak dzikie drapieżne zwierzęta, trudnoby się było im obronić.

Żona odziana była jak prosta wieśniaczka, ale w cienką bieliznę, bursztyny i korale; namitkę białą miała na głowie i fartuch przypasany, jak do roboty. Wstała silna niewiasta i popatrzywszy trochę, wnet się skryła do wnętrza, zostawując męża z gośćmi samego.

Przodem szedł witać Petrek, którego gospodarz równie, jak Jaksę, poznawszy zaraz, rękami otwartemi przyjmował.

— Bądźcie mi pozdrowieni, wy, coście się skały mej nie ulękli! — zawołał.

Poczęła się rozmowa w podwórzu zaraz i zaprowadziła ich do wnętrza.

Dwór wewnątrz na kilkoro części był podzielony. W lewo do swoich izb powiódł gości Zaprzaniec. Izby były nizkie, okopcone , a niepozorne, z ławy kamiennemi i ogniskami w pośrodku. Sprzętu w nich widać by-

ło mało i prosty, przybory do łowów, rybołówstwa i jazdy. Dopiero w osobnej komorze, którą Żegota swoją nazywał, mieli się czemu przypatrzeć. I ta nie była wytworną, ale tu zgromadził gospodarz owoce swoich długich wędrówek po świecie, odzieże osobliwe, tarcze, miecze, noże, łuki saraceńskie, normandskie, gallijskie, włoskie, greckie i na dalekim używane wschodzie. — Misternie wyrabiana stal ze złoceniami, rogi osobliwe różnych zwierząt, skóry i futra nieznanych bestyi, pióra ptaków, jak gdyby malowane, opończe z tkanin ciężkich, wszystko to okrywało ściany i zwracało oko, tak, że się tych bogactw napatrzyć nie było można. A Zaprzaniec miał na każde zapytanie o te łupy odpowiedź gotową, jak i gdzie ich dostał, i czem je opłacił.

Więc Petrek szczególniej, który, choć sam się w zbytkach nie kochał dla siebie, ale wszelkiej rzeczy ciekawy był, nie mógł się nasycić oglądaniem skarbca tego.

Szczęściem dla Zaprzańca, gdy do kraju przybywał, a w ręce braci popadł, wszystkie te zdobycze jeszcze w miejscu bezpiecznem złożone były.

Nagadawszy się o dalekich podróżach Zaprzańca, który w małem kole rad o nich rozpowiadał i ożywiał się staremi wspomnieniami, mowa się zwróciła na teraźniejsze czasy. A że Petrek nie taił, iż z Krakowa od księcia powracał, Żegota go zapytał, coby wiózł z sobą: nadzieję pokoju, czy groźbę wojny?

— Wojny! wojny! — odparł Petrek, wzdychając—a wojnie tej kądziel zamiast buławy będzie hetmanić. Książę pono niebardzo jej chce, ale cesarska siostrzyca gwałtem pragnie zdobyć sobie koronę. Cała nadzieja nasza, że gdy się od kądzieli pakuły zapalą, — rychło spłoną.

— Mylisz się, miły bracie — odparł Żegota, — Najupartsza to wojna, gdy w niej niewiasty żołnierzami. Za podwiką idą, szalejąc, mężowie, a gdy sami nie poczynali — nie będą też wiedzieć, kiedy kończyć. Niewiasta zaś nieubłaganą jest i nienasyconą!

IX.

Na krakowskim zamku kipiało i gotowało się teraz, jak w kotle na ognisku, a co tam przysposabiano, nie było dla nikogo tajnem, bo o tem trąbiono na cztery strony świata.

Wyjeżdżały stąd ciągle poselstwa i przychodziły posły z dalekich krajów. Jednego dnia jechali z Rusi bojarowie w kożuchach sobolowych, z kołpakami wysokiemi na głowach, drugiego przybywali rycerze zbrojni, zakuci w stal, od cesarza, którego nieustannie o posiłki i poparcie błagała siostra przyrodnia.

Nie widać tylko było ziemian i starszyzny własnej; ani pasterzy i duchownych, którzy od niejakiego czasu widocznie stronili od książęcego dworu. Nawet ci, których powoływano, nieradzi się stawili.

Z książąt, braci Władysławowych przyrodnich, osadzonych przez ojca na dzielnicach w Sandomierzu, Płocku, Poznaniu, zdawna się tu żaden nie zjawił, wiedzieli bowiem, iż tu im bezpiecznie nie było.

Z każdym dniem rosła trwoga ogólna, gdyż wybuch, który gotowała ks. Agnieszka, zdawał się przybliżać i co chwila spodziewano się wystąpienia jawnego ks. Władysława.

Obojętnem i zastygłem na pozór okiem patrzał na to sam książę, nie opierając się, niewiele mieszając, chyba, aby spełnić rozkazy żony, bo się im oprzeć nie umiał.

Ale przychodziły na niego chwile odmienne, w których zdawał się brać do serca sprawę całą, ożywiał się, mówił o niej gorąco. Trwało to jednak krótko i potem znowu wpadał w swe odrętwienie, lub nawet próbował opierać. Trudno go było zbadać, co w duszy nosił, gdyż na przemiany chwytał przeciwne przekonania i zarówno prędko je rzucał. Dla świętego spokoju w domu dawał zresztą żonie czynić, co chciała.

Po odjeździe tak szybkim palatyna Petrka, gdy

się wszyscy spodziewali, przytrzymawszy go dłużej, wymódz coś na nim groźbą lub łaską i pociągnąć z sobą, Dobek począł wystawiać postępowanie jego, jako oznakę buntu.

Nazajutrz po odjeździe jął księciu przy Agnieszce dowodzić, iż Petrek jeden wszystkiemu winien był, że on innych do oporu miał pobudzać, on był głową i sprawcą spisków, czyniąc się stróżem i wykonawcą ostatniej woli króla Krzywousta.

Książę słuchał cierpliwie, ale nie dał po sobie poznać, co myślał. Chwilami potakiwał, to głową potrząsał milczący. Agnieszka dopomagała ulubieńcowi w tem, aby Petrka zohydzić i obwinić.

Przez kilka dni nic słychać nie było, tylko te nawoływania przeciwko Petrkowi i namowy do pozbycia się go co najrychlejszego. Książę Władysław milczał ciągle. Dano mu w ostatku pokój, widząc, że ani przeczy, ni zezwala. Dobek sam z księżną gotował się wystąpić przeciwko młodszej braci. Ruś i Połowce mieli już być w drodze, obiecywano codzień.

Upłynęło tak dni kilkanaście, nadchodziła jesień coraz chłodniejsza, liście zmrożone opadały z drzew wiatr zawiewał z północy; książę Władysław, który łowy lubił wielce, może dlatego, że wyjechawszy na nie, głowę miał spokojną, wybierał się z całem myśliwstwem swem w lasy. Dobek, zawiadomiony o tem, gdy już wszystko było w pogotowiu, wpadł do księcia.

— Miłościwy panie! — zawołał żywo—gdzie tu czas do łowów? Tu nie o łowach myśleć trzeba. Z domu się wam nie godzi oddalać. Każcie ludziom przygotowania te odwołać. Nie możecie jechać!

Władysław spojrzał nań, namarszczywszy się.

— Wczoraj mi moi ludzie przynieśli wiadomość— dodał Dobek, — że Petrek zwołuje ziemian i biskupów, że ich tu nasyła na was, aby oni się domagali pokoju i bezpieczeństwa dla młodych książąt. Ponabechtywał, co najznaczniejszych żupanów, wojewodów, duchownych, nie z jednej, ale ze wszystkich dzielnic. Tylko co ich nie widać. Wasza miłość musisz sam tu być, gdy przybędą, przyjąć ich i dać surową odprawę, jak należy.

Marszałek domawiał tych wyrazów, gdy weszła księżna, prowadząc dwu synaczków swych, a najmłodszego niosąc na rękach. Dzieci swe książę miłował bardzo, na widok ich rozjaśniło mu się lice. Ale nie dla zabawienia go niemi prowadziła je tu księżna, chciała z pomocą ich, widokiem potomstwa pobudzić męża do śmielszego wystąpienia.

— Dobek mówił, co się tu gotuje na nas! — krzyknęła głośno. — Kraj cały przeciwko nam podnoszą. Im bez silnej ręki pańskiej, z temi dzieciuchami lepiej; robią, co chcą! Ale ta samowola ustąpić powinna. Patrz na dzieci twe! O ich los idzie! Wyżeną nas z niemi, one kawałka ziemi mieć nie będą! Stańże, jak mąż, jak król. Stań przy swem prawie!

Gdy to mówiła, książę się z synkami bawił, głaszcząc ich po główkach. Starszy go za mieczyk chwytał, młodszy za suknię ciągnął, ten, który u księżnej na rękach był, dłonie ku niemu rozpościerał, śmiejąc się.

Władysław, uradowany nimi, zdało się, że nie słyszał nawet, co doń mówiono. Agnieszka oburzona ramionami ruszała.

— Słuchajże przecie! słuchaj! — wołała coraz głośniej, — przyprowadziłam ci dzieci, nie żebyś je bawił, ale byś miał litość nad niemi.

Książę podniósł wreszcie głowę.

— Cóż chcesz? Co więcej mam czynić jeszcze?

— Odprawić buntownicze poselstwo, jak należy...

Księciu coś błysnęło w oczach i rzekł żywo:

— Odprawię! Zrobię, co trzeba! — Zdawał się rozgrzany i pewniejszy siebie...

— Wszystko się gotuje, jak było postanowiono; Ruś zjednana, zamki w stanie obrony, ludzie się ściągają, wojnę wypowiem, jeśli się nie poddadzą. No cóż więcej? Cóż może być więcej?

— Myślisz, że się strwożeni poddadzą! — przerwała Agnieszka. — Choćby się nawet ukorzyli, na dziel-

nicach ich zostawić nie można. Co dziś zażegnamy, jutro się wznowi; trzeba raz skończyć! Musisz być sam!

Władysław potakiwał głową; Dobek stojący z boku, chwycił zręczność, aby znów na Petrka podżegnąć.

— Oniby się odrazu poddali i ustąpili dawno — zawołał, — gdyby nie palatyn Petrek, pierwszy zdrajca, pierwszy wódz do wszystkich buntów. Póki on żyw, pan nasz bezpiecznym nie jest. Tu on króluje, a nie książę.

Agnieszka potakiwać zaczęła.

— Łotr! zbój! przeniewierca! Zgładzić go trzeba, nie dać żyć temu staremu psu, aby nie kąsał.

Władysław dwuznacznie potrząsł głową.

— He! he! — rzekł — pies! Skoro pies ma za sobą całą zgraję, jak mówicie, toć niebezpieczna zgładzić go, bo się na nas psiarnia mścić będzie wszystka.

— E! damy my rady psiarni, byle tego, co ją prowadzi, nie stało!—dodał Dobek.

Na tem się rozmowa przerwała, bo dzieci poczęły wołać do matki, aby do izby z niemi wracała; Dobek poszedł, niosąc jednego.

Książę Władysław popatrzał za niemi i z westchnieniem ciężkiem na ławę się rzucił. Walkę z sobą odbywał, bezsilnym się czując. Myśliwstwo zapowiedziane odłożone zostało. Trzeciego czy czwartego dnia oznajmiono na zamku, że poczty ziemian zewsząd płynęły do Krakowa.

Niczem to było jeszcze, choć palatyna Wszebora i Ciołków, biskupa Janika i poczty Korabiów, Łodziów, Dolewów, Grzymałów, Cholewów zapowiedziano, gdy w ostatku dał ktoś znać, że i sam książę Jakób ze Żnina, gnieźnieński pasterz najwyższy, przybywał także.

Ten dzierżył w ręku władzę Rzymu i siłę jego, za nim posłuszni szli pasterze wszyscy; na jego powołanie i ziemianie musieli się tam zwracać, kędy wskazał.

Wściekły gniew opanował księżnę, gdy się o tem owiedziała, a Dobek począł znów swą piosenkę, że to nie czyją było sprawą, tylko Petrka.

Powaga arcybiskupa przewyższała niemal książęcą. On stał nad wszystkiemi ziemiami państwa Krzywoustego, gdziekolwiek był, pierwsze należało mu miejsce; przeciw niemu nikt się porywać nie śmiał.

Trwoga padła na zamek; księżna z gniewu we łzach chodziła.

Przez cały dzień jeden wyglądano poselstwa napróżno; na podzamczu stały tłumy, rozbijano namioty, ale oczekiwano jeszcze na resztę panów, którzy ciągle się zbierali. Na zamek nie posyłał nikt. Widać było z wałów pozatykane znaki różne, rozbite obozy, kręcące się tłumy czeladzi, ruch na przedmieściach i w mieście nadzwyczajny, a do księcia nikt się nie zjawiał.

Dobek posłał na zwiady; niesiono mu wieść, że oczekiwano jeszcze na żupanów znaczniejszych.

Na zamku tymczasem przysposabiano przyjęcie wspaniałe, nie aby nakarmić i napoić gości, lecz by ich majestatem pańskim olśnić. Co było załogi na zamku, otrzymało szaty, broń, dowódcy i wszyscy urzędnicy dworscy stali w pogotowiu. Niemieckim trybem książęcych dworów, postrojona służba miała okazywać wielkość pańską i siłę. A że podczas i ruscy posłowie na zamku przebywali, i tych w nowe kożuchy i szaty przyoblekano, aby się i nimi pochwalić. Lud to był choć niebardzo gładkiego lica, ale srogiego wyrazu i groźnej postawy, dziwnie wyglądający w szatach dostatnich, obok smukłych niemiaszków, prawie po niewieściemu postrojonych. Czekano.

Następnego dnia, przy dźwięku dzwonów kościelnych, ruszył się z biskupiego dworca pasterz pasterzy, arcybiskup gnieźnieński, na koniu siwym jadąc, cały w purpurze i kapeluszu szkarłatnym... Przed nim jadący klecha w komży, niósł ogromny krzyż srebrny. Jechali dwaj biskupi u boku jego, dalej archidyakoni i prałaci w szatach i czapkach obrzędowych.

Za nimi dopiero postępowała starszyzna świecka, palatynowie, każdy z drużyną i ludźmi zbrojnymi, miecznikami i tarcznikami swymi; wojewodowie mniej-

si z dzielnic różnych, naostatek żupanowie i ziemianie wedle zawołania gromadami.

Cały dziedziniec zamkowy zapłynął tym ludem, a po bokach straże książęce stały szeregami dokoła.

Władysław gotował się na przyjęcie posłów w izbie wielkiej, gdzie i sama księżna chciała koniecznie mieć siedzenie przy mężu, choćby trzecie, bo pierwsze obok niego należało z prawa arcybiskupowi, na równi z panującym zasiadającemu. Przed nim niewiasta, choćby się jak Agnieszka chlubiła, że siostrą cesarską była, ustępować musiała.

Wiódł przodem idącego arcybiskupa marszałek, pochylony pokornie, choć zły w duszy. Ksiądz Jakób ze Żnina, który wistocie potężniejszym tu był bez wojsk, niż książę Władysław z pułkami i sprzymierzeńcami swymi, był mężem lat późnych już, widocznie nawykłym do rozkazywania, a tak godność swą poważnie niosącym, jakby się do niej narodził. Silny, mężny, patrzał z wysoka spokojnie na tłumy, uginające się pod jego błogosławieństwem. Na ramionach jego spoczywała potęga naówczas silniejsza jeszcze, choć się z pod niej cesarze wyłamywali.

Rzym, stojący ponad korony i państwa, miał w ręku piorun klątwy i wyłączenia ze społeczeństwa, moc uczynienia człowieka zwierzem bez prawa obrony. Arcybiskup Jakób zdawał się czuć i widzieć, że tym piorunem gruchoczącym władał...

Na widok jego książę Władysław z siedzenia powstał, wyszedł do progu i z pokorą rękę z pierścieniem ogromnym — ucałował. Były to oznaki godności naówczas tak olbrzymiej wielkości, aby je zdala lud mógł widzieć. Za księciem, choć niechętnie, poszła, uniżając się, Agnieszka.

Książę, arcybiskup i ona zajęli podwyższone miejsca swoje. Ustawiła się dokoła starszyzna kołem, a za nią ziemianie mnodzy. Drzwi musiano zostawić otworem, bo wszyscy w izbie pomieścić się nie mogli.

Gdy cisza nastała, Jakób ze Żnina zwrócił się do księcia Władysława.

— Miłościwy książę — rzekł, — widzisz nas tu gromadnie zebranych nie napróżno. Przychodzimy do ciebie z żałobą, z prośbą, z radą. Wieść chodzi po ziemiach naszych straszna; opowiadają ludzie , że pogany na własnych braci swych i krew swą zwołujesz, że chcesz młodszych wyrzucić z dzielnic ich i orężem się dobijać jedynej władzy...

Ojciec twój, miłościwy książę, pobożny pan, był tej ziemi dziedzicem, i miał prawo z niej dać dzieciom, co mu się podobało. Wyznaczył działy, oprócz najmłodszego... Należy woli nieboszczyka posłuszeństwo. Nie mąćcie spokoju, nie narażajcie się na stratę tego, co macie, sięgając po to, co wam nie należy.

Książę był już zawczasu przez żonę do odpowiedzi przygotowanym; Agnieszka siedziała też tak u jego boku, że mogła mu podszepnąć słowo. Nie godziło się jej samej odzywać, ale czuwała, aby mąż, zostawiony sobie, nie uległ i nie ustąpił.

Na licu księcia malowała się chwilę niepewność jakaś, niby srom, że mu zadano winę; potem się ośmielił i począł żywo:

— Nie może być dwu, albo wielu panów w jednej ziemi. Oddawna państwo to rozdzielane nie było. Mógł ojciec chory, na łożu śmiertelnem uledz podszeptom żony, mógł osłabły stanowić jakieś prawa; ale ja mam za sobą prawo tej ziemi, pierworodztwa mojego prawa. Jam je od Boga wziął: Ono mówi inaczej. Braciom, co słuszna, dam, ale — nie zapieram się, miłościwy ojcze i panie, że chcę być tu jednym i—być nim muszę!

Trochę milczano; duchowni po sobie spojrzeli, akby się nie spodziewali odpowiedzi tak szczerej; ks. Janik wrocławski odezwał się pierwszy:

— Powiedzieć, co się pragnie, łatwa rzecz, ale spełnić — często trudna. I Bóg, i ludzie staną w poszanowaniu woli nieboszczyka; rzeki krwi się poleją, kraj opustoszeje, niewiadomo kto wkońcu zwycięży, a kto padnie. To w mocy Bożej; wasza miłość wezwiesz Ruś, bracia sobie pozwą Czechów i Węgrów może, zleje się

obca moc na te ziemie i zniszczy je a kopytami zorze.

Gorzało lice księżnej, która zawołała półgłosem:

— Panować będziemy nad pustynią!

Władysław powtórzył te słowa, — lecz trwożliwie.

Biskupi spoglądali po sobie, twarz ks. Jakóba ze Żnina ani drgnęła, ni się zmieniła.

— Mieć więc będziecie przeciwko sobie — odezwał się — nietylko braci i ich sprzymierzeńców, ale nas, ojców swych duchownych, bo my dopuścić nie możemy krzywdy młodszego rodzeństwa. Jesteśmy jego opiekunami.

Wtem książę Władysław nie czekając podszeptu żony, sam z siebie się odezwał:

— Na życie, ani na mienie braci nie godzę; chcę, by mi byli podlegli i posłuszni, by stali pode mną. Młodsi są i ojciec mi naznaczył władzę zwierzchnią nad nimi.

Arcybiskup przerwał.

— Nie oprą się pewnie, gdy ich ku obronie powołasz, ale u siebie w domu panami są i zostaną nimi przy pomocy Bożej.

Książę spuścił wzrok na szaty; nie mówił nic długo.

— Stoję przy tem—dodał cicho.

Z pomiędzy świeckich wystąpił palatyn Wszebor.

— Miłościwy panie — odezwał się — my z prośbami do ciebie przychodzimy. Ulituj się nad nami i krwi niewinnej. Wojnę począć może lada kto, a pożar ten ugasić — tylko moc Boża! Od obcych ona straszna, od swoich—bezbożna! Zmiłuj się nad nami!

Za nim wszystka ta gromada, stojąc, w izbie i za izbą, poczęła powtarzać wielkim głosem.

— Zmiłuj się nad nami!

Poschylali głowy jedni, drudzy na kolana poprzypadali.

— Zlituj się! zlituj!

Władysław poruszył się niespokojny, siedząca za

nim Agnieszka płonęła takim gniewem, że sromając się go, to sobie twarz zasłaniała, to mimowoli miotała rękami.

— Nie waż się ustępować! — wołała do ucha mężowi. — Zastraszyć chcą, boją się sami! Nie widzisz, że się trwożą ciebie i gardzić będą, gdy się im upokorzysz i ulegniesz!

Książę zwrócił się do arcybiskupa.

— Ojcze mój, nie mogę zmienić, co postanowiłem — rzekł zniżonym głosem słabym, niech — niech się dzieje wola Boża! Od braci ja nie chcę nic, tylko posłuszeństwa i daniny na znak mej władzy.

— Daniny nigdy nie płacili! — przerwał Wszebor. — Na wojnę, na nieprzyjaciela pójdą wszyscy, ale w domu, czasu pokoju, każdy pan udzielny.

— Tu niema innego pana, tylko jeden! — wybuchnęła Agnieszka.

Nikt na to nie dał odpowiedzi. Patrzano na księcia; ten szatę na sobie targał i w ziemię oczy utopił.

Arcybiskup Jakób poszeptał coś z biskupem Janikiem i mówić zaczął:

— Miłościwy książę, złych i płochych masz doradców, ja ojciec twój duchowny, radzę, życzę, z Kościołem i ziemiami temi nie poczynaj wojny. — Kto przeciwko nam idzie, tego spotka los Szczodrego... nie daj Boże! · Prawica Pańska mocną jest, a wygnanie gorzkie!

— My nie pójdziemy na wygnanie. Nie! — zawołała głośno, nie mogąc się powstrzymać Agnieszka.

Po krótkiem milczeniu arcybiskup spokojnie odezwał się:

— Bóg jeden wie, co komu przeznacza! Stanie się wola Jego!...

Skłonił głowę.

— Wiarołomnych on karze.

To mówiąc, pasterz wstał; starszyzna świecka poczęła znów padać na kolana.

— Zmiłuj się, nie prowadź na nas wojny! Zlituj się!

Książę Władysław, jakby słuchać nie chcąc, odwrócił się od nich; Jakób ze Żnina pokłonił się zdala i zabierał do wyjścia, nie podnosząc ręki do błogosławieństwa.

— Nie mogę już błogosławić domowi, z którego wychodzi wojna i śmierć, a wiarołomstwo. — Boga prosić będę, aby litując się wam raczył natchnąć lepszym duchem.

To powiedziawszy, odstąpił od księcia, rękę położył na piersiach i począł iść nazad ku drzwiom w milczeniu. Za nimi inni też odpływać poczęli; w dziedzińcach powstał szmer i gwar.

Ziemianie rozpaczliwie niemal głowami ku sobie wskazywali, dając znać, iż nic uczynić nie zdołali.

Izba się wypróżniała zwolna, bo wielu szło tak, jakby się jeszcze spodziewali, że ich nazad, zmieniwszy zdanie, odwołują, że trwoga ogarnie księcia.

Władysław wistocie przejęty był strachem, ale przy nim stała żona, gniewem i dumą oburzona, zapamiętała, patrząca za uchodzącymi z pogardą. Ostatni jeszcze nie przestąpili progu, gdy na głos zawołała:

— Wszyscy zdrajcy są! nabechtani! Nie strwożym się ich gróźb, zobaczymy, przy kim będzie Bóg i siła Jego. Prawo z nami! Książę nie chce być drewnianym bałwanem, ani strachem na wróble — panować będzie!

Ściśniętą rękę wyciągnęła groźnie. Władysław padłszy znużony na ławę, zadumał się, ale i w nim ozwało się teraz uczucie jakieś.

— Tak — cofać się nie czas! Uczynię, co postanowiono. Co ma być — będzie! Będzie-li źle — jam nie winien. Teraz już to musi być. Groźbom uledz — srom... Będzie, co ma być!—powtórzył niespokojnie.

Agnieszka dodała gwałtownie:

— Winę biorę na siebie! Nie godziło się inaczej, a nie—to lepiej było precz stąd iść odrazu.—Tak! tak!

Ruszyła się iść.

— Dobekl za mną!—dodała, oglądając się.

Marszałek posłuszny stawił się i szedł za panią. W wielkiej izbie książę został sam. Przed chwilą gwarna, stała teraz pustką, choć jeszcze w niej zdawały się latać groźne słowa, błądzić widma tych ludzi, co tu prosili i grozili panu. Z siedzenia arcybiskupa spadło było wezgłowie i leżało na ziemi, jakby on go tu więcej zajmować już nie miał. Na krześle Agnieszki rozpostarta chusta, zgnieciona, zapomniana, walała się, nosząc na sobie ślady namiętnych dłoni, co ją w czasie posłuchania szarpały.

Władysław powiódł oczyma po pustej izbie. Nareszcie i on tu pozostać nie chciał, wstał i krokiem niepewnym skierował się ku izbom swoim. Za nim ciągnęli komornicy.

— Holsza! — zawołał do łowczego, który zawsze stał w pogotowiu na uboczu, oczekując rozkazów.

— Holsza? Co myślisz? Rychło-li ziemia skostnieje i ponowa spadnie? jak ci się zda?

Łowczy przez okno wyjrzał trochę...

— Gdyby tak wedle znaków sądzić — rzekł — śnieg za pasem powinien być. Lasy szarzeją, a na niebie chmury, jak pełne wory, ciężko wiszą.

— Co z księżycem?—spytał książę.

— Ku młodzikowi się zabiera! — odparł Holsza.

— Gotujże psy i łowiectwo twoje — dokończył książę; — byle śnieg prószyć począł, w drogę! Ho! ho! pociągniemy daleko! pohulamy po lasach! Żywności wziąć dostatek, posiedzimy w puszczy bodaj miesiąc. Tam dobrze!

Rozśmiał się weselej.

— O, tam dobrze!

— Dobrze, miłościwy panie!—potwierdził Holsza.

— Nieprawda? Niema to, jak las a bór! — odezwał się Władysław swobodnie;—ja wolę las, niż dom. a zwierza, niż ludzi! Ej! tam to życie! Nieprawda, Holsza?

— Prawda, miłościwy panie!

Uderzył go dłonią szeroką po nachylonych ramionach.

— Tam ja nie książę, a król — mówił Władysław. — Tam my panami, Holsza? Pociągniemy puszczami daleko, daleko, póki puszcz nam stanie! Tylko paszy nabrać dużo dla koni i dla nas. Jak ci się zda? będzie-li zima tęga?

— Tak ludzie wróżą.

— A! niechby była tęga! — mówił książę. — Gdy błota staną, rzeki staną, stawy zamarzną — jedź wówczas, gdzie oczy poniosą! Nieprawda, Holsza?

— Prawda, miłościwy panie.

— A Załaj wylizał się, czy nie? — począł po chwili.

— Blizna jeszcze czerwona i liże ją dotąd, ale wprędce koniec będzie. Tylko włos na niej nie urośnie rychło — rzekł Holsza, — bo to dziczy kieł jad ma! Ale pies dlatego chodzić będzie.

— Pies z najlepszym nosem! — mówił książę poważnie — złoty ma nos! A po nim szczenięta! hę! hodują się?

— A jakże, miłościwy panie.

— Gdyby matka karmić nie chciała, choć im mamkę wziąć — dodał książę, ażeby mi nie pozdychały.

— E! — odezwał się, śmiejąc poufale, Holsza, — jušci dla szczeniąt mamki u Arona kupować nie będziemy, choć i on takie niewolnice ma, co za mamki służyć mogą.

Władysław o czemś myślał zadumany, ale łowczego trzymał przy sobie.

— Słuchaj, Holsza!

— Słucham, miłościwy panie!

— Pode mnie niechaj gotów będzie Chwat cisawy; ten nogi ma takie, że i na gołoledzi nie padnie, a nie rozedrze się; u niego róg taki, że i żelaza mu nie trzeba—prawda, Holsza?

— Prawda, miłościwy panie.

Władysław podniósł połę sukni, dobył garść drobnych blaszek srebrnych i rzucił je w nastawione Holszy dłonie, szepcząc mu na ucho:

— Byle pierwsza ponowa! I w las! w las! prawda, Holsza?

— Prawda, prawda! w las, w las!...

— A w lesie panowanie nasze! — zawołał Władysław i nucąc, poszedł do swej komory.

W izbie księżnej Agnieszki inna wcale toczyła się rozmowa. Dobek w swem ubraniu paradnem stał oparty o ścianę, z rękami w tył założonemi. Agnieszka chodziła po izbie.

— Wszystko to Petrkowe ułożenie — mówił Dobek; — byle jego nie stało, wezmą w łeb jego spiski i zmowy. Jego tylko, zdrajcę, ubić, wygnać, zniszczyć. Skąd ma te skarby? Skąd ta wielkość jego? Przywłaszczył sobie, co chciał z pańskiego, gdy Krzywousty postarzał. Co on ma, powinno być pańskie! Tam jest się czem pożywić! Niech go nie stanie, zmiękną oni wszyscy, bo on tej sieci węzły w ręku trzyma, nie kto, tylko on!

— A z nim niełatwo—potrzęsła głową księżna.

Dobek się uśmiechnął chytrze.

— Eh! — zawołał, — dać mi go na ręce moje, a ja sobie z nim poradzę! Wojny z nim prowadzić nie potrzebuję, jak mysz pochwycę go w garść i zduszę! Na chytrego chytrości potrzeba!

— Tak! — rzekła księżna — ale książę go lubi!— On ma słabość do niego! Razem z nim po lasach się włóczą, wodzi go po ostępach, psy mu stręczy, sokoły śle i tem go sobie jedna.

— Jakby książę do lasu innych towarzyszów sobie nie znalazł! — mruknął Dobek.

— A czemuż ty mu się nie nastręczasz? — odezwała się księżna. — Jemu na łowach najsnadniej do serca trafić można.

— Tak — odezwał się Dobek — z księciem pojechać w las, to się na dwóch, trzech dniach nie kończy, a któż tu będzie miał oko na zmowy i zdrady? kto ludzi w ręku utrzyma? Gdyby nie ja, czy toby się wszystko nie rozbiegło, jak stado owiec? Tu raz wraz i oka, i grozy potrzeba.

Zamikł chwilę, ale wnet do Petrka powrócił.

— Miłościwa pani— odezwał się, — prędzej później Petrka kara zasłużona nie ominie; a komuż słuszniej po nim wziąć, co narabował, jeżeli nie mnie, wiernemu słudze waszemu? Mnie się to należy, mnie! Skarby są wielkie, a ja dotąd nie mam nic, oprócz obietnic łaski. Dlatego ludzie mnie szanować i słuchać nie chcą. Ja go zgładzę, mojemu państwu spokój zapewnię, ale niechże szyję stawiąc, choć to mam, żebym sam trochę urósł.

Księżna zapatrzona w okno, milczała.

— Dopóki Petrek chodzi po świecie, póty książę zawsze niepewien panowania, a i potomstwo jego, jak szczenięta, wytopić trzeba.

— Krom córeczki, której się Dobkowi zachciało— kwaśno wtrąciła Agnieszka.

— Ja i tej córki niebardzo żądam — rzekł Dobek. — Co mi tam! Nie dla siebie ja o nich myślę ale dla was! dla was!

Taką rozmową bawił Dobek niemal co dnia panią swoją, ona go z tem do księcia odsyłała, książę słuchał cierpliwie, ale nie odpowiadał nic. Dobek nasyłał drugich, gotował, przysposabiał, lecz szło mu dotąd oporem.

Książe pilniej, niż zemsty, śledził nadchodzącej ponowy. Ani mu Połowcy, ani posły od cesarza nie byli tak pożądanymi, jak śnieg. Nareszcie jednej nocy doczekano się pożądanego mrozu, a w parę dni śnieżycy wielkiej, która ziemię na stopę pokryła białym całunem. Zdawna, wprzódy nim tu spadła ponowa, przybywający od Szląska i Pomorza donosili, że tam już nastała zima i sanna.

Holsza przybiegł z dobrą nowiną. Jednej godziny wszystko było na nogach, książę zapomniał nawet oznajmić się żonie, chodził po izbach i gnał łowców swoich.

— W las! w las!

Biegła czeladź, pozrywali się wszyscy; księciu jeszcze zdawało się, że za powoli chodzili. Gniewał sie i chmurzył, burcząc nawet i wydając groźne rozkazy. W tem jednem miał stanowczą wolę swoją, tu mu się przeciwiać nikt nie ważył. Przybory te zobaczywszy,- Agnieszka poszła pytać, na jak długo i dokąd się książę wybiera.

Władysław aż się rozsierdził.

— Nie wiem! — krzyknął. — Kto na łowy jedzie, nie może powiedzieć, kiedy powróci! A głupi kto powiada dokąd! Gdzie oczy poniosą, kędy tropy prowadzą!

Konie stały w podwórzach z jukami, z żywnością, psy skowyczały na sznurach, zwijał się Holsza. Na niebie jeszcze wisiał śnieg, ale powietrze było łagodne.

— W las! w las! — rozlegało się po dworcach.

Księżna po raz wtóry posłała pytać, kiedy powróci, ale Władysław tak był już rozgniewany, że nie szanując posła małżonki, odpędził go fukaniem i groźbą. Sam jednak poszedł do Agnieszki już w kożuchu i kołpaku. Otworzył drzwi jeszcze mężniej, ale na progu cała odwaga go opadła.

— Przychodzę cię pożegnać — rzekł łagodnie — bo oto bardzo pilna sprawa, ponowa! Trzeba koniecznie w las, choćby życie dać!

— A kiedyż wracasz?—spytała żona.

— Któż to może wiedzieć? Bóg jeden wie! — ruszył ramionami książę. — Jeszczem nie jechał, a już mam powracać? Możeż to być? Wy macie krośna i igły, ja łowy moje. Sprawiedliwa rzecz. Ja bez nich nie mogę żyć—to mój czas, to żniwo moje!

— A któż tu za was będzie sądzić i rządzić? — spytała księżna.

W tej chwili książę zdala głos nakazujący Holszy usłyszał; nie mógł już wytrzymać, ruszył ramionami, i nie odpowiadając, drzwi zamknął. Szedł już.

— W las! — zawołał żywo, dosiadając konia, jakby się lękał, aby go nie zatrzymano.—A no, w las!

Gromada książęca już wyruszyła z dziedzińców zamkowych, gdy we wrotach spotkała orszak jakiś liczny. Byli to właśnie posłowie księcia, a raczej Agnieszki,

powracający od czerwińskich grodów. Książę uśmiechnął się im tylko, nie pytając nawet, co przynosili, tak mu było pilno.

Żwawym kłusem ruszono od zamku, przez podzamcza, aby co prędzej skryć się w lesie. Księciu paliły się oczy do puszczi borów. Coraz to spoglądał na Holszę, a Holsza mu się uśmiechał, to — znów na tropy po śniegu. Ziemia usłana tym puchem świeżym bawiła go, jak pisana karta.

Tuż, na widnokręgu niedalekim, stały owe ukochane lasy, szronem okryte, śniegami ubielone, otrząsając potrosze z obciążonych gałęzi, czem je noc przysypała. Na szarem, ołowianem tle niebios malowały się jasno osrebrzone gałązki, a po śnieżnej powłoce popisane przez zwierzęta gzygzaki łowcy tak czytali, jak mnichy psałterz malowany.

Księciu na swobodzie aż się twarz inaczej uśmiechała, aż mu było weselej i raźniej. W zamku był zawsze milczącym i ponurym, teraz, zapomniawszy troski wszelkiej, podnosił czoło, oddychał, w boki się imał, do psów odzywał, do konia zagadywał, do samego siebie coś podśpiewywał, do Holszy mrugał, odpowiadał na pokłon każdego przechodnia.

Ktoby go był naówczas w czystem polu na rozmowie z samym sobą podsłuchał, zdziwiłby się, jak w duszy jego myśli różne ścierały się i kłóciły.

Chwilami chciał sam, potężnie, nad całemi ziemiami siedzieć na tronie, potęga ta wielka uśmiechała mu się, pobratymstwo z cesarzem wbijało w dumę! Wnet, gdy pomyślał, że korony szukać było potrzeba w strumieniach krwi, w zajadłej walce ze wszystkimi — odpadała go ochota. Miał i tak lasów dosyć, ludzi dosyć, i sądów i troski panowania.

Potem znów zdało mu się, że za nim bieży głos żony, wołający:

— Cóżeś ty tu, pan, czy półpanię, czy tylko ćwierć pana? Azaż nie wstyd mi, cesarskiej siostrze, siedzieć przy tobie, pomiędzy trzema, czy czterema małej braci, jak prostej ziemiance?

I zdało mu się po chwili słyszeć głos ojca umierającego, który mu polecał braci i na łożu śmierci mówił ledwie dosłyszanem wzdychaniem: Bądź ty im opiekunem i ojcem! Bądź im tarczą i obroną! Weźmij ich, jak kokosz pod skrzydła swoje, otul i nie dopuść, aby się nad nimi znęcały jastrzębie!

Widział tego rycerza chrześcijańskiego, okrytego tysiącznemi bliznami, nawrócicieła pogan, pobożnego pielgrzyma i ludowcę kościołów, rozciągniętego na łożu ostatniem konania, otoczonego biskupy płaczącą żonę u nóg jego, relikwiami Świętych Pańskich ocierającą stygnące ciało, małe sieroty u kolan przytulone, a siebie stojącego w głowach i słuchającego tych słów ostatnich, z któremi uchodziło życie.

— Bądź ty im ojcem! Władysławie, bądź im opiekunem!

Potem znów roztapiało się to widzenie i głos szyderski szeptał mu:

— Ażali ojciec twój wielki i święty nie dał uśmiercić brata przyrodniego, Zbigniewa? A Chrobry bracię swą, a Mieszko, praojciec tych, co mu na drodze do panowania stali? Maż ta ziemia iść rozerwana na zagony i na huby, pójść w strzępy, aby ją potem lada sąsiad wilczemi zębami na ochłapy darł dla siebie?

A głosowi temu w powietrzu potakiwało od Krakowa zalatujące wołanie Agnieszki.

— Jesteś tu pan, czy półpanię, czy ćwierć pana? Książę, czy ziemianin prosty? A czemże będą dzieci twe, synkowie twoi, gdy się twoją ziemią dzielić zechcą? Zejdą wnuki na żupanów, a prawnuki na kmiecie!

Jechał tak, rozbijając się z myślami, to chcąc, wzdragając się, gdy między czeladzią a łowcami wrzawa się wszczęła.

Zając, szarak przebiegł im drogę, psy się ruszyły za nim; pokazał im tył biały na urągowisko—i zniknął. Tuż stara niewiasta z wiadrami próżnemi na ramionach przystanęła i patrzała.

— Złe do licha będą łowy!—krzyknął Holsza.

Książę stanął popatrzał i na prawo zawrócił; nazad

na zamek ani myślał, tak mu się chciało tchnąć swobodnie, kilka dni nie słyszeć głosu piskliwego pani, wyrzutów jej i szyderstw, Dobkowych napomnień i postrachów.

Książę wjechał w las i oddychał.

Nad głowami gałęzie rozpościerały się szeroko siecią ciemną, a z nich niekiedy z szmerem tajemniczym zsuwał się powoli śnieg. Cicho było i spokojnie, i jakoś miło, jak w domu Bożym. Na ziemi coraz częściej plątały się ślady zwierza, porysowane na wsze strony. Tam zdradził swój pochód lis, choć tropy zacierał ogonem; tu poznaczył drogę zając, wycisnął łapy niedźwiedź spłoszony z barłogu i jeleń poćwiekował śnieg. Na dębach krakały gałki i kruki. Czy życzyły dobrej, czy prorokowały złą drogę — któż to mógł odgadnąć?

Holsza, pomrukując coś, puścił na nich strzałę do góry i stado całe zerwało się, trzepocząc skrzydły, wrzeszcząc wróżby swoje na lasy, na bory... Głos ich cichł coraz w dali i z szumem drzew zlał się w jeden szmer smętny i spokojny.

— E! lasy wy moje, lasy! — westchnął do siebie Władysław. — W was człowiek o wszystkiem zapomni! I tyle życia, co w lesie!

X.

Petrek siedział u ognia w izbie swej, gdy mu o gościach znać dano. Jechała pod wrota gromada jakaś znaczna, a nikt powiedzieć nie umiał, kto oni byli. Wiedzieli wszyscy, że ludzie musieli być dostojni.

Kupa jezdnych, łowczych, psów, czeladzi stała już u samych wrót dworca i trąbiła, aż się rozlegało. A trąbili też jakoś dziwnie, nie tak, jak druh i człek równy, ani tak, jak człek mały a pokorny, nawet nie tak, jak ks. Janik, gdy bywało z sobą Petrka na łowy

wyzywa. Trąbili, jak pan na pachołki swe, rozkazująco, gwałt czyniąc we wszystkie rogi nie bojąc się gniewu palatyna. Aż wybiegła cała służba i koniuszowie, a nakoniec wyjrzał i młody Światosław.

Ten, gdy stojących u wrót zobaczył, pędem pobiegł do ojca, a wrota kazał co prędzej na oścież otwierać.

Gromada się w nich zatrzymała i trąbiła ciągle na schwał, nie wjeżdżając w podwórze, trąbiła, aż się hen, na miasto trwogą rozlegało.

Dziwowali się, zbiegając wszyscy; Petrek biegł prędko, kożuch na siebie zarzuciwszy, i przypadł do kolan siedzącego na koniu pana, witając go, jak poddany jego pokornie.

— Miłościwy panie a ojcze! — zawołał. — Nie czyńcie mi też sromu; gdyście na progu, zajedźcież do sługi swego, nawrócić ludziom każcie. Niech się konie najedzą, niech się czeladź pańska napije, ty, panie, spocznij. Proszę, a proszę!

Książę Władysław był bardzo dobrej myśli.

— Koniom nie czas jeść, ludziom nie trzeba pić, ja nie chcę spoczywać! Każcie tu tylko wynieść kubek, abym za zdrowie wasze go wypił, a siadajcie sami na koń, na łowy ze mną! Czas! czas! szkoda takiego czasu! Pojedziesz Petrek ze mną, i ty, i łowcy twoi, i psy, i wszystko!

Zawahał się nieco palatyn; coś go w serce kolnęło, jakby sztyletem. Po co cię pan chce brać z sobą? On, co się niedawno gniewał, a tak bardzo teraz na ciebie łaskawy?

Obejrzał się po łowczych, towarzyszących panu i nieprzyjaciela głównego między nimi nie zobaczył; mężnym też był, trwogi po sobie okazać nie chciał.

— Petrek, na koń! Słyszysz? — powtórzył książę wesoło.

— Koń i ja pójdziemy z miłością waszą na koniec świata — odparł palatyn, — ale wstąpcież choć na próg mój, abyście mi serce ojcowskie okazali. Nie-

boszczyk rodzic wasz nie jeden raz bywał i zasypiał u mnie, chlebem sługi swojego nie gardził.

Zawahał sę coś książę i pochylił do ucha Petrkowi.

— I wjechałbym, i jadł, i spał z wami — szepnął, — a no wrogów macie, co was oskarżają. Gdybym u was sprawiał gody, mówiliby na mnie, żeście sobie ujęli księcia, a odwrócili go. Jedź-no ze mną, jedź! Na łowach w lesie, gdzie drzewa jeno słuchają, lepiej się rozmówić, niż we dworze, gdzie ściany uszy mają, a okna gęby. Nie zsiądę do was, ty wsiądź do mnie!

Petrek, wiedząc, że go nie zmoże, skinął na ochmistrza swego; ten, choć mu nic rzekł nic, zrozumiał wszystko. Wnet Światosław stanął na miejscu ojca z głową odkrytą, za uzdę podtrzymując konia książęcego. Petrek poszedł podpasać się, wziąć kołpak i sokoła. Konia swego kazał prowadzić i stanąć dwudziestu łowczym, psiarzom i naganiaczom, a psy prowadzić co najlepsze.

Książę ciągle na koniu siedział. Wtem z otwartych wrót począł wypływać jakby uroczysty pochód jaki. Przodem ochmistrz z laską złoconą w ręku, za nim rzędami dwoma czeladź Petrkowa postrojona, niosąc na misach i deskach malowanych, na tarczach nawet kubki, jajka, napoje, chleby. Koniuszowie na płachtach szkarłatnych dźwigali obroki dla koni, w kubłach kowanych nieśli wodę, tak, że książę nie zsiadając, mógł na siodle posilić się, napić, a koniom dać przetrzeć zęby i ugasić pragnienie.

Z twarzy pańskiej widać było, że potrosze rad był gościnie, a trochę też może zazdrościł tej zamożności poddanego, który mógł go przyjąć jak książę udzielny, na srebrze, na złocie, z posługą tak liczną, wspaniałą przyodzianą i świetną, nad którą piękniejszej w Krakowie nie było!

Popatrzał książę i na pięknego młodziana, co mu konia za uzdę trzymał, syna takiego nawet zazdroszcząc Petrkowi.

Wtem wprowadzono palatyna konia, Sokoła, który do łowów umyślnym był, dzielne stworzenie, z nozdrzami krwawemi, z chrapami czarnemi, okrytego srebrzystą

sierścią lśniącą, z ogonem i grzywą wlokącemi się po ziemi.

Wyprowadzono psy Petrkowe po dwa posforowane, tak silne i tak wykarmione, a tak wesoło podskakujące i skomlące, że aż miło było spojrzeć na nie.

Książę konia i psów trochę mu pozazdrościł.

Łowcy też i przybory myśliwskie pańskim doborem i liczbą nie ustępowały.

— Dobrze się dzieje Petrkowi! — myślał książę.

A wtem ukazał się i Palatyn w prostym kożuchu i czapce baraniej z torebką przez plecy.

— A cóżeś to, jak dziad, co chodzi za jałmużną, wór przewiesił przez plecy!—rzekł książę, śmiejąc się—alboż to do noszenia sakw nie masz za sobą ludzi?

— Miłościwy książę — odparł Petrek — taki ja od wieku zwyczaj mam, gdyżem na łowach gorący. Odbiję się od ludzi, zapędzę w las, nie chcę głodem mrzeć; zawsze więc jaki taki kawał mięsa i chleba przy sobie noszę.

Konie jadły jeszcze, ludzie pili, gdy książę już usta otarłszy po kubku wina, trąbić kazał i sam wołał niecierpliwie:

— W las! w las! Petrkowi łowce niechaj prowadzą, gdzie wiedzą, że najwięcej zwierza i uciechy, gdzie ostępy pełne, abyśmy z próżnemi rękami nie powracali! W las! w las!

Nigdy jeszcze Petrek nie widział księcia Władysława tak wesołym, ani tak ze sobą poufałym, ni tak dla siebie dobrotliwym. Ani go mógł teraz poznać po tym, którego ostatnim razem spotkał na krakowskim zamku.

Ruszyli więc do najbliższego lasu gościńcem przez groblę glinianą, około Mikułowej gospody, ale księciu się wnet sprzykrzyła droga bita, kazał nawracać co prędzej w gąszcze, ludziom się wielkiem kołem rozsypać na prawo i lewo, iść cicho, a gdy naprzód zabiegną dopiero w trąby i rogi bić, zwierza napędzać.

Dzień pochmurny był a łagodny, niebo ciągle się trzymało szare i smętne, śnieg się z niego zapowiadał, a nie sypał.

Ledwie w gąszcz wjechali, gdy tu pomknął jeleń— psy za nim, a książę za nimi, a Petrek za księciem. Ani oszczepu, ni strzały nie było puścić sposobu; psy, co go oskoczyły i przytrzymać chciały, to się im rogami obronił, kilkoro ich poprzebijał, oskakiwał i gnał dalej na las, na gąszcze.

Petrkowi nie o jelenia szło, ale o pana, więc zapomniawszy zwierzęcia, jego ścigał i wkrótce już dwu ich tylko samych było, bo reszta ludzi w tyle pozostała, zbłąkała się, rozpierzchła na cztery wiatry.

Książę zapalił się straszliwie, krzyczał na psy, przeklinał pustynię, sam siebie, konia smagał, a cudem głowy nie rozbił o gałęzie, konia o pnie nie rozdarł. Sam już nie wiedział, kędy go Chwat niósł, ani co się z nim działo.

W jelenia zrazu tylko patrzał, ale ten coraz pomykał dalej, dalej, aż ze psy zniknął im z oczu.

Władysław, zapominając się, klął straszliwie, psów gony ledwie już było słychać, jelenia ani ujrzeć; Petrek nie odstępował pana.

Zapędzali się tak coraz dalej w puszcze, zbaczając to w prawo, to w lewo, przez błota, zarośle i gęstwiny. Sami już nie wiedzieli, gdzie byli, a książę się hamować nie dawał, prąc naprzód tak długo, aż wreszcie zmierzchać zaczęło.

Ani ludzi, ni koni, ni psów i zwierza nie było widu, ni słychu. Władysław rwał się naprzód, Petrek gonił za nim.

Wreszcie i koń pod księciem na lodowisku ślizkiem upadł, porwał się wnet, padł raz, drugi, i już powstać nie mógł zdyszany. Petrek ze swojego zeskoczywszy nadbiegł i Władysława z siedzenia pochwycił.

Obejrzeli się dopiero, że sami jedni byli, a noc nadchodziła.

Gniewny pan trąbkę, zawieszoną na sznurze, wziął do ust i począł nią gwałtownie przywoływać ludzi. Głos trąbki głucho się jakoś rozchodził i jakby w śniegach utopiony, brzmiał słabo. Grania rogu las nie chciał powtarzać — nikt też nie odpowiadał na nie.

— Miłościwy panie — odezwał się Petrek — konie zdajcie na mnie, mam przy sobie toporek zawsze, ognia jest czem niecić, tu pod dąb na wzgórze pójdziemy, aliści doczekamy się ludzi. Od czasu do czasu nawoływać będę!

Książę zbity był bardzo i zmęczony, nie rzekł już nic, na wszystko się godził.

Petrek wszędzie i zawsze umiał sobie dawać rady; na jedną rękę cugle koni zarzucił, drugą księciu podał, aby się sparł na niej i wywiódł go ze ślizgawicy pod dąb na wzgórze.

Tu wnet ze swojego konia kobierczyk jeden zdjął i na ziemi go rozesłał, konie powiązał i ustawił, sam, za toporek od pasa wziąwszy, począł gałęzie suche obcinać, chróst zbierać, suche liście odgrzebywać z pod śniegu.

— Miłościwy panie — mówił do nachmurzonego księcia wesoło — dobrze człeku i biedy czasem zaznać, bo potem wie, jak sobie w biedzie rady dać. Oto ja, co ubogi byłem, dziś się bez sługi obchodzę, bo sam sobie posłużyć umiem.

Książę leżał na kobiercu i patrzał tylko, a już mu był ów gniew na jelenia i psy przeszedł, i poczynał się uśmiechać. W puszczy mu tak samemu z Petrkiem, pod gołem niebem, na ziemi jeszcze ochotniej było, niż na zamku z mnogą czeladzią.

Mrok zimowy spadał, jak gęsta zasłona na lasy, niebo coraz ciemniało, drzewa zdawały się bielsze coraz. Petrek już był dobył i ognia, i huby i siarczystej onuczki, już przysiadłszy na ziemi, zgarnął liście, drobne gałązki, susz i płomyk rozdmuchał. Dobywał się wesoło jasny ogieniek, jakby go kto z więzienia na świat uwolnił, skakał żółtemi języczkami do góry, zwijał się kapryśnie na prawo i lewo, a pod nim płynął dymek wstęgami sinemi i buremi, aż się robiło raźno w duszy. W pośród szarych już mroków poczęły się złocić białe gałązki, sosny rumienić. Ciepło od ogniska rozchodziło się dokoła...

Na tem nie dosyć. Petrek z toporkiem poszedł po gałęzie jodłowe, obciął ich kilka, zwlókł na kupę parę

kołków, okrzesanych ze ściętych sosenek, wbił w ziemię, na nich, jak oponę, jedlinę porozwieszał i szałas zbudował, u którego wnijścia ogień się coraz lepszy palił. Wprzódy nawet i z wiatrem porachował się tak, ażeby gryzący dym precz na łąkę odganiał.

— Miłościwy panie — rzekł — teraz kobierczyk pod szałas zaciągnę, legnijcie sobie wygodnie, a spoczywajcie.

— Dobry z was towarzysz — odrzekł książę — na Boga, doskonały! Jeżeli nasza dwornia nie przybędzie, bodajby się i wasza torba jeszcze nie zdała.

— Byle się w niej coś znalazło! — zawołał Petrek wesoło — bo pośpiesznieśmy wyjeżdżali: nie wiem, czy do niej co włożyć pamiętali. Zawsze jednak coś się tam znajdzie — dodał z uśmiechem — bo próżna ona nigdy nie jest. Rogi się coś na wołanie nasze nie odzywają, bodaj tak nocy nie przyszło przepędzić. Dla mnie to niczem, miłościwy panie, bom ja nawykł i na śniegu leżeć, i na deszczu spać i na zimnie a skwarze czy odpoczywać, czy pracować, ale wam...

— A jam też, choć królewski syn, przecie myśliwy — odezwał się książę — bywałem i ja w różnych sprawach, a nie smakowało mi nigdy nic, jak chłopski chleb o głodzie i polewka z mąki w chacie na łowach. W lesie człek dobrej myśli zniesie wszystko, więcej, niźli doma na wezgłowiach.

Zwlókł się, mówiąc to, książę z kobierca pod szałas. Petrek ognia podsycił; płomień buchnął do góry, książę się nanowo ułożył wygodnie i na łokciu oparłszy, począł:

— Petrek! Na łowach wy mi druhem jesteście, hę? a czemuście to mi gdzieindziej wrogiem?

— Ja? ja? — odparł Petrek. — Ale ja nigdy i nigdzie wrogiem miłości waszej nie byłem i nie jestem!

— A przecz-że ty mi stajesz na drodze?

— Do czego gdzie miłościwy panie?

— A do panowania i korony! — zawołał Władysław.

Petrek zmilczał trochę.

— Miłościwy książę — odezwał się głosem poważnym, — póki ja będę żyw, nie wyjdzie mi z pamięci ów dzień i godzina, które i dla miłości waszej pewnie pamiętne bardzo być muszą. Pomnijcie, książę, ów smutny dzień jesieni (28 października), gdyśmy to oba razem stali u tego łoża, na którem król mój, pan mój, ojciec mój, a wasz też rodzic konał, otoczony biskupy, wśród modlitw naszych i jęków. Nie wyszła wam z pamięci ta twarz boleściwa wielkiego rycerza, co życie całe przewojował, a miał więcej blizn, niż lat... gdy patrzał na tę, którą wdową miał zostawić, na maluchnego swojego Kazimierza, dla którego ziemi nie stało, na ledwo dorastających książąt, bracię waszą: Henryka, Bolesława i Mieczysława...

Ja to do dziś dnia jeszcze słyszę, jako modlitwę ledwie odmówiwszy ostatnią, polecać wam począł sieroty. Będziecież wy z dziećmi i wyrostki wojowali i gnębili je? Nie, nie, miłościwy panie! Lepsze błogosławieństwo ojca z za mogiły, niż korona! Ja, co pomnę wieczór ten, posłusznym głosowi pana być muszę, bo zwrócił się do mnie miłościwy pan i rzekł: Wy, ojcowie duchowni, pasterze, ty Petrku, wierny sługo mój, wy wojewodowie, strzeżcie woli mej, aby się dzieciom krzywda nie działa.

A panie! ty nierad przeciw nim pójdziesz — ale . . .

Nie skończył Petrek i urwał.

— E! — odparł Władysław. — Co ja chcę, co kto chce, co ojciec żądał, nie znaczy tu wiele. Pomyślcieno, Petrek, nie o sierotach, a o ziemi tej sierocej, którą nieboszczyk, jak placek, dla głodnych pokrajał. I nie on ją sam dzielił, ale wdowa uprosiła biskupów, a ci jej pomagali, aby im łacniej było samym rządzić i panować. Nie my tu już książętami, ale oni; i sprawa to nie króla nieboszczyka, ale ich.

— Ja o niczem nie wiem, tylko o tem, com z ust pana konającego słyszał — rzekł na to Petrek. — Panem on był i mógł dzielić tę ziemię, co ją po ojcach

dziedziczył, a krwią swoją utrzymał... tak, jak Władysław, między niego a Zbyszka.

— I Bolko też Zbyszka zabił, aby podzieloną nie była! — rozśmiał się Władysław. — Błąd ojcowski naprawił.

— Ano Zbyszek jawnym zdrajcą był!

— A bracia moi, młokosy te, porósłszy w pierze, zdrajcami nie będą? Alboż to ich dwu już, ledwie pod wąsem nie pożeniła Salome zawczasu, aby im dać sprzymierzeńców? Albo to się na mnie nie zjeżdżali w Łęczycy?

— Królowa już nie żyje!—westchnął Petrek.

— Ale wola jej żyje — odezwał się Władysław, i nagle, jakby rozmowę chciał odwrócić, począł się uśmiechać.

— E! nie prawmy o tem! dość! Raczej ty mnie nakarm i zabawiaj, bom głodny i tęskny. I trzymaj ze mną, Petrek, nie z tymi, co to się bracią mą zwą, a nieprzyjacioły są. Ze mną ty urośniesz jeszcze, a przeciw mnie nie uczynisz nic—i siebie zgubisz!

— Miłościwy książę, — odezwał się Petrek — ja przeciw tobie nie pójdę, ale i z tobą przeciw sumieniowi i zakonowi, nie mogę! Nie ja jeden pragnę strzymać prawo; wszyscy panowie duchowni, świeccy wszyscy...

Książę się namarszczył.

— Patrzajcie, abyście przeciw sobie nie ściągnęli siły tak wielkiej, której ani duchowni, ni świeccy nie zmogą. Mówię ci, Petrek, jeszcze raz: trzymaj ze mną!

Petrek za nogi go ścisnął.

— Książę miłościwy! Idźcie wy za wolą ojca i sprawiedliwością, a Boże błogosławieństwo mieć będziecie.

Książę przerwał rozmowę. Noc już była czarna.

— Petrek, jam bo głodny! — zawołał — do torby swej idź, patrz, coś tam w niej niósł.

Dopiero sobie palatyn torebkę na ziemi porzuconą przypomniał i począł z niej coś dobywać. Był w niej placek, chleb i trochę soli w węzełku, naostatek kawał mięsa wieprzowego. Petrek wytrząsł torbę do dna, nie było w niej więcej nic. Rozśmiał się.

— Torbem wziął — rzekł, — ale mi ode dnia wczorajszego nic w nią nie włożyli. Wczorajem sobie na łowach kawał dzika odkroił i ten tylko pozostał. Chyba to mięso na drewienku opiekę i tem waszą miłość posilę. Gorsza to jeszcze, że mi do torby beczułeczki nie dano i pragnienia nie będzie czem ugasić, chyba śniegiem.

— Tegom ja już próbował — rzekł książę — i nie wzdragam się... Dawaj, co masz! Dziczyzna przypieczona dobrą będzie na głodny ząb.

Tymczasem książę jął łamać chleb i jadł ze smakiem wielkim, a Petrek, u ognia siadłszy, rożenek wystrugał, widełki w ziemię wbił, dziczyznę począł przypiekać i solić, i tak z rożenka podawał ją księciu, który na suchych liściach ją kładł, palcami rozdzielał sobie, jadł chciwie i chwalił bardzo.

— Zaprawdę dziczyzna twoja doskonała jest — mówić począł, — a z ciebie do wszystkiego człek, choćby i do przyprawy jadła; zdałeś się wszędzie.

Poczęli tedy oba kulki ze śniegu lepić, w usta je kłaść miasto napoju, i tak gasić pragnienie.

Petrek mało co sam jedząc, księcia karmił tylko, potem zrzynki mięsa przyskwarzywszy, cośkolwiek też przegryzł, bo wiele nigdy nie potrzebował, byle duszę w ciele utrzymać.

Książę się tymczasem na kobierczyku przeciągnął. Petrek poszedł do koni i ze swojego siedzenie zdjął, niosąc je panu pod głowę.

— Legnijże i ty koło mnie, abyś odpoczął — odezwał się książę. — Z biedy choć temu twardemu łożu musimy być radzi.

I Władysław rozśmiał się wesoło.

— Ho! ho! — dodał — waszmościna żona gdzieś tam teraz w ciepłej komnacie, ze swym miłym opatem Anzelmem wczasu bezpiecznie używa...

Petrek, który się jeszcze nie kładł, zamruczał coś.

— Co tam mruczysz, jak niedźwiedź; mów głośno—zawołał książę.

— Co tam moja żona czyni, nie wiem — odparł Petrek głosem drżącym,—ale za to szyję daję, że księżna Agnieszka z Dobkiem czasu nie traci, boć ten jej chętnie służy, o czem wszyscy wiedzą.

Książę się poruszył i oparł na ręku.

— Coś to rzekł?—zapytał groźnie.

— Ino prawdę — odpowiedział Petrek. — A co Dobek zechce, to księżna wam czynić każe, nie dla was, ale aby miły Dobek rosnął i wielmożniał.

— Coś rzekł? — podchwycił książę groźniej jeszcze.

— A no, prawdę! Nie waham się jej potwierdzić — mówił Petrek chłodno. — Przez jejmość panią Agnieszkę idzie wszystko, a wy czynicie, co jej miły podszepnie. Nie ja to jeden mówię; wiedzą o tem i mówią wszyscy, miłościwy książę. Gdybyście mnie za język nie ciągnęli, nie rzekłbym... ano stało się!

Książę siedział zadumany i milczący.

— Tak ludzie gadają? — odezwał się ponuro. — A ty wierzysz-li temu?

— Gdybym nie chciał wierzyć, muszę, bo was, miłościwy panie, nie poznaję. Byliście synem dobrym, a oto woli ojca znać nie chcecie. Sprawa to nie wasza, ale tych, co wam swoje chętki narzucają. Przez niewiasty i ich rady padały nieraz państwa wielkie: strzeżcie się, miłościwy książę,aby one i was do zguby nie wiodły... Chlubi się pani Agnieszka, że cesarzowi przyrodnią jest, a dla niej ziemi i państwa zamało, chce choć krwią panowanie nabyć. Daj Bóg, by i tego, co jest, nie straciła!

Władysław tych wyrazów dosłuchawszy powoli, głowę skłonił ku ziemi, płaszczem się przykrył i zamilkł. Petrek siedział, w ogień patrząc; rozmowa była skończoną.

Gniew i rozdrażnienie miotało palatynem, sen brać go nie myślał, w płomienie patrzał, gałęzi dorzucał, aby ognisko nie wygasało. Spoczywać nie chciał.

Książę, który głowę miał osłabioną, leżał spokojnie, ale widzieć nie można było, czy usnął, bo niekiedy poruszało się na nim okrycie i westchnienia z piersi

wyrywały, a rzucał się i przewracał na swem legowisku.

Długą pono ta noc dla obu się wydać musiała.

O brzasku zerwał się książę i natychmiast za róg swój wziąwszy, począł na dwór trąbić gwałtownie, bez spoczynku. Głos teraz, skutkiem jakiejś zmiany w powietrzu i ciszy porannej, rozchodził się silnie i daleko. Petrek też, naśladując go, trąbkę swą wydobywszy, dął w nią co miał siły. Nawoływali i hukali jeden i drugi na przemiany, aż i dzień biały robić się zaczął.

Nie rychło, zdala doleciał ich głos łowieckiego rogu; książę poznał po nim Holszę i wnet odpowiedział raz i drugi nagląco. Zaczął się zbliżać odgłos trąbek, które przywabione, brzmiały dokoła, podjeżdżając ku miejscu noclegowemu, i w gąszczach zaszeleściało wreszcie. Dwór i łowcy przybywali.

Książę niecierpliwy, gniewny, zerwał się zaraz na nogi i począł wołać, łając swych ludzi. Cisnęli się oni strwożeni, wymawiając, lecz gdy ich raz przy sobie zobaczył Władysław, słowa nie rzekł już więcej i skinął, aby mu konia podawano.

Dwór Petrkowy przyciągał także; dobyto zapasy jadła i napoju, ale książę tknąć nic nie chciał.

— Nakarmiłeś mnie, Petrek — rzekł z przekąsem — tak, żem dziś syt jeszcze... Napij się za to wina mojego i... w drogę!

Palatyn kazał przynieść beczułkę swoją, ale z tej Władysław kosztować nie chciał, pokrzepił się kubkiem własnego, nagląc tylko o konia. Petrek próbował zapraszać jeszcze na spoczynek do swojego dworu.

— Spoczywać nie będę nigdzie — odparł książę, — łowami pociągnę do domu. Drogi nasze nie jedne: wy się sobie zawracajcie do siebie, ja pociągnę wprost ku Krakowu.

I stojącemu u konia swego rzucił książę obojętne:

— Bóg z wami!

Tak zimno się z palatynem rozstawszy, ruszył książę, nie dając mu jechać z sobą. Petrek pozostał z ludźmi swymi i zadumał się nad przygodą.

— Co się stało, stało się — rzekł w duchu; — słowo rzeczone raz cofnąć się nie może, a bodajby nie zaważyło ciężko!

Gdyby drugi raz przyszło do podobnej rozmowy, czuł Petrek, że inaczejby odpowiadać nie mógł i nie chciał. Po nocy bezsennej układł się teraz na spoczynek i nie rychło wybrał się do Wrocławia.

Tymczasem książę ze swym Holszą był już daleko. Łowczy chciał go znów ostępami prowadzić nazad, ale księciu odpadła ochota od myśliwstwa; kazał gościńcem śpieszyć, nie zbaczając z drogi, i nad zwyczaj swój pośpieszał, a ludzie uważali, że sam do siebie mruczał i gniewnym był. Nawet Holszy słuchać nie chciał, psów nie wołał, nie patrzał na nie.

— Stało mu się coś — mruczał Holsza — na tym przeklętym noclegu. Ażali go czarownik ten nie otumanił i nie zadał mu czego, bo niesłychana rzecz, żeby znagła mu zbrzydły łowy i wszystko, czem się wczoraj zabawiał! Uciekaliśmy, uciekali z Krakowa, a teraz na łeb na szyję z powrotem!

Jechali, ledwie przystając i podnocowując, pasąc mało i krótko konie i psy, zmęczeni wszyscy, aż do Krakowa samego.

Gdy już Wawel widać było, stała się w księciu zmiana jakaś, zawahał się, jakby nazad w lasy chciał uciekać. Zatrzymał konia, brew namarszczył, począł mruczeć, coś mu w niesmak było, konia targał, obracał nim, aż spiąwszy go nogami, poleciał pędem na zamek. Tu przybywszy, jak stał, poszedł do swych izb i zamknął się.

Miał książę dawniej stały ten obyczaj, iż wprost z konia do pani Agnieszki szedł się przywitać, która zawsze dla powracającego czulszą się okazywała.

Zdziwili się wszyscy, gdy ani spytał o żonę.

Po godzinie oczekiwania posłała księżna Dobka zapytać Holszy, czy łowy złe były, albo się na nich co stało?

Łowczy nic powiadać nie chciał — ramiony ruszył i zamruczał:

— Czegoś nieswój!

Wyczekawszy późno do wieczora, Agnieszka niespokojna sama poszła do męża. Znalazła go leżącego z głową w dłoniach. Niebardzo ją witał, rzucił wejrzenie ponure, zamruczał coś i dodał, że znużony jest a odpoczywać potrzebuje.

Nienawykła do takiego obejścia się, dumna pani zeszła mu z oczów, pewna, że gdy przeminie to usposobienie i nadąsanie, mąż sam przyjdzie ją przepraszać.

Tymczasem księcia i tego dnia i nazajutrz nie było, siedział w swej izbie zamknięty.

Posłać na zwiady chciała Dobka, ale tego książę do siebie nie kazał puszczać; odprawiono go od progu. Zląkł się ulubieniec pani. Co się stało?

Księżna sama z południa, ustroiwszy się dumna, śmiała i zagniewana poszła do męża. Co mu się stało nie umiała odgadnąć, ale czuła niepokój i trwogę; był zmieniony.

Najczęściej niewiasta, gdy się lęka, sama usiłuje zastraszyć, tak się i teraz stało. Wpadła nań Agnieszka z góry, iż się z nią wysokiego rodu panią, jak z jaką niewolnicą śmiał obchodzić. Posypały się łzy i groźby. Przyszło do tego, iż księżna oddaleniem się i powrotem do Niemiec odgrażać się zaczęła.

Władysław słuchał spokojnie.

— Więc—rzekł, gdy dokończyła narzekania — zabierajcie się, miłościwa pani, razem z Dobkiem swym i szukajcie, kędy wam obojgu lepiej będzie, niżeli tu...

Ledwie wyrazów tych domówił, gdy Agnieszka z gniewem przyskoczyła ku niemu.

— Hę? — krzyknęła. — Już ci ktoś Dobka w nienawiść, a mnie w sromotne podejrzenie podał. Już! Już ci to wierny sługa szkodzi, bo go drudzy za wierność nienawidzą i szkalują! A mnie z nim, aby się mnie i jego pozbyli! Coś to z Dobkiem? co myślisz? o co podejrzewasz! mów! Ja nie ścierpię potwarzy!

Władysław nic nie odpowiedział z początku, lecz zakłopotany był i mieszał się, a księżna nastawała.

— Mówże, z kimeś przestawał? Kto ci to splótł,

bezkarnie mu to nie ujdzie! Żywą nie będę, póki nie pomszczę się na zuchwalcu. Gardło da! gardło musi dać!,

Ale napróżno Agnieszka siliła się, następowała nań. targała, nie wymogła na nim nic—kazał jej iść precz

Wnet ludzi, którzy księciu towarzyszyli na łowach, wzięto na spytki, kędy bywał, z kim się spotykał. Czeladź pomniejsza nie kryła się z tem, że stawali we Wrocławiu, kędy ich pojono i przyjmowano, że książę Petrka zabrał z sobą, i że razem potem w szałasie noc spędzili.

Więcej Agnieszce nie było potrzeba. Wpadła do męża natychmiast, wołając pomsty na Petrka, pewna, iż on, nie kto inny, księciu musiał Dobka i ją dać w podejrzenie. Władysław nie przyznał się zrazu.

— Nie potrzeba było na to Petrka — rzekł; — wszyscy po całej ziemi Dobka palcami wytykają, żeś go sobie wybrała i znasz się z nim...

Usłyszawszy to, księżna padła na ziemię z płaczem, rzucając się, klnąc, narzekając, na co jej przyszło, gdy ludzie śmieją sromocić ją i bezcześcić.

— Nie może to tak być — wołała, krzycząc i rozbijając się—albo ja stąd z dziećmi precz pójdę do cesarza brata mego, z żałobą i prośbą, aby ten kraj cały zwojował i zniszczył, mszcząc się krzywdy mojej, lub ten, co mnie śmiał oplwać, gardło musi dać. I nim gardło da zbrodzień, oczy mu wyłupić, nim gardło da, język mu podły wyrzezać każę, psom rzucić—psom!

Na przenikający krzyk księżnej, który się po całym zamku rozchodził, nadbiegły niewiasty i na rękach miotającą się wyniosły do izb jej, gdzie chora na łożu legła.

Za nią zaraz wpadł Dobek, z szałem, z zaklęciami, do nóg padając księciu, na potwarcę domagając się sprawiedliwości, wyzywając go na sąd Boży.

Wśród tych wrzasków książę dzień cały przetrwawszy, przemęczywszy się, już innym się stał. Agnieszka leżała na łóżku, które dzieci płacząc otaczały; na widok ich serce ojcowskie zmiękło, sam siebie naprzód, potem Petrka (bodaj przepadł) obwiniać zaczął.

Dowodu przeciw palatynowi więcej nie było potrzeba. Dobek się zaklinał, że jeden z nich dwu paść musi, że niema innego środka tylko buntownika i potwarcę śmiercią karać. A stawał tak śmiało i zuchwale, że wkońcu książę zamilkł i zdawał się na wszystko przyzwalać. Nie mówił jeszcze nic, żonę jednak pocieszać i łagodzić zaczął. Ta wraz z Dobkiem zemstą najzajadlejszą dyszała.

Gdy znużony Władysław do komnat swych odchodził, pędzono za nim, spokoju mu nie dając; ścigał go Dobek, o czem innem nie mówiąc tylko o zemście, tylko o powołaniu do sądu...

Wśród tego zamieszania na dworze dano znać, że posiłki z Rusi przyrzeczone już w drodze są i bojarowie przybyli przodem, oznajmując o nich.

Jechała ich gromada cała w kożuchach długich, w kołpakach wysokich; z toporkami u pasa, a z nimi kilku starszyzny Połowców dzikich, z którymi nikt się ani rozmówić, ani obejść nie umiał. Ci sobie obóz pod namiotami w podwórcach rozbili i swym obyczajem w kotłach krupy, mąkę i mięso końskie ważyli. Byli to ludzie nędznie odziani, choć na brudne łachmany chałaty paradne powdziewali, na koniach małych z szerścią najeżoną, z łubianemi kołczanami, z łukami z prostych obręczy, z nabijanemi pałkami. Kędy oni za bojarami ruskiemi, ciągnąc, szli, zewsząd kmiecie i ziemianie biegli ze skargami, bo po drodze dzicz ta, nic nie szanując, plądrowała, zabijała, młodzież obu płci porywała i dokazywała, co chciała, dopuszczając się świętokradztw po kościołach i straszliwych swawoli.

Trwoga okrutna poprzedzała już te posiłki, które od północy lały się potokiem krwi i płomieni. Cóż miały ziemie te cierpieć, gdy całe zastępy Połowców nadciągną? Ludzie zawczasu zbiegali w lasy i chronili się do gródków i okopów.

Do księcia nie dopuszczano ludzi ze skargami, precz ich z zamku pędząc, a tymczasem posły przyjmowano. Agnieszka wyszła przeciw nim strojna, koronę sobie na głowę włożywszy, obdarzając starszyznę

ze skarbca, woły i barany rozkazując dla nich piec, kadzie stawić i owsy kupami sypać. Sama z okna na biesiady ich patrząc, w ręce klaskała i radowała się bardzo.

Starzy ludzie ze dworu, patrząc na to, chodzili wielce posępni; książę też zrazu zmieszał się, wahał, wyjść odmawiał; lecz wprędce, widząc, że kości rzucone są, nabrał otuchy i męstwa.

Wysłano zazraz urzędników ze dworu i wojska co było, aby osadzić zamki dla pana, Władysława, i posłuszeństwo mu zapowiadać pod karą śmierci.

Z żoną, niewiadomo jakim sposobem, książę się przejednał. Dobek znów pewien siebie, u drzwi stał, służył, biegał, rozkazywał. Z zamku i na zamek dzień i noc szli nieustannie posłańcy; z duchownych, żupanów, ziemian nie pokazywał się już nikt. Niemcy, Ruś, najemny żołnierz sami byli.

Pomiędzy biskupim dworem a zamkiem jakby przepaść stała, jedno o drugiem zdało się nie chcieć wiedzieć. Biskup Rupert od siebie słał po dyecezyi rozkazy, książę na swą rękę. Co żyło z osad nad drogami i gościńcami, z trzodami i dobytkiem, wozami uchodziło w lasy. Sioła stały pustkami.

Księżna Agnieszka zawczasu tryumfowała, bo jej się zdało, że samą trwogą kraj zmuszą do poddania się, młodych książąt do ucieczki.

— Muszą się poddać i upokorzyć — wołała, — bo im ziemię na kopytach rozniosą i mieczem a ogniem nawskroś spustoszą.

Wpośród tych przygotowań dnia jednego rano, Dobek, który już całe swe zuchwalstwo odzyskał, przyszedł do księcia we zbroi, przy mieczu, jakby się w drogę wybierał. Pokłonił się do kolan, na twarzy mu jaśniała radość i niecierpliwość, źrenice pałały.

— Miłościwy książę, jadę z rozkazaniem waszem— zawołał — klnę się, że nie powrócę, aż je spełnię, jako należy.

Książę Władysław popatrzył strwożony i rękę podnosząc do góry, rzekł:

— Ale gardła mu nie brać! gardła nie brać! Mówiłem.

— Najbezpieczniejszy niedźwiedź, gdy zabity! — mruknął Dobek.

— Nie chcę, by zabit był, nie chcę! — przerwał książę stanowczo. — Stanie się-li przeciw rozkazaniu mojemu, pomszczę nieposłuszeństwo! Na święte relikwie zaprzysięgam! Gardła mu brać nie dozwolę. Nie!

Dobek zamilkł.

— Masz, czego chciałeś — dodał książę, lękając się, — niech oczyma przypłaci, więcej nie trzeba. Daruję ci po nim skarbiec i mienie. Idź i spraw się, jako wiesz. Pomsty tej dosyć dla mnie i dla ciebie. Życia mu nie chcę wziąć, aby pokutował.

Po kilka razy Władysław powtórzył niespokojnie. życia nie brać, bom to poprzysiągł!

Milczał Dobek, lecz nie odchodził.

— A jeśli się bronić będzie i kaleczyć?—spytał.

Władysław obrócił się gniewny.

— Azaż ludzi i rozumu nie masz, żebyś mu się bronić dał? — zawołał. — Jadłem chleb z nim, spał u mojego boku, ojcu służył, nie chcę go zabijać. Nawet oczów!... Wziąć go i osadzić. Zobaczymy, co uczynię. Żebrakiem w świat...

Książę mówił, nie kończył, urywał, poruszony był — a gdy Dobek, kłaniając się, odchodzić chciał, dodał:

— Pomnij Dobek, żem ja na relikwie przysięgał! Uczynisz nadto — tyleż z ciebie wezmę! Wezmę!

Dobek był już za progiem, biegł już do księżnej, która nań czekała.

— Dał wyrok na życie? — zawołała niecierpliwa—dał?

— Nie — i zagroził mi, gdybym rozkaz przestąpił, zagroził mocno.

— Nikczemny człek, co zemsty nie czuje! — odezwała się księżna z gniewem — policzek wziął i karać nie śmie! Lituje się! Weź życie! Ja za tobą obsta-

nę! Niech gardło da! Rodowi nie darować, wytłuc i wydusić te szczenięta, dwór spalić, zniszczyć... Sługom nie przebaczyć! Nikomu! nikomu!

Księżna coraz mocniej rozgorzała, mówiła, Dobka za suknię targając.

— Nie powinien żyć, kto się przeciw mnie ważył!... Kołem szarpać, na pal wbić, końmi rozerwać nikczemnika!... Męczyć go, i niech wie, z czyjej ręki zemsta przychodzi... A puścisz go i nie ujmiesz — nie pokazuj mi się na oczy.

To mówiąc, Agnieszka wybiegła.

Dobek, jako dobry chrześcijanin, na koń siadając, przeżegnał się, bo czuł, że brzemię niemałe na ramiona wziął i na jakie niebezpieczeństwo się narażał.

Pociągnęli do Wrocławia.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Tom II.

I.

Tłum się cisnął do drzwi pół otwartych wielkiej izby na płockim zamku, tej samej, w której niegdy spoczywały zwłoki Władysława Hermana, nim je do grobu zaniesiono, i gdzie potem biskupi sprawę Bolesława Krzywoustego ze Zbigniewem bratem sądzili; gdzie wreszcie leżały rycerskie zwłoki mężnego Bolka, otoczone dziećmi płaczącemi, czekając, by je przy ojcu pogrzebiono.

Nie pierwszy raz izba owa służyła dla gromady zwołanej do obradowania nad losami tej ziemi.

Cisnęli się tu ludzie znowu, bo było na co patrzeć i nad czem zapłakać; obrazu takiego, jaki się tu przedstawiał, nie widział nikt zdawna i nie miał rychło oglądać. Wkoło na ławach zasiadali panowie, duchowni, palatynowie, wojewodowie i żupani, głowy sędziwe, które teraz ból, wstyd i smutek pochylał ku ziemi.

W pośrodku, na podwyższonem siedzeniu, laskę wielką krzyżem zakończoną w ręku, zamiast berła dzierżąc, majestatycznie zasiadał arcybiskup gnieźnieński, ks. Jakób ze Żnina. Po obu stronach zajmowali krzesła pasterze: płocki, krakowski, sandomierski, wrocławski, kujawski, z prałatami swymi i starszyzną kapituł. Dalej siedziała świecka gromada, z głowami po większej części i brodami siwizną posrebrzonemi.

W tym wianku mężów sędziwych, jak w naczyniu złotem wiązka kwiatów, stały pośrodku z rękami popuszczanemi, z głowy pochylonemi sieroty pańskie, kró-

lewskie dzieci Krzywoustego. Młodzieniec zaledwie rozkwitły Bolesław, z włosy na ramionach rozrzuconemi, trzymając za rękę młodziuchną Zwenisławę Wsewołodównę, małżonkę, przez matkę mu daną, z męskiem obliczem Mieczysław, przy którym stała piękna czarnooka Gertruda, królewna, córka Beli węgierskiego, rumieniąc się od wejrzeń ciekawych. Za niemi stało pacholę uśmiechnięte, Henryk, w którego jasnych oczach święty jakiś ogień zdawał się już płonąć; naostatek dziecko prawie jeszcze, wydziedziczony Kazimierz, najmłodszy, którego starszy za rękę przytrzymywał.

Wszystko to były ofiary na śmierć, zagładę, wygnanie i tułactwo przeznaczone, skazane przez Agnieszkę, bracia Władysławowi, nad którymi wisiał wyrok, aby znikli z oblicza tej ziemi.

Wszebór, palatyn sandomierski, wystąpił przed nich i wskazał przytomnym na króla rodzinę. Oczy wszystkich były w nią wlepione, na twarzach malowała się litość, niektórym z oczów łzy płynęły.

Mieliżby ci, co jeszcze prawie żyć nie rozpoczęli, być oddani na łup śmierci i ten uśmiechający się Henryk, z tak męską już i rycerską pacholęcą postawą i ten dzieciak wesół, figlarnego wyrazu twarzy, potrząsający główką dumnie, jakby nie pozostał na łasce rodzeństwa bezdomnym?...

W oczach patrzących na potomstwo króla wielkiego zdały się stawać poza dziećmi cienie niezapomnianych rodzicieli: króla Krzywoustego, który biskupom i starszyźnie krew swą polecił, królowej Salomei pobożnej, niedawno zmarłej z boleści i niepokoju o los swych dzieci, która umierając, obsyłała relikwiami świętemi klasztory, aby się modliły o szczęśliwą przyszłość dla sierot biednych.

Pomiędzy pierworodnym króla, Władysławem a tą dziatwą młodszą była tak wielka różnica oblicza i rodu, jakby w nich inna krew płynęła. Tamten po matce rusince wziął siłę ciężką i bezwładną, wielką a nie łacno się poruszającą; ci po niemieckiej pani żywszego ducha, krew gorętszą. Ogromna też lat różnica dzieliła czterdziestokilkoletniego Władysława od dziesięciorocznego Kazimierza.

Los tych dzieci teraz cały zawisł od panów duchownych i ziemian; mogli je opuścić i dać na ofiarę chciwej panowania Agnieszce, albo ująć się za niemi i osłonić, a tę, co pokój zamąciła wygnać precz z granic zakłóconego państwa.

Wszebór, obie ręce rozpostarłszy, wskazując na gronko, stojące wpośrodku, jako obżałowanych przed sądem, rzekł zwrócony do arcybiskupa:

— Ojcze i pasterzu miłościwy! Jeżeli wy ich nie osłonicie, to nikt; jeżeli wy ich opuścicie, nie uratuje żadna siła! Krew to pana naszego, spuścizna po nim najdroższa, a stanie się krzywda jej, padnie wina na sumienie nasze.

Arcybiskup silnie, gwałtownie laską wą w ziemię uderzył.

— Włos im nie spadnie z głowy—zawołał, —dopóki ja żyję, a władzę tę piastuję, póki Kościół, stróż sprawiedliwości stoi na tej ziemi, póki tu wiara święta panuje, nie damy ich tknąć!

Królewicze skłonili głowy, a po ławach poszedł szmer.

— Nie damy im zginąć!

Sieroty same za sobą się nie odzywały, najmłodszy uśmiechał się dość wesoło, Henryk szeptał mu coś, znać karcąc niewczesne śmieszki, starsi stali zadumani i poważni. Obie księżne miały łzy na oczach, a były piękne, każda inaczej w swych szatach żałobnych, obcisłych, niby dwa posągi smutku i niedoli.

Książęta zagrożeni wszyscy się tu zbiegli razem, gdyż nigdzie się bezpiecznymi nie czuli. Gdy nagle z Krakowa jak piorun padła wieść, aby składali dań, gdy Władysław żupanom nakazał grody sobie oddawać, a do kilku z nich już się wdarli jego wysłańcy, gdy i z północy kilku szlakami zaczynała płynąć zapowiedziana dzicz, niszcząc i paląc kraj, musieli młodsi książęta zbiedz się razem, aby nawale stawić czoło.

Biskupi pierwsi podnieśli okrzyk zgrozy, ale ten nie doszedł na zamek krakowski, a gdy Agnieszce o nim dawano znać, groziła Rzymem i klątwami duchownym, za-

powiadała wojska cesarskie i zawojowanie mieczem, spustoszenie ogniem nawet pasterzom, jedynej władzy naówczas powszechnie szanowanej, której nie śmiał się nikt sprzeciwiać.

Biskupi byli przerażeni i sami nic nie śmiejąc poczynać, zbiegli się do naczelnika swojego arcybiskupa, aby z nim radzić o obronie. Jakób ze Żnina, nieulękły, nie dopuszczający się pokuszeniom o walkę z władzą swoją, czekał spokojny.

I teraz w zgromadzeniu tem krótko a pogardliwie niemal odezwał się, zaręczając, że dzieciom pańskim nic się stać nie może.

— Nie damy ich!—powtórzyli ziemianie dokoła.

— Słaćby do Czech o pomoc—odezwał się jeden z biskupów.—Gdy książę Władysław Ruś zjednał sobie, im czeskie posiłki przyjść mogą.

— Słać do Węgier—rzekł drugi,—boć tu pokrewieństwo pomoc obowiązkiem czyni. Nie odmówią jej.

— Gdyby jedno i drugie chybiło—zawołał Wszebór,—czyż nas ziemian i ojczyców nie stanie na obronę praw ich? A toż Władysław prowadzi na nas pogan, dzicz połowiecką, kościoły wywraca, wiarę psuje, czyż nie wart, by sam jeden z pogany został, by go odstąpili wszyscy... wszyscy?

— Pod klątwą!—dodał biskup sandomierski.

— I bez klątwy, gdy się obwoła, odpadną od niego wszyscy—mówił Wszebór,—niema, ktoby nie czuł zgrozy tej. Sioła nasze płoną, ludzi w pień wycinają, kościoły na stajnie pozamieniali, kapłanów wieszają...

Szmer zgrozy przeszedł po zgromadzeniu.

— Na szlaku, któ ym idą te posiłki księciu Władysławowi, popytajcie—odezwał się, powstając, stary żupan Ruban—powiedzą wam, ile już kościołów wywrócono. W innych barłogi swe porozkładali i wszeteczeństwa czynią. Dzieci, chłopców i dziewczęta jak trzody z sobą pędzą... Żaden się dwór cały nie ostał.

Prałaci niektórzy wołać poczęli:

— Kain! bratobójca! świętokradca! Godzien kary parycydów!

— Nie tyle on—przerwał z goryczą wielką biskup krakowski, — jako niewiasta jego szalona i mściwa; ona jest początkiem wszystkiego i sprawcą!

— Tak jest, ona!—potwierdził ks. Janik,—albowiem niema stworzenia zjadliwszego, gdy złem jest, nad niewiastę, którą szatan włada. Tak, jak są święte, czego przykładem była królowa Salomea, są przeklęte, jak oto ta!

Wśród szmeru i krzyżujących się głosów Bolesław, który na zamku był panem, gdyż Płock mu się dostał w udziale, zabrał głos cichy:

— Pojedyńczo mu się żaden z nas oprzeć nie może, bo zgniecie jednego po drugim; musimy stać razem wszyscy. Przeto i was miłościwi panowie, prosimy, przez pamięć dla rodzica naszego, skupcie się wedle sierot jego, a nie opuszczajcie ich... Razem stać musimy, razem ocaleć, albo choć zginąć razem!

— Razem!—potwierdził Wszebór.—Gdyby dziczy tej nadciągnęło nie wiem wiele, zawsze nas, gdy się zbierzemy, więcej będzie; osaczyć ich możemy, wybić i nogi nie wypuścić. Dali Bóg Czechów i Węgrów, prędzej jeszcze z nimi skończymy.

Arcybiskup słuchał z uwagą.

— Zmoże ich prawica Wszechmocnego!—zawołał, rękę podnosząc.—Klątwę tylko rzucić potrzeba na oną Jezabel, na wspólnika jej i na wszystkich, co z nią trzymać będą. Przyjdzie-li chwila, nie zawaham się, pójdę sam, stanę i w oczy cisnę im anathema!

Po tej groźbie strasznej, wyrzeczonej przez arcybiskupa, zapanowało milczenie; znano bowiem srogość okrutną tej kary kościelnej i trwogą przejęła sama o niej wzmianka. Śmierć niczem była nad to potępienie za żywota i na wieczność całą.

Młody Mieczysław, którego twarz już znamionowała silną wolę i charakter energiczny, mimo wielkiej młodości, podniósł głos po starszym bracie Bolku.

— Na zamku moim w Poznaniu—rzekł—poczyniłem zawczasu przygotowania do obrony. Jeżeli się inne grody nie utrzymają, pójdziemy się tam wszyscy zamknąć i będziemy się trzymać, dopóki zostanie kawał chleba su-

chego i kropla wody; byleście wy, ojcze nasz a pasterzu, (zwróciwszy się do arcybiskupa) nie opuścili nas i nie wyrzekli się; wy ratujcie, bo macie z sobą siłę Bożą, Jezusa Chrystusa Pana naszego i Świętych Pańskich i grobu męczennika Wojciecha.

Dziczy łupu chciwej napłynie bez miary, napłynie; nam się jej pono oprzeć w polu nie będzie można. Zaleje nas. Lud wystraszony po lasach się rozbiega. Cała nadzieja na grodach, a najsilniejszy gród łaska Pana naszego Jezusa Chrystusa, którą wy dzierżycie, ojcze miły.

Wszyscy królewicze i dwie księżne zwróciły wejrzenia ku zadumanemu arcybiskupowi, który patrzeć się zdawał w dal, ale prośby słuchał i myślał o niej.

— Choćby mi życie na męczeństwo dać przyszło— odezwał się,—nie bójcie się,dzieci moje, nie opuścimy was, ani ja, ani moi bracia w Chrystusie...

I zwrócił się na biskupów wskazując, którzy wszyscy głowy skłonili i ręce podnieśli na znak zgody.

— A no patrzcie i rozważajcie—dodał arcypasterz, dłonie podnosząc do góry,—jak ta wiara Chrystusowa i ten Kościół Jego jest silny i pomocny, jaka to opoka twarda. A coby się dziś stało z krajem tym, gdybyśmy nie mieli na odsiecz jemu siły, co kruszy tysiące, co druzgocze oręże, co pada i gruchocze i w proch, jak piorun obraca? Ani tysiące ludu nie stałyby wam za nią, bo lud ginie od strzały, od głodu, od powietrza, a krzyż Pański i słowo Pańskie nie przemijają i nie giną.

— Amen! amen!—odzywali się biskupi.

— Idźcież w pokoju, dzieci moje—dodał arcybiskup do książąt—a tak, jak się dziś trzymacie za ręce, tak się zawsze dzierżcie miłością braterską, w miłości Pana naszego, Jezusa Chrystusa. Amen.

— Amen!—powtórzyli wszyscy, pochylając głowy.

Bolko, wysłuchawszy mowy tej, skłonił się nizko, za nim drudzy oddali pokłon arcybiskupowi i zgromadzeniu, a potem poszeptawszy coś między sobą, ruszyli się ku wyjściu, aby Radzie panów duchownych i świeckich zupełną zostawić swobodę.

Wszebór z kilku towarzyszami przeprowadzili z po-

szanowaniem królewskie dzieci, na których końcu szedł najmłodszy, Kazimierz, nie pojmujący jeszcze ani niebezpieczeństwa, jakie mu groziło, ani ważności tej chwili, a zabawiający się widokiem tylu ludzi, strojów i fizyognomii, które mu się wszystkie uśmiechały. Zdala wielu jeszcze żegnało odwracającego się ku nim skinieniami życzliwemi.

Po wyjściu książąt w izbie się gwarniej zrobiło; arcybiskup pochylony rozmawiał z biskupami, ziemianie się naradzali gromadkami. Niepokój widać było na wszystkich twarzach, jedna myśl wyrywała się z ust niemal zgodna:

— Nie chcemy jednego pana nad sobą! Silniejszym będzie i gnieść może mocniej.

Niektórzy sięgali wspomnieniami w prostacze czasy owe swobody, których pamięć żyła jeszcze u ludu i kmieci, kiedy gromady stanowiły wszystko a kniaziowie byli tylko wybieranymi przez nich wodzami do wojny, sędziami.

Biskupi też nie chcieli nic innego nad utrzymanie podziału Krzywoustego, bo im łatwiej było swą przewagę i władzę u boku książąt udzielnych utrzymać, niż walczyć z jedną silną dłonią. Dla nich spójnię stanowił pasterz gnieźnieński, który jednoczył pod sobą wszystkich biskupów, władza też jego w rozdzielonem państwie rosła i górowała.

Jednakże głosy się odzywały różne, byli i tacy, co w podziale ziem widzieli dla nich niebezpieczeństwo, ale tych zahuczano. Wszebór najpoważniejszy ze świeckiej starszyzny, zabrał wreszcie głos, bolejąc nad tem, że im do narady palatyna Petrka brakowało. Spodziewano się go dotąd napróżno.

— Byłby on tu pewnie z nami—odezwał się ks. Janik,—bo się wybierał w drogę, ale go coś niespodzianie zaskoczyć musiało. Jechać miał wnet po mnie. Nie taję iż niespokojny jestem o niego; daj Boże, aby mu się co złego nie stało!

— Cóż mu grozić może?—odezwał się Wszebór.

— Wszystko złe, wszystko najgorsze!—zawołał biskup.

I dodał ciszej, pochylając się ku niemu:

— Wiem, że niedawno z księciem Władysławem na łowy jeździł; co tam między niemi zaszło, mówić się wzdragał, wyznał mi tylko, jakby sam na siebie się gniewając, że w gorącości rozmowy słów bardzo nie ważył i lękał się, azali księcia nie obraził. Obawiał się zemsty jego. Wyrozumiałem z niego i to, że się musiał z żalem niewczesnym, albo przestrogą względem księżnej wyrwać! Książę nie strzyma tego w sobie, niewiasta jest mściwa, a Petrek też ma nieprzyjaciela srogiego w Dobku. Wszystko to złe wróżby.

Ks. Rupert, biskup krakowski, który dosłyszał co mówił ks. Janik, dołożył, iż gdy wyjeżdżał z Krakowa, na dworze się z tem noszono, jakby Petrkowa wielkość i siła koniec wziąć miała. A i do myślenia dawało, że w pośrodku pogróżek i gniewów, nagle Dobek ze znacznym pocztem swoich żołnierzy i siepaczy wyruszył niewiadomo dokąd—i z wycieczki tej tajemnicę jakąś czyniono.

— Już to ze wszystkich najgorszy znak—dołożył Wszebór,—że my go tu nie widzimy, bo choroba tylko, lub przypadek wstrzymać go mogły! Uchowaj Boże zamachu jakiego nań, w pomoc-by mu ciągnąć trzeba, bo gdy Petrka stracimy, jakbyśmy pułków kilka postradali.

— Sam się trwożę—dodał ks. Janik,—ale zarazem czuję, że nasze obawy próżne są bodaj. Petrek ma siłę około siebie i zamachy odeprzeć potrafi.

— A zdradąż go nie mogli pokonać?—dorzucił Wszebór.

Wtem jeden z ziemian, dalej stojących, odezwał się:

— Mam to od tych, co Dobka po drodze widzieli, iż ku Wrocławowi podążał. Miał, powiadają, poczet nieliczny, ale ludzi dobranych i zaufanych, których zwykł używać do najtrudniejszych swych wycieczek, kiedy ziemian obdziera, lub porywa. Jechał z nim wprawny oprawca Wondor i pachołków kilku nie na darmo.

Szmer się wszczął i dopytywania; drudzy, jakby z przerażenia zamilkli, pcglądając po sobie.

— Niech Bóg wszechmogący klęskę tę od nas odwróci—rzekł smutnie ks. Janik.—Niema w tych ziemiach człowieka, któryby dziś wszystkim potrzebniejszym był nad Petrka, i niema, czyjaby strata boleśniejszą była. Najwięcej siły ma i najlepiej użyć jej umie!

— Nie będą śmieli targnąć się nań!—rzekł arcybiskup.

— Dlaczegóż nie?—przerwał Wszebór, —na niego, na mnie, nawet na miłość waszą, ojca naszego gotowi się rzucić. Księżna Agnieszka ufa w brata, nie poszanuje nikogo, a Dobek, obcy człek, krwi naszej żałować nie będzie. Biada państwu, gdzie zła niewiasta ster pochwyci! Na zgubę powiedzie!

— Siebie i męża!—przerwał arcybiskup z żywością wielką.—Com rzekł, to powtarzam; jeżeli słowa i groźby nie pomogą, rzucę klątwę na oboje i na potomstwo ich, i precz ich wyżenę stąd. A wygnany nie wróci więcej, choćby go i sam cesarz wiódł!

Na wzmiankę o cesarzu rzymskim Wszebór smutnie zwiesił głowę.

— Najmiłościwszy ojcze!—odezwał się.—Cesarz straszny i silny jest!

— Rzeczcie lepiej—odparł arcybiskup,—iż strasznym i silnym mógłby być, a no nie jest. Włochy, z których oka mu się spuścić nie godzi, saracenowie, na których się gotuje, o Polsce mu myśleć nie dadzą. Pomną też Niemce swą wyprawę przeciwko nieboszczykowi królowi, z której z trupami swojemi nazad, płacząc, ciągnęli i nierychło się na drugą ważyć będą!

— Nie daj jednak Boże z cesarzem znowu mieć do czynienia, gdy Krzywousta nam nie stało—rzekł Wszebór,—choć do tego jeszcze daleko!

Bąknął ktoś znowu o Petrku, że się już do drogi szykował po odjeździe biskupa Janika.

— Nigdy to nie bywało—dodał biskup,—aby przyrzekłszy, nie stawił się; jeśli go niema, to nie bez przyczyny.

— Nie bez przyczyny!—powtarzali za nim inni.

Niektórzy upominali znowu, aby zawczasu trwogi nie siać i domysłom dać pokój, pókiby się nie dowiedziano czegoś więcej.

Narady, a raczej rozmowy różne trwały do wieczora, a oprócz potrzeby łączenia się, nic uchwalono nic.

Nazajutrz biskupi mieli się rozjechać po dyecezyach, palatynowie i żupani po grodach. Niektórzy otrzymawszy wieści o ciągnących już Połowcach, jakiemi szlakami szli, musieli dla uniknienia ich szukać schronienia w lasach. Wszystkie siły książąt z Sandomierza, Mazowsza, Poznania i skądkolwiek się one ściągnąć dały, rozkazano gromadzić do jednego miejsca nad Pilicę pod dowództwo Wszebora.

Pułki z obozowisk swych ruszały pośpiesznie i ciągnęły drogi różnemi.

Jeszcze się panowie wszyscy nie rozjechali, gdy nieznany człek nadbiegł z wieścią do Płocka zatrważającą. Powiadano, że zrana do Wrocławia miał przybiedz, że czeladź go około namiotów widziała i rozmawiała z nim, ale wkrótce później niewiedzieć gdzie się podział i napróżno go w obozie i mieście szukano.

Człek ten wielce wystraszony, jakby przy zmysłach nie był, plótł straszne rzeczy o napaści na dworzec pana Petrka, o zajściu jakiemś krwawem, mordach i zdradzie. Mówił, jęczał, nagle przestawał i wypierał się, aby wiedzia cokolwiek, lecz ze słów jego domyślać się było można, iż mu trwoga zmysły pomieszała. Rozszerzyła się stąd wieść o wypadku jakimś w Wrocławiu, która gdy doszła do ks. Janika, ten natychmiast koniom i ludziom kazał się do drogi gotować, aby do Wrocławia pośpieszać. Starano się biskupa uspokoić tem, że plotka z niczego urosnąć mogła, a po drodze, jak zwykle, nabrzmiała. Godziło się to nadto z przeczuciami jego, aby je lekceważył. Powtarzał ciągle, składając ręce:

— Panie odwróć od nas mściwą prawicę Twoją!

Nie mniejszą trwogę i niepokój wywołała wieść ta na zamku, w rodzinie królewiczów, bo młodzi książęta w Petrku byli nawykli widzieć opiekuna swojego, szanowali go, jak ojca, a na pomocy jego całą pokładali nadzieję.

Człowiek ten, dla innych często szorstki i twardy, dla młodych panów powolnym był, wylanym, czułym po macierzyńsku. Przez wielką miłość dla nieboszczyka króla

kochał tak dzieci jego, iż własna krew mu nad nie droższą nie była. Na posłuch więc o tem jakiemś nieszczęściu, które się stać miało, chciał Bolko mazowiecki natychmiast słać umyślnie swych ludzi; młodsi, Henryk i Kazimierz, ręce łamiąc, krzyczeli po zamku, aby Petrka ratować. Wszyscy kochali go tak niemal mocno, jak Agnieszka nienawidziła.

Do odjeżdżającego już arcybiskupa, siedzącego na wozie, podbiegli książęta prosić jeszcze, aby Petrka osłaniał i bronił. Jakób ze Żnina uspokoić się ich starał tem, że trwoga była próżną, bo nic pewnego nie wiedziano, a na możnego i silnego Petrka niktby się tak łatwo porwać nie śmiał. Arcybiskup rzekł do Bolka, z wozu nie zsiadając:

— Bądźcie mężni dzieci moje, Bóg z wami, Bóg z nami, gdyby istotnie złość szatańska na chwilę górę wzięła, pokona ją krzyż święty.

I zdaleka błogosławiąc, ruszył starzec z twarzą spokojną, jaką daje poczucie swej siły.

Dnia tego się wszyscy z Płocka porozjeżdżali ale nie na spoczynek; łudzić się nikt nie mógł, że książę ulegnie i napaści na braci zaniecha. Wojna, którą duchowieństwo całe kainową zwało, już była prawie rozpoczęta.

Książę Henryk, który nie miał jeszcze lat dwudziestu, nie czuł się na siłach sam Sandomierza bronić, palatyn Wszebór, który go zastępował, nawale gwałtownej, jaka Sandomierzowi i Lubelskiemu groziła, sam też oprzeć się nie spodziewał. Dzielnica Henrykowa musiała tymczasowo paść ofiarą, nimby się do walki zebrano.

Książęta wszyscy pozostawszy w Płocku razem, siedzieli tu strwożeni, gromadką się trzymając i przyrzekając sobie, że się nie rozerwą do końca. Zwenisława Bolkowa chciała słać do Kijowa, aby u swoich prosić o cofnięcie ruskich posiłków i Połowców, ale zapóźno już było. Greta Mieszkowa tak samo na Węgry koniecznie namawiała, żeby madziarowie ich ratowali.

Lecz dziś już i posłom się przedrzeć przez zawichrzone ziemie trudno było.

Henryk sandomierski, młodę chłopię, niedawno jeszcze oderwane od macierzyńskiego łona, pobożnością

matki Salomei przejęte, ufało w opiekę niebios i relikwie świętych.

Tych droższych nad wszystkie ówczesne skarby świata, ubłogosławionych szczątków nieboszczka królowa Salomea, chociaż rozdarowywała wiele, zachowała w skarbcu liczbę znaczną i dzieciom je rozdzieliła, jako tarczę i obronę od wszelkiego niebezpieczeństwa. Relikwiarze te, jak zbroje, nigdy królewiczów nie opuszczały.

Chociaż mnich Ortlieb i Bertold wywieźli ich skrzyneczkę do Zwiefalteńskiego kościoła, razem z ornatami bogatemi i z płaszczami złocistemi, ofiarowanemi im przez królowę, w pozostałych relikwiarzach, przed któremi teraz codziennie modlili się książęta, mieli część drzewa Krzyża świętego, kość św. Jana Chrzciciela, św. Pankracego, św. Cecylii, kroplę krwi Zbawiciela, mleko Boga rodzicielki, ogniwo łańcucha Piotra świętego i mnóstwo innych świętości, nagromadzonych przez nieboszczkę królowę.

Wiara w cudowną moc tych relikwii była w owych wiekach tak wielką, iż rodziła siłę potężną, budziła nadzieje, odpędzała trwogę, a Henryk, najpobożniejszy z młodych książąt, cisnąc do piersi tę drogą po matce spuściznę, starszej braci prorokował zwycięstwo.

Siedzieli wszyscy w Płocku niepewni, co z sobą czynić mają, bo dwie młode księżne, strwożone namawiały mężów swych do szukania czasowego przytułku na obcej ziemi, gdy przybył tu Jaksa z Miechowa.

Po powrocie swym z zagranicy młody Jaksa stawił się naprzód na dwór księcia Henryka. Młode książę, któremu już serce i głowa paliły się do wypraw rycerskich za morze, do dalekich wędrówek, słuchając opowiadań jego, upodobał go sobie wielce. Chciał koniecznie zatrzymać go u boku swego, ale natenczas jeszcze matka stęskniona po długiem niewidzeniu syna upierała się go trzymać przy sobie i na żaden dwór dać nie chciała.

Tęsknił za nim książę Henryk, a gdy mu teraz o przybyciu jego do Płocka dano znać, mówiąc, że Jaksa z Miechowa wprost doń przybywał i o posłuchanie prosił, ucieszył się tem wielce. Spodziewał się go zachować przy sobie,

a niebezpieczeństwo zwiększało cenę ramienia rycerskiego...

Książę natychmiast powołać go kazał do siebie, i gdy Jaksa do kolan mu się kłaniał, w ramiona go z radości pochwycił, jak przyjaciela witając.

— Nie zapomnę ci tego Jakso mój — zawołał, — żeś do mnie w złej przybył chwili. Bóg ci za to zapłaci, ja wywdzięczę.

— A! miły książę a panie—odparł zarumieniony Jaksa,—wstyd mi aż wyznać, żem się tu zabłąkał nie dla miłości waszej, ale dla własnej sprawy.

— Choćby i tak było, rad ci jestem—odparł śmiejąc się książę Henryk,—mów, co chcesz mieć; chyba nie mogę, gdy nie sprawię.

— Miłościwy książę—odezwał się Jaksa, głos zniżając,—sprawa to pono niełatwa będzie, ale słowo wasze na szali zaważy. Krótko mówiąc, otom się wielce a wielce rozmiłował w córce pana Petrka, a swatać się do niej nie śmiem sam. Ojca nie mam, miłość więc waszą prosić muszę o opiekę, o dobre słowo nietylko u Petrka, ale i do własnej matki mojej.

Spuścił oczy Marek i przerwał, bo mu trochę srom było w taki gorący czas o własnej myśleć i mówić sprawie.

— A skądże tu przybywacie?—odparł ks. Henryk—nie już prosto od Wrocławia?

— Nie, miłościwy panie—rzekł Jaksa.—Byłem ja z Petrkiem w Krakowie i czas jakiś potem u niego przebywałem, alem od niego musiał do matki. Tam przybywszy, wstyd mi wyznać, ogarnęła mnie taka wielka tęsknica za dziewką, żem dłużej powściągnąć się nie mógł. Pamiętny łaski waszej miłości dla mnie, zbiegłem tu wprost w nadziei, że mi dopomożecie.

— A nicście po drodze od Wrocławia nie słyszeli?—spytał książę Henryk.

— Cóż słyszeć miałem? Nie wiem nic—odezwał się strwożony Jaksa,—czy uchowaj Boże, mogło się tam co stać?

— Wieści chodzą różne, nie wiem—rzekł książę Henryk.—Puszczono tu plotkę jakąś straszną, z którą

ks. Janik stąd wielce zatrwożony pobiegł. Jeżeli wy nic nie wiecie, dzięki Bogu! Fałsz to być musi.

— Alem ja, mijając bite szlaki, manowcami tu dążył—rzekł Jaksa przelękły.

— Cóż po ziemiach kędyście jechali, słychać?—zapytał książę.

— Wojenne wieści chodzą, wojska się zbierają, o posiłkach trwogi puszczają—mówił Jaksa,—lecz wojna nie rozpoczęta; Ruś tylko, co kawał kraju zachwyciła, spustoszyła go.

— A grody? zamki?—pytał książę.

— Nie słychać, aby je opanowano.

— Nic więc nie wiesz!—zawołał Henryk zdumiony.

— Do tego się przyznaję, jak do grzechu, żem tego czasu tak sam o sobie myślał, iżem o wszystkiem innem zapomniał!—dodał Jaksa, głowę spuszczając.

Książę Henryk zapłonił się, był bowiem pacholęciem prawie jeszcze, przez matkę w wielkiej surowości obyczajów chowanem, a niewiasty imienia sromał się wyrzec; — tu mu zaś sprawa przypadała na którą radzić nie umiał.

Samo owo przywiązanie do dziewczęcia wydawało mu się niemal grzesznem, a na swata wcale się powołanym nie czuł.

— Jakso mój—odezwał się po chwili,—każesz mi się jąć takiej rzeczy, do której się ja wcale nie zdałem. Dla was też żony sobie szukać bodaj zawczasu, tembardziej, jeżeli w tem woli matki niema... I mnie się żonaty rycersko wysługiwać nie zechcesz, a jam sobie z was wielką pociechę tuszył.

Jaksa, nie wiedząc co powiedzieć, złożył ożenienie na matkę, że w tem wola jej była. Nie skłamał też, bo go żonatym mieć chciała, ale nie z Petrkówną.

— Jeśli tak, matce posłusznym zawsze być trzeba—rzekł pobożny Henryk,—tylko mi żal, że wy ze mną nie pójdziecie, gdy Bóg da, za morze pociągnę, saracenów wojować.

— Pójdę z miłością waszą, choć za morze—odparł Jaksa,—żonę doma przy matce zostawiwszy;— ja też na pogan wielkie pragnienie mam. Pójdę, ale miłość wasza

pomożecie mi do pana Petrka, do którego ja sam śmiałości nie mam.

Henryk zadumany po izbie się przechadzać zaczął.

— Nic nie przyrzekam, bo nie wiem, co Petrek myśli i chce—rzekł,—przeciw woli jego nie mogę iść. Spróbujemy, aliści nie jedna Petrkowa córka na świecie.

— A dla mnie pono ona jedna i jedyna!—odparł Jaksa smutno.—Nie chcę mówić, jaka ona jest, bobym powiedzieć nie potrafił, ale żadna gwiazda na niebiosach nie świeci tak, jak ona myśli mojej, odkąd ją widziałem.

Henryk powtórnie się zarumienił; widać było, że rad chciał odwrócić rozmowę. Począł; więc rozpytywać znowu o kraj, o Petrka, potem Jaksę o niego samego i co na przyszłość zamyślał. A że czas nie był do swatania, naprzód to warował, aby Jaksa przy nim pozostał.

— Teraz, miły mój—mówił,—choćbym ci wygodzić chciał, jechać w swaty nie mogę, słać z niemi nie pora; wojna buchnie lada godzina, grody nasze biorą pułki na nas ściągają, tylko co nie widać, jak płomień ogarnie. Ze swoimi i przy swoich muszę stać wiernie... I ty ze mną bądź!

Już się Jaksa nie wyłamywał z tego i na wszystko przystał. I tak przybiegłszy do Płocka na krótko zasiadł przy Henryku. Codzień młody książę długie z nim spędzał godziny, ciekaw będąc obcych obyczajów, szczególniej rycerskich i zakonnych. Pragnął, jakby się tylko uspokoiło, wszystko, co gdzieindziej pięknem i dobrem było, u siebie zaprowadzać.

Upłynęło dni kilka, gdy raz przybywszy na zwykłą rozmowę do pana, Jaksa zastał go niespokojniejszym, niż zwykle. Od progu pytać zaczął, czy nowego nic nie słyszał.

— Nic—odparł Jaksa.

— Od Wrocławia?

— Uchowaj Boże o Petrku co?—zawołał przestraszony Marek.

Książę wahał się mówić, lecz z oczu mu coś smutnego patrzało.

— Mówcie, proszę—zawołał nagląco Jaksa. Jestli co? Rodzony ojciec-by mnie więcej nie obchodził.

— Nie trwożcie się—rzekł książę.—Pewną się zdaje rzeczą, że coś się z Petrkiem przygodzić musiało, że albo uwięziony jest, lub we swym dworze obsaczony, albo grozi mu niewola od Władysława... Wieści stamtąd coraz bałamutniejsze przychodzą.

Jaksa zbladły trwogi swej ukryć nie umiał i ręce załamał.

— Panie mój miłościwy—odezwał się,—radbym z tobą wieki mieszkać i służyć ci, lecz jest-li tam co, w czembym ja usłużyć mógł, a choćby nadaremnie się zaofiarować dla Petrka, w pomoc mu lecieć moja powinność! Drogi mi jest, jako ojciec rodzony!

— Nam też wszystkim równie—odparł Henryk,—ani was trzymać chcę. Jedźcież, ale siebie też oszczędzajcie. Bratu Władysławowi wierzyć nie można, bo jest w jarzmie złej niewiasty. Jeżeli się mści na Petrku i wam nie przebaczy.

Zaledwie się pożegnawszy, Jaksa do gospody swej pobiegł, a była w miejscu takiem, gdzie się zjeżdżali ciągle różni ludzie, od których wiele posłyszeć było można. Począł zaraz badać gospodarza, czy od Szląska co nie przyniesiono.

— Niemało rzeczy plotą—rzekł mieszczanin—ale prawdy w nich dopytać trudno. Każdy co innego prawi; niewiadomo, komu wierzyć. O palatynie Petrku głoszą, że się z nim coś stało... Morzą go jedni, więżą go drudzy—ale strach ma wielkie oczy i język długi.

Wpadł Jaksa między ziemian, którzy niedaleko stali, pytając, a zaklinając na miłość Bożą, czy co od Wrocławia nie słyszeli.

Tu gwar się wszczął wielki, każdy powiadał co innego, jeden, jakoby palatyna schwycono i uwięziono, drugi, iż okutego do Krakowa poprowadzono na sąd, inni zaręczali, że na śmierć osądzony został. Z tego wszystkiego to tylko pewnem się zdawało, iż z Krakowa nieszczęście jakieś padło na Petrka, albo mu zagrażało.

Wszystkie wieści z ust do ust podawane, tu przyszły, a nikt nic własnemi nie widział oczami. Dowiedział się też Jaksa, o czem mu już na zamku powiadano, że grody dla księcia Władysława brano, posłuszeństwo wszędzie po dzielnicach nakazywano, w Sandomierskiej i Lubelskiej ziemi, na skraju Mazowsza i Kujawach.

Jaksa więc, nie zwlekając ani godziny, tegoż dnia siodłać kazał i jechał precz. Dokąd?

Wprost do Krakowa na dwór księcia zdało mu się najbezpieczniejszem, gdyż wszyscy niemal ręczyli, że Petrka tam uprowadzono. Jaksa, choćby gardła własnego nadstawiając, chciał się za palatynem ujmować i stawić, a gdyby w więzieniu był siłą, prośbą, złotem, poręką go wyzwolić.

Z niewielkim swym pocztem, ale z odwagą wielką, popędził Jaksa przez poczty i manowce, najbliższej sobie drogi szukając do stolicy.

Tymczasem pozostali w Płocku książęta w oczekiwaniu dalszych swych losów, sposobili się, modląc, do rozpaczliwej obrony. Palatyn Wszebór zbierał ludzi, arcybiskup powoływał ziemian, aby stawali po stronie pokrzywdzonych... Ruszały się wszystkie ziemie po myśli duchowieństwa, przeciwko Władysławowi, którego posiłki, nim mu pomocą być mogły, już wszystkich od niego okrucieństwy swojemi odepchnęły. Gromady zbiegów szerzyły postrach dokoła, dymy gorzkie pogorzelisk niósł wiatr z groźbami i co żyło, pomsty Bożej wołało na Kaina.

II.

Dobek, wyjeżdżając z Krakowa ku Wrocławowi, niewielką z sobą zabrał gromadę ludzi, ale dobrał za towarzyszów najzuchwalszych swych oprawców, najposłuszniejszego, wypróbowanego niewolnika, nawykłego ślepo spełniać jego rozkazy. Siłą Petrka palatyna wziąć nie zamierzał, aby uderzywszy nań, nie wywołać rozpaczliwego

oporu, nie ściągnąć niebezpiecznej odsieczy; ufał w wielką zręczność swą, a przebiegły był i chytry, umiejący się okryć taką szatą, jakiej mu było potrzeba. Spodziewał się, że go tam żadna wieść i przestroga nie poprzedzi, że się żadnej zemsty i napadu nie domyślają i nie lękają. Osnuł więc sobie najście tak, aby o niem ludzie nie dowiedzieli się, aż gdy zostanie spełnione.

Biegł tak z ludźmi swoimi z pośpiechem wielkim, aż pod Wrocław sam, a tu przybywszy, gromadę swą wedle myśli na czatach dokoła rozsypał, stać każąc na zawołanie. Umówione były i obrachowane godziny, znaki i hasła.

Z kupką małą, nie groźną wcale, pod wieczór przyjechał Dobek pod wrota dworca pana Petrka.

Wiedział dobrze, iż mu tu ani wierzą, ani sprzyjają, ale i to znał, że przybywającemu z twarzą wesołą, z ludźmi niewielą, gościny nie odmówią, źle nie przyjmą.

Chmurny dzień był, wiało śniegiem, gdy do wrót kołatać zaczął. Tu wedle zwyczaju opowiedzieć się każdy musiał, kto był i z czem przybywał.

Zdziwił się mocno pałatyn, gdy w izbie swej odpoczywając, wcale nie gotów na przyjmowanie gości, posłyszał, iż marszałek Dobek z małym orszakiem ludzi, wprost z Krakowa przybył pilno, wiozący dlań od księcia rozkazy ważne i tajne.

Zmarszczyło mu się czoło, bo zgadnąć nie mógł, co go czekało, ażali nie wyzwanie do stawania przeciw książętom i sumieniowi,—natychmiast jednak otwierać kazał, kożuch nowy narzucił na siebie i jak należało wyszedł na spotkanie.

Dobek u wnijścia z konia rześko skoczył i, jakby się z sobą nigdy nie waśnili, zbliżył się, witając gospodarza obliczem spokojnem i wesołem.

Chciał go Petrek dla uczczenia do izb gościnnych prowadzić, ale się oparł przybyły, powiadając, że mało co pozostanie u niego, spocząć tylko pragnie i prosi, by sam na sam w ciepłej izbie posiedzieli.

Palatyn poprowadził go do swojego mieszkania, gdzie się ogień palił wielki, zaraz każąc podawać jadła a napoju też co przedniejszego dosyć, bo wiedział, że Dobek, jak

wszyscy Niemcy, rad pił. I rad go był spoić, bo mu się bezpieczniejszym zdawał, gdy głowę zalał.

Siedli tedy za stół, spoglądając sobie w oczy.

Petrek też umiał, gdy chciał, i twarz ułożyć i mowę. Tak ci dawniej, gdy Wołodara miał brać, ucztował z nim wesoło, nie dając po sobie poznać, co w sercu trzymał.

Kolnęła go ta myśl, azali Dobek z nim tak nie postąpi, ale ją precz odpędził, Niemca mając za zbyt głupiego, aby się na taką chytrość ważył. Przytem gdy mu w twarz uśmiechającą się spojrzał, ani troski na niej, ani zakłopotania nie wyczytawszy, powiedział sobie w duchu:

— Utaiłby się przed innymi nie przede mną! Niema w nim nic!

Dobek wyśmienicie udawał człowieka dworskiego, który o swem życiu myślał i tylko się niem rozkoszował.

Trochę dziwnem było palatynowi, że mu owych żołędzi na sośnie zapomniał, lecz zdało się, że i znaku po nich nie pozostało.

— Miał rozum, że tego do serca nie wziął—pomyślał Petrek,—bo juźcić córka moja nie dla takiego bezdomnego wyrostka z niczego.

— Zwiastowano mi—odezwał się głośno,— że od księcia pana miłościwego niesiecie coś ważnego i tajnego. Macie rozkazanie jakie?

— Hę!—rozśmiał się Dobek,—jak się wam zda? Możem ja was tak umyślnie zwiódł, aby mi prędzej wrota otwarto, bym na tej srogiej zamieci nie stał. Cóż, uwierzyliście?

— A czemużbym słowu waszemu wierzyć nie miał?—odparł Petrek.—Wszakże jestem sługą księcia i na jego rozkazy gotów zawsze.

— A ja rozkazów dla was tymczasem nie jam żadnych—rzekł żartobliwie Dobek.—I jak tu co od was żądać, kiedy wy jawnie sprzyjacie tym, co się księciu opierają.

Petrek ramionami poruszył.

— Komu i jak?—zapytał.

— Młodszej braci naszego pana, którą on radby wygnać precz.

— Myślę, że księciu się tego odechce, gdy lepiej sprawę rozważy—dodał Petrek.

— Ano, może!—rzekł Dobek popijając.—Kto to tam wie.

Udał, jakby mu to było zupełnie obojętnem. Dolewał coraz do kubka gospodarz i rozprawiali o rzeczach obojętnych dosyć wesoło; gość przy ogniu i winie stawał się coraz lepszej myśli.

— Dobra u was gościna!—mówił przybyły—dostatek wszystkiego, jak u udzielnego księcia!

— Używajcie zdrowi!—odparł Petrek. Niedługo czekać, przy pańskiej łasce i wam też na niczem nie zbraknie.

— Właśnie na to ja pracuję!—chytrze rzekł Dobek,—byle mi się powiodło rychło do tego dojść się spodziewam.

Zaśmieli się oba, każdy inną myśl mając w sobie.

— Gdzież książę teraz?—spytał palatyn.

— Jest dotąd w Krakowie—począł Dobek obojętnie,—ale się zbiera do wojska, bo wam to nie tajno, że jeżeli młode książęta dobrowolnie się nie poddadzą, siłą ich do posłuszeństwa przyprowadzimy; książę sam tu panem być musi.

Petrek, którego gość naumyślnie zdawał się tem chcieć drażnić, wolał zmilczeć.

— My to dobrze wiemy—ciągnął dalej poufnie niby—że ziemianom nie na rękę zmiana będzie. Wolą oni małych panków mieć kilku, niż jednego silnego, co ich w garść żelazną weźmie. I księżom biskupom król nie w smak pewnie, ale go przełknąć będą musieli.

Petrek głowę spuścił, nie mówiąc nic.

— Wszystko to wiemy—odparł po długiej chwili chłodno.

Dobek spostrzegł, że gospodarz do picia go zachęcając, sam niewiele do kubka zaglądał i począł naglić, aby do niego przepijał. Wtem Roger, starosta, nie odstępujący nigdy prawie palatyna, zjawił się w progu.

Widzieliśmy go już raz, jakim był z lica, a lice to nie kłamało; w sile wieku mąż, umysłu był nieustraszonego i na przebiegłości mu nie zbywało.

Tknęło go to mocno, iż ów Dobek, który tu nigdy nie bywał oddawna, a po odmowie otrzymanej jawnym był palatyna wrogiem, zjawił się nagle poufałym, serdecznym, jakby nigdy nic nie zaszło między nimi. Przybywał więc zblizka się przypatrzeć temu, co się tu działo. Nawzajem Dobek, który znał dobrze Rogera i charakter jego, nierad przybyciu, oczy spuścił, zmieszał się i nie mógł ukryć, że mu nie był na rękę. Pomimo to pozdrowili się wzajemnie. Roger stanął skromnie za panem Petrkiem, nie mając ochoty mieszać się do rozmowy, lecz uparcie patrząc w gościa, jak w tęczę.

Dobka to tak zmieszało, twarz mu się schmurzyła i skrzywiła tak wyraźnie, że i Petrek poczuł, iż przytomność starosty wadziła Niemcowi.

Czerwienił się, bełkotał, mieszał teraz, gdy przed chwilą, sam na sam z Petrkiem, aż do zbytku śmiałym się okazywał. Nadąsany zaglądał tylko do kubka coraz żywiej, wargi gryzł i odwracał się, wejrzeń Rogera unikając. Ten, jakby nie rozumiał, stanąwszy raz w miejscu swem, nie mówiąc słowa, trwał, jak wmurowany.

Rozmowa zerwała się. Dobek poczynał o zimie, śniegu, łowach, psach, naprawdę sam nie wiedząc o czem, nadrabiając niezgrabnie wesołością fałszywą. Bał się już, aby mu z lica nie wypatrzono zdrady, którą miał w duszy.

Biesiadowali tak, ale palatyn łacno spostrzegł, iż przybycie Rogera wpłynęło na gościa dziwnie, i że nieswój był, a niemal gniewny, choć udawał ochoczego.

Roger stał ciągle milczącym tylko świadkiem. Petrek podsunął mu kubek, odmówił dziękując.

Gadali niby wciąż, byle nie milczeć, a tymczasem i noc nadeszła. Starosta w ostatku, rzuciwszy raz jeszcze oczyma bystremi na Dobka, wysunął się z izby po cichu. Gość też ruszył się z siedzenia.

— A co, gospodarzu miły!—odezwał się jakby odzyskując swobodę, gdy zostali sami,—może to i prawda, żem ja poselstwo jakieś od księcia do was wiózł, że je za nadrą trzymam, alem przy trzecim mówić nie chciał. Oto i noc już, jam się waszego ciepłego wina opił, w głowie mi zaszumiało! Teraz już do ważnych spraw nie pora, język mi się pląta; jutro pomówimy o tem... A co mam sobie

gospody szukać, juścić mi pod waszym dachem, z ludźmi moimi dacie odpocząć? Jutro dokończymy rozmowy.

— Niech tak będzie!—rzekł Petrek wesoło.—Juściżem ja w mojem życiu nikomu nie odmówił gościny. Syn mój pójdzie spać gdzieindziej, a wam swojej izby i posłania ustąpi. Spoczywajcie zdrowi!

— Bardzo mi potrzeba już ledz—dodał Dobek, bijąc się po piersiach,—boście mnie do zbytku opoili.

To mówiąc, podali sobie ręce. Petrek klasnął na marszałka dworu i gościa prowadzić kazał do izby, a ten szedł tak wesoło i swobodnie, jakby o niczem nie myślał, oprócz spoczynku.

Zaledwie się Dobka pozbyli, gdy Roger starosta, który czekał podle w komorze, wszedł nazad do izby.

— Panie mój!—odezwał się do Petrka;—coś mi ten Dobek, gość wasz nie do smaku. Boję się go.

— Czegóżbym ja od niego w swoim własnym domu miał się lękać?—odparł Petrek.—Co ci się śni?

— Dzikiemu, zdradliwemu zwierzęciu, choć się łasi, nie wierzę—rzekł Roger.—Po co tu przybył?. Juści nie darmo i nie dla żartów z wami.

Palatyn śmiać się począł.

— Idź spać, stary mój—zawołał,—niema tu strachu dla nikogo, chyba dla niego. Gdy się on nie boi, czegóż my się obawiać mamy?

Starosta głową pokręcił, westchnął, nie powiedział nic, pożegnał się z Petrkiem i poszedł do dworku, który miał na tymże dworcu u muru, do opactwa św. Wincentego przytykającego.

Nikt ani pomyślał we dworze całym o śmiałym zamachu, który został uknuty, szli wszyscy znużeni spać. Dobek, choć niby zmęczony zaraz się na posłanie rzucił, czekał, oka nie zmrużywszy, aż się pośpią wszyscy. Sługę swego zaufanego postawił w progu na czatach. Drugiego cichaczem wysłał z rozkazem.

Nim ranek zaświta, żeby mi tu wszyscy moi byli dokoła na zawołanie. Ja mało co, albo nic spać nie będę, gdy się ruszę, abym ich pod ręką miał!

Cicha noc zimowa, niekiedy szumem wiatru przerywana i dzwonkiem opactwa, wołającym na godziny w chórze, objęła domostwo Petrkowe. Spali wszyscy utuleni ciszą, Dobek tylko jeden sparty na łokciu czuwał i najmniejszemu szelestowi się przysłuchiwał.

Niekiedy przez okno wyzierał na niebo, aby się, gdy gwiazdy pokażą z za obłoków, po nich się godzin nocy domyśleć.

Jeszcze do ranka daleko było, gdy po cichu wstał i na palcach wyszedł do swych ludzi. Wszyscy oni, odzieży nie zdejmując, broni nie puściwszy z rąk, czuwali. Znalazł Wondora swego, oprawców, czeladź na zawołanie gotową. Nie czyniąc najmniejszego szmeru, wysunęli się w podwórze.

Wczorajsze wejrzenie bystre i przenikające starosty Rogera pokoju nie dawało Dobkowi. Mówił sobie ciągle:

— Jeśli kto, ten niebezpieczny jest, jego potrzeba naprzód pochwycić, aby jak wściekły zwierz pana i przyjaciela nie bronił, a na gwałt nie uderzył.

Choć tak było jeszcze wcześnie, postrzegł Dobek, że się już w dworku starosty świeciło. Roger nie spał całą noc taki go niepokój ogarnął sam nie wiedział czemu... Żegnał się, modlił—nie pomagało nic; przybycie Dobka, jak przepowiednia nieszczęścia jakiegoś, z myśli mu wyjść nie mogło. Każdy szelest go przerażał, czuł, że coś groźnego wisiało nad nimi.

Wtem do drzwi jego zakołatano.

— Kto tam?—zawołał Roger.

— To ja! to ja! Zmiłujcie się, otwórzcie co rychlej; pilno mi bardzo, odjeżdżać już muszę, Petrek śpi, więc zdam na was, com mu miał powiedzieć.

Roger, zaledwie poznawszy głos Dobka, drzwi uchylił, światło trzymając w jednej ręce, gdy z obu stron nastawieni oprawcy i pachołkowie, wdarli się do sieni i rzucili na niego. Starosta porwał się do obrony, ale miecza ani broni żadnej pod ręką nie miał. Dobek, dobywszy z pochew nóż zapaśny, do gardła mu z nim skoczył.

— Zdaj się natychmiast, nie chcesz-li, bym cię tu ubił! Petrek już w moich rękach, żaden zdrajca nie ujdzie!

Oprawcy wnet mu ręce w tył wyłamali i wiązać je poczęli sznurami, a jeden krzyczącemu na gwałt knebel w gębę włożył i zawiązał ją.

Nie miał prawie czasu głosu wydać, gdy się to wszystko już skończyło. Wnet zgaszono światło, a związanego więźnia położono, u drzwi straż dodawszy.

Dobek już śpieszył pod dworzec wielki. Tu dopiero najważniejsza miała się odbyć sprawa.

Petrek nie spał. Rogera przestroga, rozmowy wczorajsze, nazbyt serdeczne obejście się Dobka nie mogły mu wyjść z myśli. Rozważał, dobadywał się, czy w tem wistocie zdrady nie było? Zdało mu się, że szmer jakiś niezwykły słyszy w dziedzińcach; po chwili jednak ucichło zupełnie. Sądził, że ludzie wstawać muszą do roboty i nad ranem czeladź się rusza w domu, jak zwykle; przeżegnał się i począł modlić.

Wtem zcicha pukanie usłyszał do drzwi sypialni.

— Kto tam?—odezwał się, podnosząc na łożu.

— Wstawaj panie Pietrze!—odparł Dobek głosem spokojnym,—ja to jestem. Pragnę pomówić z tobą, z polecenia księcia. Ano, żwawo! tajemnicę ci bardzo ważną przynoszę, czasu nie mam! wstawaj!

Petrek z łoża się ruszył trochę zaniepokojony, poznał głos gościa swego, ale godzina, pośpiech, naglenie zdało mu się dziwnem. Podejrzenia Rogera znowu po głowie kołatać zaczynały. A nuż zdradę jakąś uknuto?

Wstać, czy nie? otwierać? Milczeć, czy odezwać się— sam nie wiedział. Niepewność ta trwała bardzo krótko; zawstydził się sam przed sobą, że miał tak mało odwagi. Tymczasem Dobek coraz niecierpliwiej dobijał się do drzwi.

— No, cóż się tam z wami dzieje? Co się tam tak długo przybieracie? Hej, panie Pietrze! A no czekam na was. Toć ja nie od siebie tu przychodzę, ale jako poseł książęcy; książę jest tu sam! Książę stoi u wrót zmęczony, jechał całą noc, wstawajcie! Pietrze! a nuże! żywo! Zmiłuj się, chodź księcia przyjmować... a to się pogniewa!

Usłyszawszy o księciu, Petrek zerwał się co prędzej, a że kożuch miał przy łóżku, chwycił go na siebie i, jak

miał zwyczaj, gdy wychodził, nóż, który u pasa nosił, wziął w rękę i hełmem naprędce głowę przykrył. Otworzył drzwi.

Dobek, zobaczywszy broń, potem hełm zaśmiał się i krzyknął:

— Cóż to znowu? W hełmie i z nożem w ręku na spotkanie księcia się wybrałeś? Cóż to znaczy? Czy na nieprzyjaciela idziesz?

Petrek znowu się zawstydził i co prędzej hełm z głowy i nóż dobyty rzucił na łoże. Lecz zaledwie się odwrócił, gdy przez uchylone drzwi skoczyli oprawcy i pochwycili go.

— Takiś gość?—krzyknął palatyn, szamocąc się— Ty... zdrajco!

— Ja?—zawołał Dobek—ja?!—Co czynię, to z rozkazu! Nie moja w tem wola. Z tem mnie posłano. Wiązać!

Wrzawa około drzwi sypialni coraz się wzmagająca zbudziła dwór niemal cały. Światosław, którego ojciec obok swej izby na tę noc położył, zerwał się i wyskoczył. Zaledwie się pokazał, gdy Dobek skinął, aby go brano. Poczęto chłopca, schwyciwszy, niemiłosiernie szaprać, dusić i pętać.

Gdy się to działo we dworcu, cała czeladź, opactwo, sąsiednie domy krzykami zbudzone, wysypały swą ludność, gromady przelękłe zbiegały się, kupiły, krzyczały... Niektórzy do miasta uchodząc, uderzyli na gwałt, a że Petrek miłym był wszystkim, lud zewsząd leciał, garnął się i osaczał podwórza. Dobek-by się nie mógł był obronić, gdyby te tłumy na niego się rzuciły; ale przemądry człek natychmiast przygotowaną chorągiew ks. Władysława rozwinąć kazał.

— Z rozkazu pańskiego! wola się jego dzieje! Precz z drogi. Gardło da, kto rękę podniesie!—wołali ludzie Dobkowi, rozpędzając gromady.

Dnieć już zaczynało. Lud odepchnięty, rozbity, stał jak odrętwiały, patrząc, co się działo; jęki i płacz rozlegały się w podwórcach i po izbach, kobiety strwożone uchodziły...

Gromada ludzi Dobkowych, widząc się otoczoną

tłumami, co prędzej na koń siadła, trzech jeńców związanych biorąc w pośrodek siebie. Sam marszałek stanął na przodzie, chorągiew pańską rozkazując nieść przed sobą i coraz obwoływać, że to się działo z rozkazu pana. Obawiając się utracić już pochwyconych, nieopatrzny Dobek zapomniał o niewiastach, które też chciał zabrać; zapóźno przypomniał je, gdy już się wracać nie było można.

Brzask dnia oświecał widowisko dziwne, niepojęte, które ludziom, nawykłym widzieć potęgę Petrkową, zdało się jakimś cudem strasznym. Tego, co wczoraj tu panował, wiedziono pieszo skrępowanego jak niewolnika, jak zbrodniarza, popychając końmi, pędząc do pochodu włóczniami.

We dworze płakała, ręce łamiąc i od zmysłów odchodząc Petrkowa, u której nóg, obejmując je, córka leżała. Dalej cała gromada, z klasztoru wybiegłe mnichy stali, patrząc potrwożeni, nie wiedząc, czy pogaństwo na gród napadło, czy zbójców jakich kupa. W niektórych mieszczanach krew kipiała, aby się rzucić i odbić niewinną ofiarę, ale chorągiew książęca osłaniała siepaczy i Dobek, upojony zwycięstwem, rozgorączkowany, wlokąc za sobą jeńców, pędził na zamek.

Ze trzech brańców najspokojniejszym był stary Petrek. Słowo jedno z ust mu się nie wyrwało, z głową spuszczoną szedł, nie patrząc, milczący, niekiedy tylko ruchem ręki synowi, który się od płaczu zachodził, nakazując milczenie. Starosta Roger, któremu knebel z ust wyjęto, blady wlókł się jak upojony wściekłością i gniewem. Widać w nim było zduszoną, ale nie złamaną siłę. Patrzał z pod brwi nawisłych na otaczający lud, jakby mu wyrzucał podłość jego, że stał, nie ruszając się w obronie dobroczyńcy.

Jedno jakieś słowo, może byłoby te tłumy podniosło, lecz rzec go nie śmiał nikt. Petrek sam szedł, jak winowajca skruszony, poddający się losowi swemu. W duszy jego powracające teraz wspomnienie przeszłości przywodziło mu ową chwilę na pamięć, gdy tak samo Wołodara na łowach, w zasadzkę pochwyconego, wiódł Krzywoustemu. I mówił sobie:

— Miarą taką mierzą mi, jaką ja mierzyłem. Stań się wola Twoja!

To go w sumieniu zabijało i odbierało mu siłę. Zdało mu się, że spóźniona ręka Opatrzności na tym świecie chciała mu dać ponieść karę, aby ją zdjąć z niego i przenieść na innego. Poddawał się jej w pokorze.

Dobek rozgorączkowany, coraz to się ku niemu z konia odwracał, drwiąc, ale słowa jego i wejrzenia padały, jak na kamień, bo Petrek zdawał się nie widzieć i nie słyszeć nic.

W tej chwili stał się jakby innym człowiekiem, pokutnikiem pokornym, niemal dobrowolnym. Nie miotał się w więzach, niósł je, jako z nieba zesłane.

Dzień już był jasny, gdy Dobek, na zamek przybywszy, zszedł sam do więzień dobierać je dla tych, których z sobą prowadził.

Staroście zamkowemu naprzód rzekł:

— Gardło dasz, jeśli ujdzie który, gardło, jeśli do nich przystępu dozwolisz komu, gardło, jeśli im najmniejszą ulgę uczynisz! Książęcy rozkaz! Zdrajcy są przeciw niemu!

Więzienie pod murowaną częścią grodu było napół w ziemi, izb w niem dwie. Aby Petrek pociechy z syna nie miał, rzucono go do jednej samego, do drugiej Rogera i Światosława.

Dobek strażą ze swoich ludzi wzmocnił grodową.

Gdy Petrek związany, wepchnięty do ciemnicy padł na słomę, stanął nad nim Niemiec, śmiejąc się, wziąwszy się w boki.

— A co?—zawołał—a co? możeby teraz żołędzie się na sośnie znalazły? ale po czasie. Waszą córkę wezmę nie za żonę, ale jak zechcę! Kładnijcie się wygodnie palatynie, do spoczynku będziecie mieli dosyć czasu... Nie wyjdziecie stąd, aż pod miecz katowski.

Na to nie otrzymał odpowiedzi, ani wejrzenia nawet; Petrek leżał nieruchomy. Dobek przeszedł się raz i drugi po ciemnicy, czekał na coś, palatyn ani jęknął przy nim, dopiero, gdy się drzwi z trzaskiem zamknęły za odchodzącym, załamał ręce i modlić się zaczął.

Gdy więźniów tak w tryumfie na gród prowadzono, przestraszona Petrkowa z córką miała czas, zabrawszy co mogła naprędce, ujść przez opactwo na bezpieczniejsze schronienie do folwarku benedyktyńskiego, który ona sama mnichom nadała. Tu w chacie ubogiej, padła bezsilna, cała we łzach się rozpływając i córkę tuląc do siebie.

Opat Anzelm przedsięwziął wszelkie środki, aby schronienie bezpiecznem uczynić od napaści, a pogoń w inną skierować stronę, domyślano się bowiem, że Dobek będzie niewiast szukać i ścigać je.

Zaledwie one uszły ze dworu, on już napowrót tu bieżał, aby go ograbić i zniszczyć. Straż, którą tu zostawił, nieliczna, opasana daleko znaczniejszemi gromadami ludzi z miasta i opactwa, część tylko małą dworu otoczyć mogła. Drugą stroną Petrkowa i dworscy unieśli życie i co uśpieli porwać z komnat i skarbca.

Z powrotem marszałka poczęło się mściwe gospodarstwo jego.

Pochwycono naprzód wozy i konie, aby na nie zdobycz ładować; Dobek wpadł do opusztoszonych komór, z których wszyscy pouchodzili, łamiąc drzwi, rozkazując zabierać, cokolwiek padło pod rękę.

Odbito zaraz skarbiec, którego stało na kilka wozów złota, srebra, naczyń, oręża, futer, jedwabiów, sukna, zapasów najdroższych w owych czasach—ale Dobek rozpatrzywszy się w nim, zawołał, że to nie był główny Petrkowy... Tamtego, który olbrzymie miał zabierać zbiory, nie wiedziano kędy szukać—nikt go nie znał. Ze ścian i z podłóg dworca poodzierano potem sukna, opony, kobierce, ze stołów okrycia, a czego zabrać nie było można, łamano i niszczono.

Dobek chodził jeszcze po zakątkach, szukając coby zagrabił, gdy ujrzał zdala stojącego opata Benedyktynów.

Opat, ani przywitawszy grabieżcy, patrzał smutnie po komnatach opustoszonych.

— Cóż się to tak dziwujecie temu, co się tu dzieje?— krzyknął doń Dobek.—Pełnię rozkaz pański. Zdrajcę ująłem, mienie jego całe, ziemie, wszystko do księcia należy.

— A kogoż to i kiedy—odezwał się opat spokojnie— zdradził ten człowiek? gdzie ta zdrada? kto go sądził?

— Wyrok książęcy!—odparł Dobek.—Wam klecho, ani pytać o to, ani sarkać, chcecie-li być cali!

— Chcesz-li ty być całym—krzyknął opat z mocą wielką, podnosząc habit swój czarny—nie tykaj ani słowem, ani ręką tej sukni, abyś trupem nie padł. Czyń, jako niewolnik, bez litości, co ci kazano, ale zdala od ołtarza i ludzi jemu poświęconych, aby cię ziemia nie pożarła!

Dobek stanął osłupiały, zląkł się.

— Nie rzucajcież klątwy na mnie!—zawołał drżąc,— ja tu mojej nie spełniam woli. Sługą jestem!

Opat popatrzał i odwrócił się od niego z pogardą. Powolnym krokiem przeszedł po izbach, mrucząc modlitwę, patrząc, stając, niekiedy ciężkiem westchnieniem zdradzając żal wielki.

Dobek tymczasem wyśliznął się drugiemi drzwiami do wozów, które strażą otoczone stały pode dworem. Łupu zabranego stąd nie dosyć mu było, wypędzono ze stajen konie, wzięto kolebki i wozy, zegnano psy, pochwytano sokoły, powywracano szopy i zostawiono pustkę i gruzy tylko.

Łupy wyciągały z dziedzińca za Dobkiem, gdy od glinianej grobli nadjechał wóz kmiecy, a ten, co na nim siedział, oczom swym nie wierząc, stanął, przypatrując się zniszczeniu wczoraj jeszcze pańskiego dworca. Był to Tychon, kmieć, którego znów z podwodą do miasta wygnano, wracający do domu. Jeżdżąc tu często z przewodem i znając ludzi Petrkowych stanął u wrót, przed któremi dawny odźwierny leżał pobity i jęczał.

Tychon co tak na swój los narzekał, pierwszy raz ujrzał, że i możnym się nie lepiej od niego działo.

— Saku!—zawołał na odźwiernego—na miłe bogi, co się tu u was stało? Toć nie wojna?

Sak jęczał, trąc potłuczone boki.

— Książęca ręka nas dotknęła—począł płaczliwie.— Nie pytajcie lepiej! Wczoraj nasz Petrek z książęty na równi chodził, dziś ze złodziejami. Powlekli związanego do ciemnicy, jego, i starostę, i syna.

I odźwierny począł zawodzić.

— A cóż uczynił?—spytał Tychon.

Sak podniósł głowę.

— Któż to wie? Skarby miał złupić, jak je chciano... Możny był, zazdrościli mu... Bóg tak dał!

Tychon nie pytał już więcej...

— Zaprawdę—rzekł, popędzając konie dalej—nie wiadomo czy nie lepiej kmieciem być i podwody a poradlne dawać, a z pogonią służyć?

Tak samo może myśleli mieszczanie, których gromady przez dzień cały stały u spustoszonego dworu, patrząc i zdumiewając się tej doli. Niekiedy jęk cichy wyrywał się im z piersi i ocierali oczy. Petrek miał może nieprzyjaciół i zazdrosnych, jak każdy możniejszy, ale mu też na przyjaciołach, sługach wiernych i wdzięcznych ludziach nie zbywało, bo wiele czynił, grosza nie szczędził, a że szczodrym był, szczególniej dla duchowieństwa, i ono mu sprzyjało, modlitwom wiernym polecano go publicznie.

Mnogie klasztory, kościoły, nadania biskupom przywiązywały doń księży, nieustannie z jego skarbca czerpiących; wszyscy oni za nim byli; czuł więc Dobek, zasłaniając się książęcym rozkazem, że sobie tysiące nieprzyjaciół uczyni, chwytając Petrka. Starszyznę i ziemian obruszała też kaźń bez sądu, i książę Władysław wiedział, że tem sobie ludzi nie zjedna, a tylko najlękliwszych przerazi; ale Agnieszka lekceważyła wszystkich, zarówno duchownych, jak świeckich. Ufała w brata cesarza, wołając, że on z Rzymu wyrobi rozkazy do biskupów, aby się przeciw Władysławowi nic czynić nie ważyli. Książę ulegał.

Tymczasem w opactwie na probostwach, w dworcu biskupim wiadomość o uwięzieniu Petrka wywołała oburzenie i ruch nadzwyczajny. W refektarzu klasztornym św. Wincentego wszyscy ojcowie zbiegli się na radę. Opat chciał zaraz biedz do biskupa, ale tego jeszcze z powrotem z Płocka nie było. Chociaż Dobek zuchwale się składał rozkazami pańskiemi, nie wierzono mu, widziano w tem zemstę osobistą, chciano zaraz słać do księcia ze skargą, do biskupów z żałobą, prośbą, aby obstali za prześladowanym. W kościołach nakazano modły publiczne. Opat, który był przyjacielem domu i codziennym gościem Petrka, łamał ręce nad losem, jaki mógł być zgotowany nieszczęśliwemu.

Wieść się była właśnie rozeszła, że książę Władysław znajduje się z żoną na jednym z zamków szląskich, o mil kilka od Wrocławia, nie wiedziano jednak w którym. Opat wstrzymać się musiał, choć gotów już był jechać, aby za uwięzionym przemawiać.

Wysłano na zwiady, dokąd Dobek się udał. Nie wątpiono, że śpieszne jego oddalenie się z łupami miało na celu stawienie się księciu z niemi i wzięcie u niego rozkazów, jak teraz z więźniem postąpić. Władza panującego była naówczas nieograniczoną, nie potrzebował sądów, nie tłumaczył się z tego, co czynił. Za jednych tylko duchownych odpowiadal przed Rzymem, za innych—przed Bogiem i sumieniem. Nienawiść mogła nastawać na gardło, a jeśli nie na życie, to na oślepienie okrutne, które człowieka bezbronnym i bezsilnym czyniło, na wieczne wygnanie, które nędznym robiło tułaczem.

Trwały jeszcze narady te w opactwie, gdy dano znać, że ks. Janik z Płocka powrócił. Tejże godziny o. Anzelm, wziąwszy z sobą o. Maura, pośpieszył na dwór biskupi.

Konie jeszcze rozsiodływano i ks. Janik zaledwie był siadł spocząć, gdy mu oznajmiono opata. Po drodze już orszak biskupi od ludzi przejeżdżających dowiedział się o strasznej nowinie. Ks. Janik jej wierzyć nie chciał, ale stanąwszy u wrót spustoszonego dworu, sam oczyma własnemi zobaczył, co zeń uczyniono. Płaczący u wrót ludzie, powyłamywane drzwi, porąbane słupy, splądrowane komory, poroztwierane na oścież szopy dowiodły mu, że opowiadający nie kłamali.

Ks. Janik łamał ręce nad losem powinowatego sobie i ukochanego człowieka, gdy opat blady ukazał się w progu. Nie mówiąc słowa do siebie stanęli, potrząsając głowami; płakali obaj.

— Ojcze mój—zawołał wreszcie biskup,—mów proszę! Co się stało u was! Najazd pogański! napaść zbójecka! Gdzie Petrek nasz? gdzie rodzina jego? Nikt-że nie stanął w obronie?

— Niema go! Spętany siedzi w więzieniu—rzekł o. Anzelm,—mściwa ręka niewiasty dosięgła nieszczęśliwego. Zdradą przemierzłą wziął go niegodziwy Dobek z łoża, bezbronnego, niebroniącego się. Porwał z nim syna, pochwycono starostę Rogera. Wszyscy oni w ciemnicy na grodzie, oskarżeni o zdradę... Splądrował dom, zagarnął mienie. Sądny dzień przeżyliśmy.

— Tak—odparł biskup zadumany,—wybiła godzina sądu Bożego i stało się, co Wszechmocny dopuścił! Korzmy się przed nim, bo On ludzi i namiętności ich używa za narzędzia woli swej! Tak! Bóg to uczynił, nie zemsta ludzka, ale płakać się godzi nad losem dotkniętego!...

— I ratować, ratować go trzeba—przerwał opat gorąco.—Jeżeli nie wszystko ocalić, to przynajmniej życie—życie jego, syna, rodziny!

Biskup westchnął zamyślony, potem rękę podniósł do góry. Poza księciem, za Dobkiem—rzekł—stoi Agnieszka! Zemsta niewieścia nieubłagana jest i dzika, miary nie zna, nasycić się nie daje.

— Lecz nie mniej starać się próbować, kołatać potrzeba—przerwał opat.—Ojcze nasz kochany! Komu właściwiej, jak tobie? Książę jest na jednym z zamków sąsiednich, szukać go, mówić z nim trzeba, upamiętać.

Biskup cały w sobie stał zamyślony, powtarzając:

— *Alea jacta est!*

— Nie o Petrka tu samego chodzi! Lękam się, aby ten sam los nie groził wkrótce królewskim sierotom. Idzie o państwo to, które chcą zagarnąć! Po drodze napotykałem kupy ludzi zbiegających w lasy — księciu płyną posiłki, jego wysłańcy zajmują grody! Petrek był najgorętszym obrońcą praw małoletnich sierot, dlatego jego pierwszego spotkała zemsta—on im stał na przeszkodzie. Nie Petrka już, siebie ratować nam potrzeba! Dziś oni wydziedziczą książąt, jutro nas to samo spotkać może, odbiorą kościołom nadania, zajadą dobra... Agnieszka chce korony i władzy, duchowieństwo bronić musi sieroty, gdyż jutro i ono będzie prześladowanem.

— Cóż czynić?—zawołał opat, łamiąc ręce,—mamyż obojętnie patrzeć na zgubę dobroczyńcy naszego, stojąc z rękami założonemi?...

Ks. Janik przeszedł się parę razy zadumany po izbie.

— Cierpliwości—rzekł,—niech się okaże jasno, czego chcą i do czego dążą. Dzieła Kainowego dokonać mu nie damy!

— Pasterzu nasz!—zawołał opat, całując go po rękach,—powaga wasza wielka, jesteście powinowaci uwięzionego, wy powinniście pierwsi jechać, aby się wstawić za nim.

— Właśnie, iż powinowaty mu jestem, ruszyć się nie mogę—odezwał się ks. Janik.—Krokiem teraz od kościoła niepodobna odstąpić. Chcecie wy być posłem moim? Wkładam na was sprawę, idźcie imieniem mem.

— Dlaczegóż nie?—odparł opat.—Ta suknia mnie obroni; pojadę, choćby w paszczę potwora, nie zlęknę się stanąć ze słowem prawdy!

— Jedź!—rzekł ks. Janik—bądź ode mnie posłem.

Dwaj duchowni usunęli się na poufalszą naradę i rozmowę; opat Anzelm z gorliwością wielką gotował się stawać w obronie dobroczyńcy swego zakonu.

Tejże chwili posłany na zwiady o pobycie ks. Władysława, o którym mówili jedni, że w Lignicy był, drudzy, że w Opolu, inni, że w Głogowie.

Tymczasem los zdarzył, że ks. Marcin proboszcz miechowski, który z Benedyktynami w ścisłych był stosunkach, bo się za ich wychowańca liczył, znalazł się właśnie w opactwie św. Wincentego. Obawiano się, aby schronienie pani Petrkowej nie dosyć było bezpieczne, chciano ją w głąb kraju uprowadzić i skryć gdzieś w miejscu niedostępnem. Ks. Marcin, będący przytomnym naradzie, z wielkiego politowania nad losem niewiasty nieszczęśliwej, rzucił tę myśl, aby ją wysłać do Komorowa. Inni natychmiast jej przyklasnęli. Poczęto naglić staruszka aby towarzyszył niewiastom na zamek Jaksów, był ich przewodnikiem i opiekunem. Ks. Marcin ani chciał, ani się mógł opierać.

— Bóg cię natchnął tą myślą szczęśliwą!—zawołał opat, ściskając go.—Któżby mógł odmówić przytułku

biednym ofiarom nieludzkiej zemsty? Jedź z niemi, ukryj je! Bóg to nagrodzi! Dopóki się los palatyna nie rozstrzygnie, niech choć to, co ma najdroższego, spocznie w miejscu bezpiecznem. Weźcie je do Komorowa! Powierzcie matce Jaksy! W drodze opieka księdza za cały pułk stanie!

— Powiodę je drogami na których niema niebezpieczeństwa—odezwał się ks. Marcin;—sam też im będę przodować!

Tak się stało, że pani Petrkowa, której imię i dostojeństwo zataić musiano, drugiego dnia już pod przewodnictwem ks. Marcina jechała lasami i drogami bezludnemi tam, gdzie Jaksa najbardziej sobie ją widzieć życzył. Opatrzność zdawała się opiekować nim i piękną Błogosławą, wiodąc je na stary gród cichy, do którego burze wojny dojść nie mogły.

III.

Ranek był, gdy wyprzedzając wozy za nim ciągnące, podjechał Dobek pod zamek w Głogowie, wołając zdala ku stróżom, aby mu wrota otwierano.

Czwałem wpadł na podwórze z rozognioną twarzą, a choć cały był śniegiem i błotem okryty, nie zdejmując z siebie odzieży, pośpieszył do izb, w których mu wskazano mieszkanie ks. Agnieszki.

Od rozpoczęcia pierwszych kroków nieprzyjacielskich przeciwko braciom z namowy żony, ks. Władysław był bardzo zmieniony. Kosztowało go postanowienie pierwsze, wahał się nad niem długo, z sumieniem walczył,—teraz już krok uczyniwszy, brnął dalej, coraz bardziej sam się zagrzewając i do serca biorąc, czem brzydził się niedawno.

Wpływało na to postępowanie zręczne księżnej, która począwszy od podżegania go zdala, dorywczo, teraz na chwilę męża nie opuszczała. A była dlań wcale inną, niż ostatniemi laty; chętną, przymilającą się, uprzejmą. Pilnowała go, na krok nie odstępując, aby mieć nań wpływ nieustający.

Władysław ulegał coraz więcej, chwilami przekonany, iż to, co czynił, było jego własną wolą. Zamiłowany w łowach nie mógł teraz jechać w lasy, bo się lękano zasadzki znajdowano przeszkody, księżna nie puszczała go od siebie, wyszukiwała zabawy i zajęcia, przyprowadzała mu dzieci, rozrywała rozmową, nie zostawiała nawet z myślami własnemi. Książę oswajał się z tą niewolą swoją i zdawał się z niej rad. Od rana do wieczora powtarzano mu jedno: jak wielkim się stanie, gdy opanuje działy braci i koronować się każe w stolicy.

Brat cesarz miał przysłać koronę pobłogosławioną w Rzymie.

Salomea, której wpływu i świętobliwości obawiała się Agnieszka, nie żyła już; sieroty nie miały opieki. Najstarszy z nich ledwie był dwudziestokilkoletnim, najmłodszy —niedorosłem dziecięciem.

— Niech jadą do Bergu!—wołała księżna,—tam ich dziedzictwo i panowanie! Tu dla nich miejsca niema! Dwu może przyjąć klasztor we Zwiefalten, który tak bogato obdarzyła matka, a dwu pójdzie służyć bratu mojemu. Lepsi od nich pod chorągwią cesarską chodzą!

Tak codzień prawie mówiła Agnieszka, a książę jej potakiwał. Bronił się tylko od wydania na nich wyroku śmierci i krwią mazać się nie chciał,—na wszystko zresztą przyzwalał.

Gdy Dobek, szukając mieszkania księżnej, wpadł z wielkim pośpiechem do pierwszej komnaty, ujrzał ks. Władysława na nizkiem siedzeniu, otoczonego trojgiem dziatek, uśmiechającego się do swoich chłopiąt; Agnieszkę na podwyższeniu siedzącą przy nich i zdającą królować.

Zaledwie ujrzała Dobka wchodzącego, z krzykiem porwała się ku niemu. Wiedziała z czem jechał, niecierpliwą była, z czem powraca.

Sama twarz marszałka już dość o tem mówiła; zdjął hełm z czoła uznojonego, potrząsnął włosami długiemi, aby mu się po ramionach rozpostarły i raźno po rycersku

przypadł z pokłonem do kolan pana i pani. Władysław patrzał nań zbladły i widocznie pomieszany.

Na naleganie żony nakazał był uwięzić Petrka, ale w duszy, nawykły szanować go, żałował postanowienia, niepokoił się, pocieszając tem, że Dobkowi mogło się nie udać.

Z lica Niemcowi patrzało, iż wiózł pomyślne dla siebie wieści, uśmiechał się, nim przemówił, a gdy nań padło wejrzenie nalegające pani, odezwał się raźno:

— Petrek z synem siedzi w jamie! Siedzi! Wziąłem go, jak lisa w dziurze! Trzymamy go! dzierżym! W naszej mocy teraz ten, co się nam odgrażał!

Książę zbladł bardziej jeszcze i głowę spuścił.

Wtem księżna z podnóżka skoczyła, klaszcząc w dłonie, dzikim ogniem zaświeciły jej oczy, zwierzęco jakoś, straszliwie. Nim słowo się z jej ust dobyło, poczęła bić rękami, podnosić je do góry, śmiać się. Chwyciła się pod boki, przechyliła na wznak, wyrabiała z sobą dziwy, tak ją rozradowała sama nadzieja zemsty. Książę patrzał na nią niemal przelękły.

— Ach! ach!—odezwała się wreszcie głosem pomieszanym ze śmiechem okrutnym.—Nareszcie mamy cię, złoty ptaszku w klatce, mamy! Odbierzesz teraz, na coś zasłużył, ty, coś to się chciał państwem opiekować; tyś, coś na mnie śmiał bluzgać i zohydzać mnie w oczach pana małżonka mojego! A! nie ujdziesz mi już teraz nie! Wybiła godzina kary, a kara być powinna tak srogą, jak winy twoje!

Książę milczał; Dobek kręcąc wąsa, uśmiechał się...

— Jakżeś ty go wziął?—spytał ponuro Władysław.—Nie ujął się zań nikt? nie bronili się?

— Oho! nie śmiał nikt!—zawołał Dobek.—Szedłem w imieniu pańskiem, z rozkazem waszym, pod chorągwią waszą! A podszedłem go tak, jak on drugich podchodzi. Ho! ho!—śmiał się Dobek, któremu wejrzenie księżnej dodawało odwagi—nie miał czasu drgnąć złoczyńca! Nie domyślał się zbój, co go czeka! Nasadziłem zawczasu moich ludzi, wywabiłem bezbronnego, związaliśmy jego, starostę Rogera i syna. Wszyscy u mnie! Zamknąłem ich na zamku pod dobrą strażą, a sam tu zbiegłem.

— Dobrześ się sprawił—odparła księżna z pośpiechem, nie dając się odezwać mężowi.—Ale—dodała ciszej—poco go żywić było, mając raz w ręku?

Władysław wtrącił groźno:

— Życia mu brać nie chcę!

— O! zgnieść żmiję! zgnieść!—przerwała ks. Agnieszka.

— Dość zęby wybić, aby nie puszczała jadu!—odrzekł książę.

— Zęby?... Nie dość, nie dość!—zakrzyczała księżna, śmiejąc się niby, ale gorączkowo z gniewu. Oczy! oczy mu trzeba wykłuć, co widzą to, czego niema na świecie! język uciąć wszeteczny, a wkońcu gardło! gardło! Mój to więzień jest, mnie obraził, przeciwko mnie zawinił, ja mu, póki żywa, nie przebaczę! Krwi mi jego potrzeba!

Wtem obracając się do Dobka i mierząc go iskrzącemi oczyma, poczęła:

— A żona? a córka? a dwór?... Coście z niemi zrobili? W perzynę wszystko trzeba było obrócić, w perzynę! z dymem puścić! Księżnę jejmość pyszną dać było żołnierzom dla uciechy, i córkę z nią. Czego było oszczędzać plemię ohydne?

Książę przeląkł się wyrazów żony, niepohamowaną zemstą ziejących i wstał z siedzenia, okazując oburzenie Agnieszka zapłoniła się tylko i zawróciła ku ulubieńcowi który dodał:

— Niewiasty gdzieś się skryły, nie wiem. Pewnie do klasztoru pod opiekę mnichów, bo ich tam pod bokiem miały, a ja do tych klechów iść nie mogłem, boby mnie wyklęli i ludby na mnie spędzili. Dwór splądrowano, a co się znalazło, tośmy zabrali z niego.

Nim książę miał czas się odezwać, Agnieszka wołała żywo:

— Coś zabrał, wszystko twoje! Książę pan ci to dał! nie odwoła! Zasłużyłeś na nagrodę, starłszy łeb smokowi temu; najstraszniejszego zbyliśmy się nieprzyjaciela.

Teraz pójdzie już raźno wszystko; sieroty bez opiekuna nie wymkną się nam! Połowimy je po jednemu.

Dobek już się nie księżnie, ale Władysławowi pochylił, dziękować chcąc za podarek, gdy książę ze wstrętem jakimś cofnął się od niego.

Agnieszka za to zbliżyła się doń poufale, szepcąc coś po cichu i okazując radość wielką.

Władysław zadumany w okno patrzał. Przychodziły mu pewnie na pamięć te godziny, gdy Petrka widywał przy ojcu swym poufałym gościem, druhem jego serdecznym, gdy on sam, jak inne dzieci królewskie, stawał przed nim z poszanowaniem, widząc w Petrku opiekuna swojego. Teraz, gdy zemsta przez żonę wymożona, napół dokonaną została, gniewał się na nią, na siebie, na Dobka i niemal na Petrka, iż się wziąć dopuścił. Chciał przynajmniej ocalić mu życie.

Księżna, widząc to usposobienie męża, skinęła Dobkowi, aby precz szedł, a sama zbliżyła się do Władysława, rękę mu kładąc na ramieniu.

— Cóż cię to za smutek opanował?—spytała szydersko.—Więcej ci tego zbója żal, niż mnie, którą on oplwał i znieważył?... mnie matkę twoich dzieci, cesarską siostrę?! Żal ci tego nikczemnika? żal?...

Nie było na to odpowiedzi. Pierwszy raz od dni wielu, spędzonych w zgodzie, Władysław zszedł jej z oczów milczący i skrył się w izbie swojej.

Gdy się to działo na zamku, Jaksa, który był pobiegł wprost do Krakowa szukać księcia, aby stanąć przed nim w obronie Petrka, po drodze już się o całem nieszczęściu dowiedział.

Nie wstrzymało go to, że Petrek był prześladowany. W pierwszem probostwie, na które zajechał opowiedziano mu ze szczegółami, jakiej zdrady ofiarą padł Petrek, jak rodzinę rozproszono a mienie jego zrabowano, i że śmierć mu groziła. Dowiedział się zarazem, że książę z Agnieszką był w Głogowie i czekał tam na wiadomość, co się we Wrocławiu stało.

Strachem zemsty, na Petrku wywartej chciano wszystkie ziemie do poddania się zmusić.

Jaksa z rozpaczy nie wiedział już, co miał czynić, bił się z myślami i rwał choćby na największe niebezpieczeństwa. Bodaj sam jeden chciał iść w obronie palatyna. Ale jakież miał prawo ujmować się za nim, będąc zaledwie dalekim powinowatym, młodym, bez znaczenia i nie mając od nikogo zlecenia?

Jaksa nie mając pozoru przystąpienia nawet do księcia, chwycił się myśli dziwnej. Towarzyszył on już raz Petrkowi na dwór książęcy, widziano go tam w orszaku palatyna, u jego boku. Wiedział, że Światosław zaswatał był właśnie dziewczę wielkiego rodu, które miał wkrótce poślubić. Zmyślił więc sobie poselstwo, choć nie miał żadnego i postanowił, jakby o niczem nie wiedząc, na dwór się dostać, niby wysłany od Petrka, zapraszając księcia na wesele. Dziwna to myśl była, zły pozór, aby się na dwór dostać; ale Jaksa, byle stanął przed księciem resztę zdawał na wolę Bożą. Chciał mówić, zaklinać, błagać.

Ksiądz, któremu z myśli się tej zwierzył, choć sam sprzyjał Petrkowi, jak duchowieństwo całe, potrząsł głową na dziwaczną myśl młodzieńca.

— Czyż tego nie rozumiecie—rzekł,—że dziś się za nim wstawiać, mówić, dopraszać o łaskę, znaczy samemu się nadaremnie na więzy, albo i na śmierć narazić. Nie uczynisz nic i gardłem przypłacić możesz.

Jaksa się tem wcale nie dał ustraszyć.

— Uczynię co, czy nie—zawołał,—ale zrobię, com powinien. W sercu naszego pana nie zgasło wszelkie ludzkie uczucie; gdy się kto postawi mu śmiało, ocknie się w nim litość, oprze się żonie. Ona go prowadzi, ona!

Nic nie mogło Jaksy powstrzymać. Tegoż wieczora ruszył do Głogowa i na grodzie stanął, ogarnąwszy się zaraz, samotnie z dwojgiem czeladzi na zamek poszedł.

Tu, choć dobrem okiem witano ziemian, co się pod książęce chorągwie garnęli, na niego koso spoglądano, bo go do Petrkowych liczyli.

Książę z księżną właśnie razem przyjmowali kilku ziemian szląskich z okolicy, którzy przybyli, miłosierdzia prosząc od połowców, bo o straszliwem ich ciągnieniu słyszeli. Ci nawet, co z księciem trzymali, obawiali się tej dzi-

czy, dla której na obcej ziemi nie było różnicy między przyjacielem a wrogiem; łupiono dwory wszystkie, jakie na drodze stały.

Agnieszka z tryumfującym uśmiechem słuchała płaczliwie wynurzanych żalów, obaw i próśb o miłosierdzie.

—Jeżeli się ich obawiacie—mówiła a nie chcecie popaść w ich ręce, skupiajcie się do nas, pod książęce chorągwie, a precz wyganiajcie tych, co są wojny przyczyną. Gdy się poddadzą grody, gdy książęta pójdą precz, pokój powróci, odprawimy Ruś i Połowców.

Kłaniali się, płacząc szlązacy, bijąc się w piersi a lamentując, gdy wszedł Jaksa, na którego się wszystkie obróciły spojrzenia. Książę popatrzał nań, czekając, co powie.

Stało się milczenie.

— Z czem przychodzisz?—spytał Władysław.

— Miłościwy książę—odezwał się, dławiąc tem, co mówił i pokłon oddając Jaksa.—Palatyna Petrka syn, Światosław, ma poślubić Martę Starżankę, posłano mnie waszą miłość prosić o błogosławieństwo i... i na wesele...

— Nie dokończył jeszcze, gdy stojący obok niego żupan, Leszczyc, odezwał się.

— Co ci jest? co prawisz? Azaż nie wiesz, że Petrek z synem jest w więzieniu osadzony, ani mu o weselu myśleć!

Jaksa zamilkł, spuszczając oczy.

— W więzieniu?—odezwał się ze śmiałością wielką podnosząc wzrok na księcia—palatyn Petrek? on?... Za cóż człowieka tego, który tylko dobrze czynił, miałby ten los spotkać?

Książę milczał, ale Agnieszka poruszyła się gniewnie, ręką potrząsając.

— Petrek był zdrajcą!—krzyknęła—przeciw panu! przeciw mnie! Łotr jest życia niegodzien!

To mówiąc, przechyliła się, pięści zaciśnięte podnosząc do góry.

— Nie może to być!—odezwał się mężnie Jaksa.—Znają go od lat wielu wszyscy, ojcowie duchowni, ziemianie, ziemie naokół całe... Pobożny jest, sprawiedliwy, cnotliwy! Był nieboszczykowi królowi miłym, dobroczyńcą dla wielu, nikomu złym. Miłościwy panie! Takiemu, jak on mężowi, choćby obwinionym był, trzeba się dać wywieść i oczyścić!...

— Milcz ty!—zawołał Agnieszka coraz gniewniej.—Nie ty młokosie jakiś, sędzią jesteś, ale pan twój, który ma prawo życia i śmierci, sądu i wyroku!

Władysław patrzał w ziemię zasępiony.

— Miłościwy książę!...—ciągnął dalej Jaksa, zwracając się nie do Agnieszki, jakby jej słuchać nie chciał, ale do księcia samego,—miłościwy książę! błaha to jest poręka, ale ja głowę moją stawię ci za niego.... Mało lichej głowy tej—jaką sumę naznaczycie, w złocie czy w srebrze, aby wolen był i niewinność swą mógł wywodzić, położę u nóg twoich.

Książę błysnął oczyma ku niemu nie odpowiadając nic. Agnieszka, czując się przez niego pogardzoną, bo na nią ani patrzał, ani jej odpowiadał, zaczęła wołać:

— Miej się ty młokosie na baczności, abyś i głowy zuchwałej, i twego złota a srebra nie stracił! Tyś jego wspólnik, jeśli go tak chcesz ratować, taki dobry, jak i on! Ty powinieneś iść do więzienia, gnić, albo i gardło dać!

Jaksa teraz dopiero spokojnie wejrzenie podniósł i wlepił w niewiastę rozjadłą, która blasku źrenic tych znieść nie mogąc, w jeszcze większy gniew wpadła. Rzucała i miotała się na siedzeniu, odgrażając Markowi, który stał bynajmniej nie wzruszony.

— Wiem to miłościwa pani — rzekł Jaksa, — że i głowę i mienie stawię, ujmując się za Petrka, ale mnie to bynajmniej nie zastrasza. Ażali nie lepiej życie dać, niż cnotę i sumienie? Błagam więc za tym, którego niewinnym sądzę, błagam ponownie i zaklinam was, nie mażcie się krwią męża cnotliwego, panie, zwrócił się ku Władysławowi.

Książę się nagle nasrożył.

— Milcz! — krzyknął — milcz! Nie chcesz-li dzielić losu jego!

— Milczeć nie mogę! — zawołał Jaksa — grzesznymbym był!

— Precz! precz! — począł szybko, mówić Władysław, nie tyle z gniewu, co z obawy, aby księżna nie

uniosła się bardziej jeszcze i nie chciała mścić się na nim.

— Idź mi stąd!

Dwóch dworzan na znak dany przez księcia, pochwyciło go pod ręce.

— Miłościwy książę! — odezwał się raz jeszcze Jaksa — gwałtem stąd wyrzuconym być mogę, ale jakem był nieszczęściu wiernym, tak nim zostanę i com rzekł, głosić będę, póki siły mam. Petrek jest niewinny! niewinny!

Agnieszkę gniew owładnął tak wielki, iż mówić nie mogła, gdy Jaksę za drzwi komnaty wyrzucono.

Jakiś czas cisza straszna panowała w izbie.

Na wszystkich przytomnych to śmiałe ujęcie się za Petrkiem uczyniło wrażenie ogromne, oprócz zajadłej księżnej. Chciała natychmiast kazać uwięzić Jaksę, obawiając się jego zuchwałej mowy, ale nim ochłonęła nieco i pomyślała o wydaniu rozkazu, stało się, że już obwinionego na zamku nie było.

Wszędzie są litościwe dusze, a nawet słabych wielka moc ducha podnosi. Ci, coby nigdy nie zdobyli się na męstwo stawania w obronie potępionego, gdy posłyszeli, jak Jaksa go mężnie bronił, poczuli dlań poszanowanie i litość. Dawny towarzysz, Helmut, widział niebezpieczeństwo, jakie mu groziło; on pierwszy pochwycił się do gorącego spełnienia książęcego rozkazu. Uczyniono z Jaksą przez miłosierdzie to, co się zdawało wyrządzone ze złości. Helmut, obawiając się o niego, udał najokrutniejszy gniew i razem z innymi począł go co najprędzej wypychać z komnaty, dalej wyganiać z podwórca i pędzić natychmiast za wrota zamkowe, nie dając mu się słowa odezwać, odwrócić, zagadać. Wyrzucili jego ludzi, konie tak pośpiesznie, iż gdy zawołany Dobek wybiegł, ażeby zuchwalca pochwycić, odpowiedziano mu, iż śladu jego już nie było.

Wiedząc o bogactwie Jaksów, łakomy Niemiec zabierał się iść w pogoń, aby choć okup wymódz na nim, gdy Helmut z innymi dworzanami zapewnili go,

że cwałem ze strachu w lasy pognał i ścigać go już próżnem było.

Tak dawnemu towarzyszowi i kilku poczciwym winien był życie, choć oni mu się zajadłymi wydali wrogami.

Na zamku, po odprawie, danej Szlązakom, Agnieszka sama pozostawszy z mężem, puściła dopiero wodze gniewom i wyrzutom... W charakterze niewiast ówczesnych, o których historya dochowała nam wspomnienie, widzimy nietylko u nas, ale po świecie całym toż samo. uderzające zjawisko. Dwojakie są niewiasty tych wieków: albo święte aż do męczeństwa, martwiące ciało swoje aż do kalectwa, poświęcające się bez łzy i jęku, słowem natchnione jakąś siłą nadziemską, lub opętane złością bez granic, namiętnościami bez uzdy, wściekłością niemal zwierzęcą. Pomiędzy tem dwojgiem niema prawie istot pośrednich. To, co występuje przed nami w dziejach, jasne jest jak słońce, lub jak otchłań czarne. A nie jest to całkiem winą tych, co wizerunki malowali, ale obyczajów wieku, który i w męskiej połowie podobne charaktery stawi przed oczy nasze... Są to rycerze pobożni, we włosiennicy biegnący walczyć z pogany, boso powracający składać łup u grobów świętych, — albo złoczyńcy, porywający się przeciw ojcom własnym, tarzający się w rozpuście, któ ra miejsc poświęconych nie szanuje.

Jest to wiek namiętności, które tylko religijny postrach powoli kiełzna, łagodzi i uśmierza. Z pod powłoki chrześcijan wyglądają dzicy poganie, a tam, gdzie chrześcijaństwo do szpiku kości przejęło, są to posłuszne baranki ofiarne.

Agnieszka należy do tych czarnych charakterów w dziejach, które do nas najczęściej z Niemiec przychodziły. Z Rusi szły posłuszne i ciche niewiasty, które pod płaszczem tuląc dzieci, modliły się i siedziały zamknięte w teremach, — z Niemiec jechały królowe, które i mężom panować i świata używać były żądne. A jeże i które z nich, jak żona Władysława Hermana,

jak Agnieszka, czuły w sobie kroplę krwi cesarskiej, dumie i szałom ich nie było miary i granic.

Przybycie Jaksy, zuchwalstwo z jakiem śmiał wystąpić, księcia najmocniej zmieszały, budząc w nim wstyd i żal. Agnieszka jeszcze mocniej była przeciw Petrkowi rozjątrzoną. Obawiała się, aby nie uszedł jej zemsty; czuła, że potrzeba było jak najrychlej ją dokonać, dopóki mnodzy przyjaciele w pomoc nie nadbiegną. Spostrzegła wahanie się w mężu, — nie ufała nikomu. Petrkowi sprzyjało wielu, mógł mieć skarby ukryte, przekupić ludzi, znaleźć obrońców, ujść pod opiekę młodych książąt i z nimi przeciw Władysławowi wojować. Chciała co najrychlej dokonać tego, czego pragnęła.

— Gardło! gardło dać musi!—wołała.

Tegoż wieczora, gdy Władysław do niej i do dzieci powrócił, odezwała się doń rozkazująco, że nazajutrz do Wrocławia jechać byli powinni.

Książę, posłyszawszy to, żachnął się niechętnie.

— Po co? — zawołał. — Co się ma dokonać, stanie się i bez nas!

— Ja tam chcę być! — krzyknęła księżna. — Nie wierzę nikomu... Ty, ty jesteś miękki i dobroduszny. Tyś gotów uwolnić go jutro, a on na ciebie, na mnie zbójców naprowadzi. Ty mu darujesz, on ci nie przebaczy! Nie przeciw niemu mówię, ale za tobą, za sobą za dziećmi... lękam się!

Książę leniwo począł się opierać jeździe do Wrocławia, ona słuchać go nie chciała.

— Wszystko już jest do tego gotowe! — wołała,— jechać potrzeba! — Wydałam rozkazy w imieniu twojem; nie ścierpię, byś mi kłam zadał. Musisz jechać! Tam poznasz sam, że inaczej nie można zrobić, tylko twoje życie ratując, jemu je wziąć. Gardło da! gardło!—powtarzała.

Książę, jak zwykle, nie opierał się długo, na myśli miał może, iż w miejscu prędzej się rozstrzygnie sprawa i on Petrkowi życie ocalić potrafi, gdy bez niego, nie pytając, zamordują więźnia, albo go umarłym powiedzą! Nie rzekł już nic.

Nazajutrz rano konie stały w podwórcach, cały orszak książęcy, Dobek na czele, dwór, wozy i ludzie w pogotowiu. Nie zważano nawet na to, że nagle odwilż przyszła, śniegi topniały, drogi się stawały prawie nieprzebytemi. Agnieszka gnała nielitościwie, co prędzej chcąc być we Wrocławiu.

W podróży znowu zaczęła męża zagadywać o karę, jaka zdrajcę palatyna spotkać miała.

Tak dręcząc go nieustannie, nim do Wrocławia dojechali, wymogła to na księciu, opierającym się długo wyrzeczeniu ostatniego słowa, iż Petrkowi odjąć każe wszystkie ziemie, majątki, skarby i cokolwiek miał, a wyżenie go precz na wygnanie wieczne.

Kara ta za niedowiedzione zbrodnie już i tak aż nadto mogła się wydać srogą, ale gdy książę odkrył się z myślą swoją, Agnieszka parsknęła śmiechem szyderskim i zelżywe rzuciła słowo. Nie mówiła już więcej nic, jechali do Wrocławia milczący.

Gdy orszak pański wjechał we wrota miejskie, książę i żona jego poznać mogli łatwo, że ich tu nie witano, jak dawniej bywało, i jak panu przystało.

Nie wyjechał biskup na spotkanie, choć mu zawczasu przodem śląc, znać dano o pańskiem przybyciu; nie wyszły z opatem mnichy św. Wincentego, a gromady ludu stały tak groźne i milczące, jakby chciały słuchać rachunku, co się z ich dobroczyńcą stało.

Tak wśród ciszy jechali na gród, na który pilno było Agnieszce, aby pod nogami swemi poczuła wroga, w mocy swej i ręku.

Tegoż wieczora, gdy książę od wieczerzy wstawszy, unikając rozmowy, szedł do izby swej osobnej, drogę mu zastąpiła Agnieszka. Z całej postawy jej, wejrzenia, twarzy, widać było, iż tu się losy więźnia rozstrzygnąć miały. Drżała z niecierpliwości, chwytając Władysława za poły sukni.

— Słuchaj — odezwała się, — słuchaj! — Nie zbędziesz mnie milczeniem. Chcę wiedzieć, coś posta-

nowił. Ja za krzywdę moją pomstę mieć muszę... Mówiłam ci, powtarzam, gardła chcę!

Książę Władysław stanąwszy, walczył z sobą długo; wyroku śmierci dać nie chciał.

— A jam rzekł i powtarzam — odezwał się niewyraźnie, — że mu życia nie wezmę. Ojciec mu wiele winien był, rycerz jest możny, zasłużony, choćby dziś winien był, litość mu należy. Nie wezmę życia... nie!

Ręką rzucił niecierpliwie, jakby się chciał uwolnić od niej.

— Ej! myśl, co powiesz, myśl — odparła Agnieszka,—bo ty nie na niego, ale na siebie wyrok wydajesz, na mnie i na dzieci. Czci żony twej nawet bronić nie umiesz! Ej! myśl! zaważy twe słowo!

— Rzekłem! Co chcesz! Razem to rzekł, nie będzie inaczej! — odezwał się Władysław.

— A ja ci mówię, że inaczej być musi!—zawołała gwałtownie żona — musi! bo ja cię znać nie chcę za męża! Idę precz! zostawię cię... Zabieram dzieci... nie chcę cię znać!

— Tego nie uczynisz! — odezwał się powoli książę—nie!

— Uczynię to! przysięgam, uczynię! — krzyknęła Agnieszka. — Nie chcę za męża znać tego, który czci mojej nie pomści.

To mówiąc, szarpnęła się gwałtownie, jakby odchodzić chciała, a książę, który już u drzwi stał, zatrzymał się, patrząc na nią. Stała tak na drugim końcu komnaty, włosy puściwszy na ramiona, z głową podniesioną dumnie, obrażona, gniewem dysząca.

— Tak jest, pójdę! Jutro mnie tu nie będzie! Nie chcę żyć z tobą, a jeżeli ty zginiesz marnie, nie ja po niedołężnym, po słabym płakać będę. Ty! cobyś ty poradził beze mnie? Siedziałbyś na jednym Krakowie, na łasce u braci, trzykroć od ciebie silniejszych. Giń!

Odwróciła się.

— Agnieszko — zawołał książę, — ty tego nie uczynisz, co mówisz, a ja tego — czego chcesz! Krwi

jego na sumieniu mieć nie chcę! Cień ojca prosi za nim, sny miałem.

— Przecie ojciec twój zabić kazał rodzonego brata Zbigniewa, a ten — ten gorszym od niego jest zdrajcą.

Dysząc, padła księżna na ławę. Książę stał, pot ocierając z czoła. Zaszeleściało coś u drzwi, na które księżna zwróciła oczy, czuła bowiem i wiedziała kto nadchodził. Książę cofać się zaczął ku drugiemu wyjściu, wtem Dobek się wsunął i wprost zbliżał do księcia samego, z pewnym rodzajem poufałości i lekceważenia podchodząc ku niemu.

— Przyszły języki z Płocka—rzekł, — biskupi się tam na miłość waszą kojarzyli z książętami i rady były wielkie. Jednego im tam tylko Petrka brak było wielki, czekali nań i wyglądali, a że się on nie stawił, wszystko na niczem spełzło... Teraz go tylko, choć boso, puścić żywcem, da sobie rady, jak kot, co zawsze na nogi upada. O tak! Jego im tylko brak, możeby go wasza miłość puścić dała? Będą młodzi książęta wdzięczni! Za nic i panowie duchowni wszyscy, gdy głowy i wodza niema. To jedyny człek dla nich!

Księżna, potakując, głośno się śmiać zaczęła.

— Mów-no, mów — odezwała się, — książę pan tak go miłuje, że chce koniecznie tej żmii życie ocalić, a póki w bestyi tej tchu stanie, kąsać będzie!

Zerwała się z ławy.

— Mów, mówże, — powtórzyła — niechaj go puści! Niechaj razem i mnie puści, bo ja tu dłużej oplwana mieszkać nie będę—nie. Jutro na Niemcy pojadę, dziś, jak tylko go wypuszczą żywym, mnie tu niema!

Władysław odwrócił się nasępiony ku żonie, popatrzał i nie chcąc nic mówić przy Dobku, podniósł zasłonę, drzwi odemknął — wyszedł. Powlokła za nim oczyma gniewnemi Agnieszka, podniosła pięści, potem załamawszy ręce, siadła na ławie rozdąsana aż do łez prawie.

Zbliżył się Dobek. Na widok jego księżna wskazała drzwi, któremi mąż jej wyszedł.

— Nie mogłam go przemódz! Zacięty jest w tem! Życia mu wziąć nie chce. Groziłam nadaremnie. Nie chce!

— Jak go stąd wypuszczą żywcem — odezwał się Dobek, — my swojego życia nie będziemy pewni. Nie dziś to jutro otworzy mu się gęba, ma przyjaciół dosyć. Mnichy się krzątają i biegają, szepczą, znoszą się. Mnie już ofiarowano okup, byle mu ocalić życie!

— Ocalić mu życie! ty! — zawołała Agnieszka.— Ty! ani mi się waż mówić o tem. Bierz okup, ale go bronić nie śmiej.

Podniosła rękę.

— On musi umrzeć!

Nazajutrz dzień się robił zaledwie, ks. Władysław wstawał z posłania, aby rannej mszy wysłuchać w kaplicy, gdy Dobek nadbiegł, oznajmując mu, że ks. Janik biskup zgłosił się, chcąc przybyć do księcia z pokłonem.

Biskupowi nikt drzwi zamknąć nie śmiał, Agnieszka czekała gniewna na przyjazd ks. Janika, postanowiła na krok nie odstępować męża. Poszła z nim razem do kaplicy, a gdy się msza skończyła i do komnat powracali, dano znać o biskupie. Książę lubił go dosyć, oba równo myśliwymi byli, z nim się jakoś Władysław lepiej, niż z innymi duchownymi rozumiał i mógł rozmówić. Dawniej byli z sobą poufale, teraz zmieniło się wielce położenie. Każdy biskup trwożył księcia, wiedział, że wszystkich ich mieć będzie przeciwko sobie. Według zwyczaju jednak wyszedł do progu przeciw niemu.

Ks. Janik z postawą rycerską, mężnie, z czołem pogodnem wszedł do komnaty, zasiadł obok księcia, spytał o coś obojętnego, obejrzał się dokoła — nie rozpoczynał ważniejszej rozmowy.

Ks. Agnieszka siedziała na straży. Biskup rachował na to, że odejdzie, pytał o małe rzeczy, mówił niewiele, oczyma rzucał ku pani, która odchodzić nie myślała.

Trwało to może pół godziny, ks. Janik wreszcie, okiem znów na niewiastę rzuciwszy, odezwał się:

— Nie chcę kryć tego dłużej, żem do miłości waszej przybył w sprawie mojego powinowatego. Nie wiem, czem Petrek zawinił tak wielce? Wszyscy zdumiewamy się, aby mąż, co tak stał wysoko, mógł nagle, bez jawnej przyczyny i sądu być strąconym tak nizko! Cóż uczynił?

Agnieszka ledwie mogąc powściągnąć się, usta zakąsając, milczała, ks. Władysław począł:

— Czem zawinił? Zuchwałym był! oszczercą był, zdrajcą... Kto ze mną nie idzie i nie trzyma, ten mi wrogiem...

— Miłościwy książę — rzekł biskup. — Zawsześmy wiernie trzymali z tobą, póki wy trzymaliście z prawem i wolą nieboszczyka króla.

— Co? co? — podchwycił książę, burząc się. — Ja tu panem być muszę, ja, nie kto! Ja sam! Petrek przeciw mnie szedł i zmowy czynił.

— Miłościwy panie — odparł Janik, — nie stanie więzień i stróżów, jeśli zechcecie wszystkich imać, co trzymają z wolą nieboszczyka pana, dla własnego dobra waszego.

— Ha! — porwała się, nie mogąc wstrzymać księżna — kaci opróżnią więzienia! Ziemia głęboka jest, znajdzie się gdzie chować zdrajców!

Ks. Janik wysłuchał, ale nie odpowiedział nic; zwrócił się do księcia.

— Nie może to być — dodał, — abyście chcieli życie wydzierać temu, którego ziemie nasze miłują i szanują, jak ojca!

Wstał pasterz, uroczystą przybierając postawę.

— Miłościwy książę! krwi tej nie bierzcie na sumienie wasze!

Książę podniósł się natychmiast i nie patrząc na żonę, rzekł żywo:

— Nie lękajcie się o to, życia mu nie wezmę, nie, ale karę słuszną domierzoną mieć musi.

Biskup odetchnął lżej.

— Bądźcie litościwym — ciągnął dalej—abyście sami litości doznali, gdy jej w życiu potrzebować bę-

dziecie. Któż tak mocen jest, aby pewien był, iż na nim nie zaciąży prawica Boża? Sądy Wszechmocnego zakryte są, a miarą tą mierzy sędzia, jaką mierzył sądzący...

Gdy to mówił z męskich oczów biskupa pociekły łzy, których wstrzymać nie mógł. Objaw ten uczucia i słabości razem zmieszał jego samego, popatrzał milczący na ziemię i, otarłszy oczy, nie mówiąc słowa, nie podniósłszy ręki do błogosławieństwa, wyszedł z izby powolnym krokiem.

Książę, idąc za nim ze spuszczoną głową, towarzyszył mu aż do progu, ale biskup nie odwrócił się już, nie żegnał, nie patrzał i ocierał tylko łzy z oczów płynące. Siadł na konia u drzwi i zawrócił do domu.

Agnieszka przyskoczyła do powracającego męża.

— Coś ty rzekł? Coś rzekł? Mówisz, że mu życia nie weźmiesz?

— Nie wezmę! nie! nie! — zawołał książę głosem silnym, — a gdybyś mi stokroć oddaleniem groziła, powtórzę: nie wezmę! Gdybyś jechała zaraz — nie wezmę!

Nigdy go tak silnym w sobie nie widziała żona; cofnęła się nieco, bo ją strwożył.

Książę stał poruszony i drżący, jak człek słaby, który się na coś stanowczego odważył.

— Chcesz krwi! — wołał. — Naposiadłaś się na krew jego! Oczy mu wyłupić — wygnać go! zubożyć go, ale gardła jego kto tknie, przysięgam, sam je da!

Chciwie słuchała Agnieszka i poza księciem u drzwi stojący Dobek. Czekał skinienia tylko.

— Słyszałeś wyrok pański! — zawołała ze śmiechem szyderskim—spełnij go. Reszta potem!

Dobek zniknął za zasłoną.

IV.

Pod murowaną częścią zamku były ciemnice dla złoczyńców. W dwu izbach zamknięto w jednej Petrka osobno, w drugiej, za grubym murem, tak, by o sobie wiedzieć nie mogli, Rogera i Światosława.

Garść słomy przegniłej i zmiętej możnemu niedawno panu służyła za posłanie. Drżał na niej z zimna okryty jednym kożuszkiem, który wychodząc zrana przeciw Dobkowi, narzucił na siebie. Lecz był to człek od młodu do wszystkich niewygód i niewczasów nawykły, a gdy potem przyszło szczęście, nie zmienił obyczajów, nie polubił wygód, siadał na twardej ławie, spał na sianie, skórą zasłanem. Na łowach często głodu zażywał, a proste jadło czeladzi było mu najmilsze. Gości przyjmował winem, drogiemi korzeniami zaprawnem i innemi napojami, jadłem wytwornem a obfitem. Sam najczęściej pił kwas lub wodę i jadł chleb czarny z solą.

Nieraz śmiała się z niego, ramionami ruszając, żona, dziwili mu się ludzie; nie rozprawiał o tem z niemi, lecz obyczaju starego nie zmieniał. Na dobre mu to wyszło teraz, gdy stróż dzban z wodą i chleb tylko zeschły przed nim stawił. Nie poskarżył się, nie jęknął—modlił się.

Śmierć tylekroć miał przed oczyma, że się jej teraz wcale nie lękał. Spodziewał się, że mu w ostatniej godzinie księdza nie odmówią; tego jedynie pragnął, o tem myślał.

Czasem, wspomniawszy syna ukochanego, córkę pieszczotkę, żonę, co się nieszczęścia znosić nie uczyła, zaciskał usta, gryzł wargi i było mu na sercu, jakby je kto nożem krajał. Modlił się naówczas, przypominał, jak Chrystus Bóg cierpiał w pochodzie krzyżowym, jak bolał na krzyżu, jak znosił urągowiska, plwanie, biczowanie i ostatnie męczarnie, wyrachowane z barbarzyństwem na to, aby jak najdłużej trwały — i myślał: czemże boleść ludzka przy boleściach Tego, co cierpiał za nas dobrowolnie? I lżej mu się stawało, jakby kto z ramion jego ujmował brzemienia. Leżał tak całe dnie, noce, mało wiedząc, kiedy noc była a kiedy dzień.

W więzieniu tem słychać nie było ani gwaru dnia, ani nocnej ciszy; przebiegła mysz czasem, zaszeleściało

stworzenie jakieś, które dziurą z pod ziemi się dobyło i gdzieś nikło — panowała znów cisza grobowa, ciemności mogilne.

Przez pół okienka nad ziemią zawiewał wiatr, ciekła woda, wchodziły smrody i stęchlizny, ale światło dnia zaledwie zduszone się wkradło. Drugie takie samo okienko, niegdyś wychodzące na podwórze, gdy później obok loch przymurowano, pozostało ciemne i patrzyło w jakieś milczące więzienie. Ale nie była to izba podziemna, w której Roger ze Światosławem siedzieli (głosy-by ich dosłyszał przynajmniej Petrek), tylko ciemnica jakaś, napół wodą zalana, gdzie gnili winowajcy, na śmierć już skazani.

Tam też panowało milczenie grobów, ale czasami, rzadko dobywał się z głębin jakby ryk dzikiego zwierzęcia i jakby jęk ludzkiej mowy zdziczałej, gdzie człek oszalały sam się z sobą kłóci i żre z rozpaczy.

Po tym ryku czasem było słychać jakby drzwi otworzone i ciężkie razy, zadawane kołem, po którym krzyk się odzywał wściekły, oddech jakiś konającego i—milczenie.

Petrek głosu nie wydawał z początku, aż trzeciego dnia, gdy wzburzoną duszę ukołysała modlitwa i stała się spokojną, jak morze czasu pogody, począł głośno odmawiać modły swe codzienne i pieśni nucić pobożne.

Umiał kilka psalmów, które często słyszał powtarzane przez Benedyktynów w kościele i kilka hymnów świętych; pociechę mu to sprawiało, gdy podnosząc głos, samego siebie słyszał na tym barłogu Jonosząc głos, wielbiącego Pana, a błogosławiącego Mu w boleściach.

Śpiewał więc i nikt słuchać ni słyszeć się go nie zdawał. Ale jednego dnia coś zaszeleściało, zaskrobotało. Drapano mur pod oknem czarnem. Petrek domyślił się, poczuł, jak tam ktoś pazurami rwał kamienie i zsuwał się, nie mogąc ich ująć, jak się czepiał i usiłował wspiąć ku górze.

Ile razy potem śpiewać poczynał, tylekroć powta-

rzało się to drapanie rozpaczliwe. Aż razu jednego usłyszał jęk dziwny i sapanie jakby dzikiego zwierza, a oczy podniósłszy, zobaczył w kratach okienka wystającą między dwoma pięściami, które za żelazo trzymały, głowę ogromną, kudłatą, ze ślepiami, jak u kota błyszczącemi, z nosem wklęsłym i szerokiemi usty otwartemi, z których, jak kły dzika, wyglądały zęby długie.

Głowa ta patrzała nań długo z jakimś wyrazem dziwu i przerażenia, potem dobyło się z niej mruczenie niewyraźne, jakby słowa z gardła, kłębiąc się w niem, wydobyć się nie mogły, nareszcie stłumiony głos począł wołać ochrypło:

— Kneź! kneź!

Tak zwykle Petrka lud nazywał.

Petrek przyglądał się spokojnie. Głowa ta nie była mu obcą i nieznaną, w oprawie tego okna wydawała się inną, ale przypomniał sobie, że gdzieś w życiu podobną do niej widywał. I przyszedł mu na myśl miejski stróż, któremu niejeden raz dawał zboże i szelągi, który się zwał Jarmuchą — przypomniał sobie, iż był znikł, a mówiono o nim, jakoby rodzonego zamordował brata.

Trzymając się na rękach, uwieszony u kraty, więzień zdyszany powtarzał głośniej coraz:

— Kneź! kneź!

— Tyś Jarmucha! hę?—odparł Petrek, wpatrując się w niego.—Tyś Jarmucha?

Otwarły się usta szeroko i więzień rozśmiał się dziko.

— Jarmucha! Kneź w więzieniu! Jarmucha! Kneź? co wy, zabiliście też brata?

— Ja? nikogo! — odparł Petrek—a żem tu — Bóg tak chciał!

Jarmucha razem śmiał się i jęczał, patrzał chciwie i napatrzeć się nie mógł. Pojąć nie umiał, jak ten, co stał tak wysoko niedawno, mógł spaść aż do tego lochu, obok niego i stać mu się niedolą równym.

— Módl się, Jarmucha! — odezwał się Petrek.— Jeżeli kiedy Bóg mnie wyzwoli, będę pamiętał o tobie.

Rozśmiał się Jarmucha.

— Mnie powieszą!—zawołał z dzikim szałem — powieszą! Z tych lochów nie wyszedł nikt żywym. Kości mi już połamali kołami, gdy zakrzyczę, a jak nie krzyczeć, nie ryczeć!—Dzieci moje! dzieci moje!

I ręce wysilone odpadły od kraty, a Jarmucha, tłukąc się po murze, stoczył na ziemię, jęknął i już go Petrek ani widział, ni słyszał dnia tego.

Nazajutrz o tej godzinie, gdy modlitwy swe zwykł był odśpiewywać, znowu drapanie się na mur przeszkodziło mu; zasapany Jarmucha dostał się do okna, ale teraz trzymał się już lepiej, bo kamienie powybijał, aby się za nie mógł uchwycić nogami.

Zawołał znowu: — kneź! i głową trząść zaczął, jedną ręką trzymając się za kratę, drugą pokazując na gardło.

Petrek tym razem nie przerywał sobie modlitwy, aż póki jej nie dokończył. Jarmucha słuchał jej, czekał, ciekawemi oczyma śledząc każdy ruch palatyna. Twarz jego zmieniona przyoblekła się wyrazem jakby litości jakiejś.

Zaczęła się potem rozmowa z tym dzikim człekiem, który prawie mówić nie umiał.

Zapytał go Petrek, za co zabił brata, lecz gdy to rzekł i spojrzał nań, zobaczył go tak strasznie przeobrażonym, iż w sercu swem pożałował, że mu zbrodnię jego przypomniał.

Jarmucha zbladł, zaczął się trząść, oczy zagorzały, usta się okryły pianą. Nie powiedział nic więcej prócz:

— Brat! — jam go chował, karmił, odziewał — zdradził, — splugawił dom! Krwią zmyć, zmyć krwią trzeba było...

I oczy sobie zakrył ręką, jęcząc.

— Brat—brat!

— Żałujże za grzech twój, aby ci go Bóg łaskaw przebaczył—rzekł Petrek.

Tego nie rozumiał Jarmucha, sapnął z gniewu jak zwierz i wnet, puściwszy kratę, na dół się zsunął.

Wieczorem powrócił znowu, trzymając w ręku kawałek chleba. Zdawało mu się może, iż Petrkowi go brakło i ż głodnym być musi. Pokazał mu kromkę i cisnął nią do więzienia.

— Jedz, kneź! — rzekł — jedz, ja nawykły do głodu, ja nim marł! Ty nie tak! Jedz! Ty mnie karmił.

I prędko spuścił się znowu.

Podjął z poszanowaniem Petrek ten dar Boży i schował go jako najdroższą ofiarę; łzy mu się w oczach kręciły.

Z duszą męską znosił swój los palatyn, a z każdym dniem zamiast opadać na siłach, zyskiwał nowe, krzepił się, na śmierć gotując.

Tego dnia, gdy księżna Agnieszka dała znak Dobkowi, aby wyrok spełnił, jakiemś przeczuciem pędzony Jaksa, nie zważając na niebezpieczeństwo, przybył do Wrocławia na dwór ks. Janika.

A że wytrwać nie mógł w miejscu, niepokojąc się wielce, poszedł błądzić około grodu, ażali mu się nie da ludzi przekupić i znaleźć środek jaki uwolnienia więźnia.

Wprzódy już przyjaciele Petrka i ojcowie Benedyktyni posyłali na zwiady do grodu. Wiedzieli oni, że okno jedno ciemnicy, w której Petrek był zamknięty, wychodziło w podwórze, na którem straży nie było. Zamierzano nocą okno to wyłamać, mur wybić i sznur spuściwszy, dobyć z głębi uwięzionego.

Na opactwie dowiedział się też Jaksa, że panią Petrkową z córką wyprawiono na miejsce bezpieczne, ale, mało go tam znając, i młodym w dząc, nie powiedziano, dokąd niewiasty posłane zostały, aby się to nie wydało.

Gdy Jaksa, okrywszy się ladajaką opończą, aby poznanym nie był łatwo, wszedł z innymi ludźmi na zamek, Dobek właśnie rozogniony, nieprzytomny, rad, że dopiął swego, bo się spuścizny po palatynie spodziewał, leciał z kilku siepaczami do więzienia.

Drzwi jego wychodziły na podwórce. Od tych

sam Dobek klucze przy sobie chował, raz na dzień tylko je dając, gdy chleb i wodę dla więźniów noszono.

Otwarto wrota, Jaksa wcisnąwszy się z innymi, u muru zdala przystanął, przewidując z trwogą po liczbie oprawców, których ściągał Dobek, że się tu coś strasznego gotować musiało.

Sam Niemiec zajadły, jak oprawca wyglądał; biegł, śpieszył się, chwytał, krzyczał, łajał, lękając się, aby książę nie odwołał danego rozkazu. Chciał go spełnić co najprędzej.

Pachołkowie, których tu Dobek znalazł pod ręką, niby się swoich, rozproszonych na podzamczu doczekał, byli wszyscy Szlązacy, na służbie przy zamku zostający, których marszałek nie znał, a oni tyle tylko o nim wiedzieli, że rozkazywać im miał prawo. Słuchali strwożeni, z niewielką do posłuszeństwa ochotą. Domyślali się może, iż szło o los palatyna Petrka, który tu niedawno władał i rozkazywał a miłowany był powszechnie, bo szczodrotą sobie serca kupował.

Gdy drzwi otwarto, Dobek począł krzyczeć, aby mu wnet wiedziono Petrka i syna jego pod strażą, zostawiając w kaźni Rogera.

A że ludzie nie szli tak śpiesznie, jak chciał, sam ich, bijąc, do ciemnicy spychał.

Pachołkowie zstąpili natychmiast, Dobek u wyjścia stał niecierpliwy czekając.

Gdy gromada ta oprawców wtargnęła nagle do więzienia, a Petrek ujrzał ich, cisnących się ku sobie, sądził, że go już na stracenie prowadzić mają; obejrzał się, azali księdza nie było. I pokląkłszy na barłogu, modlitwę począł.

— Chwali dusza moja Pana.

Lecz długo mu tak na klęczkach nie dali pozostać siepacze, bo Dobek z góry wołając, naglił, aby go natychmiast prowadzili. Jedni więc zeszli po Światosława, drudzy pod ręce wlec zaczęli Petrka, który modlitwę swą pobożnie kończył.

Dopiero gdy w szyi ciemnicy zobaczył syna, wyrwał się siłą wielką tym, co go trzymali i przypadł, ściska-

jąc dziecię swe. — Ale wnet pachołkowie ich, rękami związanych, rozerwali.

Stary Petrek, choć i na nim widne były ślady więziennych dni i nocy, w trwodze ducha spędzonych, nie tyle się zmienił, co młode, pieszczone dziecię, wątlejsza istota, z której zaledwie cień pozostał. — Światosław szedł, słaniając się, wycieńczony głodem i zaduchą, pół żywy, jak trup wybladły.

Gdy na światło dnia wywleczono Petrka, oczy rażone blaskiem zamknąć zrazu musiał, bo odwykły od niego, znieść nie mógł po ciemnościach.

Dobek zobaczywszy go z powiekami zamrużonemi śmiać się począł okrutnie.

— Nie zamykaj oczów — zawołał. — Napatrz się na światłość dzienną! rychło nie ujrzysz już jej, bo ci twe ślepia z rozkazu pana wyrwać każę.

Jęknął Petrek i rękę mimowolnie przyłożył do czoła, a syn, posłyszawszy urąganie to, zaryczawszy z żałości, chciał biedz do ojca; — pochwycono go i strzymano.

Dobek niecierpliwie się miotał i wrzeszczeć począł.

— Sam tu, oprawca jaki! Jest który, coby mu ślepia wydarł?

Pachołkowie wszyscy stali niemi. Do starszego z nich przypadł marszałek, bijąc go w plecy:

— Zaraz mi spełnić rozkaz pański! Słyszycie!

Oprawca zżymnął ramionami, bo choć nieraz spełniał podobne rozkazy, Petrka się dotknąć nie śmiał. Szanował go.—Mruknął ponuro:

— Nie umiem.

— Który z was?—wołał Dobek.

Nie wystąpił żaden. Dobek z gniewu jak wściekły się rzucał, tłukąc tych, co w pobliżu stali.

— A nuże, psy paskudne! Jak sobaki was powywieszać każę! Do czegóżeście się zdali, nicponie?

Wtem ponad ziemią, w wązkiem okienku, ukazała się z za kraty głowa kudłata. Był to bratobójca Jarmucha.

Z gardła dobył mu się głos chrypliwy, niezrozumiały. — Wszyscy spojrzeli na tę poczwarę dobywającą się jak z pod ziemi.

Jarmucha mrugał oczyma i trząsł się. Głosu z piersi zmęczonych dobyć nie mógł. Po chwili dopiero zaczął wołać krzykliwie:

— Ja, ja!

Dobek wpatrywał się w niego; oprawcy zmierzyli go pogardliwym wzrokiem. Jarmucha nalegał coraz głośniej:

— Ja, ja, panku, ja!

Niemiec zakrzyczał:

— Co za licho? kto on?

— Bratobójca Jarmucha, na stryczek osądzony— odezwał się oprawca, spluwając z obrzydzenia.

— Oślepisz go? wyrwiesz mu oczy? — pytał, podchodząc, Dobek.

— A, ja, ja, tak — powtórzył, bełkocząc Jarmucha, który się rwał, cisnął i przylegał do kraty całą twarzą.—Życie mi daj! Oślepię ja!

Dobek w tej chwili dałby mu był więcej, niż to iche życie, które nic już nie było warte.

— Dawaj go tu! dawaj! — zawołał, nagląc.

Światosław, zakrywając oczy, upadł na ziemię; zbliżała się chwila męczeństwa. Petrek stał nieporuszony, spokojny.

Natychmiast dwu pachołków zbiegło do lochu i wywlekło z niego coś zaledwie do człowieka podobnego.

Jarmucha łachmany miał tylko na sobie, gdy go pochwycono obluzganego krwią i wrzucono do ciemnicy. Pół roku już w niej gnił, odzież poodpadała, ciało potłuczone ślizło od ran, kij oprawcy zostawił ślady straszne na tym pokurczonym nieforemnym szczątku człowieka, który z chciwością i pośpiechem biegł, szukając już żelaza.

Jeden z oprawców miał nóż ostry u pasa, oderwał mu go Jarmucha, rzemień szarpnąwszy i przykląkłszy,

toczyć zaczął na kamieniu z szalonym jakimś pośpiechem.

Kazano przynieść ławę i krępować w tył ręce Petrkowi, który spokojnie poddał się rozkazom, niekiedy tylko do szlochającego się obracając syna.

Oprawcy nawet podrętwieli litością zdjęci. Dobek cofnął się o kilka kroków; bał się znać, aby krew nań nie trysnęła,—suknię miał jasną i nową.

— Czego odchodzisz? — odezwał się milczący dotąd Petrek. — Przypatrz się dziełu twojemu, niech na ciebie tryśnie krew moja, ażebyś ją poniósł z sobą na sąd Boży.

Marszałek rzucił się w tył gniewny.

— Oczy mu wydrzeć — zagrzmiał — i język ten podły uciąć precz, aby nie bluzgał a milczał, psi syn! Oczy i ozór—powtórzył.

Straszny Jarmucha odwrócił się, jakby poświadczając, że rozkaz zrozumiał, szczękał białemi zębami i głową potrząsał. Petrek u którego nóg klęczał, jeszcze nóż tocząc na kamieniu, popatrzał nań z politowaniem.

Stało się milczenie straszne, które lada chwila jęk straszniejszy miał przerwać. Jarmucha podniósł się, spojrzał na oprawców i przybliżył do skazanego.

— Kneź, kneź — szeptał półgłosem — nie bójcie się! — Ja umyślnie, ja się wziął, aby inny nie zrobił. Oczy zakrwawię tylko, nie wyjmę, język skaleczę — kneź — siedź, jęcz, krzycz — niech myślą, żem oślepił, krzycz!

W czasie tych przyborów, gdy brudnemi rękami Jarmucha dotykał już skroni Petrka, Dobek się tyłem odwrócił. Patrzeć nie chciał. Oprawcy, choć widzieli, co się działo, wnet zrozumieli litość kata i przez miłość dla palatyna — milczeli. Oczyma porozumieli się wszyscy, nikt nie chciał się krwawemu widowisku przyglądać. Jarmucha, obejrzawszy się bojaźliwie, ciął nożem w powieki, raz i drugi, zakrwawił skroń jedną i drugą, szybko z gorączkowym pośpiechem oczy pomazał krwią. Nogami niby dusił na ziemi wyrzucone źrenice

Potem otworzył usta Petrkowi i w język ciął tak, że krew oblała wargi.

Za każdym cięciem nogami tarł po kamieniach i piasku, i śmiał się z radością dziką.

— He, he! he, he!

Petrek nie jęknął nawet.

Gdy Dobek, wyczekawszy dobrą chwilę, odwrócił się, zdało mu się, że wszystko zostało spełnione.

— Puścić ich — niech idą o żebranym chlebie.— Nie masz tu już ani piędzi ziemi, palatynie! Sakwy mu dajcie, kij, wyszczuć go za wrota! Syn ślepemu potrzebny niech prowadzi! Won ich za wrota! Won!

Ledwie z pośpiechem gorączkowym słów tych domówiwszy, Dobek zwrócił się, biegnąc do ks. Agnieszki, aby jej doniósł, że wyrok spełniono.

Księżna w sieniach stała, niecierpliwie oczekując nań.

— Dokonano, oślepiony! — zawołał Dobek, rzucając się na ławę, bo nogi pod nim drżały. — Język mu ucięto!

Agnieszka uderzyła w dłonie, ale pobladła trupio; chciała biedz, w głowie jej się zawróciło i musiała się oprzeć o ścianę.

Osłabłą ze wzruszenia Dobek, który sam niespokojny był i przejęty, musiał odprowadzić do komnat.

Nie pomyślano już na razie o tem, co się z okaleczonym Petrkiem stać miało. Tymczasem u drzwi więziennych, jakby wszyscy byli w zmowie, bliżej stojący chwycili Petrka, który mając krwią zalane oczy, słaniał się na nogach, nie mogąc utrzymać. Światosław objął go rękami, a Jaksa z pod muru przybiegł, krzycząc i nalegając:

Uchodźmy, uchodźmy... na biskupi dwór co prędzej!

Nikt im nie tamował drogi, owszem miejscowi oprawcy, litościwi i usłużni wskazali im i otworzyli furtę boczną do drożyny za wałami. Jarmucha rzucił się też za uchodzącymi, aby się wydobyć z niewoli.

Z pośpiechem gorączkowym, prawie niosąc go na

ręku, Jaksa popychał Petrka, szepcząc mu do ucha imię swoje. Światosław, choć sam ledwie mógł się na nogach wątłych utrzymać, podążał za ojcem. Uchodzić potrzeba było rączo, aby nowy jaki wybuch zemsty, jeszcze nienasyconej, nie dogonił ze śmierci wyrokiem.

Nie mówili prawie do siebie, na słowa zebrać się było trudno. Petrek, połykając płynącą mu z ran krew własną, modlił się, Bogu dziękując. Jarmucha dłuższem więzieniem okaleczały, podążyć nie mógł za uciekającymi, padł zaraz u wałów, i musiał w rowie, do którego się stoczył pozostać.

Szli. Żaden z nich nie wiedział, nie czuł, jak długo trwał ten pochód na dwór biskupi, ani dobrze rozumiał instynktem wybranej drogi. Chwila ta zdała się im wiekiem. Jaksa naglił, tak pilno mu było widzieć co rychlej starego palatyna bezpiecznym. Raz się dostawszy pod opiekę ks. Janika, był już choć na czas jakiś pewnym, że stamtąd go nie porwą. Nie powątpiewał, że biskup przyjmie nieszczęśliwego, lub że w opactwie znajdzie przytułek.

Ani Światosław, ani Jaksa nie wiedzieli o tem, co między katem Jarmuchą a palatynem zaszło, nie domyślali się, że kat ów, co się napraszał tak chciwie do spełnienia wyroku, wzrok mu ocalił i język całym pozostawił. W drodze okrwawiony Petrek ani się odezwał, ani dał poznać po sobie, co się z nim stało.

Gdy doszli nareszcie do wrót dworu biskupiego, do których Jaksa natychmiast gwałtownie szturmować począł, powybiegali ludzie biskupi i cofnęli się strwożeni widokiem okrwawionej ofiary. Wrzawa powstała w dworcu; sam biskup, mąż pełen życia i energii, usłyszawszy o Petrku, wybiegł jak stał na przedsienie, a ujrzawszy palatyna, którego ku niemu wiedziono, podniósł ręce do góry, zemsty Bożej wzywając.

Wprowadzono tak milczącego jeszcze Petrka do izby i złożono na łożu, bo siły jego wyczerpały się. Po małej chwili jednak dźwignął się i milcząc ciągle, ukląkł, złożył ręce, modlić się począł.

Dokoła stali wszyscy niemi i politowaniem przeję-

ci. Biskup Janik pobożnie złożył ręce i męskim głosem począł modlitwę dziękczynną za ocalenie życia.

Nie było naówczas innych lekarzy nad mnichów Benedyktynów, uczniów szkoły salernitańskiej i Żydów, którzy z arabskich ksiąg niejakie wiadomości medyczne czerpali. Jaksa pobiegł natychmiast na opactwo św. Wincentego z wiadomością o ocalonym, ale tam wyprzedził go braciszek, który przebrany stał na grodzie i miał zlecenie donosić, co się z Petrkiem działo.

OO. Benedyktyni, na najgorsze będąc przygotowani, ciało tylko umarłego wyprosić chcieli, aby dobroczyńcę swego uczcić chrześcijańskim pogrzebem. Wiedziano już na opactwie o wyłupieniu oczu i wyrwaniu języka, ale nikt nie mógł odgadnąć, gdzie się podział palatyn. Wtem nadbiegł Jaksa, oznajmując, że leży na biskupim dworze.

Opat i braciszek Cencio, lekarz, natychmiast w gotowości byli śpieszyć z pomocą religijną i balsamy. Brat Cencio zabierał z sobą bieliznę do okładów, leki, do gojenia ran używane i cokolwiek w takich razach potrzebnem być mogło. Wszyscy razem biegli, śpiesząc na dwór biskupi.

W izbie przyćmionej znaleźli Petrka już leżącego na łożu, z twarzą, chustą przysłoniętą, a Światosława przy nim na ziemi, napół ze znużenia uśpionego; biskup siedział zdala przy nich na straży i modlił się po cichu.

Surowo zakazanem było, ażeby biskupich wrót nikomu nie otwierano, chociażby nawet z rozkazem książęcym przybywał. Ludziom kazano wziąć oszczepy i kusze, a gotować się choćby do odpierania napaści siłą. O tej jednak dotąd nikt nie myślał.

Cudownie ocalony i pokaleczony tylko Petrek nie wydał się z tem jeszcze, że oprócz krwi, nie postradał nic, obawiał się bowiem, by wieść o tem nie stała się powodem nowego gwałtu. Milczał.

Dopiero gdy opat wszedł, prowadząc z sobą braciszka Cencio, gdy biskup się oddalił, a Światosław

pozostał tylko, Petrek zbliżającemu się mnichowi, do ucha go przyciągnąwszy, szepnął:

— Cudem niewymownym łaski Bożej ocalony jestem — kat litościwszym był od księcia, skaleczył mnie, ale oślepić nie chciał, a języka ranił mi i przyciął niewiele.

Brat Cencio, przyklęknąwszy, opatrywać go począł.

Niestety! drżąca i niewprawna ręka Jarmuchy jedno oko, nie chcąc, zraniła srodze, tak, że wypłynięciem groziło. Drugie ranione przez powiekę, zaledwie się uratować mogło. Język pozostał całym, ale przecięty był głęboko i posieczony. Jednak i za to potrzeba było Bogu dziękować. Petrek, choć z bólem i trudnością mógł widzieć światło dzienne — mógł kilka słów wymówić, podnieść powieki, wyjęknąć modlitwę.

— Bogu wszechmogącemu niech za to będzie chwała — odezwał się opat — cud spełnił nad sługą swoim. Ale dopóki wy tu będziecie, nie jesteście bezpieczni. Uchodzić stąd musicie, uchodzić co rychlej, nie czekając uzdrowienia. Brat Cencio, syn wasz i Jaksa, który o mało życia za was nie postradał, pojadą z wami. Musicie się dostać tam, gdzie są książęta młodzi i do nich schronić. Ziemie te już całe niemal zajmują wojska pana Władysława i pogaństwo okrutne. Uchodźcie lasami ma nowcami; Bóg, który was od śmierci ratował, doprowadzi do celu. Cud się stanie, bo jest potrzebny na upokorzenie zuchwałych.

Szeptali tak długo, aż brat Cencio nakazał spoczynek choremu. Jaksa, któremu to zlecono, biegł zaraz zbierać konie i ludzi, i sposobić do drogi, bo bez pocztu silnego w te czasy niespokojne uchodzić nie było można.

Orszak musiał być i dobrze zbrojny i z żołnierza najlepszego a doświadczonego złożony, jawnie zaś go ściągać, ani ukazywać nie godziło się, aby Władysławowi nie ścigali, domyślając się, kogo prowadzono.

Na zamku spełniona zemsta, której pragnęła Agnieszka i Dobek, nie sprawiła radości nikomu. Księżna, oprzytomniawszy z pierwszego wrażenia, znowu się domagała, aby Pertrkowi życie odjęto.

Dobek dopiero po godzinie może przypomniał sobie, iż nieopatrznie wymówiwszy się, oślepionego rozkazał puścić wraz z synem.

Sam Władysław, gdy się o oswobodzeniu Petrka dowiedział, stał się niespokojnym. Obawiał się zemsty, wyrzucał Dobkowi i żonie, iż głowy potracili.

Natychmiast wyzwolonych gonić kazano, ale nim zostały wydane rozkazy, do których spełnienia użyć musiano ludzi zamkowych, późno już było do pogoni, a nikt do niej szczerej ochoty nie miał.

Cała ludność wiejska za Petrkiem była, każdy był gotowym pomódz mu, chwytać go wszyscy się wzdrygali. Wybiegli wysłani rzekomo w pogoń, wistocie z pragnieniem wielkiem, aby na Petrka natrafić mogli i do ucieczki mu dopomódz.

Bystre oko Dobka teraz już dostrzedz mogło, na jak słabych podstawach spoczywała tu władza księżnej i jego. Ziemianie ukrywali się po kątach; gwałtem powołani, przychodzili zimni i niechętni, wymawiając się i zwłócząc, gdy ich do czego użyć przychodziło. Mieszczanie rozbiegali się i ukrywali, posłuszeństwa nie było i mały orszak książęcy sam musiał starczyć na wszystko, ciągle się rozbijając o ludzi milczących i opornych.

Przez cały ten dzień słała co chwila księżna Agnieszka po wieści, czy gdzie nie pochwycono wypuszczonego nieopatrznie Petrka.

Nakoniec gniewać się srodze zaczęła i wyrzuty czynić Dobkowi, a ten, rozjątrzony wymawiał księżnie, że ona wyroku na gardło wyrobić nie umiała. Zamek rozlegał się hałasami i wrzawą, ludzie biegali jak pomieszani.

Domyślano się wprawdzie, że Petrek na dwór biskupi, lub do opactwa swojego mógł się schronić, ale na jedno i drugie, w niepewności, czy się tam znajdzie, porywać się nie śmiano. Ołtarz i miejsca poświęcone dawały prawo schronienia winowajcom, nawet jawnym, i targnąć się na nich nikt nie śmiał.

Dobek więc, po namyśle, posłał na opactwo od księżnej, aby sam opat stawił się do niej.

Niespodziane to wezwanie ojca Anzelma wcale nie ustraszyło. Dobrawszy sobie dwu towarzyszów, wziąwszy suknie odświętne urzędowe, krzyż na szyi zawiesiwszy, poważny mąż pojechał na zamek.

Lud, który go zobaczył jadącego, tłumnie się za nim potoczył. Od bram zamku wprawdzie straż go odegnała, ale tuż pod wrotami zaległ jakby na czatach, bo miejska ludność zakonników kochała i gotową była stanąć nawet w ich obronie.

Dobek widział zdala to poruszenie tłumu i łatwo mógł się domyśleć, co ono znaczyło, gdy gromady te, jak zburzone fale, o wały i bramy się oparły.

W izbie oczekiwała na opata księżna Agnieszka, po książęcemu ubrana z przepychem, dwór swój ustawiwszy dokoła, bo bez okazałości tej nigdy obcych nie przyjmowała. Księcia w komnacie nie było.

Chociaż czuła w opacie nieprzyjaciela, księżna Agnieszka przyjęła go uprzejmie, posadziła przy sobie zrazu rozpoczynając rozmowę o pobożnych rzeczach, któremi się niewiele zwykła była zajmować. Opat Anzelm spokojnego udawać musiał, choć nim nie był.

— Wasza przewielebność — odezwała się wkońcu Agnieszka — musieliście słyszeć o losie tego nikczemnego zdrajcy, nad którym małżonek mój miał litość zbyteczną, bo na gorsze męczarnie i na śmierć stokroć zasłużył. — Wiadomo, iż on wasz klasztor wzniósł i uposażył; wyście pewnie zbiegłemu dali przytułek?

— Nie zgłaszał się o to do nas nieszczęśliwy palatyn — rzekł spokojnie mnich. — Nierozumnem też byłoby dlań, tam się chcieć ukrywać, gdzie go pewnie naprzód szukać mogli ci, co zguby jego pragną.

— Więc go u was niema? — spytała księżna.

Opat rękę położył na krzyżu.

— Kłamstwa usta moje nie wyrzekną — odezwał się. — Na ten krzyż święty ręczę miłści waszej: u nas go niema!

— Ale wiecie pewnie, gdzie jest? — mówiła księ-

żna z udaną łagodnością. — Ja mu już zguby nie życzę, nie jest dla nas niebezpiecznym. Chciałam tylko przez miłosierdzie radzić mu, aby się stąd oddalił. Sam książę teraz imać go każe.

— Któż wie, co palatyn uczynił z sobą? — odparł opat —ja nie wiem, co zamierza. Zapewne sam on czuje, iż uchodzić powinien.

I zamilkł.

Po chwili księżna dodała:

— Opactwu waszemu, które książę małżonek mój weźmie w opiekę swoją, jeśli mu sprzyjać i modlić się zań będziecie, nada większe ziemie i dochody, niż te, któreście od Petrka dostali.

— Modlimy się za wszystkich — odparł opat, schylając głowę, — a o łaskę miłości waszej starać się pragniemy. Do spraw ziemskich mieszać się nam niewolno; jesteśmy biedni i słabi zakonnicy.

Na tę rozmowę nadszedł książę, który się dosyć chłodno z opatem przywitał. Widać było, że troskę niósł na sobie wielką. Małżonka wciągnęła go w tę walkę, której czuł, że nie podoła; — na sercu mu ciężyła chmurą stała na czole. Nie mógł już o niczem mówić, tylko o tem.

Jak wszyscy słabi ludzie, Władysław, gdy mu na piersi spadło brzemię, dręczył się nieustannie myślą jedną, o niej tylko prawiąc ciągle, nawet tym, co go zrozumieć nie mogli i wiedzieć o sprawie nie byli powinni. Zaledwie stanąwszy przed opatem, rozpoczął natychmiast, jakby opanowany troską:

— Książę opacie! Ja tu sam panem być muszę, tak! opór próżny; com rzekł raz, to uczynię.

Opat zdumiony, jeszcze się nie zebrał na odpowiedź, gdy książę pod ciężarem myśli swej, dalej ciągnął:

— Nie cofnę się, nie odmienię postanowienia: albo się poddadzą, lub z kraju muszą iść precz!... Tak, tak!

Mnich patrzał nań milczący; Władysław dodał jeszcze:

— Ja wiem! Wy wszyscy przeciwko mnie jesteście,

jawnie, lub potajemnie. Wiem o tem dobrze. Biskupi wszyscy, pasterz nasz gnieźnieński, duchowni i wy, mnisi, zbieracie się, naradzacie, knujecie... To nic nie pomoże! Ziemię zwojuję, splądruję, zniszczę i poddać się muszą wszyscy, wszyscy.

— Tak, zniszczę, spalę!—powtórzył groźno.

— A nad czemże panować będziecie, miłościwy książę?—zapytał opat spokojnie.

— Ludzie się zawsze znajdą — rzekł książę. — Chcecie tu trzymać się i mieć dobrze, ze mną iść i przy mnie stać musicie.

— My, miłościwy panie — odezwał się opat tymże głosem chłodnym — my przy Bogu i ołtarzu stoimy. To sprawa nasza. Panu, jakiego Bóg nam da, wierni jesteśmy, ktokolwiekby on był. Modlimy się nawet za nieprzyjacioły kościoła i nasze.

— O! ja wiem! Wy, wy chytrzy bardzo jesteście— odparł książę groźno,—chytrzy jesteście i przewrotni, wy i biskupi wasi, jako baranki się odziewacie, a wilcze kły macie w paszczękach.

Księżna, zdumiona tą mową nazbyt otwartą, popatrzała na księcia, który się przeszedł kilkakroć po izbie zadumany. Wstrzymać jego wynurzenia się nie można było, mówił jakby z samym sobą.

— Za młodszymi braćmi wszyscy ciągną, nie chcąc znać głowy, a ja tu głową jestem. Poślę o to do papieża, aby duchowieństwu nakazał posłuszeństwo dla mnie. Słuszna rzecz, aby jak jeden papież jest nad całem chrześcijaństwem, jeden cesarz nad państwem swem, tak i nad temi ziemiami naszemi jeden król panował.

Opat słuchał milczący, ani przecząc, ni potwierdzając.

Wtem książę przybliżył się do niego natarczywie.

— A coście zrobili z Pertkiem? — odezwał się.

— My nic, bośmy go od nieszczęsnej godziny, gdy pochwycony został, aż dotąd nie widzieli — rzekł opat.

— Dlaczegoż godzinę sprawiedliwości nazywacie nieszczęsną?—pytał książę.

— Bo to była godzina zemsty a nie sądu, miłościwy panie—odpowiedział opat śmiało.

— Daliście mu przytułek?—zagadnął książę.

— Gdyby go był od nas żądał, dalibyśmy pewnie—rzekł o. Anzelm,—ale się o to do nas nie zgłosił.

Księżna, stojąca przy mężu, wtrąciła:

— Już się go nie boimy wcale. Oczy mu wyłupiono i paskudny język urznięto; niech się wlecze żebrać i pokutuje za grzechy! Niech ludzie patrzą na sprawiedliwość naszą i widzą, że nie przebaczamy zdrady. Toż samo i innych spotka.

Opat odpowiadał tak skąpo i niechętnie, iż się w nim łatwo było domyślać niebardzo życzliwego słuchacza. Podniósł się wkrótce, obracając do księżnej Agnieszki z pytaniem: czyby mu co do rozkazania nie miała, i po co był wzywany?

Agnieszka zmieszana, milczała trochę i rzekła dumnie:

— Chciałam wam kilka grzywien kazać dać na ofiarę do ołtarza i relikwii świętych, abyście się za powodzenie oręża pana, małżonka mojego, modlili.

Skłonił się opat.

— Modlić się będziemy—odparł krótko.

Pożegnał się już i odchodził, gdy Władysław, przeprowadzający go do progu, mruczał ciągle:

— Nie chcę niczyjej zguby, ale wymagam posłuszeństwa. Nie ulegnę, na swem postawię, a duchownych do Rzymu skarżyć będę—do Rzymu!

Po wyjściu opata obrócił się do żony i na drzwi wskazując, rzekł:

— Chytrzy są! Opat się łasi... znam go! Petrkowa żona milsza mu pewnie od samego Petrka! Będzie ją teraz miał! Ho! ho! Chytrzy są bardzo, ale mnie nie oszukają. Ja wszystko wiem!

V.

Stare to, ale święte prawdy słowo, że ludzie się nieszczęściami próbują, jako kruszce ogniem. Co próchnem jest błyszczącem, to spłonie i w popiół się nikczemny obróci, co złotem było, wypłynie strumieniem złocistym.

Niedarmo Dobek, gdy się na zgubę Petrka zasadzał i pochwycić go zamierzał, wprzódy starostę Rogera chciał ująć, wiedząc, iż mężem był umysłu nieustraszonego, woli żelaznej, której nic złamać nie zdoła. Niedarmo, gdy oślepionego Petrka puszczono z więzienia, dając mu syna za przewodnika i towarzysza, Rogera starostę nie uwolniono i trzymano pod kluczem.

W ciemnicy, w której siedział z synem Petrkowym, Roger cieszył młodzieńca osłabłego i męstwo mu swe wlewał. Od pierwszej chwili, kiedy mu usta zakneblowano, aż do ostatniej, gdy sam jeden pozostał między czterema murami, odwaga w nim rosła i potężniała. Otuchę miał jakąś, której źródła sam nie znał: płynęła ona z tajemniczych głębin duszy, i każdy dzień mnożył ją, nie ujmował.

Starostą będąc i sędzią, Roger znał tu wszystkich i wszyscy go do najmniejszego pacholika na grodzie znali. Nie miłowano go tak, jak Petrka, który hojną dłonią jednał sobie ludzi, ale pan był sprawiedliwy, nieokrutny, woli nieugiętej, gdy domierzał zakon, nie dając się kupić ani płaczem, ani groźbą. Szanowano go więc i litowali mu się ludzie, nawet gdy się do więzienia dostał i popadł w niełaskę u pana.

Stróż sam nosił mu po cichu wieści, o tem, co się działo. Wiedział starosta, że oślepiono i okaleczono Petrka, rwał włosy z żalu, płacząc, ale coś mu mówiło, iż straszna pomsta spotka prześladowców. Siedział tak w ciemnicy, niewiele dbając o siebie. Winy mu żadnej nie mogli zadać, krom, że był Petrka znienawidzonego przyjacielem.

Drugiego dnia otworzyły się drzwi. Dobek z dwoma przybocznymi sługami, sam się obawiając do więzienia iść, wszedł powoli i ostrożnie się rozglądając.

Na widok jego Roger, na łożu swem spoczywający, ani się podniósł, ni poruszył.

— No, starosto Rogerze — odezwał się wchodzący — jam tu do was posłany przez pana; słuchajcie mnie pilno i uważnie. O waszą idzie skórę. Ja tam złego wam nie życzę. Ocalcie się, gdy możecie. Z waszym Petrkiem rzecz na wieki skończona. Zabrano mu wszystko, co miał, ale nie znaleziono wszystkiego. Skarby przecie miał wielkie, to wiedzą wszyscy. W domu była ich część tylko, reszta zakopana, albo skryta. Nikt o tem nie może lepiej wiedzieć nad was.

— A wy myślicie, że gdybym wiedział, tobym wam wydał? — zapytał Roger.

— Musielibyście to uczynić.

— Ani pod gardłem! — zawołał starosta.

— Ja to nie z siebie mówię — rzekł Dobek.

— A choćby mi to i sam książę powiadał, inaczej mu nie odrzeknę — odezwał się więzień.

— Książę nietylko to rzekł — ciągnął dalej Dobek—ale gdy mnie tu posyłał, mówił mi: znam Rogera, mąż jest szlachetny i rozumu wielkiego. Powiedzcie mu ode mnie, niech już o Petrku myśleć zaprzestanie, bo ten na wieki przepadł, niech mi służy wiernie. Wyniosę go wysoko i nadam mu ziemie wielkie.

— Tak rzekł pan? — odezwał się Roger chłodno— łaskawszy więc jest na mnie, niż zasługuję, bo ja komu raz druhem a sługą był, temu do zgonu druhem a sługą być nie przestanę. Co jego spotka, mnie też. Szczęścia bez niego nie chcę. Wolę pójść żebrać z Petrkiem, niż od księcia wziąć najwyższe dostojeństwa. Służby żadnej nie chcę, winy na sobie nie czuję. Puśćcie mnie, nie żądam więcej nic.

Dobek się śmiać począł.

— A któż to tak głupi, żeby molossy na siebie puszczał z łańcucha?

Roger się odwrócił ku ścianie, jakby już dłużej mówić nie chciał.

— Starosto — dodał posłany — dobrze ci życzę, a źle będę zmuszony uczynić.

— Czyń co chcesz — rzekł krótko Roger.

Dobek postał chwilę, zawrócił się i odszedł.

Na zamku czekała nań księżna, a gdy powróciwszy o swej rozmowie z Rogerem powiadać zaczął, łajała go:

— Niezdarne chłopisko, do niczego! — wołała — Idź mu powiedz, że na gardle karany będzie! Co za człek jest, aby się śmiał nam opierać.

Dobek poszedł raz drugi.

Władysław, który przy tem stał milczący, oburzył się na żonę.

— Dosyć już tych krwawych spraw — rzekł — niemi sobie nieprzyjacioły czynimy. Roger nie winien nic. Strzymam go tylko.

— A skarby Petrkowe? — wtrąciła Agnieszka. — Mało ci to ich potrzeba na wojnę? Skądże weźmiesz?

Wszczynał się spór między księżną a mężem, gdy Dobek wrócił, ale z głową opuszczoną, zniechęcony.

— Cóż ten człek? — spytała Agnieszka.

— Co? Mówi, aby go wiedziono na stracenie — rzekł Dobek.

— A ja go tracić nie dam — zawołał książę.

— Cóż mówi o skarbach Petrkowych? — odezwała się pani.

— Powiada, iż o nich nie wie i dodaje: chcecie, abym się o nich dowiedział, puśćcie mnie, pójdę szukać.

— Puścić, nie! — wtrącił sam książę — przepadnie i nie wróci. Życia mu nie wezmę, ale nie puszczę.

— Niech przynajmniej okup da — odezwała się księżna. — Naznaczyć, ile ma dać grzywien, a potem niech z lichem idzie!

Znowu się potoczył spór długi o okup i grzywny. Władysław uległ. Agnieszka naznaczyła liczbę.

Posłano Dobka do więzienia po raz trzeci. Za każdym razem poseł znajdował więźnia śmielszym, tak, że zuchwalstwo jego niepojęte odejmowało Niemcow

śmiałość i odwagę. Gdy go raz jeszcze wchodzącego zobaczył Roger, podniósł się na łożu, spierając na łokciu.

— Co tam jeszcze? co? — zawołał szydersko.

— Macie dać za siebie okup: pięćset grzywien — rzekł Dobek.

— I pięciu nie mam! — śmiejąc się, odezwał starosta. — Com miał, toście wy sami we dworku owej nocy zagrabili. Ale dla pieniędzy sobie skóry zdzierać nie dam; przeto postaram się o okup, ino puśćcie mnie... W lochu go nie znajdę. Mam rodzinę i przyjaciół.

— Chyba dziesięciu znajdziecie, co za was ręczyć staną — rzekł Dobek.

— Zaręczy i dwudziestu, gdy będzie potrzeba — mówił Roger. — Dajcie tylko znać ks. Janikowi.

Tak nareszcie skończyły się układy, bo starosta dłużej mówić już nie chciał; ze wzgardą prawie obchodząc się z posłem, odjął mu też ochotę i śmiałość i Dobek rad był skończyć z nim co rychlej.

Oboje księstwo pobytem we Wrocławiu znużeni byli, chciano powracać do Krakowa dla pilnych spraw około wojny, a tu Roger jeden ich trzymał. Książę kapelana swojego wyprawił do ks. Janika.

Spodziewano się rychłej odpowiedzi, tymczasem drugi już dzień upływał, a biskup milczał. Niecierpliwiła się księżna, wysyłając coraz na zwiady, gdy oznajmiono, że biskup jedzie na zamek.

Jechał wistocie mężny człek, ale nie sam. Zwołał do siebie przedniejszych ziemian i umiał ich przekonać, że obowiązkiem jest stanąć za tym, który bratem ich był, a marnie i niesprawiedliwie miał ginąć. Sam swoim przykładem ich ośmielał, bo pierwszy poręczyć był gotów.

Gdy na zamku ujrzano zbliżający się orszak, książę i żona jego zafrasowali się. Okazywała się znowu moc i władza duchownego, który na jedno zawołanie więcej ziemian zgromadził, niż książę ich widział u siebie przez ciąg pobytu swego we Wrocławiu.

Jechali wszyscy na zamek jakby umyślnie z przepychem, gromadnie, zbrojno, postrojeni, otaczając pasterza swojego, dwór dlań świetny tworząc i okazując, że go uznawali głową swoją.

Trzeba było iść u drzwi witać biskupa, co też ks. Władysław uczynić musiał. Biskup, pół-rycerz, zawsze się tak stawił księciu, jakby do równego sobie przybywał, niezlękniony, nie uniżając się, błogosławiąc dokoła. Ode drzwi posunął się dalej, przodując dumnie, za nim ziemianie liczni, wszyscy w milczeniu uroczystem. Poczty i ludzie całe podwórza zajmowali.

— Zezwoliliście miłościwy książę — odezwał się biskup, wszedłszy do środka — abyśmy za starostę Rogera złożyli porękę. Otóż, niesiemy ci ją. Daję ja moją, daje nie dziesięciu, ale dwudziestu ziemian, za to, że Roger słowo rzecze, iż na naznaczony czas stawić się będzie. Człowiek jest prawy, a słowo jego nie rdzewieje.

Agnieszka przytomna, cofnęła się, nie śmiejąc odzywać i mieszać do sprawy; książę, który nawykłym był nic bez niej nie czynić, zwrócił się i teraz ku niej. Dała mu znak gniewny, aby się jej nie pytał. Aż nadto już mówiono o jej wpływie na męża; zdradzać się z nim nie chciała.

Książę musiał stanowić sam, nie mając znikąd pomocy. Spojrzał po ziemianach, stali jakoś chmurni, i nasępieni, czytał niemal z wejrzeń ich, że za Petrka nań gniewni byli.

— Otoczony jestem zdrajcami! — odezwał się, ręce rozpościerając szeroko — nikomu wiary dać nie mogę. Bronię siebie i praw moich. Roger z tym nikczemnym zdrajcą za jedno trzymał.

— Miłościwy książę, przebaczcie! — przerwał biskup — my Petrka za zdrajcę nie mamy. Bogu rachunek z tego zdawać przyjdzie.

Nierad z obrotu rozmowy, książę wyzywająco popatrzał na ziemian, aż krewny starosty Rogera, którego Leszkiem Wdałym zwano, odezwał się:

— Przyszliśmy tu ręczyć za brata naszego, Rogera i porękę za niego wszelaką dajemy.

Wszyscy ręce zgodnie podnieśli.

— Dajemy! dajemy! — zawołali.

Biskup też prawicę wyciągnął.

— Ja z wami!

Ks. Władysław, nie wiedząc, co czyni, skinął na Dobka, który stał we drzwiach z tyłu.

— Weźmij go z więzienia i tu go przywiedź — rzekł.

Nastało długie milczenie; czekano, coraz się na drzwi oglądając. Znali wszyscy starostę, jako męża w sile wieku i urody, któremu postawy i oblicza zazdroszczono — nosił się więc, wiedząc o tem, że urodziwym był, zawsze czysto i strojno. Gdy teraz się w progu ukazał, wprawdzie na bucie i postawie nie stracił, lecz zaledwie go poznać było można, tak niewola go brudem swoim okryła. W odzieży poszarpanej, gdy go wiązano, z włosami splątanemi, szedł jeszcze tak dumny, jakby złotogłowy na sobie dźwigał.

Obejrzał się wokoło; przyszedł naprzód ucałować rękę biskupa, który go pobłogosławił; pokłonił się potem księciu, nareszcie oczyma wyszukawszy Agnieszkę, wzrok w nią wlepił tak straszny i groźny, że się przed nim z mimowolnym krzykiem przestrachu cofnęła.

W wejrzeniu tem co było zemsty, gróźb, gniewu z całego człowieka się zebrało i oczyma wytrysnęło. Oczów już nie spuszczał z niej i zabijał ją tym wzrokiem.

— Daję wam wolność, abyście za siebie okup zebrali — odezwał się książę cicho. — Ręczą za was dostojni ludzie. Idźcie z nimi, a powracajcie na czas z okupem, bo was znajdę i pod ziemią.

Roger wysłuchał pańskiego słowa spokojnie, wzrok ciągle topiąc w Agnieszce, która wkońcu nie wytrzymawszy go, za męża się ukryła strwożona.

— Miłościwy książę — rzekł — ja i bez rękojmi, dawszy słowo, stawiłbym się w słowie, bo je więcej ważę, niż życie!

Pokłonił się. Biskup też dziękować zaczął, ziemianie za nim, a że do czynienia nic więcej nie pozostawało jęli się zaraz żegnać.

Roger stał przy biskupie, oczyma jeszcze szukając

ofiary swojej, ale Agnieszka wymknęła się niepostrzeżona.

Zaledwie biskup odjechał, gdy do izby wróciła niespokojna. Książę ją jeszcze nigdy tak wylękłą nie widział.

— Co ci jest? — zapytał.

— Wzrok tego człowieka, tej żmii! — zawołała. — Puściliśmy go na zgubę naszą! Widziałeś jego oczy, ślepia zwierza wściekłego! Żaden człowiek tak nie patrzy chyba wąż, gdy zwierzę struchlałe chce połknąć.

Książę się przeżegnał.

— Nie mogłam wytrzymać tego wzroku — dodała Agnieszka. — Nieprzyjaciół dosyć mamy. Biskup przyszedł za nim, ziemianie ręczyli.

Agnieszka, która nie płakała nigdy, chyba z bezsilnego gniewu, poczęła szlochać, rękami obiema zakrywając sobie oczy. Książę, nie wiedząc, jak ją uspokoić, wyszedł, rozkazując słać jej Dobka, który sam moc miał nad nią. Lecz gdy się ukazał, precz mu iść kazała, wyrzucając, że wszystkim więźniom, gdy w jego mocy byli, życia nie wziął.

— Człek ten nas zgubi, będzie nieszczęścia naszego przyczyną! — wołała.

Nie było co już czynić z niewiastą prawie oszalałą, gdyż żadne słowo przeciwko jej trwodze nie mogło nic.

Nazajutrz sposobiono się jechać do Krakowa. Dwór zrana wyciągnął w drogę, a księżnę wieziono napół chorą z wielkiego niepokoju i gniewów. Dawała coraz nowe rozkazy, wołała i odpędzała ludzi, płakała i groziła.

Po drodze spotykano się z wieściami złemi. Książę Władysław, który był pewien, iż wszystko mu poddawać się musi, znajdował opór na każdym kroku. Trwoga pogan, rozbiegłych i plądrujących po kraju, nietylko nie pomogła, ale wszystkich przeciw księciu jednoczyła. Oddziałami całemi ciągnęło rycerstwo do Poznania i Płocka, do młodszej braci. Jechali do nich, zbiegając, ziemianie, mocniejsze grody otwierały im bramy, z murów na wezwanie Władysława odpowiadając, że mu się nie poddadzą.

Wojna więc była nieuchronną, wojna straszna z braćmi własnymi, z duchowieństwem, które przy nich stało, z ziemiany, ze wszystkimi. Z Czech i z Węgier spodziewali się uciśnieni posiłków.

Choćby siły do tej wojny zajadłej miał ks. Władysław w pięści, w piersiach mu jej brakło. Odgrażał się chwilami i miotał, to znów narzekał na Agnieszkę i sam na siebie, że podjął walkę. Księżna i Dobek dawali rozkazy, szli z nimi Niemcy; ziemian nawet krakowskich, przy księciu tak, jakby nie było. Uchodzili, kryli się wszyscy. Duchowieństwo groziło klątwami.

Położenie coraz stawało się niebezpieczniejszem. Książę wątpił, czy mu podoła, ale żona pchała go dalej na zgubę, nie chcąc słyszeć o niczem innem, prócz pognębienia upornych.

Z Krakowa miano wysyłać natychmiast do cesarza z nową prośbą o pomoc i poparcie.

Przez całą drogę niepokój rosnął; w Krakowie też nie lepiej stało. Zamek był prawie bez załogi na biskupstwie nikogo.

Drugiej nocy po przybyciu do Krakowa, opowiadają wiarogodnie kroniki, królowa w nocy ze snu zerwała się przestraszona. Wbiegła wprost do męża, który głębokim snem ujęty, odpoczywał.

Ks. Władysław uląkł się niemało, ujrzawszy ją z włosem rozpuszczonym, łzami zalaną, drżącą. Chwycił za oręż, przy łóżku wiszący i maleńką tarczę, sądząc w pierwszej chwili, że napad jakiś niespodziany zamkowi zagrażał. Księżna przypadła płacząca.

— A! — wołała — sen miałam straszliwy. Śnił mi się ów z oczyma wilczemi Roger, patrzący na mnie tak, jak patrzał na zamku we Wrocławiu.

Stałam we śnie w izbie mojej, nowe próbując obuwie, gdy wpadł człek ten straszny, i nagle obuwie mi zdarł z nóg, zostawując bosą. Stara Regina, którą obudziłam moim krzykiem, zaraz mi sen wykładała i rzekła, to, co ja sama czuję, że Roger ten zgubi nas i ze wszystkiego wyzuje.

Pocoście go wolno puścili! Gonić go, łapać chwytać trzeba, słać za nim i głowę mu odjąć — głowę!

Inaczej spełni się mój sen straszliwy na mnie, na tobie, na dzieciach naszych!

Gdy tak płakała i zanosiła się, książę strwożył się mocno i wstał, na ludzi wołając.

Wyprawiono, nie czekając dnia, do Wrocławia, ażeby Roger stawił się na dwór książęcy. Szczęściem starosta przyjaciół miał wszędzie, więc nim urzędnik Władysław wyruszył po niego, wyprzedzając go, pobiegł już przodem ktoś inny oznajmić Rogerowi, aby się nie ważył stawić w Krakowie, gdyż tu życie na jego czyhają.

Dziwnie się bowiem działo na tym dworze Władysława i Agnieszki. Panowali oni jeszcze i rządzili a rozkazywali, owszem kusili się o panowanie nad wszystkiemi udziałami, a nie widzieli, tego, iż otoczeni byli niechętnymi, którzy sprzyjali młodszej braci i gotowi byli jej pomagać.

Dobek i garstka Niemców, składająca otoczenie Agnieszki, ślepa była na to, c się pod jej oczyma knowało, nie słyszeli nic, albo nie rozumieli. Wierzyli oni w moc swoją, gdy polski dwór Władysława, urzędnicy i ziemianie trzymali z biskupami, a książęty młodszymi i z tymi, co z nimi byli. Petrek i Roger mieli tu przyjaciół gorących, co odzywać się za nimi nie śmiejąc, robili, co mogli, by im przyjść w pomoc. Słuchano rozkazów książęcych pozornie, ale ufano w to, że wszystkie te wysiłki na nic się nie zdadzą, a dumna znienawidzona Niemka precz iść będzie musiała.

Gdy w nocy wielka na zamku wrzawa się wszczęła z powodu snu, o którym mówili wszyscy, zrozumiano zaraz, że wykład sam groził Rogerowi, popędził wnet posłaniec tajemny oznajmić mu, ażeby się skrył zawczasu.

W kilka godzin dopiero potem wybrał się opieszale i niechętnie wyprawiony po Rogera urzędnik, który miał naglić do powrotu, ale już niebezpieczeństwa nie było, do musiał być wprzódy ostrzeżonym.

Wszystko tu teraz w ten sposób się działo; bezład panował największy i zaślepienie razem. Dwór niemiecki odgrażał się i już zwycięstwo swe myślał wyzyskiwać, gdy dni jego były policzone. Nie było tajemnicy na zamku,

którąby natychmiast wyniesioną z niego nie została, nie było postanowienia książęcego, o którymby nie wiedziano wprzód, nim je ogłoszono.

Roger, uwolniony za poręką, bawił na biskupim dworze, nie bardzo pilno zajmując się zbieraniem okupu swojego. Natomiast jątrzył umysły i wołał do zemsty za krzywdę, wyrządzoną Petrkowi.

Gdy ks. Janik pytał go, dlaczego nie zbiera grzywien.

— Albo to o grzywny idzie? — odpowiadał Roger przejęty żalem — ano mnie, ani o okup mój gra się tu tyczy, ale o to, by niezbożnego Kaina, na żywot braci nastającego, wygonić precz! Jakem żyw, że się to stać musi i że się to stanie! A dopóki tego nie uczynimy, o sobie myśleć się nie godzi.

Bił się w piersi i przysięgał.

— Nic mi się nie stanie — mówił ostrzegającemu go biskupowi — chodzić będę bezpieczny, a oni padną i pójdą precz. Niewinna krew Petrkowa pomszczoną zostanie.

W kilka dni Roger samotrzeć na koń siadł; nie było go przez dni kilka, a powróciwszy na dwór biskupi, rozpowiadać nie chciał dokąd i po co jeździł, gdzie był i co robił. Pytających zbywał nieznaczącemi półsłowami.

Powrócił wieczorem, gdy biskup już spał, i nazajutrz rano pojechał, konie zmieniwszy. Nie było go znowu. Przyjechał czasem na godzinę w nocy, wyjeżdżał rano. nie opowiadając się nikomu. Biskup powiadał wszystkim, że jeździ zbierać grzywny, o które było niełatwo.

Gdy znowu się na chwilę ukazał, ks. Janik powołał go do siebie.

— Co ty sobie myślisz, Rogerze? — zapytał. — Upływa dany ci czas; masz ty już potrzebne grzywny, czy jeszcze ci ich do liczby braknie?

— Ojcze mój, gdybym je nawet miał — odparł Roger, — nie myślę niemi chciwego ich gardła zapychać; ja nie grzywny, ale ludzi zbieram!—Nie taił się z tem

przed biskupem, że dla młodych książąt ściągał posiłk i ziemian do nich posyłał. i

Właśnie czasu tej rozmowy nadbiegł z Krakowa usłużny człek z powieścią o onym śnie z trzewikami królowej, dla którego miano Rogera do Krakowa ściągnąć, aby mu tam życie odebrać.

Starosta zamiast ustraszyć się, swoim zwyczajem zaczął się śmiać pogardliwie i przedrwiewać.

— Ale nic mi nie zdołają uczynić! Bóg nie dopuści.

Biskup się pogniewał nań.

— Człecze zuchwały — zawołał, — ale któż ci tę obietnicę Bożą oznajmił? Zbytek ufności jest też szaleństwem i grzechem. Masz przykład na Petrku, że ostrożnym być potrzeba.

— Ojcze mój! — odparł Roger, podnosząc ręce ku niebu z niewymownym zapałem, który i biskupa zdumiał. — Ja nie wiem, kto mi w duszę wlał to bezpieczeństwo, które w sobie czuję; — aliści taką mam pewność, iż mi się nic nie stanie, że w ogień—bym skoczył pewien będąc, iż się nie spalę.

Nad wieczorem Szabroń z Krakowa przybiegł od księcia z rozkazem, aby Roger natychmiast do dworu się stawił. Komornik ten pański, choć się liczył do Władysławowych sług i zaufanie jego miał, tak, jak wszyscy inni prawie, dla Agnieszki i Niemców niechętnym był księciu.

Posłał go biskup do siebie wzywając, bo i Roger się tu znajdował. Opowiedział Szabroń z czem go posłano, ale gdy się obejrzał potem, że nikogo, oprócz biskupa i Rogera nie było, natychmiast zmienił mowę.

— Niechaj was Bóg uchowa, panie starosto — rzekł, — abyście rozkazowi temu zadośćuczynili, bo wam niechybnie głowa z karku spadnie. Czekają na was siepacze. Ukryjcie się gdzie, dopóki ta plucha nie przeminie, aż pani nasza ochłonie. Długo to nie może trwać, Bóg da!

Roger go uścisnął.

— Miły Szabroniu — odezwał się wesoło,—otom taki głuptasek, iż pojadę, głowy nastawię, a nie zrobią mi nic! nic!

— A któż was obroni? — spytał zdziwiony Szabroń.

— Sam nie wiem—rzekł Roger; — tylkom tego pewien, że oni mi nie uczynią nic. Niedoczekanie ich.

— Dlaczego?

— Taka jest wola Boża!

Biskup, usłyszawszy to, znowu go karcić począł, ten szedł mu ręce całować, zaklinając, aby go puścił i powtarzając swoje:

— Nie uczynią mi nic!

Zdumiewali się wszyscy tej pewności i bezpieczeństwu jego, które się im zaślepieniem wydawało.

Biskup szczególniej, że był tak surowy i charakteru żywego, karcił go ciągle, za grzech mu poczytując tę zabobonną wiarę w siebie. Stanęło wreszcie na tem, po długich targach z księdzem Janikiem że pod błogosławieństwem zakazał Rogerowi, aby się z miejsca ruszyć nie śmiał bez archidyakona Roberta, którego mu od siebie dodać postanowił.

Ks. Robert, któregośmy już widzieli, Włoch rodem, oddawna już w Polsce przebywał; człek spokojny, bystry, przezorny, uczony, wielkiej powagi. Ten tak chłodnym był i rozważnym, jak starosta gorącym.

Biskup się nim w najcięższych posługiwał sprawach; była to jego prawa ręka, doktór praw, do pióra dzielny, w księgach i dekretach biegły, zastępował biskupa tam, gdzie on prędki często, unoszący się, ducha wielkiego, byłby swą żywością sprawę kościoła naraził. Nawzajem, dobrego serca ks. Janik goił rany, które zbytnia surowość i ostrość ks. Roberta zadawała. Kochali się i byli sobie potrzebni.

Ciężko było dnia jednego ks. Janikowi bez tego pomocnika się obejść, bo czy prawo tłumaczyć, czy duchowieństwo poważnione godzić, czy wiernych karcić przychodziło, ks. Janik sercem to czynił, a głowy szukał u ks. Roberta.

Odpuścić go od siebie źle było biskupowi, ale tu szło o życie drogiego na ową chwilę człowieka, który, gdy Petrka nie stało, sam był jeden jeszcze, co mógł coś z ziemianami począć, i nad niemi miał przewagę. Potrzeba go było ratować.

Ks. Robert gotowy był jechać, a Szabronia obdarowanego wyprawiono przodem z tem, że Roger w ślad za nim podąży.

Po mszy świętej, którą ks. Janik sam na tę intencyę odprawił, ruszyli podróżni do Krakowa. Na wyjezdnem jeszcze musiał starosta dać biskupowi słowo, że bez ks. Roberta nic nie uczyni i posłuszny mu będzie. Dopiero go biskup puścił.

Gdy się już do stolicy zbliżali, nakazał archidyakon staroście, aby twarz kapturem i chustami osłonił tak, aby poznanym być nie mógł. A że na posłuszeństwo słowo dał, choć z wielkim wstrętem, uczynić to musiał. Do miasta go też nie wwiózł ks. Robert, ale do znanej gospody na przedmieściu, u człowieka ubogiego, którego wierności pewni byli. Tu ksiądz, jak w więzieniu zamknął starostę, zakląwszy go, aby bez pozwolenia krokiem nawet w ulicę się nie ruszał. Roger narzekał wielce, wyrywał się, bo miał i męstwo wielkie i ochotę stanąć z księciem oko w oko, ale słowo go wiązało.

Sam więc archidyakon pojechał stąd na biskupi dwór jawnie i tam stanął, a nazajutrz rano, odziawszy się obrzędowo, jak do księcia wypadało, na zamek jechał. Poznano go zaraz, że z Wrocławia był, domyślając się już, co wiezie i Dobek niemal w progu naglić począł:

— Gdzie starosta?

Ks. archidyakon, zbywszy go milczeniem, do księcia wprost oznajmić się kazał, nie chcąc z Niemcem wchodzić w rozprawy. Gdy o nim dano znać Władysławowi, wyszedł z kilku panami swemi na spotkanie. Księżna, uwiadomiona o przybyciu, nie ukazując się, za zasłoną skryta, przysłuchiwała się rozmowie.

— Przynoszę miłości waszej — odezwał się archidyakon do księcia — pokorne służby pasterza naszego,

ks. Janika. Przybywam od niego z prośbą za starostą Rogerem, który okupu jeszcze zebrać nie mógł, ale niebawem już cały mieć będzie i wypłaci. Pasterz miłości waszej o cierpliwość prosi.

— A gdzież się starosta sam znajduje? — spytał książę.

— Za okupem jeżdżąc, po grzywnie od przyjaciół i krewnych ściągając, sam stawić się nie mógł, ale pasterz nasz ręczy zań, poręczyli panowie, — będzie się stawił, gdy zbierze.

— Więcej, niż okupu, ja tu osoby jego żądam — odezwał się książę. — Nie przestał niespokojny matacz Petrka swego opłakiwać, a mnie nieprzyjaciół robić. Nowe na nim winy są, powinien się stawić na sąd mój.

Ks. Robert nie chciał ani uniewinniać, ni o tem rozprawiać.

— Pasterz nasz—rzekł—ręczył zań, więc i ja ręczę za osobę jego, że do sądu książęcego stawić się będzie.

To powiedziawszy, począł ks. Robert szeroko uczenie i wymownie dowodzić, jaką rękojmię było słowo dostojnego pasterza, zapewniając, że w nim wiarę nieograniczoną pokładać było można. Archidyakonowi, jako wielce wymownemu, książę sprostać nie mógł, splątał się, nie wiedząc, jak miał odpowiadać i w końcu, nie dając już się sobie sprzeciwić, wolę objawił stanowczą, aby Roger mu się stawił w Krakowie.

Na tej rozmowie spłynęło czasu dosyć, a gdy posłowie jacyś przybyli i oznajmiono o nich, musiał archidyakon ustąpić, tak jak nic nie sprawiwszy.

W progu już odchodzącemu powtórzył książę, że nie okupu chce, ale samego człowieka; a zresztą jedno lub drugiego musi mieć natychmiast.

Z tem powróciwszy na biskupstwo, naprzód archidyakon, nocą, pokryjomu przekradł się do starosty, który, jak niedźwiedź na łańcuchu rwał się niecierpliwy, chcąc się z niewoli tej wyswobodzić. Upierał się koniecznie sam stawać i bronić swej sprawy.

— Ani mi sięważ! ani myśl! — zawołał ks. Robert. — Ja tego nie dopuszczę! Jutro raz jeszcze pójdę na zamek i spodziewam się u księcia otrzymać ulgę, zwłokę. Uchowaj Boże, obstanie przy okupie, raczej pożyczę i złożę grzywny, niż wam pozwolę iść na pewną zgubę.

Roger ciągle rwał się niespokojny.

— Ojcze miły! ojcze kochany! Na rany Chrystusowe, zaklinam was, okupu nie dawajcie. Ja się ani kryć, ani uciekać nie potrzebuję, ani płacić jak mnie tu widzicie żywego, stojącego przed wami. Nic mi nie zrobią! Nie ja będę uciekał, ale on! on co oślepił i okaleczył biednego Petrka, co czyha na życie braci!

Archidyakon te zuchwałe słowa usłyszawszy, znowu kazał mu milczeć i zabronił wychodzić, zgromiwszy mocno. Starosta narzekał, oburzał się, lecz słuchać musiał.

Nazajutrz archidyakon poszedł na zamek do księcia raz jeszcze. Rzeczy tu przez noc zmieniły się.

Ks. Agnieszka i jej pomocnicy zrozumieli, że zbyt wiele wrzawy ze swym snem i groźbą uczynili, że Roger ukryć się musiał nastraszony i ujść im może. Postanowiono więc udawać dobroć i łagodność, aby trwogę rozproszyć, i starostę ściągnąć, uspokoiwszy. Ks. Robert rozpoczął od wstawiania się za starostą do księcia, na co mu ten odpowiedział:

— Biskup i ziemianie ręczą więc i nadal za starostę?

— Najuroczyściej mi zlecono porękę ponowić — rzekł ks. Robert; — ks. Janik ręczy i ziemianie też — na sposób wszelki.

— Odmawiać więc im nie mogę i nie chcę — odezwał się ks. Władysław; — okrutny nie jestem nawet dla winowajców, przedłużę czas. Gdy ten nadejdzie, aby mi się z okupem i z pokorą nieodmiennie stawił.

Musiał archidyakon na wszystko się zgodzić, a że skryptu pod pieczęcią żądano, która archidyakonowi wraz z kanclerstwem biskupiem powierzoną była, dał

porękę na piśmie, opisując czas, na jaki starosta stawić się był obowiązany. Książę, okazując się dlań wielce łaskawym, zatrzymał go potem jeszcze namawiając, aby biskup z panem swym trzymał i był mu pomocnym.

W czasie tego posiedzenia nadeszła i księżna Agnieszka z żalami na duchownych i ziemian, pragnąc sobie widocznie archidyakona pozyskać. Przedstawiała mu, po niewieściemu żywemi malując słowy, iż próżny był opór przeciwko takiej sile, jaką książę miał z Rusi, od cesarza i z ziem własnych.

Ks. Robert słuchał, nie przeciwił się wcale i milczał.

— Prosicie za starostą — dodał, — który był powiernikiem i przyjacielem serdecznym tego zdrajcy Petrka; a wiecież o tem, że ślepiec ten wprost z synkiem do książąt, do Płocka pociągnął i tam zewsząd na nas siły ściągają, do buntu namawiają. Starosta taki zdrajca, jak oni, trzyma z niemi.

— Nie wiem, co się z panem Petrkiem stało — odpowiedział ksiądz, — lecz, gdyby oślepiony i ze wszystkiego ogołocony dostał się tam, niewiele może komu szkodzić.

— Starosta pewnie też do niego poszedł, lub przedrzeć się myśli—mówiła pani;—znamy tych ludzi.

— Biskup nasz ręczył zań — odparł archidyakon,— więc mu się oddalić nie da.

Na zamku krakowskim, gdy go ks. Robert opuszczał, bardzo już wojowniczo wyglądało; stały pułki całe na podzamczu, oddziały wyprawiono na grody, wojska się poruszały, Ruś i Połowcy zajmowali ziemie dalsze i posuwali się dla połączenia z wojskami książęcemi.

Ks. Władysław sam zbierał się iść z ostatniemi i wybranemi swemi ludźmi; ale co było jeszcze przy nim ziemian i rycerstwa, chodzili wszyscy jak obumarli z żałości i wstydu, ręce łamiąc. Niemcy tylko radowali się, że już wkrótce z panią swą państwem całem zawładną.

Starosta, chociaż z dworku, w którym go ukryto nie wychodził, chociaż tu mało widzieć mógł, od gospodarza nasłuchawszy się, co się działo, kipiał z gniewu.

Gdy archidyakon na ostatku zakapturzonego znowu wydobył z kryjówki, zaraz za Krakowem ze dwojgiem ludzi, pożegnawszy go, ruszył w świat, nie chcąc powiedzieć, dokąd ani po co. Musiał mu tylko słowo dać, że nazad do Krakowa nie powróci i zuchwale się nie będzie stawiał księciu.

Pilno mu tak było na swobodę się wyrwać, że rozstawszy się ze swym opiekunem i przewodnikiem w czwał, bez drogi puścił się na lasy, jakby jednej chwili do stracenia nie miał.

Całując rękę archidyakona, rzekł tylko półgłosem:

— Pomszczę Petrka mojego, albo sam żyw nie będę!

VI.

Staruszek ks. Marcin, któremu się dostało biedną niewiastę z córką wieźć do Komorowa, przez lasy i pustynne drogi, nie małą miał z nią i o nią troskę.

Petrkowa, rodu książęcego pani, o czem nigdy zapomnieć nie mogła, nawykła do tego, że jej długo wszyscy pokornie bili pokłony, od męża począwszy, który ją dla piękności jej miłował wielce, nieszczęście znosić wcale przygotowaną nie była.

Rozpieszczona od losu, przez męża i obcych, piękna niewiasta stała nadto wysoko, aby jej kiedykolwiek przez myśl przejść mogło, że ją podobny los spotka — ubóstwo, wygnanie, trwoga o los męża, dzieci i własny!

To, co się z nią stało teraz, długo się jej snem i zmorą jakąś wydawało, tak, że gdy się z prawdziwego snu budziła, obejrzawszy się dokoła, na swą nędzę i sieroctwo, rozmdlewała się we łzach nieustannych i narzekaniu.

Naówczas to milczące zwykle, słabe dziecię, co samo jak powietrzne widmo wyglądało, jak ze mgły stworzona rusałka, stawało się silniejszem i mężniej-

szem od matki. Cieszyło ją, pieściło, tuliło, tak samo jak niegdyś pieszczonem było.

Ks. Marcin, nawykły mieć do czynienia z prostym ludem, na wszystko zahartowanym, co godzina na nowo dziwić się musiał powracającej słabości matki i sile dziecięcia, a boleć nad niedolą tych istot, które do niej stworzone nie były. Dla nich śmierć sama stokroć znośniejszą by była nad te męczarnie przedłużone. Za nią uśmiechało się im niebo; — tym bólom nie było ulgi i końca.

Dziwiło pobożnego staruszka i to, że owa niewiasta, która o losie męża nie wiedziała, nie tyle się nim trwożyła, co o siebie i o dzieci. Wspominała czasem Petrka, ale zawsze z narzekaniem nań, że on zuchwalstwem swem i zbytnią śmiałością księcia obraził, że, upierając się przy swem, na niewinną rodzinę ściągnął pomstę i zgubę.

Nie tyle bolała piękna pani nad nim, co nad losem własnym, wspominając wciąż złociste teremy, ciche ustronie, w którem się chowała, przeklinając przeznaczenie swe, co ją w te obce, rzuciło kraje. Lecz, że kniehinia Marya była zarazem dosyć pobożną, ksiądz Marcin słowem Bożem ją uspokajał, modlitwy odmawiając, krzepił, pieśniami świętemi zabawiał.

Z początku chciała koniecznie wiedzieć, dokąd ją wieziono, i ks. Marcin nie rad był taić tego przed nią, ale po rozwadze, zbył ogólnem upewnieniem, iż na zamku, do którego jadą, bezpieczną być może, byle się z sobą nie wydawała nazbyt, kim była, aby stąd po ludziach głosy o niej nie poszły. Nie tail i tego, że gród był choć zamożny, niewytworny, a życie w niem proste.

Nie w smak to było nawykłej do życia wygodnego pani, iż w tem schronieniu, jak je opisywano, nie znajdzie komnat jasnych, ani przepychu domowego; pocieszała się tem tylko, że wprędce wszystko to złe skończyć się musi.

Gdy się już do Komorowa zbliżali, a w okolicy żadnego niebezpieczeństwa dla podróżnych nie było i samych ich z ludźmi mógł ks. Marcin pozostawić, na godzinę wprzódy pojechał na zamek do Jaksowej, oznajmić jej o gościach.

Człeka pewnego zostawiwszy przy wozach, sam starowina, jak był nawykł różnie się włóczyć po świecie, chabeta z wozu wyprzągłszy, pomimo nóg nabrzękłych i bolących, siadł nań i przodem pokłusował.

Tu go tak znano, że gdy się tylko u wrót pokazał, wnet mu je otworzono, a stara Jaksowa, odziana tak, jak zwykle, na pół po męzku, pół po niewieściemu wyszła sama na spotkanie.

Zdala się już naprzód o swojego jedynaka pytała, bo go miała na myśli.

— Nie wiecie, co się z nim dzieje?

— Złego mu się nie stało nic—rzekł ks. Marcin— a próżnować nie może, kiedy wszystkie ziemie goreją Swoich braci w ogniu odstąpić mu się nie godzi.

— A skąd jedziecie?—pytała stara.

— Ze świata dalekiego—rzekł ks. Marcin, — co pytacie, dość wam wiedzieć, żem nie sam, że ocaliwszy od dziczy i pogan, którzy wszędzie plądrują i w niewolę biorą niewiastę znacznego rodu z córką prowadzę wam. Musicie ją tu przyjąć dla miłości Chrystusowej.

Skrzywiła się stara pani.

— A!—zawołała— zaprawdę wolałabym dziesięciu mężczyzn hodować i karmić, niż jedną niewiastę!

Rozśmiał się na to ks. Marcin.

— Daremna rzecz—rzekł, — wyboru nie macie; co Bóg dał, przyjąć potrzeba. Pani jest wielkiego rodu, książęcego, trochę z nią zachodu mieć będziecie, to prawda, bom ja w podróży próbował, że niełatwą jest, ale co się nie czyni dla miłości Chrystusa Pana?

Jaksowa załamała ręce i zafrasowała się mocno, sposępniała.

— A któż ona jest? — kto?—poczęła dopytywać.

— Nie pomoże wam nic wiedzieć o tem i nie potrzeba — odparł ks. Marcin. — Tyle mi tylko powiedzieć polecono, iż ks. pasterz nasz, Janik, żąda od was, byście jej przytułek dali, czuwali, doglądali, a swego

czasu sowicie się to nagrodzi. (Tak mu zlecili mówić Benedyktyni, choć ks. Janik o schronieniu tem nic wiedział).

Obraziła się Jaksowa niezręcznem słowem.

— Jakbym to ja za miłosierdzie nagrody potrzebowała? — zawołała. — Ciężar to będzie wielki, bo cudzy w domu, to swój z nim już jakby obcym był. Ale co robić? Izbę jej dam, chleba nie pożałuję, zresztą niech się sobie cieszą, jak mogą. Ja mam i tak na głowie dużo, do snu im śpiewać nie będę.

Rozmawiali jeszcze w podwórcu, gdy wozy i ludzie z Petrkową na gród wjeżdżać zaczęli. Nawykła do wód, do gmachów jasnych i przestronnych Pertkowa, gdy z wozu przypatrując się dokąd ją przywieziono postrzegła nędzne na pozór zabudowania, a przede drzwiami niewiastę dziwną, na pół po męsku odzianą z twarzą surową i niemiłą, zdało się jej jakby ją do więzienia wtrącić miano i szlochając, oczy sobie zakryła.

Stara Jaksowa wzrokiem bystrym cisnęła na dwie przybyłe i oko jej napotkało piękną Błogosławę, nie mogąc się od niej oderwać.

Co się w niej zbudziło na widok tego dziecięcia które się około matki rozpadało, tuląc ją i starając uspokoić — Bóg jeden wie — lecz serce się poruszyło, litość ją zdjęła i, zawahawszy się nieco, poszła sama do wozu pomagać, aby z niego na pół omdlałą wysadzono.

Nie rzekła i słowa na powitanie, ale silną rękę przyłożyć się nie wahała, gdzie jej było potrzeba. W milczeniu poprowadzono ją do najlepszej izby; tu trzeba było kłaść zaraz na pościeli, bo z sił opadała od wielkiego płaczu i żałości. Córka kląkłszy przy niej, zimne jej ręce ogrzewała, przytulała do siebie, kołysała jak dziecinę.

Postała nad niemi chwilę stara Jaksowa, popatrzała, nie mówiąc nic, a, choć nic dla nich czynić nie obiecywała księdzu, zakrzątnęła się z pomocą i posługą, nietylc może dla słabej niewiasty co dla dzieweczki biednej, której jej żal było

Tak pięknie wychowanego kwiatka dawno nie widziała stara; oczy jej nawykłe były do prostych dziewek wiejskich, nie do takich zjawisk z drugiego świata. Dziwiła się, bolała, mówiąc w sobie:

— Jakto źdźbło tak słabiuchne burze życia przetrwać potrafi, jak się w ciężkiej walce nie zmarnuje? Na co to Bóg stworzył tak wątłem, aby ludzie bezbronną istotę nogami zgnietli?

Petrkowa zaledwie na gospodynię spojrzała, biorąc ją za sługę może, nie spytała o nic, nie dowiadywała się o nikogo, nie żądała ni witać, ni wiedzieć, zapragnęła tylko wszelkich wygód, do jakich była nawykła, a których tu znaleźć nie było podobna.

Płacz więc nowy był i narzekanie.

Do wieczora spoczywał ks. Marcin na grodzie, choć mu po długiej niebytności pilno było do Miechowa. Został dłużej nieco, aby biednym niewiastom zapewnić tu życie znośne i udobruchać nachmurzoną Jaksowę.

Litowała się ona nad wygnanką, ale zarazem zżymała i gniewała na nią, że tak dziecinnie słabą była i zrozpaczoną. Więcej współczucia budziło w niej śliczne dziewczę, o które uparcie dowiedzieć się chciała czyjem było.

Ks. Marcin wolał odkrycie zostawić późniejszemu czasowi, i nie powiedział nic.

— Kto one są, to się tam później o nich dowiecie—rzekł. — Ja tam coś słyszałem, nie dosłyszałem, ot,—nie wiem. Dla mnie, kto nieszczęśliwy pomocy potrzebujący, o nazwisko się nie pytam. Czyńcie i wy tak, miłościwa pani, na co wam ta ciekawość?

— To nie pusta ciekawość — odparła stara, potrząsając głową. — Jam matka, mój ojcze, — kto wie? Lada godzina mój Marek przybiedz tu może i zobaczyć dziewczynę; kiedy ona mnie za serce tak wzięła, co dopiero chłopca? Będzie mi jeszcze szalał za nią!

Rozśmiał się ks. Marcin.

— No to co?—odezwał się. — Jak poszaleją, ja pobłogosławię, szał odejdzie, a szczęście Pan Bóg da.

— A! nie, nie! — poczęła stara — co mi tam z te-

go, że taka piękna? To pajęczyna; ja z niej pociechy nie będę miała, bo to siły niema, lada wiatr ją we mgłę rozwieje. Ja takiej dla mojego nic chcę.

— E! e! — rzekł ksiądz — przecie ta słaba dziewczyna przez całą drogę matkę piastowała, a miała więcej mocy, niż ona!

— A takiej żony krasawicy dla Marka nie chcę— rzekła stara uparcie. — Co to warto? Będzie się za nią rozpadał, przylgnie do niej, rozleniwieje! Dzieci z niej przyjdą słabe, co je trzeba będzie powijać w jedwabie. Ja mojego w śniegum kąpała! Nie! nie!

Zadumała się stara macierz.

— Chyba ją przed nim schowam — dodała, — ale jak? Oko chłopca piękną dziewkę przez ścianę dojrzy.

Ksiądz nie chciał mówić więcej, i choć Jaksowa coś z niego dobyć usiłowała, zbył ją ni tem, ni owem. Została niespokojną, i jak na straży.

Życie na starym gródku zaraz się dla tych gości całkiem zmienić musiało. Co dawniej szło porządnie, wedle koguciego piania, i słońca, niczem nigdy niezamącone, teraz rwało się, wlokło, spóźniało, latało niewiedzieć po jakiemu. Petrkowej często trzeba było jadła, gdy wszyscy spali, a snu, gdy największa wrzawa była na grodzie.

Zresztą matka i córka, zamknięte siedziały same z sobą, bo Jaksowa, służbę im posyłając, sama nie miała ochoty zbliżać się do nich. Petrkowa, którą raz tylko widziała, jakiś wstręt w niej budziła. Wzdragała się do niej iść, potem ciekawość niewieścia ją brała i czuła pociąg do pięknego dziewczęcia. Chętnie by ją nieraz wezwała do siebie — wstydziła się i obawiała.

Ile razy ją spotkała, pomyślała o niej, zaraz jej syn na pamięć przychodził—nuż zobaczy? nuż rozgrzeje?

Zdarzyło się któregoś dnia, że Błogosławie, do jej sukienek zszarzanych i podartych igły i nici było potrzeba. A że służby natenczas przy nich nie było, wyszło dziewczę same szukać starej pani, choć z trwogą wielką, bo pomarszczona twarz była jej straszną. Jaksowa w swojej świetlicy siedziała nad robotnicami, gdy bojaźliwe dziewczę ukazało się na progu z rumieńcem na twarzyczce. Stara uśmiechnęła mu się, wabiąc je ku sobie i zawiodła do bocznej komory. Posadziła strwożoną na ławie, a co miała pod ręką: plaster miodu, chleb biały, orzechy, postawiła przed nią i przysiadła się do niej sama.

— Rybko ty moja — odezwała się, — jak ci na imię?—zapytała grubym swym zwykłym głosem, który starała się napróżno łagodniejszym uczynić.

— Imię mam Błogosława —cicho szepnęło dziewczę.

— Niechże cię Bóg twem imieniem błogosławi— rzekła stara. — Musiałaś się chować za kratą i bez słońca, boś biała jak śnieg i wątła.

Dziewczę spuściło oczy, łzy jej się z pod powiek toczyły ciche, bo dawne, lepsze przypomniała czasy.

— Tak — odezwała się, — pani matka i ja nie znałyśmy ani zimna, ani skwaru, ani słoty, dopóki... I łzy jej mówić dalej nie dały.

Jaksowa zlekka śliczną jej główkę do piersi przytuliła. Obudziło się w niej uczucie dziwne. Stęsknioną była za macierzyństwem, spragnioną wnucząt, zdało się jej, że jakieś dziecię własne przytuła do siebie.

— Nie płacz — odezwała się, — łzy nie pomogą, a oczów twoich szkoda; jeszcze one lepsze czasy zobaczą.

Nie śmiała już pytać o więcej i dziewczę mówić nie śmiało; poprosiła o to, co mieć chciała i uciekła.

Ale dobra znajomość między staruszką a dziewczęciem była zrobioną. Gdy matka jej spała, Błogosława wyrywała się czasami do Jaksowej, bo się polubiły bardzo. Pod opieką tej mężnej niewiasty dziewczę czuło się bezpieczniejszem; zdrętwiałej staruszce oddech świeży tego kwiatka życie i czucie przywracał.

Rozmowy ich były urywane, bo jedna nie umiała mówić wiele, druga nie miała odwagi. Dopiero gdy się tak zwolna, trwożliwie, ostrożnie zbliżyły do siebie, Błogosława więcej ośmielać się zaczęła.

I jednego wieczora, ot tak w rozmowie — wypowiedziało dziewczę, że była córką Petrkową. Usłyszawszy to, Jaksowa ręce załamała w milczeniu, nie powiedziała nic; ale nie nabrała przez to wstrętu do biednej.

O losie ojca córka nic jeszcze nie wiedziała, a tu już wieści doszły o oślepieniu, okaleczeniu okrutnem i wygnaniu. Jaksowa jej o tem nie powiedziała, tylko gdy dziewczę płakało, bolejąc nad zgonem ojca, bo go za zabitego miano—odzywała się:

— A może też ojciec wasz nie umarł. Czekajcie, aż nieszczęście przejdzie, nie wyprzedzajcie go, gdy o tem nie wiecie. Ludzie mówią, że mu żywot wyproszono— i na wygnanie skazano tylko.

Zaczęła się o te pogłoski rozpytywać Błogosława, ale Jaksowa sama ich nie będąc pewną, nie chciała próżną karmić nadzieją.

Gdy po tej rozmowie dziewczę wyszło, stara przed ogniskiem stanęła, jak słup zadumana, z usty zaciętemi i pytać się zdawała losu, jak zrządził i dla czego jej rzucił w dom tę właśnie, której dla syna nie chciała? Miałoż to być przeznaczeniem?

Wprawdzie teraz, gdy Petrek przestał być onym wielmożą i panem, nie tyle się go już lękała Jaksowa, ani doń wstręt miała tak wielki, boć za grzech odpokutował; a jednak zawsze dla syna pragnęła innej, czegoś, czego sama oznaczyć nie umiała, nie tej dziewczyny z mgły i promieni utkanej, wątłej i słabej...

Troskała się już wielce, a nuż Jaksa przybędzie? Gdy ją zobaczy, gdy się miłość rozbudzi, — co uczynić z nim? będzieli miała siłę się oprzeć?

Gdy się to działo, Jaksa tymczasem wiódł Petrka do bezpiecznego schronienia. W drodze wierny ten towarzysz niedoli, dla ojca i syna stał się jakby dzieckiem i bratem. Los ich zrównał; Jaksa teraz był dla nich dobroczyńcą i podporą. Przedzierając się przez puszcze, w obawie, aby ich nie poznano i nie pochwycono, błąkali się długo, omijając gościńce wielkie i nierychło w Płocku stanęli. Tu Jaksa mógł go już zdać książętom młodym w opiekę, bezpiecznym będąc o niego. Ale wnet nie-

pokój go ogarnął o Petrkową i Błogosławę, o których losie nie wiedziano. Sam palatyn codzień, co godzina niemal miał imiona ich na ustach.

Jednego dnia sam Jaksa odezwał się, słysząc bolejącego Petrka:

— Pozwólcież mi, ruszę za jej miłością i za dzieckiem waszem, aby się choć dowiedzieć, co się z niemi stało. Pewien jestem, że wam o nich dobre przyniosę wieści.

Petrek, który teraz dla skaleczonego języka mowę miał bełkoczącą i mało jej używał, na ramiona mu się rzucił z radości.

— Tyś dziecko moje! Drugim mi synem jesteś— zawołał. — Radbym, abyś to uczynił i lękam się o ciebie; chcę, byś jechał, i boję się! Czyń, jak sam osądzisz; jedź, ratuj ich! Bóg ci zapłaci i ja nie zapomnę... Odetchnę lżej, gdy się dowiem, co się z niemi dzieje.

Jaksa natychmiast sposobił się do podróży, a gdy żegnać się przyszło, Petrek go z uścisku długo nie puszczał. Żal mu go było, bo się do niego przyzwyczaił, pokochał, i dla Światosława też miał w nim najlepszego towarzysza... Więc się żegnali, a rozstać nie mogli, a gdy już jechał, patrzali nań u wrót długo, dając znaki.

Na dworze młodych książąt tę miał pociechę skaleczony, który dla nich cierpiał, że go tu szanowano, jak ojca, a opiekowano się nim troskliwie. Młodzi książęta go nie odstępowali, starsi doń przychodzili po radę, obie księżne czuwały nad starcem, by mu na niczem nie zbywało. Petrek, jeżeli dawniej nie potrzebował wiele dla siebie i żył poprostu, teraz, gdy go dotknęło to, co za karę Boga domierzoną uważał, za pokutnika się mając, surowszy jeszcze żywot prowadził. Znaczną część dnia spędzał w kościele, do którego szedł z oczyma chustą zawiązanemi, przez syna wiedziony, surowe odprawiał posty, a powtarzał, że łaskę Bóg uczynił mu wielką, zasłużoną karą na tym go dotknąwszy świecie.

Los palatyna zgrozą przejął wszystkich i przyczynił się głównie do tego, że duchowni wszyscy za młodemi książęty przeciwko Władysławowi głośno się

oświadczyli. Arcybiskup sam zbierał ludzi, aby z niemi iść w pomoc uciśnionym.

Wojska z obu stron ściągały się ku Pilicy, gdy Jaksa wyruszył z Płocka, skąd młodsi książęta i księżne dwie, w obawie, aby ich tu ks. Władysław nie pochwycił, mieli ciągnąć do warowniejszego Poznania. Bliżej też tu byli arcybiskupa gnieźnieńskiego, na którego pomoc duchowną i orężną rachowali.

Jaksa śpieszył, jak zawsze, przedzierając się na oślep lasami, a bacząc tylko, aby się w ręce nieprzyjaciela nie dostać. Dobił się tak naprzód szczęśliwie do Wrocławia, gdzie się spodziewał dostać języka. Lecz tu trafiło się właśnie, że i biskupa nie znalazł i opata nie było, a inni nie wiedzieli, albo mu o schronieniu Petrkowej mówić się nie ważyli. Czekać nie chciał, a spuszczając się na własną przebiegłość, gdy pochwycił ślad, którędy Petrkowę wieziono, ruszył, przepytując, dowiadując się, idąc szlakami, jakie mu ludzie wskazywali.

Zadziwiony był w ostatku mocno, gdy go przepytywanie to wprost na jego własny Komorów wywiodło. Nie wierzył jednak jeszcze, żeby się to wistocie stać mogło, czego najmocniej pragnął. Na mil kilka od zamku rodzinnego ślady niewiast znikły zupełnie. Jaksa zniechęcony i znużony, widząc się już tak blizko matki, nie mógł się wstrzymać, aby nie pojechać do niej. Potrzeba też była wielka i gród ubezpieczyć w te czasy niespokojne i ludzi swych pościągać, aby z niemi potem iść w pomoc młodym książętom.

Na grodzie stara matka, choć wzdychała za nim, nie śmiała się syna spodziewać, gdy jednego wieczora u wrót Jaksa zatrąbił po swojemu i po głosie natychmiast go wszyscy poznali. Rzuciło się, co żyło, naprzeciw niemu, a najpierwsza matka, zapomniawszy o wszystkiem, byle go coprędzej uścisnąć.

Mrok już padał. Jaksa znużony był; zdziwił się, gdy matka, zamiast go wprowadzić do świetlicy, którą on dawniej zajmował, powiodła go do siebie. Chciał do zwykłego kąta swojego zawrócić, ale rzekła mu zakłopotana nieco, aby tam nie szedł, bo gości ma.

— A jacyż to?—zapytał Jaksa.

— Niewiasty dwie biedne uciekające przyjąć musiałam—odparła matka.

Tknęło to Jaksę, że mu imienia ich nie powiedziała.

— Niewiasty? A skądże one przybyły?

Stara smutnie zmierzyła go oczyma; jakaś zazdrość obudziła się w jej sercu.

— Co ci tam do obcych niewiast! — zawołała chmurno.

Młodemu już się roić zaczynało, że Petrkowa być tu mogła; ta myśl jak ukropem go oblała. Stanął drżący cały.

— Darujcie mi, kochanko matko moja!—rzekł.—Życie moje stawiłem, ratując Petrka. Odprowadziłem go okaleczonego do Płocka, a teraz gonię za żoną jego i córką, abym go o ich losie uwiadomił. One to u was być muszą, nie kto inny!

Rozgniewała się stara i poruszyła groźno.

— To są! są! — odparła, — ale tobie dziś nie o nich myśleć, tylko o matce, bo ta ci pierwszą być powinna.

Jaksa zamilkł i poszedł za nią, zmieniony zupełnie, pokorny, ale milczący. Matka nie wytrzymała długo, sama rozpoczęła rozmowę o niewiastach i żaliła się.

— Tak — rzekła — przywieźli mi je tu, te pieszczone kukiełki, na które zdala chuchać trzeba. Nieszczęśliwemu dachu odmówić się nie godzi, a baby te ciężą mi. Dziewczyna piękna, a wątła i słaba; tylko mi nie patrz na nią!

— Matusiu serdeczna — przerwał Jaksa — późna twa rada; widziałem ją nie raz, ale sto razy, a co się ze mną stać miało, to się stało. Miłuję ją bardzo, miłuję strasznie; teraz, gdy Petrek wygnańcem jest, spodziewam się ją dostać.

Wyrzekł to śmiało i stanowczo; matka odwróciła się nagle zagniewana, ale nie odpowiedziała nic. Jaksa poszedł ku niej; odepchnęła go od siebie. Odstąpił i przysiadł na ławie smutny, gdy stara po chwilce

przystąpiła doń, głowę rękami objęła i poczęła całować. Starej nieznane łzy kręciły się pod powieką. To odpychała syna, to przyciągała go ku sobie — naostatek odtrąciła i poszła do ognia zadumana.

W tejże chwili, nie wiedząc może o niczem, czy też domyślając się, wbiegła do izby Błogosława. Stara chciała jej zastąpić drogę — zapóźno! Wbiegła wewnątrz i zobaczywszy siedzącego Marka, krzyknęła:

Jaksa się zerwał ku niej; stanęli naprzeciw siebie w niemem zachwyceniu, któremu słów zabrakło.

Staruszka spoglądała na nich z boku, aż gniewna wpadła między nich, aby ich z tego osłupienia wyprowadzić.

— Pozdrowienie wam od ojca waszego przywożę— odezwał się Jaksa.

Dziewczę usłyszawszy ojcowskie imię, przebojem rzuciło się ku Jaksie.

— Ojciec! żyje więc ojciec? — zawołała. — A chodźcież co prędzej do matki, poświadczcie to żywem słowem, pocieszcie ją! Żyje ojciec! Bóg niech będzie błogosławiony.

Ze złożonemi rękami padła pośród izby na kolana.

Jaksa, który w prostocie swej, nawet dla pocieszenia tych, których kochał, kłamać nie umiał, dodał wnet:

— Żyje ojciec wasz okaleczony okrutnie, ale żywota już bezpieczny. Ze Światosławem obaj odprowadziliśmy go do młodych książąt do Płocka.

Zakrzyknęło znowu z radości dziewczę, posłyszawszy o bracie. Stara Jaksowa już teraz nie mogła nic, bo zapominając na wstyd wszelki, Błogosława chwyciła Marka za suknię u ramienia i ciągnęła go gwałtem do matki.

— Chodźcie! zlitujcie się! chodźcie!

Nie sprzeciwiając się, odstąpiła Jaksowa, ale z brwiami namarszczonymi, mrucząc groźno, że jej syna zabierano. Szła wieczerzę sposobić dla dziecka, łając dziewczęta i rozpędzając je gniewnie.

Przez sień tylko przejść było potrzeba do komnaty, w której Petrkowa cały ten czas więcej leżała, niż siedziała. Złamana niedolą swoją, bezwładna, większą część dnia spoczywała z głową, osłonioną chustami, jęcząc i wyrzekając.

Gdy na próg wpadła Błogosława, ciągnąc Jaksę za sobą i wołając:

— Żyje ojciec! żyje! — porwała się z posłania Marya, odrzuciła chusty, spojrzała na Jaksę, którego nie bardzo lubiła, jakby przeczuciem, że jej miał córkę odebrać i pytać zaczęła szybko:

— Gdzie? Co się z nim stało?

Jaksa nie zataił nic, opowiadając wszystko, czego był sam świadkiem. Płakała znowu Petrkowa, słuchając, a wtrącając pytania o syna, o ludzi, o skarby, potem wołać zaczęła, rwąc się z pościeli, jak nieprzytomna, że natychmiast stąd chce jechać do męża.

Córka, ująwszy ją rękami, zaledwie mogła uspokoić.

— Miłościwa pani — rzekł Jaksa — nie może to być abyście teraz z zamku ruszyli. Ja sam ledwie się tu żyw dostałem; poganie dzicy i wojska Władysławowe wszystkie ziemie zalewają. Życia ani wolności nie bylibyście pewni. Czekać tu potrzeba, aż się wojna uśmierzy. W oblężonym grodzie, Płocku, czy Poznaniu lepiejby wam nie było, ani bezpieczniej, niż tu, gdzie my, gdyby i dzicz nadpłynęła, zawsze się obronić potrafimy.

Z mowy jego dopiero, gdy się szerzej począł tłumaczyć, dowiedziała się Petrkowa, iż jest u matki Jaksowej, i — zamilkła zaraz zdziwiona, a prawie przelękła.

W owych czasach obyczaje były inne — lękała się o córkę, aby ją jej siłą nie wzięto. Złagodniała więc dla Jaksy.

Po długich pytaniach, na które Marek odpowiadał coraz nowemi szczegółami, puszczono go nareszcie do matki. Wyszedł smutny i znękany, i widokiem Błogosławy tak przejęty, że sobie rzekł, iż gdy mu ją sam Bóg dał i do grodu przyprowadził, nie odda jej już nigdy i nikomu, choćby za nią i wojnę toczyć przyszło.

Z tą myślą w duszy, do izby powrócił i myśl tę

pewnie Petrkowa odgadła, gdy się strwożyła, dowiadując, gdzie się znajduje.

Jaksowa chodziła chmurna jak noc, krzątając się niby koło wieczerzy. Gdy wszedł, nie odezwała się do syna; usiadła na ławie naprzeciw niego, sparła na łokciu i patrzała w twarz swojego dziecięcia.

— Hej! — odezwała się, długo przemilczawszy — myślałam, że ci się zatęskniło do starej matki, a tyś gnał na złamanie karku, nie do mnie, ale do tych kukieł białych! Nie kłam przede mną, wiedziałeś, że one tu są; nie dla mnieś tu jechał, a do nich!

Jaksa poczuł się mężem i odrzekł śmiało:

— Usta się moje nigdy łżą nie zmazały — nigdy! nigdy! Szukałem Petrkowej, nie taję, alem nie wiedział, że tu jest. Do ciebie mi serce tęskniło jak zawsze.

Matka wskazała ręką w stronę izb naprzeciwko.

— A do tamtej, do tamtej to ci się nie tęskniło?

— Nie skłamię, tęskniłem i za nią, tak już musi być, bo w tem wola Boża.

Stara wstała od stołu. Milczeli oboje. Nie mówiąc nic, puściła syna spać.

Gdy w komorze legł Jaksa nim mógł pomyśleć co ma czynić z sobą, ze znużenia wielkiego sen go ogarnął. A że kilkoro nocy spędził drzemiąc tylko na siodle, lub pod drzewem, gdy raz padł na posłanie, objęła go żelazna moc snu i trzymała do rana.

Matka już budziła prządki i ogień rozpalać kazała, a on jeszcze jak legł na jednym boku, ciągle kamiennym snem odpoczywał.

Dzień dopiero biały powieki mu otworzył. Nim ruszył z posłania, rozmyślać począł.

— Co tu pocznę? Nie godzi mi się zostać, a nie chce się jechać? Co pocznę?

Tak dumając a przewracając, doczekał się, aż mu matka sama polewkę przyniosła; spojrzał na nią z obawą. Twarz miała smutną i uśmiechniętą.

— Pij i jedz — rzekła — nie dąsaj się; jam ci nie wrogiem, tyć dziecko moje...

Pocałowała go w czoło.

— Niech się dzieje wola Boża.

— Matuś rodzona! — rzucając się jej na szyję, zawołał Jaksa. — ty mnie kochasz, ty mi tego nie wzbronisz!

— Albo ja ci bronić mogę? — poczęła stara. — Ja? Tyś mężczyzna nie dziecko, ani się pytać powinieneś o cudzą wolę, tylko swoją mieć. Plunęłabym na ciebie! Jeno wiedz, weźmiesz słabą łatkę, tylko łzy z nią, bo to sił do życia, ani do szczęścia nie ma! Nie daj Boże! A no — Bóg z wami!

Nie mówili więcej; odeszła prędko. Jaksa dumał, chodząc, dzień cały. Błogosława nie pokazywała się do południa.

Żyć tak z nią na zamku, stać na straży, łapać wejrzenia, zapominać o wszystkiem, nie myśląc jeno o sobie, błogo było, ale się nie godziło rycerskiemu dziecku. Z południa poszedł Marek do Petrkowej i rzekł:

— Muszę stąd z moimi ludźmi ciągnąć do książąt i do pana Petrka; może mi co do niego nakażecie? Pomyślcie, abym miał co odnieść.

Błogosława spojrzała nań, rumieniąc się.

— A kiedyż w tę drogę? — zapytała Petrkowa.

— Bylem ludzi moich zgromadził; dziś po nich wyślę zawołanie, za kilka dni pewno pociągnę — rzekł Jaksa, wzdychając.

Od Petrkowej poszedł do matki, mówiąc:

— Ciągnąć mi trzeba, nie może być inaczej.

— Wiedziałam ja, że trzeba — odparła. — Wojna, to darmo wojakowi za piecem siedzieć srom, kisnąć tu z babami niezdrowo. Jedź — wypędziłabym cię sama. Nie czas się tu miłować, kiedy drudzy giną.

Tegoż dnia po włościach Jaksy do Miechowa i za Miechów biegli dziesiętnicy i sotnicy na wojnę wywołując lud zdatny i pędząc do Komorowa. Kupami przychodzili z siół młodsi zbrojni, ale jak to czasu takiej wojny być musiało, licho i po domowemu, w siekiery i oszczepy. Z leśnych osad mieli niektórzy łuki, niektórzy tarcze lipowe, kaftany skórzane, reszta kożuchy proste, pałki nasiekiwane. Więc, co było na zamku broni z da-

wnych czasów, zaczęto lepszym rozdawać, stanowiąc starszyznę, dziesiętników i obozowe straże. Stara Jaksowa sama szła patrzeć i gromadom piwo wytaczać kazała. Rada teraz była z syna i dumna nim.

Dopiero gdy sami się z sobą znaleźli wieczorem, a opowiedział jej Jaksa, bez przechwałek, ale szczerze, jak się mężnie księciu stawił, aby Petrka ratować, jak się ważył wszędzie, życia nie szczędząc, gdzie powinność kazała — całować go poczęła w głowę, ściskać, twarz jej chmurna rozjaśniła się radością.

— Idź tak dalej! — zawołała. — Ojciec twój takim był; tobie się innym być niegodzi!

Ostatniego dnia, gdy już z zebranymi ludźmi ciągnąć przychodziło, nadjechał ks. Marcin. Słyszał on już o tem, co się działo w Komorowie, chciał się przypatrzeć o zyma własnemi.

Stara, zobaczywszy go, poszła na przywitanie z uśmiechem dwuznacznym, wskazując na drzwi, za któremi siedziała zamknięta Petrkowa.

— Wyście to mnie, ojcze, biedy tej naprowadzili!

— Ja się tego nie wypieram — rzekł ks. Marcin; — wyście się nadąsali, a może się już i cieszycie?

— Co mam robić — odezwała się Jaksowa po swojemu — muszę syna słuchać, gdy męża nie mam! Ale ani on, ani ja długiej z tego pociechy mieć nie będziemy!

— Jam tu przybył nie o tem z wami rozprawiać — odezwał się ksiądz — ale radzić, kędy ciągnąć. Książęce Władysławowe wojska są wszędy, dzicz po gościńcach potokami płynie. Bić się z niemi samemu nic potem; trzeba do kupy się zbierać, a jak się nasz dostanie do gromady?

Nadszedł właśnie Jaksa i księdza w rękę pocałował.

— A lasami! — rzekł krótko.

— Byle wam ich starczyło — odparł ks. Marcin — i byleście w porę nadążyli, bo siły się pościągały nad Pilicą i bitwa za pasem.

— Więc dniem i nocą ku Pilicy pociągniemy —

rzekł Jaksa. — Bóg da, że w porę staniemy, aby Władysława bić i gnać.

Ks. Marcin pokiwał głową.

— Któż wie, kogo pobiją? — rzekł cicho. — Pogan wam życzę przeciw sobie mieć, nie Władysławowych ludzi; a nuż Jaksa na Jaksę następować będzie musiał i brat się potykać z bratem? Niedobra ta wojna, odwróć Panie! Prosty lud i w dwu siołach sąsiednich nie poczuwa się do jednego rodu, ale wy, rycerscy ludzie jednego zawołania, co poczniecie?

— Bóg łaskaw — odezwał się Jaksa; — my może nic poczynać nie będziemy potrzebowali, bo co jest poczciwych, staną po stronie książąt, a Władysław zostanie z najemnikami swoimi.

— Amen! — zamknął ks. Marcin.

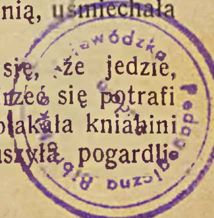
Gdy przyszło wsiadać na koń, poszedł Jaksa raz jeszcze do Petrkowej żegnać się. Stara matka oczyma tylko powiodła za nim, mrucząc:

— Niech już czyni, jako chce!

A było to żegnanie osobliwe, bo w niem narzekania więcej niż dobrych słów, Jaksa posłyszał. Pieszczonej niewieście wszystko to w niesmak szło, czem ją karmiono, jak cieszono, przez co los jej osładzać chciano — za każdą więc sposobnością skarżyła się tylko i bolała nad sobą. I teraz, zamiast poleceń do męża, rozwodziła żale nad dolą własną.

Płakała za utraconą wielkością swą, po życiu przeszłem i wszystkiem, co je przypominało. Nie lubiła szorstkiej męskiego ducha gospodyni, nie podobał się i syn, ni ten stary dwór, w którym znalazła przytułek. Wszystko dla niej szło opak, a że córka była z nią zawsze, na Błogosławę spadały łzy, żale i kwasy nieszczęśliwej. — Błogosława milcząca znosiła wszystko, i ażeby nie pokazać, że cierpiała, gdy obcy patrzali na nią, uśmiechała się smutnie.

Gdy Jaksa przyszedł opowiedzieć się, że jedzie, a dodał, że może do Pana Petrka przedrzeć się potrafi i zaniesie mu, co poleconem zostanie, zapłakała kniahini podniosła głowę, białemi ramionami ruszyła, pogardli-



wie. Zdawało się, że nic nie miała do nakazania biednemu ślepcowi, na którego narzekała ciągle, że z winy jego w to nieszczęście popadła.

Błogosława widząc, że matka milczy, odezwała się cicho:

— Powiedzcie ojcu, niech nas do siebie zabierze, radabym ja i matka z nim i Światosławem być.

— Dziś to niemożliwe — rzekł Jaksa. — Wiecie, że przez zwojowane ziemie przedrzeć się trudno. Da Bóg lepszy czas, uczynicie jak wola. Przebaczcie, jeśli wam tu u nas niewesoło i niezaciszno, i niemiło może. Cóż robić? Myśmy z matką do prostego życia nawykli.

Petrkowa nic nie odpowiedziała, poruszyła głową, rozpłakała się, rzuciła ręką, zakryła oczy i pochyliła się na poduszkę. Jaksa spojrzał na dziewczę oczyma błagającemi — zarumieniło się.

Matka widzieć nie mogła, wyciągnęła mu rękę i ścisnęły się ich dłonie, bez słowa, w milczeniu.

— Wracajcie, wracajcie zdrowi! — szepnęła po chwili Błogosława. — Niech was Bóg prowadzi i odprowadza. Modlić się będziemy.

Głos zamarł jej w piersiach, zakryła oczy.

Jaksa wysunął się z izby. A gdy siadał na koń, obejrzał się jeszcze ku dworowi i w okienku mignęły mu włosy złote. Ludzie już wrotami tłumnie ciągnęli w pole za chorągwią białą.

VII.

W gospodzie pod Wrocławiem letniego wieczora pełno było, gwarno i szumno. Po nawałnicy wielkiej deszcz padał od godzin dwu, więc ktokolwiek tędy jechał z miasta, czy do miasta, zajeżdżał schronić się pod szopę, bo cię rychło rozpogodzenia spodziewano.

Po skwarze długim ulewa ta przyszła dla ludzi,

jak błogosławieństwo, przynosząc z sobą woń drzew i traw odświeżonych, orzeźwione powietrze, trochę chłodu i jakby wiosenne tchnienie.

Cieszyli się nią wszyscy, ci nawet, co od niej przemokli uciekli i ci, których siano na pokosach leżało, najwięcej ci, którym w podróży dokuczył upał i pył gościńca.

Stary Mikuł, żona jego Samicha, stary gęślarz wędrowny, znowu się tu znaleźli, jak przed rokiem, tylko nie tak milczący i zaspani. Był i kmieć ów, Tychon, powracający znowu z Wrocławia, nie z przewodu, ale z targowicy, było innych ludzi wielu, rycerskiego zawołania kilku, czeladzi różnej dość, kupca tylko żadnego, bo od tego czasu, jak ks. Władysław wziął się do wojny przeciw braciom, Rusi i Połowców naściągawszy nie ważyli się z żadną kupią do Wrocławia bezbronni handlarze, których siła po drogach Połowcy pozabijali i z mienia poodzierali.

Gościnny dwór we Wrocławiu przy rynku pustował dawno, a w bramach stróże spali, nie mając od czego brać opłaty.

Wśród tego tłumu, podzielonego na gromadki, znajdował się także dawny nasz znajomy, otyły, rumiany, rubaszny ojciec Maur, czekając, rychło-li deszcz ustanie, wyglądając coraz przeze drzwi, bo mu ciżba ta nie smakowała i nie miał się z kim rozgadać, gdyż po większej części, w gospodzie byli ludzie prości. Ten i ów przyszedł go milczący pocałować w rękaw i odchodził, odebrawszy błogosławieństwo.

Wtem od słoty obmokły jezdny jakiś opończą okryty, zbrojny dobrze, na koniu podbiegł do drzwi i począł wołać gwałtownie, aby mu parobcy konia wzięli, bo sam już z niego zsiadał. Widać po nim było podróż długą i pośpieszną. Na koniu i na nim dosyć było osiadło pyłu, który deszcz zmienił w błoto. Suknie miał poszarpane, a wpatrzywszy się, dostrzedz było można na odzieży jego ślady strzał i cięć, jakby z niedawnej walki wyniesionych.

Młoda twarz, acz zmęczona, ożywiona była jakąś

radością promienistą, w głosie jego brzmiała wewnętrzna uciecha.

Wszedł na próg, okiem rzucił w głąb na ludzi, a tuż mu się i ojciec Maur nawinął. Ten się z ciekawością prawie natrętną zbliżył do niego. Podróżny go witał, a mnich przypatrując mu się, wołał:

— Ale na Boga wielkiego, ja was znam! Gdzieżeśmy się to widzieli, bo nie pamiętam!

— I ja nie wiem — odparł podróżny. — Może we Wrocławiu za innych czasów, gdy tam nasz palatyn Petrek tak jak panował. Wszak pewnie od Świętego Wincentego jesteście, ojcze?

— Pewnie! skądżebym był? To zgadnąć łatwo. Jeśliśmy się gdzie widzieli na tym świecie, to nie gdzieindziej, tylko około opactwa, koło którego my jak pszczoły koło ula brzęczymy.

Wtem uderzył się ojciec Maur w czoło.

— Ale, czekajcież! Nie pamiętacie? Tu, w tej gospodzie zjechaliśmy się ze starym Zaprzańcem jednego wieczora. Nie wy to byliście?

— Jam był, przypominam sobie — odezwał się podróżny.

— Od tego czasu wody dużo upłynęło! — zawołał ksiądz.

— O, i krwi! — dodał podróżny.

To mówiąc, obejrzał się dokoła i w głąb gospody, kędy stali ludzie zbrojni, trochę nieufnem mierząc ich okiem. Mnich przypatrywał mu się, badał go wzrokiem pilnym i coś poszeptywał.

Wtem na gospodzie, gdzie ciżba była narodu wszelkiego, wszczął się gwar wielki; zaczęli mu się przysłuchiwać oba.

Tychon, kmieć głośno prawił, ręce powkładawszy w kieszenie.

— A mnie tam co do tego, kto nad nami będzie, panował! Ten czy drugi zawsze ze skóry drzeć będzie, bo nasza kmieca skóra na to jest. Im mniej tych, co jej potrzebują, tem ona calsza. Jak nam książę Władysław jeden królować będzie, a resztę wyżenie precz, tem ci

lepiej. Choć odetchniemy, póki małe książątka nie podrosną.

Drudzy patrzali na kmiecia koso, ten zaś prawił śmiało:

— Jakby i tych biskupów, klechów i mnichów — dodał, wskazując na o. Maura — przetrzebili trochę, a mniej się ich zostało, nie szkodziłoby to kmieciom nic.

Mruknął ktoś z kąta, wszyscy słuchali w milczeniu, ale ramionami ruszano.

— Ino na ojców nie mówcie nic — odezwał się jeden; — jest z nich korzyść, bo rozumu i Pana Boga uczą, drzewa i zioła sadzą, sieją zboża nowe i rzemiosła zaprowadzają.

— Jakby my wprzódy, za dziadów naszych — odezwał się rozochocony kmieć — ani Boga, ani rozumu nie mieli! A im i za Pana Boga i za to, co uczą, płacić trzeba, dziesięcinę dać, służbę odprawiać, stróże posyłać, ba, i....

Tu głową dziwnie pokręciwszy, rozśmiał się i nie dokończył. Niektórzy zrozumiawszy go, głośnym mu śmiechem odpowiedzieli.

— E, e! — zawołał drugi od stołu — prawcie wy sobie co chcecie! Pogany nam kraj zalały, zjedli nas i stratowali, te chrząszcze czarne, co ledwie ludzką twarz mają. Wojna! Niechby nasz pan wojował ze swoimi, a to wszelkiego paskudztwa nawiódł, że się nam trupami i popieliskami ziemia zasłała. Niemcy gdy najadą, złe i dzikie, Węgry gdy przyjdą, okrutne, Czechy, choć naszą mowę mają, jak zwierz nas żrą i szarpią, ale ci, co ich tu teraz licho nagnało, gorsi od tamtych wszystkich— stado wilków wściekłych i głodnych!

— Wszyscy oni jednakowi — odparł Tychon — tylko, że oto dziś tego plugastwa więcej, gorzej nam dojada. A kiedy się to skończy!

— Hę? Nie bójta się — odezwał się jeden ze zbrojnych—skończy się to rychło, da Bóg. Nasz książę Władysław dopiero rozpoczął, jeszczeście nie kosztowali, co on wam gotuje. Połowy tego nie było, co będzie, ale potem — odpoczniecie!

— A, Chryste broń! — zawołał Mikuł, ręce podnosząc do góry.

— A toć was stłukli na miazgę pod Pilicą — odezwał się ktoś z tłumu — uciekaliście wy i książę, jak myszy przed kotem, nie bądźcież butni!

— Co za dziw, że nas pobili pod Pilicą? —krzyknął jeden ze zbrojnych. — Ziemianie księcia zdradzili, ilu ich jest, wszyscy zdrajcy, z książęty trzymają. A czemu? Bo książątka młode, jak zechcą, za nosy wodzić będą, a naszego starszego księcia i Agnieszki nie potrafią. Toć młodych wolą; zamiast coby oni panowali, ziemianie im będą przewodzić.

— No, a godziż się to — przerwał jeden z gromady, mieszczanin z Wrocławia — ażeby po królu nieboszczyku jeden zabierał wszystko, a drugim nie dał nic? Gdzie to kto widział, aby starszy brat młodszych ograbiał i wypędzał?

— Albo co? — przerwał Tychon — a małoż się tego widziało? Kto siłę ma, ten dusi, swat czy brat, choćby rodzony ojciec, jak się nie obroni, won iść musi! Niechby małe książątka sobie jechali za siostrunią do Niemców — nam i jednego dosyć. Wojnaby się skończyła.

— Pewnie, że skończyłaby się — dodał jeden ze zbrojnych. — Nasz pan jej nie winien; opuścili go wszyscy i obcymi musi własne dziedzictwo zdobywać.

— Ani on je będzie widział! — zawołał ten, co wprzódy mówił o porażce pod Pilicą. — Pobili was raz, pobiją dziesięć razy! Nie zawojujecie tych ziem! Któż z wami? Sami obcy księża biskupi i ojcowie na was bij, zabij; juści oni wiedzą, gdzie sprawiedliwość!

— Eh! — zawołał żołnierz. — Biskupi i mnichy pójdą z tym, kto zwycięży. Oni do wojny niezdatni, my się ich nie boimy.

— Na! na! — przerwał towarzysz pierwszego, zbrojny także — to nieprawda. Ho! ho! mają oni czary wielkie i siły w rękach: więcej mogą, niż pułki całe. Czyżeście to nie słyszeli, co było niedawno: ksiądz wyszedł

na pagórek, ino ręką machnął, sotnie się powaliły na ziemię, jak kosą podciął.

— Że oni coś znają, to pewna — potwierdził Tychon, który między rozprawiającymi rej wodził. — Znają wiele i są czarnoksiężnicy. Z nimi się zadawać niezdrowo!

W tem z ciżby ktoś zawołał:

— A jakże tam było pod Pilicą? Dużo natłukli?

— Natłukli dosyć — rzekł żołnierz — i rozbiegło się i porozchodziło dużo. A co to ma do tego? Teraz już wszystko naprawione. Było kilka tysięcy tych czarnomazów, teraz jest ich chyba kilkadziesiąt. Ćma niepoliczona. Gród za grodem się poddają — ino jeden jeszcze podobno został. Jak ten weźmiemy, wojna skończona, książąt nie stanie, a ojcowie księża nam się pokłonią.

— Jakiż to tam gród się trzyma? — zapytał inny.

— Poznań! — rzekł zbrojny.

Gdy się tam rozmowa toczyła, przerywana śmiechami i wykrzyknikami, ojciec Maur słuchając jej potrosze, że mało rozumiał, odciągnął na bok przybyłego.

— Prawdaż to, co ci ludzie tam plotą? — zapytał.

I widząc, że podróżny się zawahał, dodał zaraz:

— Przede mną wy mówić możecie; wiecie, że my wszyscy Petrkowi jesteśmy słudzy, z księciem Władysławem nie trzymaliśmy nigdy i — da Bóg, trzymać nie będziemy. Prawdaż to, że pogaństwa ćmy płyną znowu?

— A, prawda! — odparł młody spokojnie, — ale one płyną i rozpłyną się, rozbiją się o Poznań, jak fale o skałę.

— Gród-że to tak mocny? — zapytał mnich.

— Mocen ci jest! — dodał młody — ale tem, że ma w sobie ludzi mocnych. Arcybiskup gnieźnieński i wszyscy panowie biskupi z nami. Jadę po ks. Janika.

— A u nas prawią, że Władysław już wszystkie ziemie opanował, i że nadziei wybawienia od niego niema.

Podróżny wzgardliwie ruszył ramionami.

— Tak to wygląda dla tych, co bliżej rzeczy nie baczą — rzekł. — Książę Władysław, prawda, owładnął wielu zamkami, a że mu bracia ustępowali, na Poznań ciągnie, ale tam go koniec czeka.

Mnich spojrzał niedowierzająco.

— Hej! hej! Czyżby tak było? pewna-li?

— A cóż w życiu ludzkiem pewnego?—odparł wzdychając, młody. — Mówię wam, co ludzie rozumni i poważni twierdzą — więcej nie wiem. Co Bóg da, On jeden świadom.

— A wy jedziecie po ks. Janika.

— Tak jest.

W izbie zaczynali się ścierać ci, co byli za ks. Władysławem, z tymi, co za młodszymi książęty ciągnęli, kłócić się już gotowali, a Tychon się śmiał.

— Dajcież pokój, trutnie — wołał ze swą butą kmiecą — a co wam po tem, czy jeden, czy dwu panować będzie? Byle wam kury niosły i pszczoły miód dawały, krowy się cieliły i na owcach wełna rosła. Nie wasza sprawa ani ich kochać, ni ich nienawidzieć. Byle wojna ustała; kto z niej wyjdzie cały? mnie wszystko jedno. Książę Władysław zostanie? — pokłon mu biję, będzie Bolko — padam na twarz przed nim, dadzą mi Mieszka — i ten dobry! Żaden poradlnego nie daruje. Co innego, gdyby żadnego nie stało! Hej! hej!

Potakiwało mu wielu, bo im się najrozumniejszym wydawał. Ojciec Maur słuchał, usiłując zrozumieć i niecierpliwiąc się, że nie wszystko pojmował.

Tymczasem deszcz nie ustawał jeszcze.

— Nie wiecie tam, ojcze — zapytał młody podróżny—co słychać o pani Petrkowej?

— Tyle tylko, że gdzieś bezpieczna siedzi w mysiej jamie — rzekł ksiądz. — Nasz opat, który wielkim jej przyjacielem jest, spokojny o nią, pewnie jej dobrze być musi. A wy o Petrku nie wiecie?

— Owszem, z książęty jest razem, a choć mu oczy wydarto, widzi, choć język urzezano, mówi!

Ojciec Maur ręce złożył.

— Cud Matki Boskiej! — zawołał. — Cud prawy!

A nie dlaczego innego Bóg nad nim miłosierdzie miał, tylko, że tyle klasztorów reguły ojca naszego Benedykta fundował... Za to mu płaci niebo. Ale jestże tak istotnie? Mówcie. Widzieliście go sami?

— Jako was widzę, ojcze mój — rzekł podróżny. Wypłynęło oko jedno, drugie cudem ocalało, język ucięty służy mu, mówi nim.

O. Maur stał w zachwyceniu.

— Relikwie miał przy sobie tak szacowne — dodał — jakich nikt nie posiada! One mu wyjednały opiekę i ocalenie cudowne.

— I jak on cudem ocalał — odezwał się młody podróżny — tak my cudem nad Władysławem i jego sprosnemi tłumami zwycięstwo odniesiemy wielkie.

— Amen! Amen! — dokończył mnich. — Wojna ta i nas już kosztuje dużo. Klasztorów kilka złupili poganie, kościołów popalili niemało, braci naszych brodatych poginęło wielu.

Deszcz powoli ustawać zaczynał. Do stojących we drzwiach zbliżył się ciekawy gęślarz, przypatrując się im, podsłuchując i dopominając jałmużny. Poznawszy księdza po sukni, wnet się cofnął, bo między śpiewakami ludowymi, sprawiającymi jeszcze jakby rodzaj potajemnego kapłaństwa a duchowieństwem nigdy zgody nie było. Gnano tych ludzi, podejrzanych o gusła i czary precz, pozbywano się ich zewsząd. Mimo to żadne wesele, chrzest, pogrzeb nie obszedł się bez tego, aby się tam nie wkradł choć jeden gęślarz i nie odprawił cicho jakiegoś obrzędu, nie odśpiewał pieśni, nie wziął należnej daniny.

Od czarnej sukni mnicha gęślarz, jak przestraszony, pierzchnął zaraz na stronę i usiadłszy na ławie zdala, brzdąkać nawet po strunach przestał.

Gwar się wzmagał w gospodzie, po piwie rozgrzani wszyscy prawili i opowiadali o tem, co kogo bolało. Jeden gromadzie opisywał, jak z sioła nad gościńcem uchodził.

— Widziałem ich sam na własne oczy moje — prawił — tych pogan z za morza. Lud mały, ogorza-

ły, śniady, włosa czarnego, ślepia wpadłe, jak u kreta, nosa mało co, gęby dużo, zęby ostre, białe, a choć to szatańswo drobne i wątłe się zdaje, mocne jest, jak żelazo. Kożuch wytarty ma ledwie na grzbiecie, łuk i strzały, kawał noża krągłego, konie małe, jak żaby, ale sunie się tego jak mrowia, jak gąsienicy i gdzie to przejedzie, zje, spali, stratuje, że źdźbła po sobie nie zostawi. A żrą bestye nawet padło. Jak naszli Osowiec, z którego kto żwawszy uszedł na błota i lasy, jak tam pół dnia stali, nie było i kołka w płocie. Kościół złupili, księdza obwiesili, dzieci z kolebek powyrzucali i pognietli— a gdy odciągnęli, nikt miejsca swej chaty nie odszukał. Czego zabrać nie mogli, to spalili... i poszli dalej.

Milczeli słuchający, grozą przejęci.

— A no dobrze wam tak! — zamknął zbrojny człek. — Po co ziemianie panu naszemu, Władysławowi, opór stawią? Po co? Albo zły pan?

— Tak, jak i drudzy — wtrącił Tychon — bo oni wszyscy do siebie podobni, ta tylko między nimi różnica, że jeden, co się objadł, odpoczywa, a ci, co głodni, więcej jedzą. Ja sytych zawsze wolę.

Mikuł, rozdając piwo, ciągle powtarzał:

— Aby już temu raz koniec był!

Słota się nareszcie skończyła, deszcz coraz drobniejszy przekrapiał, niebo miejscami odsłaniać się zaczynało; strzepnął opończę swą młody, zabierając się na koń wsiadać, mnich też wyjrzawszy, do odjazdu się sposobił.

Ten i ów z gromady szedł do koni, gospoda się wypróżniała. Na młodego podróżnego, rycerskiej postawy, którym, jak się czytelnicy domyślą łatwo, był Jaksa nasz, dwaj zbrojni książęcy ludzie zaczęli spoglądać ciekawie, szepcząc coś pomiędzy sobą. Odzież i broń wydawała się im snać podejrzaną.

Ten już się wybierał jechać, gdy oni też za nim wyszli do swych koni, i co rychlej na nie powsiadali. Jaksa właśnie na siodło skoczył.

— A wy skąd? — zapytał jeden z żołnierzy.

— A wam to na co? — odparł Jaksa.

— Bo my jesteśmy ludzie książęcy, którzy straż sprawiamy wedle grodu.

— Toć ja go wam przecie sam jeden nie opanuję!— odparł szydersko Jaksa.

— A cóż tu robicie? — badał natrętnie podsuwając się, starszy.

— Czyż to już ziemianinowi swobodnie po gościńcu jechać nie wolno? — spytał Jaksa.

— A no! a no! — wołał żołnierz — musi się przecie przed strażą wywieść, kto i co jest. Jam tu dziesiętnikiem. Teraz ziemianie różnie trzymają, oko na nich trzeba mieć.

Jaksa nie oglądając się już na nich i nie odpowiadając, ruszył z miejsca — ale obaj żołnierze tuż przy nim jechać zaczęli.

— Nie powiecie, coś zacz? — pytał dziesiętnik, do konia się przysuwając.

— Jadę do miasta, w mieście się opowiem, nie na gościńcu — zawołał Jaksa gniewnie.

Popatrzał na ich konie, jakby chciał obrachować czy od nich ujść potrafi. Szkapy mieli dość liche i pomęczone. Koń Marka był też drogą podbity, ale silnych nóg i bardzo skorych chodów.

Nagle więc wśród rozhoworu wyprzedzać ich zaczął nieznacznie. Skoczyli za nim truchta, nawołując.

— Stój tam! Słysz! Stój!

— Stójcie sobie, ja wam nie bronię — zawołał Jaksa. — Ja uczynię, co mi się zda, bo słuchać was nie potrzebuję!

Wtem konia ostrogą spiął i popędził. Żołnierze za nim. Ale znać było odrazu, że oni mu nie podołają.

Słysząc te żwawą rozmowę, co było w gospodzie, wytoczyło się patrzeć. Jaksa kłusował już bardzo śpiesznie, dwaj zbrojni gonili go, konie ćwicząc napróżno. Jednemu z nich szkapa nad miarę chłostana, znarowiła się, ogonem merdać poczęła ze złości, stuliwszy tylne nogi, a przedniemi hece wyprawiać i dęby stawać.

A im ją zajadlej siekł, tem uporniej stała, drugi tymczasem na towarzysza nie zważając, wysforował się na-

przód i pędził. Pogoń była osobliwego rodzaju, bo koń żołnierza zmęczony, ledwie na trucht mógł się zebrać. Jaksa zaś swego nie puszczając cwałem, na siodle się zwrócił twarzą do goniącego, kłusował powoli, śmiejąc się i odsadzał się od niego coraz dalej, choć nie bardzo śpieszył. Tamten zaś klął, a klął i swojego podjezdka i uparte zwierzę, które towarzysza jego w miejscu trzymało.

Zebrał się nareszcie na tęższego kłusa, gałąź ułamawszy, aby konia nią okładać, ale na wyciągniętego, jak Jaksie, nie stać go było, i Marek coraz się bardziej oddalać począł.

Wóz też ojca Maura, wyjechawszy z pod gospody, rączo ruszył gościńcem, bo miał spasłe konie klasztorne.

Tychon, którego żołnierze do pogoni chcieli zabrać, ani myślał się ruszać.

— Albom głupi! — wołał — wolę powracać do domu! Na gościńcu mnie do pogoni brać nikt nie śmie, okrom księcia samego. Co mi tam!

Jaksa w dali coraz znikał, nareszcie za wierzby nadc drogą się skrył. Tyle go widzieli.

W gospodzie było pełno śmiechu. Guślarz wyszedłszy na próg, stał i brząkał coś, a mruczał jakby sobie podśpiewywał.

Zbliżył się do niego jeden podpiły, i klepiąc go po ramieniu, rzekł, śmiejąc się:

— No — a wy, starowino, co myślicie? kto u nas będzie na wierzchu?

Guślarz począł wahać głową, palce po strunach biegały mu coraz żywiej.

— Sokół i sokolicha długo wróble jedli — począł podśpiewywać sobie, nie patrząc na pytającego— jedli i latali górą! Aż się wróble zbiorą kupą, za sokołem lecą, to ten dzióbnie, to ów dłubnie, pióra z niego lecą. A gonią, a gnają. Co się sokół zwróci, to wróbel upada, ale cztery stada, gromada nielada. Już i kruki z niemi, pędzi cała chmara! Sokół mdleje, siada, wróbli, kruków mnogość leci, dzióbią, oczy, skubią skrzydła. Wróble

poczęły, skończyły kruki, rozerwały na sztuki, na sztuki! Krucy lecą, kości świecą.

Ludzie słuchając, pokiwali głowami, guślarz pobrząknął jeszcze, na ławę siadł, głowę spuścił. Szeptano cicho.

— Byłby sokół cały, gdyby nie sokolicha!

Na drodze nie widać już było Jaksy, dojeżdżał do wrót grodowych; stróże w nich stali. Zwolnił sobie kroku, wlókł się pomaluteńku noga za nogą. Dojechawszy do bramy, gdy stróże przepytywać wstali, konia spiął nagle, przez wrota skoczył i minął ich. Zerwali się za nim, wołając, ale już przepadł kędyś między chałupami ani śladu! Kie licho? Pokiwali głowami, usiedli. Jeden drugiego łajać począł.

— Tyś winien. Tyś się zagapił.

Wtem nadjechali społem obaj zmęczeni pogońce.

— Jechał tędy konny?

— A juściż.

— Kimże się opowiadał?

— Końskim ogonem — odparł jeden ze stróżów z gniewem — tyleśmy widzieli go, co nam pod nos zamiótł chwostem.

Cóż robić było? ziewnęli u wrót stojący, zaklęli i siedli.

Jaksa tymczasem już do biskupiego dworu się zbliżał, a tu, nie czekając, aż mu otworzą, z konia zsiadłszy, do furty walił. Co trzy razy uderzył, to stanie i czeka. Za drugą trójką otwarto wrotka, wpadł przez nie, konia ciągnąc za sobą.

— Zamykać! — zawołał — a spyta kto, mówić, że nikogo nie widzieliście!

Opasły stryjaszek witał już w podwórku synowca i ściskał go, ciesząc się. Razem coprędzej szli do ks. Janika.

Biskupowi wojna już srodze była dojadła. Księży mu wybijała, jak muchy, dziesięciny zagrabiała, mnożyła niepokój; zły też był na nią, bo i na łowy trudno się było wychylić.

Zobaczywszy tu znowu Jaksę, uląkł się ks. Janik.

— A pocóżeś tu głowę przyniósł! — zawołał.

— Musiałem!—odparł Jaksa. — Was stąd wyciągnąć mi kazano.

— A jaż tam po co? — odezwał się, ręce składając, ks. Janik. — Mało ich tam jest i nie wiedzą sami, co czynić? Jeszczem ja im potrzebny, który od nich nie więcej wiem!

— Jak ono jest, to jest — odezwał się Jaksa — ks. pasterz gnieźnieński pilno was do siebie do Poznania powołuje. Z tem jadę.

— A jam mu tam do czego?

— Biskupów potrzeba jak najwięcej — odezwał się Jaksa — aby ich powaga siły nasze poparła. Sam ks. arcybiskup wybiera się do obozu.

Biskup podniósł oczy do góry.

— Daj Bóg, abyśmy mu cokolwiek pomogli. — Westchnął. — Wojna to z ludźmi, co ani Boga, ani sług Jego nie szanują. Myśleliśmy, gdy się nam poszczęściło pod Pilicą, że temu już będzie koniec. Niezbożni dwakroć większe siły zebrali, poszli brać grody i pobrali jedne po drugich. A nas szczupła gromadka!

— Nas dużo, ojcze kochany — począł Jaksa, ręce jego całując. — Wszystko się tak składa, że gdzie oni tryumfu się spodziewali, tam zgubę znaleźć muszą. Odbiegną Władysława wszyscy, gdy ujrzą, że Bóg go opuścił, gdy arcybiskup klątwę nań rzuci uroczystą.

— Gdzie? jak? kiedy? — spytał ks. Janik.

— We własnym jego obozie, wobec jego ludzi — mówił Jaksa; — tak jest postanowione.

Ks. Janik zadumany milczał.

— Więc mnie tam żądają? — rzekł po chwili.

— Z tem tu przybyłem — począł Jaksa wesoło. —Do samego Wrocławia chwytali mnie po drodze, nie mogąc pochwycić. Oto dzięki Bogu stoję u celu, a teraz, gdy suknię waszego sługi przywdzieję, i z wami nazad jechać będę, już mi się nic stać nie może.

Ks. Janikowi twarz się powoli rozjaśniała.

— Powiedz mi co o naszym Petrku? — Jak mu jest?

— Mężny, jako żaden, cierpliwy, jakom nie widział nikogo — odpowiedział Jaksa. — Wszyscy go tam jako męczennika czczą, albowiem się nim stał i odmienił, a stał prawie innym, świętym człowiekiem. Modli się i w duszy pogodę ma, jak gdyby z tego, co mu się przygodziło, cieszył.

Mówili jeszcze, gdy po rączym chodzie i jasnym głosie poznał biskup nadchodzącego starostę Rogera. Zwrócili się wszyscy ku drzwiom. Wszedł raźno, wesół i śmiejący się, jakby walną bitwę wygrał. Biskup patrzał nań, gdy mu ręce całował, nie pytając, a czując, że sam zaraz spowiadać się zacznie.

Jakoż starosta, głowę podniósłszy, wnet mówił:

— Wasza miłość jużeście i nieciekawi, skąd jadę?

— Owszem, czekam, abyście mi waszą wesołą twarz tłumaczyli.

— Jadę od Mikowa i od Jerzego z Głogowa — zawołał Roger. — Prawda, żem się im i kłaniać, i modlić, i nogi całować musiał, alem naostatek ich obu pozyskał. Jerzy zamku nie podda, nie! Mików będzie trzymać z nami i ta dzicz pogańska padnie, rozlezie się jako gąsienice po ulewie, w błoto wsiąkając. Będziemy górą!

A obejrzawszy się na Jaksę.

— Ty skąd tu Jakso? — zawołał.

— Stamtąd, gdzie maluczko, a wszystko się rozstrzygnie — rzekł uśmiechnięty Marek.

— I widziałeś kochanego pana mojego?

— Jak was widzę!

Roger skoczył ku niemu.

— A mówże, mów, jak on jest? Padł-li? znękan? przybity? zwątpił? Chory, czy zdrów?

— Tak, jak wy, w miłosierdzie Boże ufa — mówił Jaksa — i wesół jest, jak wy, i powiada, że cały wzrok odzyska, gdy Kaina z ziemi wyżeniemy.

— A że bezbożnik wygnany być musi —krzyknął Roger wielkim głosem — to tak pewne jest, jak że Bog na niebie! Jam na jedno mgnienie oka ani zwątpił, ni się uląkł! W powrozach ich, w więzieniu, pod

groźbami śmierci, śmiałem się i radowałem zwycięstwu! Jak ono przyjdzie? skąd? Spadnie-li z niebios, wyrośnie z ziemi — nie wiem; ale wierzę w nie, jak w Boga wierzę.

Biskup Janik, przejęty, uściskał go.

— Mówi Pismo, iż wiara góry przenosi; nie wiem, może ta twoja wiara uparta, którą ja naganiałem nieraz, zwycięstwo przeniesie na stronę inną. Ale prawdaż to, że Mikowa zyskałeś, że Jerzy z Tobą!

Roger palce złożył jak do przysięgi.

— Opierał się Juraś — rzekł — bał się Mików, pókim ich nie poruszył wstydem, nie ubłagał prośbami, nie pokazał, że sromemby się okryli, gdyby nie pomścili zbrodni, na Petrku dokonanej, na tym panu, który w sercu nieboszczyka króla pierwsze miał miejsce, który ziemie nasze wielekroć wybawił, który je kościołami okrył, klasztorami zasiał, murami odział, a bronił sprawiedliwości przeciw bezprawiu.

Jaksa z poszanowaniem ujął Rogera za długo wiszący rękaw zwierzchniej sukni, i kraj jego pocałował w milczeniu.

— Bóg niech wam nagrodzi! — szepnął cicho.

— Nie mnie nagrodzi On — przerwał starosta; — ale tego pana, męczennika, którego tryumf oglądać będą oczy nasze! Sprawa Petrkowa — sprawą Bożą, a Władysławowa — szatańska.

Zapalił się tak Roger, aż biskup znak mu dał, ażeby się miarkował.

Mówić zaczęto o innych grodach, do których książę Władysław rozesłał gońców, aby się na gwałt mu poddawały. Radzono, jak je obronić. Biskup mniej miał odwagi, wiedząc, jak ogromną przestrzeń ziem zalewały posiłki Władysławowe. Jeden prawie Poznań pozostał tylko w rękach młodszej braci.

Roger się tem nie trwożył.

— Co odpadło, powróci — mówił. — Dosyć mieliśmy panowania krwi i ognia — ostatnie to konanie jego.

Biskup, który się zrazu zdał wahać z podróżą, teraz gdy pomyślał, że na koń siąść będzie mógł, a sięgnąc kawał drogi lasami, może i zwierza zobaczyć i sokoła gdzie spróbować, odżył nieco i naglić począł sam.

Jaksa rad był zbiedz jeszcze do Komorowa, ale mu na to ks. Janik czasu dać nie chciał, zaraz nazajutrz, wybierając się do Gniezna, rozkazując, aby konie miano w pogotowiu, ludzi mu dobrano i dwór, sakwy, psy i ptaki.

Z małym bardzo orszakiem puścić się w drogę nie było można, bo choć od wszelakiej napaści bronił duchownego krzyż i suknia, Połowcy dzicy na nie nie zważali. Trzeba było gotować się, aby w razie napaści jednej z kup, które się po kraju wałęsały samopas, skutecznie się jej obronić. Dla biskupa taka przygoda wstrętliwą nie była, rycerski duch jego, który suknia przygniatała, rad był być zmuszonym do obrony życia i dobycia bodaj oręża, którego mu, zwykłego czasu, nosić nie było wolno.

Sprawy biskupstwa zostały przy archidyakonie Robercie, reszta psów i sokołów na opiece pana brata, któremu opasłość z miejsca się ruszać nie dozwalała. Co miał ks. Janik żwawszego ludu, wszystkim nazajutrz hasło dano, aby z końmi gotowi byli do pochodu. Wszyscy też długo między parkanami zamknięci, rozkazowi byli radzi.

Na zaraniu odprawiło się nabożeństwo, konie pod kościołem już prychały gotowe, czeladź mnoga kręciła się około progu. Dzień po deszczu wczorajszym był piękny i świeży.

Jaksa, wdziawszy dworską barwę, wmieszał się do biskupiego orszaku. Wyjeżdżającego biskupa żegnał opat z Benedyktynami, przeprowadzał starosta Roger, który na Szląsku pozostać musiał, aby tę ziemię dla młodych książąt zachować.

Jechali tak do wrót miasta, u których straż stała, jak wczora. Przed biskupem pokłonili się pokornie, ale jeden z nich, podniósłszy nieco głowę, zobaczył Jaksę i poznał. Potrącili się łokciami.

— Ten sam jest! biskupi sługa!

Letnia podróż na dziarskim koniu komuby nie była do smaku? Biskupowi też czoło się zaraz wyjaśniało, gdy powietrzem wolnem odetchnął i okiem sięg-

nął ku sinym lasom. Chwalił Boga w cudownych dziełach Jego, w krasie letniego poranku, pełnego wonności świątecznych i blasków tęczowych.

Lecz jadąc dalej zasępiało się czoło. Przerzynali okolice, któremi przeszła już wojna, a po niej naówczas nie pozostawało nic — popiół tylko i kości!

Wśród lasów zabiegały im drogę gromady ludzi głodnych, na wpół nagich, wycieńczonych, żyjących grzybami i jagodami leśnemi, lub pochwyconym zwierzem — prosząc o okruchy chleba. Gromady te trupów żywych płakały po spustoszonych siołach swoich, a gdy je minęli, długo jeszcze jęk ich gonił za nimi i w uszach się odzywał.

Gdzie przepłynął ów strumień śmierci, tam i liści na drzewie ni pozostało, w wielu miejscach gorzały lasy, plonęły wyschłe łąki, świeciły dogorywające stogi, chmurą czarną kłębił się dym nad puszczami, płowemi płomieniami porozdzierany.

I gdy ciągnęli drogą, padały podpalone sosny, obsypując je iskrami, zwierz spłoszony wybiegał stadami przelękły, zmieszane pospołu żubry, łosie, sarny, wilcy, bo płomię gnało za niemi.

Drugiego dnia już tylko zarne, zwęglone przebywali zgliszcza, z których się zrywały kruki, ogryzające kości białe, zwierza i ludzi. Wdali czasem mignął im mały oddział jakichś ludzi i chował się w gęstwinę.

Poobalane leżały krzyże, popalone i poryte cmentarze, na rzekach mosty powywracane, pustynia smętna wszędzie, a nad nią to niebo wiekuiste pogodne, jasne, wesołe, które straszy, jak nielitościwy wyrok, nawet łzą nieskropiony.

VIII.

Jak gród grodem stał nad Cybiną i Główną, nigdy tu jeszcze takiego zbiegowiska ludu nie było, jak teraz, gdy ks. Władysław oblegał Poznań.

Jak okiem sięgnąć, rozkładał się dokoła, obóz Władysławowy, albo raczej kilka obozowisk, połączonych z sobą.

Stały jedne przy drugich szałasy, jak grzyby z ziemi wyrosłe, ciasno zbite, dalej namioty białe, szare i pasiaste, szopy naprędce poklecone, a w pośrodku na pagórku widać było, niby dwór ogromny namiot pański, nad którym wysoko wiała czerwona chorągiew. Wiała wysoko, dumnie, zdając się urągać wieżycy na zamku oblężonym, która też podnosiła czoło do góry, a na niej tkwiło także czerwone znamię królewskich dzieci.

Niewielki gród, choć warowny, wśród tej okolicy, gęsto, szeroko ludem nabitej, zdawał się jakby orzechem w potężnej dłoni, co go ścisnąć mogła i na miazgę zgruchotać.

To też na zamek ów patrzano z obozu ks. Władysława, jak na łatwą zdobycz, którą każdej godziny pochwycić było można.

I książę Władysław teraz inaczej myślał, innego się spodziewał, niż gdy z pod Pilicy sromotnie uchodzić musiał. Coraz wychodził z namiotu swojego, i w boki się ująwszy, spoglądał na gród, bo w nim zebrani byli wszyscy, których ująć chciał, aby wojnę zakończyć. Czterej bracia młodsi, Petrek, zdrajcą mianowany, Wszebór — zdrajca drugi i mnodzy inni, których zdrajcami zwano.

Na grodzie oblężonym tak cicho było, tak się wydawało pusto, jakby go już rozpacz ogarnęła i oniemiła, albo nadzieja karmiła niepojęta.

Czasem z wieżyczki nad tłumem słychać było dzwonek, wołający na modlitwę, niekiedy trąby zwoływały ludzi, potem na wałach, za ostrokołami i przymurkami ledwie się gdzie głowa z hełmem pokazała i znikła. Na wieży tylko grodowej czasem widać było wchodzących kilku zbrojnych, co się po okolicy rozglądali.

Widok, jaki się z niej rozpościerał, najmężniejsze mógł strwożyć serce. Tysiąc koni pasło się po łąkach, tysiące ludzi obsiadało ogniska, gwar, jak z ki-

piącego kotla dzień i noc nad obozem się unosił; gwar zmieszanych dzikich pieśni, krzyków ludzi, rżenia koni, beczenia i ryku stad, na rzeź pędzonych, niezrozumiałe brzęki i szczęki, broni, ruchów tłumu.

Osobną ławą leżeli Połowce, prawie bez namiotów i osłony na gołej ziemi u kotłów swoich. Kupa ich każda kocioł swój miała i do niego się garnęła, a na tykach pozatykane były znaki ich dziwne, ogony końskie i pierze, a skrzydła jakichś ptaków.

Czasem na małym koniu, przytulony do niego, jakby z nim zrosły, człeczek mały, nogami brzuch jego obejmując, zwieszony nad grzywą, przesuwał się między namiotami, schylał się ku ziemi, chwytając z niej co chciał, zsuwał ze szkapy, wskakiwał na nią, nie wstrzymując w pędzie.

Czasem dwu się ich uganiało z oszczepy, podrzucali je w górę, i łapali, piskiem dzikim napełniając powietrze. U ognisk gdzieniegdzie odprawiały się jakieś obrzędy, zwlekali ludzie w milczeniu; nagle jeden z nich padał, wił się, pieniąc i wrzeszcząc, a drudzy jak szaleni latali wkoło, póki nie popadali znużeni i nie nastała cisza grobowa.

Indziej trzymano związanych jeńców na powrozach, ówdzie rychocząc dzielono pobrane łupy, ucinano łby wołom, odzierano ze skór barany i pieczono je na ogniach i kamieniach. Tu i owdzie stały kadzie i beczki, a gromady leżały przy nich. Górą ponad tem unosiły się kruki i gałki, jakby już sobie ludzi na żer znaczyły i na ich trupy zmawiały.

Namiot pański zdala poznać było można, bo był ogromny, płatami szlarłatu okryty, a pobudowany tak, aby książęcia, jego dwór, kuchnię i czeladź mnogą pomieścił.

W pośrodku namiotu wrota stały na przestrzał otworem, tak, by wóz mógł zajechać w pośrodek i stać pod płócienną od słoty osłoną. W prawo, poprzedzielane ściankami i opłotki, były izby pańskie, księżnej, starszyzny kilku. U wnijścia chodziły straże, psy się wylegiwały na słońcu.

Było przed południem, wojsko wszystko odpoczywało; nie miano się czego śpieszyć, gród był w ręku. Osaczali go dokoła, nie siłą, to głodem wziąć mogli, lada chwilę strwożony musiał się poddać. Czy dziś wieczór, czy jutro rano szturm doń przypuścić, wszystko już było jedno; nie mógł mieć znikąd ratunku.

Książę Władysław siedział na pniu okrytym suknem, a dumał sobie roztargniony. Księżna się na siedzeniu miękkiem naprzeciw niego rozpościerała. Patrzali na się. Agnieszka tryumfowała, błogo jej było.

— A cóż? — mruczała, spoglądając na męża z wyrzutem jakimś i pogardą — a cóż? Nie stałoż się jakom mówiła? Tyś się chciał układać po Pilicy, a oto ich wszystkich w garści mamy, i już nam nie ujdą!

Władysław patrzał w ziemię.

— Cóż z nimi uczynimy? co? — zapytał.

Agnieszka wstrząsnęła się z odrazą i niecierpliwością.

— Co? czy jeszcze pytać trzeba? Czy się żywi to, co jest szkodliwe?

— Na wygnanie ich wszystkich! — odezwał się, jakby nie słysząc, Władysław.—Pójdą za siostrą Gertrudą, pójdą!

— Ażeby stamtąd wrócili ze sprzymierzeńcami? — zaśmiała się Agnieszka. — Albo to niema zamków i lochów dla nich, gdzie bezpiecznie siedzieć mogą, dopóki nie wyzdychają!

Książę ciągle był z myślami swemi i kończył, nie zważając na żonę.

— Jeden Petrek głowę da. Temu nie przebaczę, a i Wszebór wart pod topór, ale stary człek... stary człek!

— Hm! Petrek? — śmiała się księżna — a co nam po jego głowie? Gdy nie stanie książąt, co nam ten robak szkodzi? Starszych oślepić trzeba, młodsi...

Nie dokończyła, bo Dobek, podniósłszy ściankę, wszedł do nich.

— Na grodzie się coś ruszać zaczyna — rzekł — ludzie się kręcą. Pewnie posły wyprawią, o łaskę prosząc. Co czynić, gdyby zażądali rozmowy?

— Przede mnie ich prowadzić — odezwał się Władysław. — Tu!

— Nie potrzeba słuchać żadnych posłów — przerwała Agnieszka. — Niech książęta przyjdą sami, i co przedniejsi z nimi; topór się rozmówi i koniec będzie!

Na wykrzyknik ten Dobek nawet nie rzekł nic i kończył swoje:

— Mówią, że u nich już wody niema, studnie powypijali, reszta wyschła; pragnienie panuje straszne, lud mrze.

Zaśmiał się Dobek.

— Poddadzą się nie dziś, to jutro — dokończył z obojętnością Władysław.

— Niema wątpliwości — dodał Niemiec. — Byle nie pozakopywali wprzódy skarbów swych, które książęta zewsząd tam pościągali, łup będzie ogromny. Cudzym ludziom do grodu nie trzeba się dać ani zbliżyć.

Książę Władysław głową to potwierdził, wstał i wyszedł się znowu cieszyć widokiem milczącego grodu, który stał jak skała ruchomem morzem głów ludzkich otoczony.

W istocie na zamku w tej chwili widać było ruch większy, bieganie za murami, zbrojnych więcej u wałów. Tu i owdzie stożkowaty szyszak błyszczący wytknął się do góry i zniknął.

— Sposobią się już niechybnie do poddania — rzekł w duchu książę.

Wtem konny człek dopadł do książęcego namiotu. Książę i Dobek, który za nim wyszedł, popatrzyli nań. Twarz jakąś miał pomieszaną, jakby przelękłą.

Wskazał ręką daleko, niby po za obozowe szranki.

— Tam, het! — począł zdyszany — jest ich dość, walą a walą się!

— Kto? gdzie? — spytał Dobek.

— A woje! woje!

— Nasz lud?

— Nie!... mówią, że dla oblężonych gromady ciągną.

Książę się rozśmiał pogardliwie.

— W matnię sami idą — odezwał się; — a niech

idą! Spóźnili się pewnie na odsiecz zamkowi, a chcieliby się teraz do niego dostać! Ha! ha! niech przybywają.

Nadbiegł drugi z tem samem. Pytano:

Dużo ich tam?

— Kto policzy? hej! kupy się suną! dużo tego!

Kazał książę słać na zwiady, ale się nie strwożył nikt.

Co znaczyły nędzne kupki przeciw nagromadzonym tysiącom? Śmieli się niektórzy:

— W porę się zebrali na nas!

Już miał książę nazad wnijść do namiotu, gdy z drugiej strony nadbiegł sotnik stary.

— Drogą ode Gniezna orszak tu jakiś ciągnie— rzekł. — Krzyż przed wozem niosą. Wóz czerwono wysłany, na nim siedzi mąż wiekowy w sukni szkarłatnej.

Książę Władysław zatrząsł się.

— Arcybiskup z Gniezna! — zawołał. — Hej, Dobek! Na koń i drogę mu przetorować do mnie, aby go nie śmiał tknąć, ani nie poszanować lud. Pasterz jest!

Z tem wszedł niespokojny trochę do namiotu, gdzie siedziała Agnieszka.

— Z Gniezna arcybiskup jedzie! — zawołał.

— Można się go było spodziewać — odparła księżna. — Jedzie za książętami prosić, bo oni wszyscy z nimi trzymają. Czują, że dla nich niema ratunku. Nie ich to sprawa, ale nasza; litości nie trzeba mieć. Pokłonem się go odprawi. Co mu do tego?

Ludzie na wzgórzu kupili się i patrzyli, bo na gościńcu widać już było poczet niemały. Krzyż srebrny, który świecił cały od słońca, wiózł na koniu siedzący krucyfer. Za nim jechał dwór konny i liczny orszak zbrojny, a w pośrodku na wozie krytym jechał sędziwy Jakób ze Żnina. Co było ludzi chrześcijańskich po drodze, padali przed nim na kolana, a on ich w prawo i w lewo palcami złożonemi błogosławił. Cisza się stała w obozie uroczysta.

Wóz ten szkarłatny, ciągnący powoli, straszny był jakby na sobie dźwigał potęgę wielką.

Patrzano za nim, jak się posuwał zwolna, toczył poważnie, zmierzając wprost ku namiotowi książęcemu. Kto bliżej mógł spojrzeć w twarz starca, dojrzał w obliczu tem jakieś oburzenie i gniew, który przerażał. Starzec, oczyma wodząc po obozie, wstrząsał się ze zgrozy.

Za nim w komżach ze świecami zapalonemi postępowali duchowni, a na czele ich Rupert biskup krakowski i ks. Janik wrocławski w sukniach obrzędowych kościelnych, z laskami i świecami w ręku.

Ten występ duchowieństwa, tak odświętny, uroczysty jakiś, wydał się patrzącym z namiotu dziwnym, strasznym prawie.

Coś w nim było pogrzebowego. Książę Władysław stał blady i pomieszany. Agnieszka zarumieniła się niespokojna.

Orszak jakby umyślnie ciągnął noga za nogą, zatoczył się na wzgórze aż pod sam namiot książęcy i na dany przez arcybiskupa znak, zamiast stanąć u wnijścia, jego, zawrócił w samą bramę namiotu i wjechał w nią. Duchowni wszyscy weszli za nim ze świecami w rękach, i dokoła stanęli.

Arcybiskup nie powstał; na wysokiem siedzeniu, jak na tronie siedząc, czekać się zdawał. Panowało milczenie, ludzie się gromadzili, wyszedł zwolna książę, odkrywszy głowę, wysunęła się za nim Agnieszka.

Stanęli jak winowajcy przed tym starcem, który ponad nimi rozsiadłszy się, z góry spoglądał chmurno.

Władysław po krótkim namyśle do wozu się zbliżył; zdało mu się, że arcybiskup wysiądzie.

Nie ruszył się starzec.

— Nie gościem ja tu do was przybyłem, ale mścicielem — odezwał się powoli, głosem poważnym. — Pogwałciliście Boskie i ludzkie prawa, ziemie nasze zaleliście pogaństwem, obalone kościoły, pomordowane sługi Boże, trupami usłane pola! To sprawa wasza! Idziecie, następując nielitościwie na gardła braci waszych, nieopamiętani niczem.

Wstrzymał się; wzruszenie mu głos w piersi zatamowało. Władysław blady milczał. Patrzał na żonę której oczy krwią nabiegały; rękami trzymała płótno namiotu, gniotąc je, jakby poszarpać chciała.

— Nie kajacie się, Kainy! — Nie kajacie się, niezbożni. Niech więc spadnie na was grom Boży!

Wstrzymał się raz drugi, czekając. Władysław milczał dumnie; groźba obudziła w nim nie postrach, ale gniew uporny. Zwolna kołpak, który trzymał w ręku, nałożył na głowę i spojrzał na biskupa zuchwale i wyzywająco. Czuł się tu panem.

W starcu gniew urósł jeszcze.

— Nie kajacie się? — powtórzył. — Niech spadnie na was grom Boży!

I podniósłszy się z siedzenia, ręce do góry rozpostarł, wołając:

— Anathema na ciebie, Władysławie, anathema na żonę twą i wspólniczkę, na cały ród twój, do dziesiątego pokolenia! Bądźcie przeklęci na ziemi, w życiu i po zgonie, bądźcie przeklęci z Kainem i Lucyperem! Anathema na was! anathema!

Biskup cisnął świecę, podaną mu przez księdza, a za nim inni wszyscy poczęli rzucać i gasić światła, powtarzając chórem, głosami wielkiemi.

— Anathema! anathema!

Ks. Władysław drżący stał słupem; ci, co go otaczali, słuchali odrętwieni. Agnieszka padła na kolana, potem porwawszy się wnet, za ścianę namiotu się ukryła.

Rozlegało się — anathema, a po niem groźne milczenie.

Arcybiskup usiadł twarz odwracając; na dany znak wóz z pod namiotu, w którym stał, zwolna wyciągać zaczął na plac, gdzie mnóstwo żołnierzy i ciurów zbiegło się patrzeć na przybyłych duchownych, jak na widowisko jakieś dziwne, którego znaczenia nie rozumiało.

Lecz tłum ten, do którego nie dochodziły wyrazy strasznej klątwy, drżał od trwogi przeczuciem.

Wtem woźnica arcybiskupi, gdy już z pod namiotu wyjeżdżał, jakby umyślnie kołem zawadził o słup

utrzymujący płócienne okrycie, i zaledwie się wóz wytoczył, gdy one drzewce zachwiało się i namiot cały runął na głowy stojących pod nim księcia Władysława, żony jego i dworu [1]).

Krzyk przerażenia dobył się z pod płócien, pod któremi poruszali się, dobywając, przygnieceni.

Nie można było posądzać, że się to stało umyślnie, ale że Bóg uczynił znak, przepowiadający zgubę Władysławowi.

Stojący dokoła ludzie rzucili się wnet odgarniać płótna i wydobywać z pod nich przygniecionych niemi. Tymczasem wóz arcybiskupi, który otaczało duchowieństwo, zwolna ciągnąc obozowemi uliczkami, witany po drodze przez strwożonych żołnierzy, bez przeszkody oddalił się, zostawiając za sobą przerażenie i grozę.

Z pod namiotu pierwszy wydostał się książę Władysław z ruskim swym sprzymierzeńcem kniaziem Wsewołodem, który wypadkiem tym więcej był przerażony od niego. Chłodny, obojętny, prawie już, ostygłszy z pierwszej trwogi Władysław nie rzekłszy nic, patrzał na odjeżdżającego biskupa. Ani narzekania, ani jeden wyraz gniewny nie dobył się z ust jego.

Takie było nawyknienie do posłuszeństwa, dla duchownych, takie poszanowanie tego stanu, wrażone przez pierwszych panujących, u których oni stali na równi z królami i mocarzami, iż porwanie się przeciw kapłanowi było niesłychanem, niemożliwem.

Klątwa, która strąciła z tronu Szczodrego, stała jeszcze w pamięci wszystkich.

Taką samą teraz cisnął arcybiskup na księcia, na żonę jego i na wszystkich wspólników, dopomagających mu przeciw braci.

Książę stał zadumany, upokorzony, a jednak mało nią poruszony, gdy Agnieszka z płaczliwym gniewem doń przybiegła.

— Słać potrzeba natychmiast do Rzymu! do papieża, do cesarza! ze skargami, z żałobą — wołała, targając suknie na sobie. — Nie pierwsza to niesprawiedliwa klątwa, której Pan Bóg nie wysłucha! Zważać na nią byłoby tchórzostwem, zgubą, podłością! Nie mieli już innego ratunku, to ostatnia ich strzała. Gdy ta nie poskutkuje, poddać się muszą!

[1]) Historyczne.

Tak mówiła księżna, a zbiegający się Niemcy, gorąco ją popierali, śmiejąc się z księży, którzy mieli nic nie sprawiwszy, okryci hańbą, prosić sami później o przebaczenie.

Ruski kniaź patrzał i słuchał, niewiele rozumiejąc; wszelako jemu się to nie podobało i dawało do myślenia. Gdy Władysław do niego z pytaniem się zwrócił, począł mu szeptać:

— Ej, brat ty mój! Zgodzićby się z nimi może! Ze świaszczennikami niedobra sprawa. U was oni wielką wolę mają, musicie ich słuchać! Zgoda lepsza! A toż to bracia wasi!

— Nie bracia są, wrogi, nieprzyjaciele — wtrąciła gwałtownie Agnieszka; — z nimi zgody być nie może. Jeżeli im życie darujemy, niech i za to dziękują. Bogu! Z klątwy nas starszy nad nich biskup rzymski rozwiąże, a my postaramy się, aby ją rzucił na tych, co śmieli prawego pana swego znieważyć!

Wśród żwawych rozmów o tem całego dworu, Władysław stał zimny i niemal obojętny. Z dziwnie chłodną jakąś krwią spoglądał na gród oblężony i jakby nie słuchając, co mówiono dokoła, odezwał się po przestanku:

— Poddać się muszą! muszą!

Namiot tymczasem co prędzej podnoszono i umocowywano, słudzy nawet ślady kół wozu arcybiskupiego zamiatali, aby zatrzeć znaki i pamięć wypadku, który dwór, żołnierzy i wszystkich przejął straszną trwogą.

Około książąt kręcący się Niemcy pokrywali śmiechem wewnętrzny niepokój, powtarzali za księżną odgrażanie się Rzymem i udawali, że lekce to sobie ważą.

W wojsku przybycie biskupów, uroczyste ich wy-

stąpienie w obronie młodych książąt obudziło obawę o własne bezpieczeństwo. Wiedziano, co znaczy klątwa.

Nad wieczór przybywający dowódcy przynosili twarze posępne, Dobek postrzegał, że wojsku odwaga i ochota do boju odpadła. Rozpowiadano sobie w obozie, jak na jedno skinienie ręki starego arcybiskupa sam z siebie, nietknięty, namiot runął na głowę księcia. Tłumaczono to jako znak i przepowiednię zguby.

Wieczorem, gdy się wieści coraz bardziej trwożące szerzyły, Dobek, nie wiedząc, czem w wojsku męstwo odżywić, kazał powytaczać beczki, aby się ludzie napojem raczyli, jako chcieli.

Mimo to milczenie znaczące, cichemi przerywane szeptami, panowało w dolinie nad Cybiną i Główną. Cicha noc letnia pokryła ją swym płaszczem gwiaździstym.

Do powiększenia obawy, wzbudzonej klątwą, przyczyniało się i to, że na tyłach od rana pułki jakieś pokazywać się zaczynały, które poza obozem na nocleg legły, postawiwszy straże na przodzie.

Dwa wojska dzielił niewielki rozdół tylko, którym ciekł napół wyschły strumień, gdzieniegdzie się jeszcze sączący. Tu z obu stron ciągnęli żołnierze, przypatrując się sobie, wyzywając, zaczepiając i łając, odgrażając i przedrwiewając.

Poznawano w sobie przeciwników. Z tamtej strony ludzi pana Władysławowych nazywano poganami; z tej wywdzięczano się, łając przybyłych, jako kleszych ciurów.

Tu i owdzie, począwszy od łajania, przechodzono potem do rozmów spokojniejszych, do rozpytywania i utyskiwania. Śmielsi niektórzy z za strumienia podchodzili, namawiając Władysławowych, aby do nich zawrócili, rzuciwszy spółkę z wyklętym, lękając się gniewu Bożego i pomsty. Gdy noc czarna nastała, kupki z obu stron nad Główną stojące, połączyły się powoli, szeptały zgodnie, porozumiewano się, biegano i ciemność okryła wszystko. Do żadnych zaczepek i starcia nie przyszło.

Nazajutrz rano rozpocząć się miał napad na zamek. Nie śpieszono z tem bardzo, nie chcąc nadaremnie tracić ludzi, gdy i tak poddanie się grodu było nieuchronnem. Ten i ów podsuwał się pod mury i wały, śmielsze kupki ochotników rzucały się samopas, spinały pod ostrokoły, wtem nagle spadała belka, toczyły się kamienie, zębate koła, i garść wystraszona, zostawiwszy kilka ofiar w miejscu, cofała się z przekleństwy.

Lada chwila oczekiwano poddania się zamku.

— Ufają w siły swojego arcybiskupa — powtarzała Agnieszka mężowi; — gdy się przekonają, że na jego klątwę nie zważamy, będą prosić o łaskę.

Czekano więc cierpliwie.

Około południa wszystko w obozie szło na spoczynek. Książę Władysław pod namiotem, którego ściany podniesiono dla upału, aby wiatr przewiewał, siadł razem z księżną i kniaziem Wsewołodem za stół. Stąd jak na dłoni widać było gród oblężony, wieżę za kościołem św. Mikołaja i ciągle na nią występujących ludzi, którzy się stamtąd obozowi przypatrywali.

Przy kotłach i kadziach zasiadło wojsko, nieco rozweselone, posilać się i spoczywać. Upał był srogi. Sam on już ludzi nękał, choć się walką nie zmęczyli.

Z obozu, w grodzie, z grodu w obozie ludzi i twarze niemal rozpoznawać było można. Niekiedy ku murom śmielszy ktoś się podkradłszy, wypuszczał strzałę i śmiech z siebie czynił, gdy ta w powietrze świsnąwszy spadała napróżno, natomiast z za parkanu bełt raził śmiałka, który z guzem, lub raną uciekał.

W wielkich misach i na szerokich deskach liśćmi podesłanych, noszono na stół książęcy naprzód polewki, potem mięsiwa pieczone, których było dostatek, potem kasze różni przyprawne. Podczaszowie nalewali w złote kubki, a dokoła psy książęce siedząc, stojąc, skomląc, na rzucane im kości czekały.

Ks. Władysław patrzał, ogryzając kość sarnią, ku grodowi, gdy kniaź Wsewołod, siedzący przy nim, ręką mu wskazał na wieżę za kościołem św. Mikołaja.

Na wieży tej ciągle widać było kręcących się ludzi, których głowy oknami wyglądały, ale ich tam żaden pocisk nie mógł dosięgnąć. W chwili tej właśnie kilku ludzi stanęło na murze u samego wierzchołka wieży i podnieśli do góry ogromną tarczę czerwoną, jakby świeżo we krwi zbroczoną.

Znak to był jakiś. Kniaź Wsewołod potrącił Władysława, ukazał mu godło krwawe i zapytał:

— Co to jest?

Władysław popatrzał i głową trząsnął.

— Co ma być!... Wiedzą, że nie żarty, dają nam znak, że się chcą poddawać.

Wtem tarcza znikła za murem. Oczy wszystkich na wieżę były zwrócone.

Zwolna tarcza czerwona poczęła się raz drugi podnosić ku górze i zawisła w powietrzu długo.

Kniaź Wsewołod zapytał znowu:

— Patrzajcie-no, bracie miły, tarcza się wychyla raz wtóry.

— Proszą o łaskę i rękawicę — odparł, uśmiechając się książę—ale rękawicy dać nie mogę.

Nastało milczenie. Kazano kubki nalewać nowe, oczy księżnej połyskiwały radością dziką.

— Juściż nie może to być znak inny, tylko, że się poddać pragną—wołała, rękami bijąc i spoglądając na męża. — A co? a co? Nie zdało się męstwo nasze, nie miałam słuszności, gdym żądała, aby trwać przy swojem i nie dawać się zastraszyć?... A co? a co?

Gdy cześnicy nowe kubki nalali, kniaź Wsewołod, który z oka wieży nie spuszczał, trącił księcia Władysława.

— Patrzaj-no, bracie, tarcz spuścili.

— To znaczy pokorę — rzekł Władysław—i łby ugną do ziemi tak samo.

Znikło całkiem krwawe znamię.

W obozie zaczynano też sobie wieżę pokazywać palcami, a szydzić z oblężonych. Już się radowano łatwym łupem.

— A szczeniaki przeklęte! a! przyszła na was

godzina! — wołali Niemcy, otaczający namiot, którzy wywabieni tarczą, powybiegali i na głos się śmieli.

Wtem tarcza krwawa dźwignęła się po raz trzeci, ale teraz, jakby ją jakaś siłą potężna uniosła nad mur, wysoko wzbiła się w powietrze, zawisła długo, a potem jak piorun na dół runęła.

Kniaź Wsewołod pokazał ją Władysławowi, nie dowierzając znaczeniu tego godła. Ks. Władysław śmiał się.[1])

— Jawna rzecz, o łaskę proszą!

— Nie bądź-że nadto surowym dla nich — odpowiedział Wsewołod, — gdy ci Bóg dał bezkrwawe zwycięstwo... Pokaż się im bratem, przyjmij ich pokorę.

Agnieszka nie dała odpowiedzieć mężowi.

— Los ich postanowiony! Ten się już zmienić nie może.

Książę potwierdził głową i dodał dumnie:

— Nie proście już darmo za niemi; zdrajcy są i zdrady nie zaniechają, dopóki żywi.

Domawiał tych wyrazów, gdy ogromny wrzask powstał w obozie, widać było nagle od kotłów zrywających się ludzi, bieżących ku koniom i broni.

Pierwsza wrzawa powstała od strony grodu, skąd już biegł komornik książęcy, wołając, że z zamku wypadła garść zbrojnych ludzi i na obóz uderzyła.

Władysław dopijał kubka, gdy kniaź Wsewołod baczniejszy zerwał się z siedzenia prędko i do swojego namiotu pobiegł co żywiej zbroję i hełm przywdziać. Wołał za nim książę, aby pił jeszcze pospołu, ale go słuchać nie chciał.

Wtem i na tyłach obozu rozruch się stał także. I tam ludzie, napadnięci u kotłów i kadzi bezbronni porzuciwszy napój i jadło, lecieli do szałasów po pałki, siekiery i tarcze, które do kupy poustawiane były.

Na wieży św. Mikołaja wiała teraz ogromna chorągiew szkarłatna, pysznie jakoś i zwycięsko, po nad gród i dolinę.

---

[1]) Historyczne.

W całym obozie już się ruszało, co żyło; Dobek napół uzbrojony wpadł do namiotu.

— Zdrajcy! — zawołał, — z dwóch stron napadli nas razem! Z grodu wyskoczyli jedni, wypatrzywszy, że nasi nie w pogotowiu; zgnietli ich, na tyłach walka, cisną naszych...

Wstał książę i jeszcze nie zatrwożył się, gdy i Agnieszka przypadła, ręce łamiąc. Dopiero teraz przyszedł jej na pamięć ten namiot, co runął na ich głowy; przeczucie złowrogie ogarnęło ją nagle.

— Koni! koni! — poczęła wołać głosem przelękłym—dwór do pana! Kto żyw, do nas!

Teraz już i książę się poruszył.

— Zbroi! — zawołał do komorników — kaftan mi tu dać! hełm! miecz! Nie może to być, aby ta garść śmiała i mogła na nas się porwać!

Kniaź Wsewołod w tej chwili już zbrojny na koniu, z drużyną swoją ruszał tam, gdzie walka się rozpoczęła; mijając namiot, oszczepem ukazał na bijących się, a z twarzy mu widać było, że niezbyt ufał zwycięstwu.

Pod namiotem książęcym, na dany przez Agnieszkę znak, której słuchać więcej, niż pana ludzie byli przywykli, wszystko się ruszało z pośpiechem wielkim, trwoga ogarniała, bo krzyki i szczęk walki aż tu dochodziły.

Zewsząd rozlegało się wołanie rozpaczliwe:

— Koni! koni!

Księżna to ręce łamała, to zakrywała oczy, to krzyczała na głos, tupiąc nogami z gniewu.

Na tyłach obozu z małego szumu stał się też wkrótce zamęt i wrzask wielki. I tam latali ludzie potraciwszy głowy, chwytając ladajaki oręż, który im wpadł pod rękę, drudzy koły powyrywali z szałasów, do broni się nie docisnąwszy.

Dwór z pośpiech m już zwijał namioty książęce, rzucano na wozy naczynia, suknie, oręże, co kto pochwycił. Konie wystraszone wrzawą, rwały się woźnicom z rąk, że je ledwie piesi pachołkowie za łby chwytając, utrzymać mogli.

W obozie kurzawa powstała, jak chmura płowa, która widzieć nie dozwalając, co się za nią działo, przestrach jeszcze pomnażała.

Ks. Władysław siadł na koń, księżnę wsadzono na wóz— i nie na pole walki śpieszyli, ale wydobyć się z niej chcieli, bo ich zewsząd ogarniała. Z obu stron nadbiegali ludzie popłoszeni, których bezmowne, blade twarze donosiły już, z której strony było zwycięstwo.

Dobek, który przy księciu stał, nie wiedział sam, kędy zawrócić, bo z tyłu sunęła się wielka lawa ludu i gniotła a rozpraszała Władysławowych, którzy w bezładzie uciekali, tarcze rzucając, broń gubiąc, padając pod konie i waląc się jedni na drugich.

Gdy kniaź Wsewołod, cofając się już od grodu, odepchnięty od niego z innemi, dobił się do tego miejsca, kędy przed chwilą stał namiot książęcy, znalazł tu tylko poobalane koły, kupy słomy i siana, ogniska wygasające i powywracane ławy, które naprędce sklecono. Księcia i księżnej śladu już nie było, a na pytanie, kędy uszli, wskazano mu drożynę, którą uciekający ludzie biegli ku lasom.

Z wieży kościoła św. Mikołaja, jak na modlitwę uroczystą we święto odzywał się dzwon, w którego głosie wczorajsza klątwa arcybiskupa jeszcze się odzywać zdawała.

Walka trwała ciągle, jeżeli nią mordowanie bezbronnych prawie nazwać było można. Władysławowi ludzie uchodzili i tylko naciśnięci przez rycerzy książęcych, rozpaczliwie się bronili.

Z przeciwnej strony zajadłość była straszliwa.

Z dwóch boków pochwycone wojsko księcia Władysława, choć liczniejsze, na miazgę starte zostało. Ludzie się nie spodziewali napadu, a opiłych gubił postrach bezumny. Kupami leżały trupy, konie, jak oszalałe, rżąc i wierzgając, miotały się na pobojowisku.

Z zamku wybiegła garść wybranych, która bój rozpoczęła, coraz teraz rosła, wychodzili z murów wszyscy, wrota zostawując otworem, bo się już obawiać nie było kogo. Na wałach widać tylko było niewiasty w bieli, podnoszące

ręce do góry i mnichów w czerni, błogosławiących krzyżami walczących.

Wieczór spuszczał się powoli na krwawe brzegi Cybiny i Głównej, bój już był tak, jak skończony.

Obdzierano trupy, wiązano pochwytanych, okrzyki dzikiego upojenia zwycięstwem unosiły się nad pobojowiskiem, a dzwon od św. Mikołaja brzmiał teraz jakby Bogu na chwałę za tryumf uciśnionych.

Wśrod zajadłej walki nikt nie pomyślał o pogoni za ks. Władysławem i Agnieszką, którzy z małą garścią dworu i straży swej zdołali dopaść do lasów i niemi ujść przed nieprzyjacielem.

W milczeniu ponurem wlekli się wszyscy. Na wozie Agnieszka głowę na rękach sparłszy, płakała, ale łzy jej gniewu i żółci były pełne. Niekiedy pięściami uderzała po kolanach i z piersi jej dobywał się głos stłumiony:

— Nigdy!

Władysław, z głową na piersi zwisłą, jechał niemy.

— Zwyciężyli nas u Pilicy—wołała niewiasta—rozproszyli i tu, ale wojna nie skończona jeszcze! Cesarz, brat mój, w pomoc przyjść musi! Jego rycerstwa nie pokonają tak łatwo, jak tę gawiedź. O nigdy! Do Krakowa! na gród! Zamkniemy się tam, nie będą śmieli przystąpić! Tam jesteśmy bezpieczni, aż cesarscy nadciągną.

Niemiec z tyłu się wlókł, nie słysząc nic, nie wiedząc co się z nim działo. Czasem go rozbudzał głos pani, to znów wpadał w osłupienie. Klątwa arcybiskupa leciała za niemi.

Wieczór i noc ciszę przyniosły z sobą na polu, krwią oblanem. W tumie rozlegały się pieśni, na wałach brzmiało wesele; walka była wywalczona. Władysław uszedł.

Późną już nocą wszyscy książęta zeszli się do dolnej izby zamkowej. Dwu z nich było w walce i wracało z niej, Bolko i Mieszek, dwu młodszych patrzali na nią z wieży i drżeli jeszcze, grozą tego widoku przejęci. Z zawiązaną głową w pośrodku nich stał palatyn Petrek, szepcząc modlitwę dziękczynną.

— Dałeś mi Panie dożyć tej chwili sprawiedliwości Twej, odpuść mnie teraz w pokoju. Amen!

I uściskał stojącego obok Światosława.

Radość wielka była na zamku, ale resztka obawy mieszała się z nią jeszcze. Wtem z pola walki wracający dopiero, we zbroi cały, wszedł, hełm zdejmując Wszebór palatyn, wołając od samego progu:

— Przy nas zwycięstwo! Radujcie się miłościwi panowie nasi! Niewiele uszło! Rozbite ich pułki i rozproszone ścigają nasi po lasach. Cybina i Główna potokami krwawemi do Warty płyną. Chwała Bogu na wysokościach, który nam dał zwycięstwo! Bądźcie pozdrowione sieroty pana mojego, którym powrócone jest dziedzictwo ojca waszego!

Petrek ręce podnosił do góry.

— Nie koniec to, początek tylko—wołał,—ale mocen Bóg i ten, kto mu ufa!

Okna izby, w której wszyscy stali wychodziły ku wałom i pobojowisku, na którem zwijały się światła mnogie i smolne pochodnie. Wszystek lud z zamku wybiegał odzierać trupy. Widok był straszny i smutny... W pętach pędzono jeńców pokrwawionych, do sznura poczepianych, wozy pełne łupów huczały na zamkowym moście.

Dwaj starsi bracia, Bolko i Mieszek, milcząc rzucili się ściskać z sobą, jakby oba drużbę i pokój sobie na przyszłość poręczali. Kazimierz i Henryk, w oknach wywieszeni napół, zabawiali się światłami, migającemi na pobojowisku.

Wiatr zrywający się niekiedy niósł woń spalenizny i krwi, głosy jakieś rozpaczliwe a tłumione, niekiedy okrzyk wesoły, który dreszczem przejmował.

IX.

W Komorowie siedziały niewiasty, karmiąc się wieściami, które im ludzie przynosili, jak noszą z lasu jagody i grzyby, takie, jakie znaleźli po drodze, świeżo urosłe po deszczu, zwiędłe od skwaru, stare i nowe.

Czasami trwoga na gródek padała: naówczas stara Jaksowa, macierz szła do swoich ludzi, stawiła straże, sposobiła się do obrony. I gdy jednego dnia przychodziła wieść straszna, groźna, przerażająca o poganach już ciągnących tutaj, drugiego ktoś przynosił pociechę wielką, która we trzy dni rozwiała się w powietrzu niczem.

Ludzie mówili, że widziano już dzicz w pochodzie, ówdzie, że ją ściągano w ucieczce bezładnej; jedni głosili zwycięzcą Władysława, drudzy pobitym na głowę i wygnanym.

Jednego dnia na wozie przybył ks. Marcin, aby odprawić w kapliczce mszę świętą, i wszedłszy do sieni, zapowiedział, że będzie im zwiastował pociechę wielką. Jemu już wiarę dać było można. Powiadał, że ks. Władysław, na głowę został pobity, po klątwie rzuconej nań przez arcybiskupa.

— Prawica Boża—rzekł—dotknęła Kaina! Uchodzić musiał z pola walki nad Cybiną i znikł, niewiadomo gdzie. Jedni mówili, że do Niemiec zbiegł do cesarza o posiłki go prosić, ziemie mu swe poddając; drudzy, że na Ruś uszedł z kniaziem Wsewołodem. O Agnieszce i o dzieciach jej słuchu nie było.

Tyle już razy zwiedziona Jaksowa słuchała, głową, potrząsając, a wkońcu rzekła do starego:

— Póki tej prawdy nie zobaczę, nie uwierzę.

— Rychło i to nastąpi—odparł ks. Marcin,—bo Petrek na swój dwór powraca, gotują się już na jego przyjęcie; książę Bolko Kraków obejmuje i zwierzchnie panowanie.

Błogosława, która wybiegła była, aby się od przybywającego o czemś dowiedzieć, wróciła do matki, przynosząc jej wesołą nowinę. Poszedł za nią i ksiądz, upewniając sam, że to, co mówił, miał z ust ludzi, którzy na klęskę nad Cybiną sami patrzyli.

Ożywiła się twarz kniehini Maryi, ale tego jej nie było dosyć.

— Jeżeli tak jest—poczęła,—dlaczegóż Petrek nie śle zaraz po mnie, aby stąd wyzwolił? bym na swój dwór powróciła i tułać się przestała po obcych kątach? Czemuż

zaraz nie przybył tu syn mój? sługi moje? Więc już tak zapomnieli o mnie, jakbym ja niczem nie była?...

Rozpieszczona pani i teraz jeszcze nie była rada, bo myślała tylko o sobie.

Choć jej w Komorowie dogadzano, miasto litości dla gospodyni, powzięła do niej odrazę i nienawiść prawie. Dwie też to były istoty, co nigdy z sobą pogodzić się nie mogły. Stara Jaksowa żyła miłością dziecka, pracą, milczeniem i wielką duszą, którą w piersi nosiła; Petrkowa kochała siebie tylko, a resztę świata, jakby za stworzoną dla siebie trzymała. Całemi dniami bolała i płakała nad sobą zawsze, narzekając na męża, za którego cierpieć musiała.

Błogosława napróżno się ją ukoić starała, zyskując tylko wymówki od matki, że jej nie kochała. Znosiła to w pokorze. Dla niej ta matki niedola była jakby chorobą jakąś, budzącą litość niezmierną i miłość coraz gorętszą. Znękane jednak czuwaniem i jękami dziewczę więdło w oczach i usychało.

Jaksowa, która na nią teraz jak na synowę patrzała, stękała i bolała, że swojemu dziecku kwiatka tego jasnego wychuchać nie umiała. Pieściła ją za matkę, żywiła, przytulała, tchem własnym rada ją wzmocnić. Napróżno! Dziewczę w oczach więdło powoli, nie czując nawet, że słabło, nikło, rozpływało się, jak mgła w powietrzu.

A była coraz piękniejszą, rosły jej oczy błyszczące, twarzyczka nabierała smętnego wdzięku. Gdy stara Jaksowa dopytywała, czy ją co nie boli, zaręczała, że jest zdrową, że jej było dobrze, że się czuje szczęśliwą.

Czasem wychodziła na wały puste i rozpatrywała się góry po okolicy, po lasach, po polach, słuchała jak śpiewało ptactwo, jak na zamku gwarzyli ludzie, jak piosnki się przez okna otwarte z izby dziewcząt rozlegały. Słuchała patrzała, wracała potem do złotej kądziołki przy łóżku matki i karmiła się jej narzekaniami.

Z twarzyczki jej znikły rumieńce, na ustach tylko trochę krwi zostało, a oczy coraz jaśniej świeciły, jakby gdzieś za światy przejrzeć chciały.

Jednego ranku zatętniało, Błogosława rzuciła kądziel i wybiegła. Podwórca pełne były ludzi, konnych, wozów,

a w pośrodku na koniu stał Światosław i wkoło rzucał oczyma. Zoczywszy siostrę, skoczył z siodła i padli sobie na szyję, płacząc z radości. Ona wiodła go do matki.

Na widok dziecięcia ukochanego, zerwała się kniehinia Marya, krzyknęła i na pół omdlała upadła na posłanie. Syn nogi jej całował. Słowa mu się w ustach plątały.

Zrozumiała Petrkowa, że po nią przybył syn, że ją z tej nienawistnej dobędzie jamy, że dawna wielkość powróciła do ich domu, i że we dworze pod Sobótką czeka na nią pół ślepy mąż, który sam jechać nie mógł, bo siły postradał.

Jednej godziny tu dłużej pozostać nie chciała; powiedziała sobie, że nic ją tu postrzymać nie potrafi. Znalazła siły, aby zerwać się z łóżka, zaczęła odziewać coprędzej, wołając, że choćby zaraz wyruszy w drogę. Płakała i śmiała się razem. O starej gospodyni swej nie wspomniała nawet.

Ale Światosław jechać nie mógł, dopókiby drużyna jego nie spoczęła; miał też podarki do oddania od ojca i z Błogosławą poszedł do Jaksowej.

Ta stała w izbie swej u stołu, sposobiąc jadło dla przybyłych gości, poważna a smutna.

Uścisnęła Błogosławę tak, jakby córkę ściskała własną, a gdy Światosław przemówił, że ojciec jej posyła dzięki i podarki, odezwała się:

— Najlepszy dar byłbyś mi tu przywiózł, syna mojego biorąc z sobą; za resztę wdzięcznam, odrzucać się nie godzi, ale mi po tem nic. Dajecie wy, no, to weźmiecie też odemnie; mam i ja czem się dzielić i obdarzyć.

Chociaż Petrek odarty był ze wszystkiego, lecz skoro Władysław upadł, a on powracał do majętności w mgnieniu oka znalazło się, co utracił. Roger starosta, Jerzy, żupan z Głogowa, Mikow, Wszebór złożyli się nań szatami, sukniami, sprzętem srebrnym i złotym, futrami, końmi i groszem. Dali królewicze swojemu obrońcy obfite dary i Petrek miał się już czem dzielić. A że dla siebie nie potrzebował wiele, dla drugich zawsze będąc szczodrym, nie wyprawił Światosława z próżnemi rękami po żonę.

Wiózł Światosław kubki złocone, misy srebrne, jedwabiów sztuk kilka, kun worów dziesiątek.

Gdy te dary złożył, stara podziękowała i rzekła:

— Takci jest, darzyć się i obdarzyć trzeba, ja też was upominkami dla ojca obciążę; kto bierze, ten dawać musi. Chodźcie-no ze mną.

Uśmiechała się starucha chytrze. Zawróciła się do Błogosławy i rzekła do niej:

— Chodź i ty, abyś wiedziała, gdzie co leży, bo to ci się kiedyś przyda.

Zarumieniwszy się, dziewczę szło w milczeniu.

W komorze zamczystej, do której ona sama tylko chadzała, staruszka silną dłonią podniosła drzwi na ziemi leżące, które skórami przykryte były. Ogarek zapalony w glinianej miseczce niosła w ręku.

— Schodźcie—mówiła—a nie bójcie się, choć stromo jest; po bokach sznury wiszą.

Pode drzwiami loch był w ziemi i kamieniu kuty, czarny, otchłanny, straszny jak więzienie. Przodem śmiało kroczyła stara, niekiedy oglądając się na Światosława, który siostrę prowadził. Zwrócili się w lewo, poszli w prawo potem, spuścili w dół, pięli się do góry, aż doszli do drzwi zamkniętych. Jaksowa z pod fartucha dobyła klucz i odsunęła rygle.

Sklepiona izbica szeroka, długa, nizka ciągnęła się gdzieś w głąb, że końca jej nie było można dojrzeć. Zaduch w niej panował, bo powietrze tylko kędyś z góry szparami jakiemiś przez błony wpadało.

Dziwy tu ujrzeli. W prawo i lewo pod ścianami na podkładach dębowych stały skrzynie ogromne, wisiały wory, leżały kupami odzieże i całe wały sukna. W rogu świeciła się srebra i złota kupa ogromna aż do sklepienia. Co kosztowniejsze stało na skrzyniach.

Oręża i zbroi pospolitej było też poddostatkiem. Stara z dumą się zwróciła do Światosława, do góry podnosząc ogarek. Nie mówiła nic, ale twarz jej powiadała:

— Co myślicie? Jest tego dość.

Światosław, choć u ojca nawykły był skarby oglądać,

zdziwił się mnogości nagromadzonego mienia i rzekł do niej:

— Daj wam Boże nie mieć takiego jak my, wroga, coby skarby te rozgrabił.

Jaksowa już ogarek postawiwszy, wybierała, co godnem Petrka sądziła: cztery drogie pierścienie na sznur związała, dwa złote wzięła kubki, sztukę szkarłatu odłożyła na stronę.

— Wybieraj sobie ty, co ci lubo!—rzekła do chłopca,—abyś mi stąd z próżnemi nie wyszedł rękami.

To mówiąc, pierścień jeden włożyła na palec Błogosławie, dała Światosławowi jeden, dwa dla rodziców.

Zmuszony wybierać, młody gość wziął tarczę małą wyrabianą wzorzysto, bo niczem ostrem obdarzać się nie godziło. Sztukę szkarłatu na plecy mu zarzuciła stara, sama misy i kubki wzięła w silną rękę i dawszy im po skarbcu popatrzeć, szła z powrotem.

A gdy znowu szli, nietylko ów skarbiec, podziwiał Światosław, ale drogę, którą doń niewiadomemu trafić było trudno, bo pod zamkiem, jakby krety ryły, wązkiemi szyjami i chodniki się rozbiegały do góry, w dół porozgałęziane na wsze strony.

Gdy powrócili nazad do izby, już znaleźli od Petrkowej sługę, która do wyjazdu nagliła, a stara nie wstrzymywała, choć na Błogosławę patrząc, łzy jej w oczach stawały.

W ostatniej chwili kniehini się przywlokła, żegnając i dziękując.

— Niema tam za co!—odparła dumna niewiasta obojętnie.

Dziewczę ze łzami rzuciło się jej w objęcia.

— Powracaj do mnie!—szepnęła jej do ucha,—wracaj gołąbko moja, źle ci nie będzie!

A tu już do wozów i koni naglono, kniehini na swoim siedziała, przywołując córkę niecierpliwie do siebie.

I jak stała w progu stara Jaksowa, tak wkuta, nieprzytomna, zapatrzona, została długo, zapomniawszy o Bożym świecie. Z oczów łzy ocierała.

O synu wiedziała, że przy Petrku pozostał, któremu jak rodzonemu służył ojcu, jako dziecko własne ukocha-

ny. Nie mógł przybyć ze Światosławem razem, bo jeden z nich przy nawpół oślepłym zostawać musiał.

Powrót palatyna do dworu pod Sobótkę tak uroczystym był, jak okrutne z niego porwanie. Gdy się o zbliżającym dowiedzieli starzy druhowie, jechał naprzód starosta Roger z ziemiany o mil dziesięć, aby go poczestnie wprowadzili na dworzec, już na przyjęcie jego przysposobiony. A gdy miał do domu wjeżdżać, zaszli mu drogę oo. Benedyktyni z opatem na czele i mieszczanie, wyjechał ks. Janik z archidyakonem Robertem, zebrał się wszelakiego ludu tłum ogromny, uderzono we dzwony w kościele.

I była chwila uroczysta, która ludziom z oczów łzy wyciskała, gdy go ujrzeli z oczyma chustą białą zawiązanemi, pieszo naprzód idącego do kościoła, na podziękowanie Bogu. Kościół cały światłem płonął, pieśniami się rozlegał. Tu klękłszy u ołtarza, Petrek upadł na twarz, a ludzie płakali, a mnisi śpiewali.

Do kruchty choć go popychano i odpędzano, wcisnął się odarty, straszny, z głową kudłatą Jarmucha. Szedł, a krył się, bał się, aby go nie poznano, a choć uczynił co mógł, lękał się, aby się na nim za krew nie mszczono. Widzieć chciał Petrka, choć zbliżyć się doń nie śmiał. Śmiał się, drżał, popłakiwał, do słupa tulił, a gdy napowrót lud wypływał z kościoła, jakaś nieznana siła nade drogę go popchnęła.

Ujrzał Petrka, jako teraz szedł chustę z oczów zrzuciwszy przed ołtarzem, jedną źrenicą całą, drugą krwawą, patrzącego wesoło na świat Boży.

Gdy tak szedł palatyn a spoglądał dokoła, zobaczył Jarmuchę, który się za czyjeś plecy chował—i stanął.

Ponieważ ręką skinął ku niemu, wnet czeladź rzuciła się na obszarpanego biedaka, precz go chcąc odegnać, ale Petrek stał, wołał go ku sobie i przykazał, aby go za nim do dworu wiedziono.

Tu go przeobleczono w suknie nowe i dano mu izbę przy straży, aby we dworze mieszkał.

Na dworcu swym, choć mu go druhowie przystroili, nie zastał palatyn wspaniałości dawnej, ale w tych izbach, które zajmował sam, gdzie nie było co odzierać, powitał

ławy swe i ogniska, i stół, i wszystko, co tu zostawił, a to go najwięcej rozradowało.

Zapełnił się dwór znowu biesiadnikami, gośćmi i wrzawą, jak za dobrych czasów. Petrek na żonę i córkę czekał dni rachując, Jaksę pytając—kiedy przybędą?

Rachowali dnie oba.

Aż jednego ranka dano znać, że jedzie Marya; wyszedł Petrek naprzeciw, a wstyd mu było prawie stawić się przed piękną niewiastą z krwawemi oczyma, twarzą wybladłą i zestarzałą.

Gdy wóz się zatoczył przed dwór, Petrkowa spojrzała na męża, krzyknęła i zakryła swe piękne oczy. Puszczono ją i wiedziono do domu. Biedna niewiasta szła, ręce łamiąc izbami, których nie poznawała, za nią córka wiodąc ojca, łzawemi oczyma wpatrzonego w młodą jej twarzyczkę przekwitłą niedolą, zwiędłą od smutku, co się uśmiechać musiała.

I Jaksa szedł za niemi nie spuszczając z niej wzroku, nie wiedząc, czy się cieszyć, czy smucić że wracała, że cień jej widział tylko.

Nim się biedna Petrkowa oswoiła z nową dolą swoją, z mężem kaleką, z życiem, z ludźmi, których brakło wielu i nim wylała żale i bóle, powtarzane każdemu z kolei, trochę upłynęło czasu; Jaksie już dawno Petrek, powiedział ściskając go:

— Córkę ci dam, choćby mimo woli macierzy, bom ci dłużen wiele, a no, bądź cierpliwy, kwiatek to nierozwity.

Nierychło, raz wieczorem siedzieli we dwoje, Petrek na ławie w kącie, pani na wezgłowiach, i jak zwykle, rozwodziła żale, jako jej w Komorowie było, iż w więzieniu nie mogło być gorzej.

— A toć będzie gniazdo córki naszej!—odezwał się Petrek.

Rzuciła się kniehini.

— Ją, dać córkę moją? Na to wygnanie i pustynię? Tej niewieście za dziecko, która prostą chłopką jest!

— Nie jej, ale Jaksie ją dam, bo mi on drugim synem

był—odezwał się Petrek—i miłuje mnie i ją, a naszym będzie.

W płaczu długo utulić się nie mogła Petrkowa, nie chcąc córki dawać, męża starając odwieść, w końcu nie zdoławszy tego uczynić, aby go przekonać, wpadła w gniew wielki. Nie pomogło nic. Jechały swaty, przyjął Petrek Jaksę za zięcia.

Gdy księżna Agnieszka uciekać potem musiała z Krakowa z Niemcami swymi, a Bolko objął stolicę i w kraju na czas ucichło, bo Niemcy się tylko zdala odgrażali i burczeli,—sprawiono wesele wielkie, jakiego Wrocław nie widział jeszcze.

Szła panna młoda do ołtarza, że się ludzie dziwili, czy niewiastą była żywą, czy cieniem a duchem, bo w niej już krwi nie stało na rumieniec, i siły do uśmiechu.

Potem jechali młodzi do Komorowa i Światosław, jako brat ich przeprowadził, a przyjmowała matka stara i gromady na zamku okrzykiwały, jakby gniazdo słali na długie szczęście i życie.

Było to jesienią.

Na wiosnę z zamku szedł pochód wielki, przed nim w kapie czarnej ks. Marcin, który im ślub dawał, za trumną mąż w rozdartych szatach, i brat i ojciec. Matki nie było.

— Zabili mi ją!—mówiła płacząc.

A kto ją zabił, Bóg osądzi.

Jaksa w strapieniu wielkiem po żonie, gdy książę Henryk szedł do Ziemi Świętej, walcząc o odzyskanie Grobu Chrystusowego, pociągnął z nim razem, chcąc zginąć, aby nie dźwigać życia, które srodze ciężyło tęsknotą.

Nie wzięła go przecie ani strzała, ani miecz niewiernych, i wrócił cały do starej matki do Komorowa. I on to był, co mnichów Stróżów Grobu Chrystusowego przywiózłszy z sobą, pierwszy zakon ich na ziemi polskiej w Miechowie osadził.

KONIEC.

Przepisano we Florencyi 1878. Marzec.